



Barbara
Rybałtowska

Magia przeznaczenia



BARBARA RYBAŁTOWSKA

MAGIA PRZEZNACZENIA



AXIS MUNDI - Maria Szelichowska, Basia Basiewicz-Borowska

Projekt okładki/skład: Positive Studio

Korekta: Elżbieta Makowska

Druk: Zakłady Graficzne Taurus, Stanisław Roszkowski Sp. z o.o.
Wydanie I

ISBN: 978-83-61432-14-2

EAN: 9788361432142

Copyright ©2011 by Axis Mundi, Barbara Rybałtowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



PLATON
DZIAŁALNOŚĆ KULTURALNA

Mojej serdecznej przyjaciółce Irenie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Okazało się, że ma miejsce przy oknie. Samolot zatoczył koło nad Paryżem i poszybował w górę. Bajkowo piękna panorama miasta malała szybko, aż skryła się w błękitnej poświacie. Puszyste obłoki wychynęły z bezkresu i zakryły wszystko.

Mireille odwróciła się od okna i rozsunęła ekler torebki. Wyjęła z niej grubą kopertę i przez chwilę ważyła ją w dłoni.

- Kiedy już odbędziesz te swoje koncerty i oswoisz się z urokiem mazurskich lasów, poproś Marię, żeby przejrzała z tobą te papiery. Już ona będzie wiedziała, co z nimi zrobić - powiedziała Irmina. Ucałowała wnuczkę, poczekała, aż przejdzie przez bramkę odprawy paszportowej, pokiwała jej i odeszła szybkim, sprężystym krokiem.

Ma grand-mère, babuszka, babcia, „Bibou” Irmina - pomyślała czule Mireille. - Co ja bym bez niej poczęła? Odkąd pamięta, babcia była blisko, ilekroć którekolwiek z nich potrzebowało wsparcia. Szczupła, bardzo ruchliwa, o niespożytej energii. Kto by uwierzył, że stuknęła jej osiemdziesiątka? Od zawsze ma tę swoją jasną, rozwichrzoną głowę. Jej włosy - jakie one właściwie są: blond czy siwe? Wciąż piękne oczy o błękitnym spojrzeniu, długich podwiniętych rzęsach, pomalowanych niestosownie do wieku o wiele za grubo granatową mascarą, której nigdy wieczorem nie zmywa, bo jest zbyt zmęczona. Dopiero rano szoruje je mydłem pod prysznicem po to, żeby natychmiast pokryć nową warstwą tuszu.

- Gdybym ja tak obchodziła się z moimi rzęsami, miałabym oczy łyse jak kolano, jakże ty, mamo, możesz sypiać umalowana? - pokrzykuje Sophie, matka Mireille. Ma zwyczaj mówić podniesionym głosem, zabarwionym nutką pretensji.

Daremne to słowa, bo natura zarówno ją, jak i Mireille obdarzyła

takimi samymi wielkimi błękitnymi oczami w pięknej oprawie. Przy najmniej pod względem typu urody te trzy kobiety są do siebie podobne, bo poza tym różni je wszystko.

Irmina skrupulatna, zapracowana, zawsze znajduje porę na coś poza pracą: na lekturę, słuchanie muzyki i całkiem bogate kontakty towarzyskie. Jak jej się to udaje, trudno pojąć, musi mieć jakieś tajemne układy z czasem. Posiada też rzadki dar przyciągania ludzi niezwykle, wybitnych i dziwacznych. Krąg jej przyjaciół to osobny rozdział.

Córka Irminy - Sophie, jest podobnie urodziwa, ale jeszcze bardziej efektowna, świetnie oprawiona, ubrana odważnie na granicy ekstrawagancji i kokietliwa. Gdziekolwiek się pojawia, wywołuje szum i zamieszanie. Chaos zdaje się być jej sprzymierzeńcem, potrafi się w nim doskonale poruszać. Umie działać z rozmachem i skutecznie, ale równie skutecznie nieraz niweczy swoje dokonania emocjami, które co rusz biorą ją w posiadanie. Taka jest z natury, chociaż los też nie szczędzi jej ku temu racji, ale o tym potem.

Mireille, najstarsza z dzieci Sophie, uchodzi za najbardziej z nich skrytą i wrażliwą. Od miesiąca jest absolwentką paryskiej szkoły teatralnej i jest też zwyciężczynią castingów do dwóch głównych ról w musicalach.

Albert, smagły, czarnooki, wysportowany, rokujący nadzieje na kontynuowanie pasji naukowych swego ojca, załamał się zupełnie nieoczekiwanym przebiegiem zdarzeń w rodzinie i nie zdał matury. Śliczna jak obrazek młodsza córka Sophie, Sara, oczko w głowie babci Irminy, okazała się jedyną osobą, która do zaistniałej sytuacji podeszła z niespotykaną u nastolatki tolerancją, usiłując za wszelką cenę znaleźć racjonalne przesłanki na wytłumaczenie bolesnych zdarzeń.

W ostatnim roku bowiem los zgotował matce i rodzeństwu taką niespodziankę, że cały ich świat stanął na głowie. To dlatego Irmina wymyśliła dla starszej wnuczki podróż do Polski, a Sophie zdecydowała się przed początkiem nowego roku szkolnego wyemigrować z dwojgiem młodszych dzieci za ocean. Robiła to przede wszystkim dla syna, który po zmianach, jakie nastąpiły, zupełnie się pogubił. Po stracie ukochanego brata Sophie panicznie boi się o syna, to zrozumiałe...

Nic dziwnego zatem, że tajemnice zamknięte w pękatej kopercie, dotyczące odległej przeszłości jej przodków, przyciągnęły uwagę podróżniczki o wiele mniej niż to, co przydarzyło się im ostatnio. Po krótkim przebywaniu na dłoni dziewczyny koperta wylądowała z

powrotem w przepaścistej torbie, a Mireille, żeby oderwać myśli od bolesnych zdarzeń, zabawiła się w odgadywanie, jak się potoczy jej polska przygoda.

Bibou Irmina poznała Marię dzięki swemu mężowi, René, który jako pianista wirtuoz odbywał tournée koncertowe po Polsce. To ona oprowaiała słowem jego występy.

Wkrótce po tym tournée Maria otrzymała stypendium Bruna Coquatrixa i zjawiała się w Paryżu. Jako że zaprosiła kiedyś René na kolację do swego domu w Warszawie, wypadało zrewanżować się jej i uczyniono to. Owego pamiętnego wiosennego popołudnia u schyłku lat siedemdziesiątych cała rodzina Bergeronnette'ów, a więc René z Irminą oraz ich dzieci, dwudziestoletnia wówczas Sophie, studentka anglistyki na Sorbonie, i szesnastoletni licealista Patryk - wszyscy w komplecie obejrzeli w Olimpii galowy koncert polskich artystów z udziałem znajomej René, Marii Nagłowskiej, która prowadziła konferansjerkę i śpiewała frywolne piosneczki. Po koncercie porwali sympatyczną Polkę na kolację do swego apartamentu przy rue Jasmin.

Aktorka była młodsza od Irminy o kilkanaście lat, mimo to kobiety bardzo przypadły sobie do gustu i znalazły wspólny język. Od tamtej pory Maria przemyka przez domy Bergeronnette'ów i de la Chapelle'ów. Mireille zna ją z wrywkowych spotkań, opowieści i albumów rodzinnych, świadczących o zażyłości Marii z jej rodziną: fotki z koncertu dziadka René w Conservatoire de Rachmaninoff, z przyjęcia zaręczynowego rodziców, z kliniki Laenec, na których Maria stoi obok kołyski w dniu jej narodzin, przy choince w apartamencie dziadków przy rue Jasmin, na garden party z okazji chrzcin Sary w dawnej rezydencji królewskiej Saint-Germain-en-Laye. Maria w kostiumie cyganki z czarnymi warkoczami i rocznym Alfredem w ramionach... Ulubionym zdjęciem Mireille jest portrecik Marii z uduchowioną miną i oczami pełnymi łez. Uwieczniła ją tak na kliszy babcia, kiedy Maria oglądała efekty swojej pracy. Bo nie kto inny, a właśnie Maria przygotowywała Mireille do egzaminu z interpretacji piosenki, gdy zdawała do Conservatoire.

Ona też przyleciała z Warszawy i zamieszkała z babcią Irminą natchmiast po samobójczej śmierci wujka Patryka. Teraz, gdy tylko dowiedziała się, co ich spotkało, od razu zapytała, w czym może pomóc. Nie tylko zaprosiła Mireille na wypoczynek, ale załatwiła jej nawet występy w gronie najlepszych polskich artystów. Emocje z tym związane okazały się najbardziej kojącym remedium na zranione serce dziewczyny. Jeden z koncertów odbędzie się w uroczysku, gdzie latem mieszka rodzina Marii, w jej „magicznym” (wedle słów babci

Irminy) domu.

Mireille myślała o tym wszystkim i zaczęła podświadomie nucić. Dyskretne oklaski sąsiada z samolotu przerwały rozmyślania.

- *Quelle chance - pas seulement une belle fille comme voisine, en plus des attractions! Belle voix, mademoiselle, vraiment une belle voix!** Pani jest artystką, nie myłę się? - dodał po polsku.

- *Pardonnez-moi?** - spłoszyła się Mireille.

- Nie mówi pani po polsku?

* Ale mam szczęście - nie tylko mam za sąsiadkę piękną dziewczynę, a jeszcze do tego takie atrakcje! Piękny głos, panienko, naprawdę piękny głos!

* Słucham?

Nie czekając na odpowiedź mężczyzna gładko przeszedł na francuski i zaczęło się bezpardonowe tokowanie. Najpierw zaoferował swoje usługi jako przewodnik po Warszawie, a następnie przedstawił cały wachlarz dostępnych w tych ramach atrakcji. Posypały się komplementy i wymowne spojrzenia. Mireille wcisnęła się w swój fotel.

Przytłoczona elokwencją i siłą inicjatywy nieznajomego, nie śmiała się ruszyć ani mrugnąć okiem. Mimo że ukończyła studia aktorskie i miała czas oswoić się ze środowiskiem artystycznym, któremu świat przypisuje swobodę obyczajów, jej odwaga nie wychodziła poza działania sceniczne. W życiu pozostała nieśmiałą, cichą istotą, lubiącą samotność i spokój. Taka była od dziecka i to się nie zmieniło. Nawet w głośnych zabawach rodzeństwa uczestniczyła w sposób ograniczony.

Atak, który przypuścił na nią poszukiwacz przygód, sprawił, że zaczęła modlić się w duchu, aby lot trwał jak najkrócej. Zamknęła oczy, udawała, że drzemie, ale natręt nie dawał za wygraną. Zerknęła ukradkiem na zegarek. Do planowego lądowania pozostało ponad czterdzieści minut.

Co robić, co robić? - myślała rozpaczliwie. Wreszcie odważyła się przeprosić go i wstać.

Resztę podróży spędziła w toalecie, nie widziała, jak samolot zniżał lot nad Warszawą i może w ogóle przegapiłaby lądowanie, gdyby zaniepokojona stewardessa nie wywabiła jej z zacisznego przybytku. Nie tak to sobie obiecywała.

Jak pech, to pech - jej walizka pojawiła się na podajniku jako ostatnia, już myślała, że zaginęła. Na tym jednak skończyły się przykre niespodzianki. Justyna, córka Marii, ze swoimi dziećmi czekała na nią, jak było umówione. Pojechali razem na obiad, a potem prosto na dworzec autobusowy, bo Mireille jeszcze tego dnia musiała dotrzeć

do letniego domu Nagłowskich. Nazajutrz mają się rozpocząć próby do koncertu jubileuszowego, w którym Maria wyznaczyła jej spory udział.

Nie zabrakło jej atrakcji i na tym etapie podróży. Pasażerami niemal połowy autobusu okazali się być studenci jadący na zawody żeglarskie do Mikołajek. Nie miałyby to większego znaczenia, gdyby nie to, że byli akurat z romanistyki. Zobaczyli, że czyta francuską gazetę, zagadnęli ją i omal nie przegapiła docelowej stacji, na której Maria dosłownie wyciągnęła ją z autobusu. W odróżnieniu od przygody w samolocie, pogawędka ze studentami polskimi dostarczyła jej przyjemnych wrażeń.

Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę miała czasu myśleć o moim strapieniu - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. - Może Bibou rzeczywiście miała rację mówiąc, że ta podróż dobrze mi zrobi.

Maria wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy widywała ją w Paryżu. Wśród znajomych babci uchodziła za urodziwą, ale na Mireille atrakcyjność osób starszych nie robiła wrażenia. Teraz przykuła jej uwagę - ubrana na sportowo, w dżokejce z szerokim daszkiem nasuniętym na czoło, za kierownicą bordowego citroena GS dotkniętego zębem czasu, na oko wydawała się być młodszą kopią paryskiej damulki, którą dotychczas знаła. Tam mówiono, że jest czarująca, ale wyglądała znacznie poważniej, tu wydawała się jej bardziej pewna siebie. Nie widziały się trzy lata, zaskoczyła ją korzystna zmiana.

- Odmłodziła pani, Mario - powiedziała - naprawdę świetnie pani wygląda.

- Tak uważasz? - roześmiała się komplementowana. - To miłe, co mówisz, ale to ty dojrzewasz, kochanie. Z wiekiem coraz bardziej tolerancyjnie patrzymy na ludzi starszych od siebie, aż nadchodzi taki czas, kiedy różnice wieku w przyjaźni nie mają znaczenia.

Mireille pomyślała, że podoba się jej taka Maria. Energiczna, swobodna, klęła na nieuważnych kierowców i z fantazją omijała przeszkody na drodze. Zadawała tysiące pytań, pokazywała co piękniejsze szczegóły mijanego krajobrazu, opowiadała o miejscu, do którego zmierzały.

Droga wiała się pośród dorodnych lasów, podobnych tym, jakie dziewczyna pamiętała z wakacji w Kanadzie. We Francji takich rozległych zalesionych przestrzeni chyba nigdy nie widziała. Ale też większość jej niedługiego życia nie toczyła się we Francji. Zanim okrutne fatum nie dotknęło ich rodziny, ciągle podróżowali. Najdłużej mieszkali w Palo Alto w Kalifornii. Alfred i Sara tam się urodzili.

- Jesteśmy na miejscu, witaj w domu - powiedziała Maria i

zatrzymała samochód przed białym budynkiem z czerwonym stromym dachem w otoczeniu wysokich modrzewi i brzoź. Szczupły, przystojny mężczyzna o siwych włosach i nerwowych ruchach otwierał bramę, a towarzyszący mu energiczny i sprężysty foksterier jazgotliwym szczekaniem obwieszczał, że jest tu gospodarzem.

- Oto i moi panowie: Piotr i Portos, czyli mąż i jaśnie pan pies, prawda, że podobni do siebie? - poinformowała przybyłą Maria i zaraz zganiła swojego psa: - Hej, szczekaczu, ucisz się, pozwól mi przedstawić naszego gościa. Ta młoda dama to Mireille. Masz być dla niej miły, nawet gdyby chciała opuścić posesję bez twojej łaskawej zgody. Portos wszystkich przybyszów wita entuzjastycznie i zapisuje do swego stada. Gorzej jest, kiedy zechcą wyjść - zębów wtedy nie żałuje.

Wjechali za ogrodzenie i Maria zahamowała tuż przed rabatą. Drzwi drewnianego ganku uchyliły się i pojawiła się w nich starsza pani o ujmującej powierzchowności.

- A oto i nasza królowa matka - powiedziała i ucałowała ją Maria. - Mamusiu, to jest Mirejka, wnuczka Irminy, ma jej oczy, prawda?

- *Bonjour, madame, je suis enchantée de vous voir**.

* Dzień dobry pani, bardzo mi miło panią poznać.

A więc to jest ta legendarna matka Marii - myślała Mireille przyglądając się Zofii - zupełnie nie wygląda na tyle lat, ile ma. Bielusińskie włosy, ale jaka miła, gładka, pogodna twarz! Dziewczyna poczuła nagle, że bierze ją ochota, aby się do niej przytulić i wypłakać na jej piersi wszystkie swoje troski.

Oglądanie domu, spacer nad jezioro, relacje z podróży, przekazywanie listów od matki i babci - wszystko to działo się jakby we śnie. Wrażeń jak na jeden dzień było aż nadto, nawet dla kogoś tak młodego jak Mireille. Ożywiła się nieco przy kolacji, bo też nie każdemu przytrafia się zajadać pierogi ruskie przyrządzone przez dziewięćdziesięciosześcioletnią panią Zofię, do tego pierogi - *délicieux!** I jeszcze deser - maliny, poziomki i czarne jagody prosto z lasu!

Do okien jej pokoju na górze dobijał się modrzew, omiatając szyby wiotkimi gałęziami. Kojący zapach żywicy przynoszony z puszczy ciepłymi podmuchami wiatru obiecywał dobre sny.

A jutro? Pierwszy raz od dłuższego czasu uśmiechnęła się na myśl o jutrze i zamknęła oczy.

* pyszne!

ROZDZIAŁ DRUGI

Obudził ją śpiew ptaków. Koncertowały z zapamiętaniem. Repertuar miały wcale, wcale urozmaicone: a to wdzięcznie brzmiące chórki, a to zbiorowe trele, wibrujące pogwizdywania, ćwierkające duety i tercety i prześliczne, urozmaicone, pieszczące ucho solówki.

Spojrzała na stojący przy przeciwległej ścianie zegar z wahadłem, który przytłumionym tykotem pracowicie odmierzał czas. Była czwarta czterdzieści pięć. Pogańska godzina! - pomyślała. - A te ptaki? Cierpią na bezsenność czy co? Że też im się chce wyśpiewywać tak o świecie, ale fakt, że muzykalne z nich bestie.

W świątku skrzydlatych śpiewaków rozpętała się nagle awantura, aż gałęzie modrzewia z rozmachem uderzyły w okno. Towarzyszył temu gwar podniesionych ptasich głosów. Mireille postanowiła zobaczyć, co jest grane, wyszła z łóżka, aby wyjrzeć na zewnątrz. Skrzypnięcie otwieranego okna spłoszyło awanturników, zerwały się do lotu i poszybowały w stronę lasu.

Zwarta jego ściana podświetlana od dołu promieniami wschodzącego zza góry słońca wyglądała teraz na koronkową. W powietrzu unosił się ten sam zapach żywicy, który uspił ją poprzedniego wieczoru. Rosa szklila się na igielkach sosen, na liściach i na trawie. Mireille zdecydowała, że szkoda czasu na spanie, narzuciła szlafroczek i zbiegła po krętych schodach do ogrodu.

Tymczasem Maria w zaciszu swego pokoju opracowywała strategię swojego polowania na potencjalnych białostockich przodków Irminy Bergeronnette.

Poprzedniego wieczoru, kiedy już wszyscy spali, zabrała się do czytania korespondencji z Paryża przywiezionej przez Mireille. Grubą kopertę, którą Irmina przekazała wnuczce na lotnisku, zostawiła sobie

na koniec. Początkowo postanowiła jej nie otwierać przed ukończeniem przygotowań do koncertu jubileuszowego, ale ciekawość przeważyła.

Wiedziała, czego dotyczy przesyłka, i szczerze mówiąc, miała wątpliwości, czy uda się jej sprostać nadziejom przyjaciółki na odnalezienie śladów kolei losów jej przodków. Zapiski, listy i dokumenty stanowiące zawartość koperty nasunęły jej pewien pomysł.

Wśród tych papierów znalazła bowiem oryginalną metrykę chrztu babki Irminy, czyli „Zenobii Harczuk, narodzonej dziewiątego dnia miesiąca czerwca w roku pańskim 1866, w majątku Harce, z ojca Wiktora Harczuka i matki Anieli Harczuk z domu Bogajewicz - właścicieli majątku Harce pod Białymstokiem?”. Wydało się to Marii nie lada ułatwieniem, zważywszy na plan, jaki zakiełkował w jej wyobraźni.

Wprawdzie Irmina wraz z siostrą Maszą pisały już kiedyś do parafii, w której chrzest się odbywał, ale nie udało się ustalić żadnych wiarygodnych koneksji wśród żyjących ludzi noszących nazwisko Harczuk.

Maria postanowiła rozegrać poszukiwania po swojemu. Długo przed zaśnięciem rozmyślała, od czego zacząć, i w związku z tym niewiele zakosztowała snu tej nocy. Podobnie jak Mireille rozbudzona śpiewem ptaków o świcie, nie zasnęła już więcej. Sięgnęła po telefon i wykręciła numer informacji międzymiastowej. Zasnąną dyżurującą telefonistkę wprawiała w osłupienie prosząc ją o czwartej rano o podanie numerów telefonów wszystkich abonentów Białego-stoku i okolic noszących nazwisko Harczuk. Okazało się ono w owym regionie bardzo popularne, bo lista osiągnęła imponującą liczbę osiemdziesięciu sześciu!

- Proszę pani - powiedziała telefonistka - lepiej by było, żeby pani sama zajrzała do książki telefonicznej i przepisała sobie te numery, bo mnie to zajmie za dużo czasu, a przecież muszę udzielać informacji innym potrzebującym, zresztą wolno mi podać tylko trzy numery. Na jedno połączenie udzielamy tylko trzech informacji.

- Ale ja mieszkam w lesie, do poczty stąd jest dziesięć kilometrów, a poza tym jest czwarta nad ranem i chyba ludzie o tej porze śpią, a nie dzwonią do informacji?

- Tak się pani wydaje, ludzie dzwonią zawsze. Pani sama właśnie teraz dzwoni, to najlepszy dowód.

- No tak, wiem, ale bardzo panią proszę... Bardzo!

I uprosiła. Telefonistka okazała się dla niej pobłażliwa, bo imponowała jej rozmowa ze znaną aktorką. Po dwudziestu minutach Maria

miała w garści pełną listę posiadaczy telefonów z rzeczzonego grodu i jego okolic.

Niecierpliwość pchała ją do czynu. Nie straciła resztek rozsądku przynajmniej na tyle, żeby nie zacząć wydzwaniać do nieznanym sobie osób o piątej rano. Dlatego wzięła prysznic, ubrała się niespiesznie, wypila kawę, podlała ogród i nawet krzewy rosnące w sąsiedniej posesji, co pozwoliło jej pierwszym rozmówcom pospać do siódmej.

Przedziwne indagacje telefoniczne wyrrywające ze snu zdumionych interlokutorów były mniej więcej takie:

- Dzień dobry pani (panu). Mówi Maria Nagłowska. Czy dodzwoniłam się do państwa Harczuków?

- Tak, a co się stało?

- To bardzo ważne, czy ktoś z pani (pana) przodków był właścicielem majątku Harce?

- Żarty sobie pani stroi? I po to mnie pani budzi o siódmej rano???

Rozmowy przebiegały tak i podobnie, nierzadko padały przekleństwa, czasem odkładano słuchawkę nie udzielwszy odpowiedzi.

Ktoś z przepytywanych Harczuków zainteresował się, czy jest „TA” Marią Nagłowską, bo była przecież dość popularna, ktoś inny poinstruował ją o nietakcie dzwonienia do ludzi przed dziesiątą rano.

- Ależ ja o tym wiem, zapewniam pana. Tylko że potem przez cały dzień jestem zajęta, bo mamy tutaj jubileusz.

- Wariatka! - usłyszała na to i jeszcze trzask odkładanej słuchawki.

Nie poddawała się jednak i o godzinie siódmej pięćdziesiąt pięć, kiedy już miała zrobić przerwę, by przygotować śniadanie dla domowników, właśnie w tym momencie, kiedy postanowiła sobie, że to ostatnia tego ranka rozmowa, zdarzył się cud.

Na rytualne pytanie: „Czy ktoś z pani przodków był właścicielem majątku Harce?” - odpowiedziano jej także pytaniem:

- A można wiedzieć, dlaczego panią to interesuje? - w głosie rozmówczyni, o dziwo, nie było ani ironii, ani zniecierpliwienia, tylko uprzejme zaciekawienie.

- Moja francuska przyjaciółka poszukuje krewnych swojej babki, niejkiej Zenobii Harczuk, po mężu Korolow.

- Naprawdę??? Z nieba mi pani spada! Od lat zajmuję się gromadzeniem materiałów do historii naszej rodziny... No, nie! Nie wierzę! Więc zna pani potomków naszej Zenobii! Koniecznie musimy się spotkać.

- Tak, tak. Tym bardziej że akurat goszczę u siebie wnuczkę tej

mojej przyjaciółki, reprezentantkę najmłodszego pokolenia Harczuków i Korolowów. A może udałoby się pani tu do nas? - zaproponowała nagle Maria.

- Z przyjemnością, na skrzydłach! A skąd właściwie pani dzwoni?

- Jestem akurat w moim mazurskim domu, w bardzo malowniczej wsi Modrzejów.

- Moi znajomi bywają w tych stronach, ponoć jest tam pięknie.

- To prawda. Sama pani oceni, zapraszam choćby dzisiaj!

- Niestety, jeszcze ponad tydzień pracuję tu w muzeum historycznym sama - wszyscy na urlopach. Dopiero w przyszłą sobotę mogłabym się stąd ruszyć.

- Doskonale! Trafi pani akurat na wielką fetę, zjazd znakomitości, wie pani, radio, telewizja, oficjele, gwiazdy sceny i wielki koncert jubileuszowy, bo właśnie będzie to dzień obchodów trzechsetlecia Modrzejowa. A swoją młodą kuzyneczkę zobaczy pani na scenie, jest aktorką.

- Wspaniale! A nie sprawię kłopotu?

- Ależ skąd! Wręcz przeciwnie.

Panie ustaliły sobie jeszcze szczegóły spotkania, wymieniły grzeczności i zakończyły rozmowę zapewniając się nawzajem, że nie posiadają się ze szczęścia.

Uskrzydłona sukcesem Maria zbiegła po schodach jak fryga, a na dole czekano już na nią.

Matka razem z Mireille i Piotrem przygotowali śniadanie.

- Nie macie pojęcia, co załatwiłam. Odnalazłam powinowatych Irminy!

Opowiedziała im o przeprowadzonej akcji. Byli zdumieni.

Po śniadaniu zabrała Mireille nad jezioro. Kąpały się i rozmawiały o scenariuszu koncertu.

Pierwsza jego część, z udziałem miejscowej młodzieży i wiernych osadzie letników, poświęcona ma być historii i teraźniejszości Modrzejowa. W drugiej znani artyści z całej Polski wystąpią w swoim repertuarze, wśród nich gość z Francji, Mireille de la Chapelle.

Ponieważ jednak praca z amatorami nie jest łatwa, a niektóre zadania są dla nich niewykonalne, Maria poprosiła Mireille o oprawę taneczną i wsparcie wokalne.

- Po południu próba, zabieramy się do pracy.

- Z przyjemnością, aczkolwiek to dla mnie wyzwanie.

- Dasz radę, teksty piosenek będą zaczątkiem twojej nauki języka polskiego, a jak cię znam, z tańcem nie będzie kłopotu. Po prostu

przebrana za nimfę wodną będziesz improwizować w tle.

Próby odbywały się każdego popołudnia i trwały do nocy. I tak przez półtora tygodnia.

Uroczystość udała się nadzwyczajnie. Tuż po przemówieniach co prawda spadł rzęsimy deszcz, ale okazał się na tyle gwałtowny, co krótkotrwały i tylko na parę minut zakłócił świętowanie. Tłumy mieszkańców i przybyszów bawiły się do białego rana. Mireille spodobała się wszystkim, ale najbardziej była nią urzeczona przybyła z Białegostoku Eulalia Harczuk, i to nie tylko z racji jej talentu, lecz także i przede wszystkim z powodu zdumiewającego podobieństwa do jednego z rodzinnych portretów sprzed niemal półtora wieku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz po jubileuszu cała rodzina Nagłowskich i ich goście zasiedli na tarasie przy długim stole. Minęło już południe, a oni dopiero jedli śniadanie.

Maria i Eulalia Harczuk zbiegły ze schodów z wydrukiem kolorowego zdjęcia, nadesłanego właśnie pocztą elektroniczną z Białegostoku.

- To nie do wiary, nie do wiary! - mówiła podniecona Eulalia patrząc na Mireille. - Ona nie jest podobna do Zenobii, one są po prostu identyczne! Które to już pokolenie?

- Czwarte? Nie! Co też ja mówię, przecież piąte - entuzjazmowała się Maria - Zenobia Harczuk-Korolow, potem jej najmłodsza córka Galina Orłow, następnie Irmina Orłow Bergeronnette, jej córka Sophie de la Chapelle i wreszcie Mireille de la Chapelle. Tak. Piąte pokolenie.

I nie wierz tu człowieku w moc genów!

Kopia magicznego portretu wędrowała z rąk do rąk. Mireille i jej kuzynka sprzed wieków wyglądały zupełnie tak samo, nawet pieprzyk pod prawym okiem każdej z nich wyglądał identycznie, jak u drugiej. Tylko uczesanie i ubranie miały z dwóch różnych epok.

- Zadzwoń do Irminy - powiedziała Maria. - Nie tylko że odnalazłyśmy ślady jej babki, to jeszcze w Mireille ma jej żywy portret. To jakaś magia, istna magia!

Tymczasem Mireille patrząc na odbitkę portretu praprababci miała wrażenie, że przegląda się w lustrze. Od nadmiaru zdarzeń kręciło się jej w głowie, chwilami traciła poczucie rzeczywistości, zdawało się jej, że śni. Tysiące pytań kłębiło się w jej głowie: Jaka też ona była?

Czy, jak ja, lubiła śpiewać? Czy była szczęśliwa?

* * *

- Zenusiu, prosiłam, żebyś nie biegała po ogrodzie bez rękawiczek. Opalone dłonie wyglądają nieelegancko - upominała ją matka. - Poza tym jesteś spóźniona, twój nauczyciel śpiewu czeka już od kwadransa.

- Ojej, przepraszam mamó, ale wiesz, te kremowe róże rozwinęły się właśnie z pąków, są prześliczne!

Dziewczyna, smukła i zwinna, podeszła do fortepianu, przy którym siedział jej sędziwy nauczyciel i wertował nuty. Dygnęła wdzięcznie, zdjęła kapelusik, zerknęła w lustro, przyglądała niesforne loki i już była gotowa do lekcji.

- Tylko kilka wprawek i bierzemy się za pieśni Brahmsa. W Baden-Baden, dokąd panie jadą, jest on otaczany kultem. Mieszkał tam i tworzył ponad dziewięć lat, aż do roku 1874. On i owdowiała Klara Schumann. Johannes Brahms bowiem opiekował się żoną zmarłego przyjaciela - słynnego kompozytora. A trzeba panience wiedzieć, że Klara Schumann to także kompozytorka i wybitna pianistka.

- To może tam uda mi się posłuchać ich muzyki?

- Bez wątpienia, drogie dziecko, bez wątpienia.

- A pieśni Brahmsa, które mi pan zostawił, prawie już umiem.

Ćwiczyłam wczoraj i dziś przez cały ranek.

- Zobaczymy.

Matka wzięła robótkę i usiadła w fotelu w głębi salonu. Uczestniczyła w lekcjach nie tyle dla nadzoru, z obowiązku, co dla przyjemności. Jej najmłodsza latorośl obdarzona była prześlicznym głosem.

Ojciec Zenobii, Wiktor Harczuk, miał obok polskich i białoruskie korzenie, co nie przeszkadzało, że ramię w ramię z Polakami walczył w Powstaniu Styczniowym pamiętnego roku 1863. Oprócz prowadzenia majątku w Harcach sprawował też urząd sędziego. Jego małżonka, Aniela z Bogajewiczów, Polka z dziada pradziada, razem z francuską guwernantką czuwała nad edukacją trzech córek i właśnie za kilka dni miała z nimi wyjechać do wód w Badenii-Wirtembergii. Gorące źródła termalne Baden-Baden przynosiły ulgę jej obolałym kościom, a panienki znajdowały tam dobre towarzystwo i sporo atrakcji.

Dwie starsze panny miały już swoich adoratorów, bywały w towarzystwie, a niespełna siedemnastoletnia Zenobia nie myślała o niczym prócz muzyki, jej oddała całe swe serce.

* * *

Porucznik Lew Piotrowicz Korolow dopiero co ukończył studia w Piotrogrodzie i od jesieni miał objąć urząd posła carskiego w Białymstoku. Oficerowie Cara piastujący jakiegokolwiek urzędy nie byli dobrze widziani pozostając w stanie kawalerskim. Wymagano od nich znamion stabilizacji i nie trzeba dodawać, że powinni byli mieć żony z dobrych, najlepiej szlacheckich domów.

Dwudziestopięcioletni, Lew Piotrowicz, syn generała Piotra Stiepanowicza Korolowa nie kwapił się bynajmniej do żeniactwa. Służba wojskowa też nie była jego marzeniem. Literatura, muzyka i inne sztuki piękne jak dotychczas pochłaniały go bez reszty. Był artystą i wyznawcą sztuki, ale jako syn emerytowanego generała sprawującego do niedawna nadzór nad wojskami krymskimi nie miał wyboru w planowaniu swojej przyszłości zawodowej. Jako jedyny potomek płci męskiej zmuszony był do kontynuowania tradycji rodzinnej.

Wszelkie aluzje dotyczące konieczności znalezienia posażnej, szlachetnie urodzonej panny, która godnie pełniłaby rolę połowicy carskiego posła, bardziej wprowadzały go w zakłopotanie, niż podniecały. Tego lata, jeszcze przed rozpoczęciem swojej misji, wraz z sędziwymi rodzicami miał jechać do Baden-Baden. Przypuszczał, że wynudzi się za wszystkie czasy, a tymczasem podróż ta zupełnie zmieniła jego życie i jak skonstatował później, została ukartowana przez przeznaczenie.

Zenobię zobaczył po raz pierwszy w neobarokowym teatrze, gdzie odbywał się koncert muzyki Brahmsa. Siedziała w otoczeniu nieco starszych od niej panienek i damy w średnim wieku. Podobieństwo kobiet świadczyło o pokrewieństwie. Zapewne matka z córkami - pomyślał.

Dziewczyny były eleganckie i urodziwe, ale to najmłodsza z nich przykuła jego uwagę. O ile starsze wydawały się znudzone, ona wyglądała na wielce zemocjonowaną. Przyglądała się muzykom, instrumentom, kręciła się na krześle i z niecierpliwością wypatrywała pojawienia się dyrygenta i skrzypka, bo popis Orkiestry Weimarskiej miał się rozpocząć słynnym już Koncertem skrzypcowym D-dur opus 77 mistrza Brahmsa.

Lew Piotrowicz sam był doskonałym skrzypkiem, ale możliwość posłuchania muzyków o sporej renomie była dla niego prawdziwym świętem. Jednocześnie nie mógł nie zwrócić uwagi na opisane przed chwilą damy, bo akurat siedziały w sąsiedniej łoży, usytuowanej tak,

że patrząc na scenę nie był w stanie ominąć ich wzrokiem.

Wreszcie muzycy przestali stroić instrumenty, dyrygent i skrzypek, wyfraczeni, w blasku świec spotęgowanym lustrami pojawili się na scenie. Powitano ich oklaskami, a potem zabrzmiały pierwsze tony koncertu.

Muzyka, gra świateł i wiotka sylwetka siedzącej przed nim dziewczyny stworzyły nastrój, któremu młodzieniec poddał się bez reszty. Słuchał i patrzył. Siedziała nie dalej niż na odległość ramion, odwrócona *trois-quatre** do jego łoża i do sceny. Widział jej błyszczące oczy, kosmyki jasnych wijących się włosów, wymykających się z upiętego na czubku głowy koka, smukłą szyję, a nade wszystko emocje, które malowały się na jej drobnej, misternie wyrzeźbionej twarzy.

* półprofilem

Ani jedna nuta nie uszła jego uwagi, ale scalały się one z czarownym obrazkiem, który go urzekał coraz bardziej. Słuchał i patrzył, patrzył i słuchał i w owym zaszłuchaniu i zapatrzeniu zapamiętał się tak, że mimo woli ściągnął ją wzrokiem. Spojrzała na niego i zastygła w tym spojrzeniu.

W tym momencie jedna z sióstr zobaczyła wpatrzonego w Zenobię młodzieńca i chcąc jej na to zwrócić uwagę, kopnęła ją lekko w kostkę.

- Czemu mnie kopiesz, czemu mnie kopiesz? - wyszeptała somnambulicznie dziewczyna, nie odrywając oczu od młodzieńca.

Dwie starsze siostry zachichotały, a zawstydzeni bohaterowie urzeczenia spuścili oczy. Do końca koncertu nie przestawali zerkać na siebie ukradkiem.

Od tej pory co dnia widywali się niby przypadkiem. Lew Piotrowicz, ma się rozumieć, pomagał tym przypadkom ze wszystkich sił. A to przeciął im drogę w kilkukilometrowym parku zdrojowym w centrum miasta, gdy były na konnej przejażdżce, a to w pijalni wód Trinkhalle, koło ruin rzymskich łaźni, w kasynie, w Brahmshausie, wszędzie.

Aż wreszcie pewnego razu na promenadzie poniżej rynku Marketplatz ktoś ich sobie przedstawił. Oboje byli tak tym wydarzeniem przejęci, że po kilku dniach nie pamiętali, kto dokonał prezentacji i bardzo się tym ubawili.

Okazało się, że mają wspólne zainteresowania, pasje, z tą zauroczenia się sobą nawzajem na czele.

Pani Aniela widząc swoją najmłodszą pociechę w stanie pierwszej fascynacji zdecydowała się przerwać tę historię w zarodku i zabrała

panienki do Paryża. Zenobia zrobiła się roztargniona i płacziwa, wzdychała co chwilę, wciąż nieobecna duchem, często bywała w stosunku do sióstr i matki opryskliwa.

Kiedy wróciły do domu, ojciec zawiadomił je, że nowy carski poseł urządza bal, na który zaprasza wszystkich znacznych obywateli Białegostoku, zaś on jako sędzia nie ma prawa tego zaproszenia zignorować i będzie zmuszony tam przybyć z rodziną. Owym posłem okazał się nie kto inny, tylko Lew Piotrowicz Korolow, romantyczny wzdychacz Zenobii z Baden-Baden.

Odtąd pod pretekstem swoich autentycznych fascynacji muzycznych poseł carski pojawiał się na koncertach muzyki kameralnej organizowanych w Harcach, potem zaczął tam bywać i bez pretekstu.

To prawda, że był uroczym, dobrze wychowanym człowiekiem. Przystojny i pobłażliwy dla Polaków, zyskał sobie ogólną sympatię. Kiedy jednak zadeklarował się jako pretendent do ręki Zenobii, sędzia Wiktor Harczuk nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Dziewczyna popłakiwała, a ojciec był nieubłagany.

- Jakże to ja, powstaniec z 1863 roku, mam wydać córkę za zaborcę? Przecież to byłby przeklęty związek - powtarzał.

- Ja wiem, że sprawa jest wielce delikatna. Jako przedstawiciel Cara jestem dla państwa poza nawiasem. Ale serce nie sługa. Ja nie jestem zaborcą z wyboru - tłumaczył się Korolow. - Historia, polityka i powinności rodzinne wmanewrowały mnie w taką sytuację, takie mi wyznaczyły miejsce. Ale to nie znaczy, że nie potrafię kochać, czuć tak, jak pan, pańska żona czy ktokolwiek z Polaków. I sztukę, i uczucia mierzy się sercem, a serce to ja mam. I potrafię uszanować pańską córkę bardziej niż niejeden pana szanownego rodak.

- Może to wszystko prawda, młody człowieku, ale niczego panu nie ujmując, nie potrafię sobie wyobrazić Moskala jako mego zięcia. Może mnie pan skazać na zesłanie, a i tak w tej materii nic pan nie wskóra.

- Jaki tam ze mnie Moskal. Mój ojciec wywodzi się z Ukrainy a matka Podolanka toć prawie Polka.

Pewnie srogi tata postawiłby na swoim, gdyby nie załamał się całkowicie po nagłej śmierci żony. W kilka miesięcy poszedł zresztą w jej ślady.

Starsze siostry były już wtedy zamężne, a Zenobia z oporami, bo z oporami, ale powiedziała ukochanemu sakramentalne „tak”. Jej opory to były raczej skrupuły, że wychodzi za mąż bez błogosławieństwa i wbrew woli zmarłego ojczulka. Nie mogła też zapomnieć jego słów, że „byłby to przeklęty związek”. Pragnęła go jednak jak niczego

innego na świecie i starała wymazać te słowa z pamięci.

Czasem wydawało się jej zresztą, iż upór ojcowski był *pro forma*, bo w gruncie rzeczy czuło się, że starszy pan szczerze lubił Lwa, cenił sobie rozmowy z nim, nawet z przekomarzania się z nim zdawał się czerpać przyjemność.

Czas pokazał, że lepszego zięcia nie mógłby sobie wymarzyć. Szczęśliwy związek Korolowów przypieczętowały cztery dorodne córki: Ksenia, Anieli, Wiera i Gala. Wszystkie przyszły na świat w Białymstoku, ale mieszkali potem i w Erenburgu, i w Jekaterynburgu, jak to rodzina wojskowego.

Rok 1908 był brzemienny w ważne wydarzenia dla rodziny Korolowów.

Kapitan Lew Piotrowicz został wreszcie zdymisjonowany i mógł odpocząć od uciążliwej dla niego służby wojskowej. Nastąpiło to w dzień po śmierci jego ojca, dziewięćdziesięcioletniego wówczas generała w stanie spoczynku, Piotra Stiepanowicza. Symbolika tych zdarzeń była poruszająca: umarł generał, a razem z nim marzenia o tym, by syn był żołnierzem. Lepszej pory na przejście w stan spoczynku dla Lwa Piotrowicza los nie mógł wybrać.

Niedługo po uroczystościach pogrzebowych sprzedał majątek ziemski rodziców i kupił pałacyk w starej dzielnicy Odessy, a pieniędzy zostało jeszcze na nabycie sporych udziałów w Instytucie Sztuki.

Tak więc wreszcie znaleźli szczęśliwą przystań w Odessie. Lew Piotrowicz mógł zająć się tym, co go interesowało naprawdę: muzyką i literaturą. W Instytucie Sztuki, którym administrował, uczył też gry na skrzypcach i historii muzyki.

Ich dom zawsze był pełen muzyki. Gdziekolwiek mieszkali w swojej poprzedniej wędrowce, organizowali wieczorki muzyczne, Zenobia grała na fortepianie, akompaniowała mężowi skrzypkowi i śpiewała nie gorzej niż niejedna zawodowa śpiewaczka. Nic dziwnego, że i córki poszły w ich ślady. Muzykowały od dzieciństwa. Dwie starsze ukończyły konserwatorium, Ksenia zapowiadała się na wybitną pianistkę, wszystkie były utalentowane muzycznie. Najmłodsza - Gala, urodzona w 1902 roku - była pupilką całej rodziny i guwernantek: Niemki Fredy Bormann i Francuzki Bernadetty Gautier. Ruchliwa jak żywe srebro, filigranowa, krucha, była także przedmiotem troski całej rodziny. Tym bardziej że potrzebowała jej, bo po kilku jej omdleniach lekarze orzekli, iż ma słabe serce. Z tego powodu musiała pożegnać się z lekcjami baletu, za którymi przepadała. Temperament jej wcale nie wskazywał, że coś jej dolega, była zawsze w ruchu. Ale trzeba było na nią dmuchać i chuchać i czyniono

to z wielkim staraniem.

W Instytucie, którego dyrektorem był jej ojciec, Lew Piotrowicz, bardzo często wystawiano przedstawienia z udziałem dzieci i młodzieży i Gala była ich główną atrakcją.

Kiedy lekarz po kolejnym omdleniu Gali powiedział Korolowom o słabym sercu najmłodszej córki, Zenobia pierwszy raz od lat pomyślała o wyroku swego ojca, że jej małżeństwo miałyby być związkiem przeklętym.

- Zenoczka (tak ją Lew Piotrowicz nazywał), nie kuś losu! Najważniejsze, że wiemy, co jej dolega, i można będzie temu zaradzić. Gorzej byłoby, gdybyśmy nie wiedzieli, że coś jest nie tak, i nie uważali na nią, jak potrzeba. Zrobimy wszystko, żeby wzmocnić jej serduszek, a zresztą lekarz mówił, że może z tego wyrosnąć.

- Dałby Bóg - westchnęła Zenobia, starając się wyrzucić z pamięci niebaczone słowa krewkiego rodzica.

Po kilku latach zhora chorego serca Gali przestała nękać ich na co dzień. Dziewczyna otoczona szczególną troską, pozostająca pod stałą opieką lekarską zdawała się ze swej wady serca wyrastać.

Panienci w tamtych czasach w bardzo ograniczony sposób uczestniczyły w życiu dorosłych. Sprawy dotyczące polityki, konfliktów i wszystkiego co trudne, roztrząsano tylko w gronie ludzi dojrzałych, tak przynajmniej postępowano w domu Korolowów.

Owego pamiętnego dnia 1914 roku, gdy zabito arcyksięcia następcę tronu Austro-Węgier, po kolacji szybko odprawiono dziewczęta z guwernantkami od stołu i gospodarz domu powiedział do żony:

- Coś mi się zdaje, że ten mord będzie miał gorsze konsekwencje, niż można się spodziewać...

- Masz na myśli arcyksięcia Ferdynanda? A co może być gorszego od śmierci? Jemu już nic nie zaszkodzi ani nie pomoże.

- Jemu nie, ale innym - tak. Jako były wojskowy mam przecucie, że świat nie przejdzie nad tym do porządku dziennego. Z tego musi wyniknąć coś niedobrego.

- Daj spokój, Liowa, nie bądź czarnowidzem. Sarajewo nie jest o krok od Odessy, nas to nie dotknie.

- Polityka zawsze mnie nużyła, ale od niej zależą losy świata, a przez to samo losy najbliższych. Nie da się od tego uciec.

Szczęśliwe i dostatnie życie przytłumiły w Zenobii pesymizm i instynkt samozachowawczy. Całe zło tego świata znajdowało się dla niej tysiące mil stąd, gdzieś na obrzeżach wyobraźni. Spojrzała z

czułością na męża, pogłaskała go po policzku i powiedziała:

- Zawsze przychodzą ci czarne myśli do głowy, jak się przecpracujesz. Powinieneś zacząć dbać o siebie, mógłbyś chociaż administrację szkoły scedować na Wasilkowa, on jest bystry w tej materii i uczciwy. Dziś jesteś pod wrażeniem śmierci tego całego arcyksięcia, jutro się z tym oswoisz, pojutrze o tym zapomnisz. Nie takie rzeczy się działy i świat się od tego nie zawalił. Arcyksięcia szkoda, niech odpoczywa w pokoju. Przekonasz się jednak, że nas to nie dotknie, bo i czemu miałyby być inaczej?

Najbliższe lata miały pokazać, jak bardzo się myliła.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dziękuję pani za wszystko, w imieniu swoim i babci Irminy. Mireille wychylona z okna wagonu kierowała te słowa do Eulalii Harczuk stojącej na peronie dworca w Białymstoku.

- Nie „pani”, tylko cioci, mała kuzyneczko.
- Rzeczywiście, *pardon, ma tente**.

* wybacz, ciociu

- Do niebieskiej teczki włożyłam kopie korespondencji, która ocalała po twojej praprababci, Zenobii Harczuk-Korolow, z jej siostrami. Do czerwonej natomiast domniemane ich dzieje, które spróbowałam odtworzyć na podstawie listów i opowieści, jakie krążyły w rodzinie. Zostawisz wszystko u Marii, ona przetłumaczy to na francuski i wtedy wam prześle.

- Babcia będzie zachwycona.
- Pamiętaj o naszym zaproszeniu. Jeśli babcia Irmina przyjedzie do Polski, musi nas odwiedzić - mówiła Eulalia biegnąc za pociągiem, który właśnie ruszył.

Mireille stała przy oknie i kiwała ręką, póki postać odprowadzającej nie znikła jej z oczu. Po kilku godzinach Maria odebrała ją na dworcu w Warszawie.

Pełen wrażeń pobyt dziewczyny w Polsce dobiegał końca, naza-jutrz miała odlecieć do Paryża. Po kolacji ona i Maria zamierzały jeszcze przejrzeć kopie listów rodziny Harczuków sprzed kilkudziesięciu lat, zagadały się jednak i zrobiło się na to za późno.

Następnego dnia, odprowadziwszy Mireille, prosto z lotniska Maria udała się w podróż nad jezioro. Zaraz po powrocie do leśnego domu zajrzała do niebieskiej teczki z kopiami korespondencji przod-

ków swojej paryskiej przyjaciółki.

Sporo się tego uskładało. Wszystkie listy były napisane po polsku i trzeba przyznać Zenobii, że żyjąc z dala od Kraju nie zapomniała ani trochę ojczystej mowy. Prawie cała zawartość niebieskiej teczki wyszła spod jej pióra - to zrozumiałe, korespondencja zachowała się przecież u potomków jej siostr. Ale były też listy od nich do niej, które w okresie burzy dziejowej wróciły, nie trafiając do adresatki.

Droga Zenusiu - pisała do siostry Łucja w ostatnim kwartale roku 1914. - A więc mamy wojnę. Jakaś Ty szczęśliwa mając tylko córki. Będą przy tobie, cokolwiek się stanie. Nasi synowie, zarówno Adaś jak i Łukasz, przedarli się do Krakowa i tam przystali do Legionów polskich. My z Bolesławem też jesteśmy w Królestwie, daleko od domu.

Spędzaliśmy lato u Anuli w Górkach pod Warszawą i tu nas ta cała zawierucha zastała. Nikt nie wie, czy mamy tu pozostać, czy szukać schronienia gdzie indziej.

Od kilku dni nie ma poczty. Wszystko, co do nas dociera, to pogłoski: a to o koalicji Europy przeciwko Niemcom, a to o drobnych utarczkach i wielkich oblężeniach, o tym, że ponoć zajęty Kalisz i Sosnowiec. Niestety, nie wiemy, dokąd doszli Niemcy, jak są daleko od nas. Niepokój tutaj przybiera już rozmiar paniki, zwłaszcza gdy słychać detonacje i huki, zdaje się nam, że walki się toczą o trzy mile stąd. Podobno wysadzono mosty pod Zegrzem. Jak wrócimy do domu i czy tam jest spokój, nie wiemy. Pociągi są tutaj teraz tylko dla wojska i rodzin wojskowych. Jeszcze ten strach o chłopców naszych.

Twoją troskę o zdrowie Gali podzielam, ale nie pochwalam trzymania dziewcząt, zwłaszcza starszych, z dala od tego wszystkiego, co niesie życie realne. Zwłaszcza w czasach, które nastąpiły, panny nie mogą być chowane w puchu. Dla ich bezpieczeństwa powinny być świadome, co się dzieje na świecie. W ogóle mam wrażenie, że szczęśliwe życie u boku Twego dobrego Liowy zagusza w Tobie instykta samozachowawcze. My tutaj inaczej podchodzimy do rzeczy. Wspomnij tylko ojczulka - bywał dla nas surowy, to prawda, ale życie pokazało, że lepiej nas do niego przygotować nie mógł... Ty, Zenusiu, byłaś jego oczkiem w głowie, zresztą przez wszystkich w rodzinie rozpieszczana jako najmłodsza, ale też los nie wystawiał Cię jak dotąd na próby. I oby tak zawsze było.

Najważniejsze, żeby ta wojna nie trwała zbyt długo i żebyśmy się w niej nie pogubili.

Całuję was wszystkich i niech Bóg ma was w swej pieczy.

Twoja siostra Łucja

Ps. Ile by czasu nie minęło, dla mnie zawsze będziesz, Zenusiu, moją małą siostrzyczką, którą nie raz i nie dwa na rękach nosiłam. Chcę, żebyś o tym pamiętała. Wiesz, ostatnio nękają mnie złe przeczucia. Wiem tyle, że w ciężkich czasach rodzina powinna być jak najbliżej siebie.

List ten, podobnie jak i dwa następne napisane przez Łucję, nie dotarł do Odessy. Natomiast ich autorka dopiero po wielu miesiącach wraz z mężem zdołała powrócić do domu w Harcach. Zastali tam wielkie spustoszenie i nieporządek po uderzeniu Państw Centralnych. Majątku nie udało się podźwignąć z ruiny. Sprzedawszy jego resztki małżonkowie zdecydowali się wyjechać. Nie otrzymawszy odpowiedzi od Zenobii z Odessy, przedarli się do Górek pod Warszawą, żeby połączyć się z rodziną najstarszej z sióstr Harczukównych.

* * *

Uciążliwości wojny nie od razu dotarły do Odessy, ale życie i tak z roku na rok stawało się i tam trudniejsze.

Zenobia bliska już pięćdziesiątki, matka dorosłych córek, wciąż była bardzo przystojna. „Poliaczka-krasawica” - tak mówiono o niej w mieście.

Z racji pozycji jej męża, Lwa Piotrowicza Korolowa, byli w Odesie powszechnie znani. Niepewne czasy stopniowo zrzucały na nich coraz więcej trosk i obowiązków. Korolowie stracili niemal połowę służby. Guwernantki, potrzebne już tylko Gali, najmłodszej z córek, uczennicy gimnazjum, pełniły też inne role - pomagały w kuchni i w sprzątaniu. Jednak ich także nie udało się długo utrzymać. Freda Bormann, córka osadników niemieckich, miała całą rodzinę na miejscu, ale musiała bez reszty poświęcić się chorym rodzicom... Bernadetta Gautier pracowała u Korolowów niemal do końca roku 1917, kiedy to na wieść o wybuchu rewolucji bolszewickiej postanowiła wrócić do Francji. Najmłodsza z latorośli Zenobii i Lwa Piotrowicza, Gała, miała już lat piętnaście i po francusku mówiła nie gorzej niż po polsku i rosyjsku.

Mimo wyjazdu guwernantek i niemal połowy służby obszerny ich dom bynajmniej nie opustoszał. Pełno w nim było nowych lokatorów.

Wraz z rozpoczęciem działań wojennych w sercach patriotów polskich na terenie całej Europy obudziła się nadzieja na ugranie przy tej okazji czegoś dla wyzwolenia kraju spod zaborów. Szukali oni możliwości formowania polskich oddziałów na obszarach, gdzie

toczyły się boje, więc także na terenach carskiego imperium. Polskie oddziały tworzyły się w odległych miejscach od głównych ośrodków ich formowania, również na południu Rosji.

Na początku 1918 roku powstała w Tyflisie Polska Samodzielna Brygada. Składała się ona z Polaków służących w armii carskiej w tych regionach Rosji. Niestety, po zajęciu Gruzji przez Niemców dwudziestego szóstego czerwca 1918 roku Brygada została rozwiązana. Część jej oddziałów przyłączyła się do Odessy, z nadzieją na przyłączenie się do oddziału kapitana Stanisława Skrzyńskiego.

Oddział pod jego dowództwem powstał w marcu 1918 roku. Składał się z dwóch batalionów strzelców, dwóch szwadronów jazdy, oddziału inżynierskiego i innych drobnych jednostek, posiadał cztery działa i sześć samolotów. Jednakże wskutek nieprzyjaznej i nieprzejednanej postawy Austriaków został on szybko zdemobilizowany, podobnie jak inne polskie formacje, i już siedemnastego kwietnia dostał nakaz przemarszu w inne regiony. Kapitan Skrzyński nie chciał się z tym pogodzić. Przesłano więc do miasta oddział austriacko-węgierski z niedwuznacznym zamiarem użycia siły wobec Polaków. W tej sytuacji Skrzyński, uprzedzając uderzenie Węgrów, rozwiązał swoją formację. Broń przekazano Związkowi Wojskowych Polaków, a zdymisjonowani żołnierze w większości znaleźli schronienie w domach polskiej ludności Odessy.

Stąd wzięli się nowi lokatorzy domu Korolowów. Lew Piotrowicz, syn carskiego generała, pułkownik w stanie spoczynku, żonaty z Polką i przekonany pacyfista, zawsze sprzyjał rodakom swojej połowicy. Tak więc chętni do walki o wolną ojczyznę Polacy aż do inwazji bolszewickiej przebywali w ich domu.

Jeden z tych młodych ludzi, Paweł Wieszczycki, zakochał się z wzajemnością w Anielce, córce gospodarzy, i w grudniu 1918 roku został ich zięciem. Zaślubiny młodych były ostatnim radosnym zdarzeniem w żyjącej dotąd szczęśliwie rodzinie. Wkrótce ruszyła lawina, która porywając ich, zmieniła wszystko. Zaczęło się od tego, że jesienią 1919 roku Aniela umarła przy porodzie. Dzieciątko też nie przeżyło.

W przeddzień ich pogrzebu Lew Piotrowicz Korolow został wezwany do stawienia się w Sztapie Białogwardyjskiej Obrony Miasta. Jako były pułkownik miał nadzorować ewakuację ludności Odessy drogą morską. Statki francuskie i angielskie przycumowane w porcie czekały na pasażerów i rozkaz do odwrotu. Potężne siły bolszewików zbliżały się do miasta.

Zamiast czuwać przy trumnie zmarłej, zrozpaczeni Korolowowie

całą noc przygotowywali się do podróży. Rankiem ich ukochana córka i siostra wraz ze swym dziecięciem została złożona do grobu pośpiesznie i bez udziału seniora rodu, który od świtu zmuszony był dyrygować w porcie zaokrętowaniem uchodźców.

Szlochły nad grobem utonęły w huku armat bolszewickich zbliżających się do Odessy. Nie było stypy, nie było czasu na wspominki. Prosto z cmentarza, na który zabrali ze sobą podręczne bagaże, udali się na wielkie misterium pożegnania z ukochanym miastem.

Półkolisty plac, na którym dominującym akcentem był okazały pomnik Richelieu, teraz wyglądał inaczej. Wszelki ruch pojazdów miejskich tutaj miał swój kres. Obladowani bagażem ludzie, potrącając się nawzajem, w tłoku, podążali ku monumentalnym schodom prowadzącym wprost do portu.

* * *

Taka to wersja wydarzeń została opracowana przez Eulalię Harczuk, na podstawie zachowanej korespondencji i opowieści, które krążyły wśród potomków rodziny. Po wojnie Zenobia Harczuk aż do śmierci korespondowała z siostrami, które po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wróciły do Białegostoku. Dla Irminy Bergeronnette były to wiadomości niezwykle cenne, bo okazały się brakującym ogniwem łączącym w całość to, co miało miejsce przed zdarzeniami, które zapamiętała jej matka, Galina Orłowa z Korolowów.

* * *

Gala nie była w stanie zrozumieć tego, co się dzieje. Jej świat stanął na głowie. Dotychczas była oczkiem w głowie całej rodziny. Czuli się najważniejsza. Otaczana szczególną troską z racji słabego zdrowia, prawie do siedemnastego roku żyła szczęśliwie pod skrzydłami kochających rodziców, starszych sióstr i guwernantek. Wszyscy ją we wszystkim wyręczali, chronili. Będąc uczennicą gimnazjum nie mogła nie wiedzieć o zagrożeniach, jakie niesła wojna, ale nie doświadczyła jeszcze niczego złego, a zatem wojna była dla niej pojęciem teoretycznym.

Wszystko zmieniło się przedwczoraj, w dniu śmierci Anielki - jej ukochanej siostry. Jako najmłodsze w rodzinie były sobie niezwykle bliskie.

To było niespodziewane, niezrozumiałe i niesprawiedliwe. Anielka była wesoła, śliczna i młoda, zaledwie o dwa lata starsza od

niej. Galinka nie mogła się pogodzić z jej śmiercią. W swojej rozpaczy czuła się osamotniona. To był cios dla wszystkich, ale ona potrzebowała jak nikt oparcia, którego teraz nie czuła. Ojciec, wezwany rozkazem, nie wrócił na noc do domu, mama, zawsze taka mocna i opiekuńcza, sama teraz potrzebowała opieki. Zamiast czuć przy trumnie zmarłej córki, siedziała z kompresem na głowie i nieprzytomnym spojrzeniem w fotelu u siebie w pokoju. Starsze siostry Gali, Ksenia i Wiera, zajmowały się nią i pakowały rzeczy na wyjazd. Bo nazajutrz zaraz po pogrzebie mieli wypłynąć z Odessy, kto wie, czy nie na zawsze.

Nikt się nią nie interesował, sądziła, że najlepiej zrobi schodząc im z oczu. Weszła przeto do salonu, gdzie na katafalku stała otwarta trumna z leżącą w niej Anielką. W migotliwym blasku świec, ubrana w swoją ślubną suknię wyglądała, jakby spała. Gala mogłaby przysiąc, że pierś jej porusza się w oddechu. Dzieciątka nie włożono do oddzielnej trumienki. Leżało przytulone do swojej mamy. Tak postanowił papcio.

- Skoro los każe nam zostawić ją tutaj, nie będziemy jej rozłączać z dzieckiem - powiedział.

Paweł, owdowiały mąż i ojciec, klęczał przy zmarłych i sam wyglądał jak nieżywy. Błady i wymizerowany, oczy miał zamknięte i tylko powtarzane od czasu do czasu jedno i to samo zdanie przeczyło temu złudzeniu.

- To wszystko moja wina, wszystko moja wina...

Tak było prawie przez całą noc. W pewnej chwili Galinka usłyszała głos Kseni:

- Przestań tu drzemać, czas iść do łóżka, pomóż mi wyprowadzić stąd Pawła.

- Nigdzie nie pójde - zaproponował Paweł.

- Ależ pójdziesz, i to natychmiast. Musisz jutro mieć siłę i na pogrzeb, i na wyjazd. Dostyc mamy nieszczęścia, jesteś mężczyzną i nie ma tu nikogo, kto mógłby się nad tobą użalać.

Jej kategoryczny ton sprawił, że Galinka i Paweł wstali i posłusznie udali się do swoich pokoi.

Ksenia weszła za siostrą do jej sypialni i postawiła przy jej łóżku maleńki nesererek.

- Musisz być dzielna, siostrzyczko - powiedziała obejmując ją. - Za kilka dni skończysz siedemnaście lat, to nie dużo, ale to, co nas spotkało, zmusza i ciebie do większej odpowiedzialności. Twoim zadaniem będzie czuwanie nad tym oto neserkiem. Weźmiesz go ze sobą na pogrzeb, bo, jak wiesz, prosto z cmentarza idziemy do portu i

wsiadamy na statek. W kufereczku, którego masz strzec jak oka w głowie, jest cała nasza przyszłość i egzystencja. Zawiera on bowiem wszystkie cenne rzeczy i kosztowności. Tylko ty możesz go mieć przy sobie, bo jest najłżejszy z naszych pakunków, ale i najważniejszy. Obiecujesz nie wypuszczać go z rąk?

- Postaram się... Ach, Kseniu... - dziewczyna zalała się łzami i mocniej przywarła do siostry.

- Trzymaj się, kochanie, i śpij spokojnie, na mnie też już pora.

Pogrzeb Anielki wcale nie był taki, jak należało. W oddali słychać było kanonadę dział bolszewickich, duchowni miast skupiać się na obrządku, pośpiesznie klepali pacierze, rozglądając się trwożliwie. Grabarze nazbyt szybko spuścili trumnę do grobu, a żałobnicy opuścili cmentarz przed złożeniem kondolencji rodzinie.

Ledwie zdążyli rzucić garść ziemi na trumnę, już adiutant ojca zgarznął ich i ponaglił do drogi.

Wszystko to działo się w oszalamiającym tempie. Ani się spostrzeegli, a już wysiadali z powozu przed zatłoczonym placem Richelieu. Adiutant torował im drogę, przepychając się przez tłum. Szli i szli w dół po niekończących się schodach. Nie mówiąc nic do siebie, podążali za adiutantem, żeby nie stracić go z oczu.

Galinka szła tuż za nim i pierwsza dotarła do ojca. Parę kroków za nią szedł jej owdowiały szwagier. Ksenia i Wiera zostały w tyle, podtrzymując ledwie żywą matkę.

- Galinka i Pawlik, chodźcie, zajmijmy miejsca dla wszystkich - zdecydował ojciec. - Wasilij, poczekaj na kobiety i przyprowadź je do nas - zwrócił się do adiutanta i wszedł na trap, przepuszczając przed sobą córkę i zięcia.

Tymczasem odgłosy walki były coraz bliższe. Wdrapali się na statek i zajęli miejsca w rzędzie ławek tuż przy burcie. Zobaczyli z góry, że Zenobia z córkami schodzi po schodach tuż-tuż przy nabrzeżu. Zaledwie kilkanaście metrów dzieliło je od trapu. Ordynans Wasilij podszedł do nich, uwolnił je od bagażu i torował im drogę.

W tym momencie rozległ się przenikliwy gwizd i wycie syreny statku oznajmiło jego gotowość do odpłynięcia. Krzyk z tysiąca gardeł, tych na statku i na dole w porcie, był tak potężny, że przygłuszył odgłos zupełnie bliskich detonacji. Kiedy podnoszono trap, wprawiony w ruch nagłym rozkazem statek już nabierał szybkości.

- Maamooo!!! Zenoczkaaa! - krzyczeli z ojcem jednocześnie, a krzyk ich ginął w kakofonii innych głosów.

Znieruchomiałe, osłupiałe postacie trzech kobiet na brzegu odda-

ły się coraz szybciej, aż przestali wyróżniać je z tłumu. Jeszcze i wtedy nie przestali krzyżeć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lew Piotrowicz tulił córkę w ramionach. Odessa oddalała się coraz bardziej. „Proszę odejść od burty, uprasza się pasażerów o zajęcie swoich miejsc!” - nawoływał głos wzmocniony megafonem.

Galinka bezwolnie, jak automat poszła za ojcem w stronę ławki, gdzie czekał na nich owdowiały mąż Anielki, Paweł. Od chwili, kiedy Lew Piotrowicz usadził go na ławce z neseserem na kolanach, chyba nie zmienił pozycji. Siedział, jakby nic się nie zdarzyło, obojętny na wszystko i wszystkich.

- Pawłusza - zdenerwował się ojciec. - Opamiętaj się, do diabła! Nie widzisz, co się dzieje? Nie ciebie jednego spotkało nieszczęście! Anielka była twoją żoną, ale też moją córką, a teraz zostałem bez żony i jeszcze dwóch córek. Galinka bez matki... Opamiętaj się chłopie, jesteś mężczyzną, młodym mężczyzną i czekamy od ciebie wsparcia.

- Dlaczego bez matki? - zapytał nieprzytomnie Paweł. - Przecież płynie z nami...

Na te słowa Gala wybuchnęła płaczem, a Lew Piotrowicz chwycił Pawła za kłapy surduta i potrząsnął nim mocno.

- To ty nie wiesz, co się stało? Gdzie ty byłeś? Co robiłeś?

- Co miałem robić? Siedziałem. Teraz, gdy nie ma Anieli, nic już nie ma dla mnie znaczenia... - powiedział.

- Oprzytomniej chłopcze! Musisz nam pomóc. Teraz, kiedy straciliśmy wszystko, nie możesz tylko polegać na mnie. Jesteś młodszy, silniejszy! Czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Gala szlochała coraz głośniejsze, ojciec gładził ją po plecach, ale jego dotyk był coraz słabszy, wreszcie poddał się i sam sięgnął po chusteczkę.

Na widok łez ojca dziewczyna jakby oprzytomniała i przestała

szlochać. Papić taki silny, taki czujny i nieomylny, papić, który zawsze o wszystkim decydował, nad wszystkim czuwał, teraz płakał... W tej jednej chwili dotarła do niej brutalna prawda, że beztrioskie dzieciństwo odeszło w przeszłość i musi zmierzyć się też sama z tym, co niesie życie. Życie? Więc to, co się dzieje, można nazwać życiem?

Ile czasu upłynęło od wypłynięcia z Odessy? Godzina? Dwie? Nikt nie spojrział na zegarek, nikomu nawet nie przyszło to do głowy. Oddalające się kontury miasta dawno rozplynęły się w błękitnej poświacie na horyzoncie. Nawet odgłosy strzelaniny ucichły. Na myśl o strzelaninie przeniknął ją zimny dreszcz. Czy jedna z tych kul nie dosięgła jej matki albo którejś z sióstr?

- Nie płacz, papić - powiedziała - one do nas przyplyną innym statkiem - pocieszała ojca, sama sobie dodając kurazu.

- Od czasu ślubu nigdy nie rozstałem się z twoją matką na dłużej niż kilka godzin, a teraz los rozdzielił nas tak brutalnie... Oby kule bolszewickie nie dosięgły ich, spraw to dobry Boże!

- Przepraszam Lwie Piotrowiczu, przepraszam ojcie - wyszeptał Paweł, poruszony widokiem płaczącego teścia. - Ale co się właściwie stało? Od czasu pogrzebu nic nie pamiętam, nawet nie wiem, jak się tutaj znalazłem.

- Mama z Ksenią i Wierą nie zdążyły wsiąść na statek, bo on odpłynął wcześniej - pośpieszyła z wyjaśnieniem Galinka. - Bolszewicy byli już blisko i... papić, ale one przyplyną do nas następnym statkiem, prawda?

- Nie wiem, córeczko, przecież te inne też wypłynęły z Odessy... Biedaczki moje, zostały bez dachu nad głową, bez grosza... Co one tam poczną? Oby Bóg je ocalił, oby je tylko ocalił.

„Uwaga, uwaga! - ozwał się głos w megafonie. - Proszę przygotować się do kontroli. Ktokolwiek jest w posiadaniu jakiegokolwiek broni, powinien zdać ją dobrowolnie. Kto się do tego nie dostosuje, będzie podlegał karze”.

- Galinoczka, wstań - wyszeptał ojciec po wysłuchaniu komunikatu. Weź swój neseserek, podejź z nim do burty, otwórz go dyskretnie i wyjmij z niego rewolwer, bo jest tam mały damski rewolwer. Wyrzucisz go za burtę tak, żeby nikt tego nie zauważył. No, idź, zrób to.

- Ale... przecież możemy go oddać.

- Lepiej będzie, jak go wyrzucisz. Zapomniałem o nim, nie powinni go przy nas znaleźć. Jako jeden z odpowiedzialnych za ewakuację byłem uprzedzony, że nie wolno zabierać broni. To dla mnie bardzo niezręczna sytuacja...

- Dobrze, papciu, skoro tak uważasz...
- Tylko się pośpiesz, bo już idą rewidować.

Gala wstała i trzymając kurczowo neseserek podeszła z nim do burty. Uniosła jego wieczko i usiłowała po omacku wyjąć z niego rewolwer. Nie od razu go odnalazła. Kiedy wreszcie to się jej udało, podniosła sakwojaż na wysokość burty, żeby dyskretnie wyrzucić zeń kłopotliwy przedmiot, który trzymała w zaciśniętej dłoni. W tym momencie wśród pasażerów nastąpiło poruszenie. Załoga razem z kapitanem rozpoczęła już rewidowanie. Ci z podróżników, którzy mieli to już za sobą, przechodzili na stronę statku przy lewej burcie, gdzie była Gala. Zatłoczyło się tam i dziewczyna zderzyła się z kimś, kto energicznie się odwrócił. Drogocenny kuferek z całą zawartością wyrwał się z jej rąk, odbił się od burty, poleciał w górę i spadł szybko jak kamień do morza. W osłupieniu patrzyła, jak rozpryskuje wodę, jak jej warstwa nad nim robi się coraz grubsza...

Stała tak pochylona, wpatrując się w spienione fale. Nic nie mogła zrobić. Statek płynął szybko i wkrótce woda, która pochłonęła jej zgubę, została daleko w tyle. Dziewczyna była zrozpaczona. Powierzono jej wszystkie kosztowności rodowe i te nabyte za większość pieniędzy pochodzących ze sprzedaży domu, cały majątek rodzinny, a ona nie potrafiła tego upilnować. Tyle nieszczęść dotknęło ich w ciągu ostatnich godzin, a ona okazała się tak nieostrożna! Jeszcze przysporzyła ojcu zmartwień, jakby miał ich za mało. Nie miała odwagi wrócić na miejsce, bo jak mu o tym powie?

Stała więc i stała nieruchomo, wpatrzona w wodę. Nie zważała na przejmująco zimny wiatr, który rozwiewał jej włosy, czuła wilgoć na twarzy, lecz nie były to łzy, bo chyba wszystkie już wypłakała. Kiedy zapadł zmierzch, poczuła rękę na ramieniu i usłyszała łagodny, choć przygaszony głos ojca:

- Chodź dziecko, chodź stąd, bo zmarzniesz.
- Papciu, ja...
- Wiem, dziecko, widziałem...
- Przepraszam, ja naprawdę...
- Nie przepraszaj, to nie twoja wina, nie powinienem być cię o nic takiego prosić. Nie wiem, sam doprawdy nie wiem, co mi strzeliło do głowy, bo przecież mogliśmy najnormalniej w świecie oddać im ten rewolwer. Ale stało się, tak widać miało być... Nie będziemy o tym myśleć - mówił ojciec bardziej do siebie niż do córki. - Gdyby chociaż ten nieszczęsny kuferek został przy mamie... a skoro im tam pożytku nie przyniesie, może i lepiej, że utonął.
- Nie gniewasz się na mnie? Wcale nie lepiej, papciu, że utonął.

Co teraz zrobimy? Nic nie mamy...

- Mamy jeszcze siebie, moje dziecko... A one tam...

- A one też są razem - powiedziała trzeźwo najmłodsza latorość Korolowa.

Spojrzał na nią ze zdumieniem i nikły uśmiech przemknął mu po twarzy.

- Jak ty, dziecino, szybko dojrzewasz! To dobrze, to bardzo dobrze!

Zajęli swoje miejsca na ławce, Lew Piotrowicz zdjął swój obszerny płaszcz wojskowy i okrył nim siebie i córkę.

- Przytul się do mnie mocno - powiedział. - Noc będzie chłodna, razem będzie nam ciepłej. Postaraj się zasnąć.

Bardzo się starała, ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Ławka była twarda, chłód jej dokuczał, nogi bolały. Spośród nich trojga spał pochrapując tylko Paweł. Ojciec miał zamknięte oczy, ale wiedziała, że też nie może zasnąć. Ramię, które ją obejmowało, ani dłoń, co gładziła jej plecy, nie mogły należeć do osoby śpiącej.

Siedzieli tuląc się do siebie, bojąc się poruszyć, każde pogrążone w myślach.

Gala nie wiedziała, czym martwić się bardziej: czy utraconym przez nią kuferkiem, czy reakcją ojca na to zdarzenie. Jego obojętność, bagatelizowanie znaczenia straty, tak istotnej dla ich niepewnego bytu, były nienaturalne. W ogóle ojciec nie przypominał człowieka, którego znała od zawsze. To zrozumiałe, że załamał się po tym, co się stało - rozmyślała. Trudno jej było jednak pogodzić się z tym, że wygląda teraz o wiele starzej niż zazwyczaj i mimo że troszczy się o nią, wydaje się być nieobecny duchem. Dobrze, że przynajmniej ma przy sobie skrzypce. Kiedy gra, odpoczywa, zawsze muzykował, kiedy chciał od począc. „Sznujcie sztukę - zwykły był mawiać. - Kto jest z nią za pan brat, jest szczęśliwcem. Sztuka koi skolatanane nerwy, bywa ratunkiem i lekarstwem”. Czy jest jakieś lekarstwo na to, co nas spotkało? Wątpię - myślała ze smutkiem.

Futerał ze skrzypcami ojca oparty o ławkę uwierał ją w udo. Dziwny bagaż osobisty pułkownika carskiej armii - uśmiechnęła się do siebie smutno. - I to chyba jedyne, co ma przy sobie, oprócz skórzanej teczki na dokumenty przywieszzonej do pasa. Ma tam też trochę gotówki ze sprzedaży domu, ale mówiąc o tym z Pawłem martwił się, czy te pieniądze w powojennej Europie będą miały jakąś wartość.

Wielość niepokojących informacji, do których dawniej jej nie dopuszczano, przylatczała ją.

Gala oprócz utraconego sakwojażyka z kosztownościami miała jeszcze przy sobie przewieszoną przez ramię płócienną torbę z przyborami toaletowymi i jedną zmianą bielizny.

- Przygotowałam takie niezbędniki dla każdej z nas - mówiła poprzedniego wieczoru Ksenia. Nie wiadomo, jakie na tym statku będą warunki...

Kochana siostrzyczka, pomyślała o wszystkim! Co się teraz z nią dzieje i z Wierą, i z mamą? - martwiła się Gala. - Tak się o mnie troszczyły, a teraz ja muszę zadbać o ojca. Jest stary... Czy potrafię?...

Czy uda mi się zapewnić opiekę Gali? - rozmyślał w tej samej chwili Lew Piotrowicz. - Ma takie słabe serce... to biedne dziecko nie jest przygotowane do tego, czym dotknął nas los. Zawsze chroniona, otaczana całym zastępem opiekunek i guwernantek, jak przetrwa trudy podróży i poniewierki? I co ja powiem Zenobii, jeśli nie zdołam jej ochronić?

Dopiero o świcie zmęczenie przyniosło im sen.

Widok na pokładzie statku od wieczora zmienił się nie do poznania. Ludzie koczowali na deskach podłogi, inni spali zwinięci na opróżnionych ławkach.

Przed nimi zwolniło się miejsce. Paweł odchyliwszy głowę na oparcie ławki, spał z otwartymi ustami. Ojciec oparł stopy o puste miejsce przed sobą i spał z głową Gali ułożoną na jego kolanach.

Pogodny dzień następny, niebo bez jednej chmurki, roziskrzone promieniami słońca morze urągały niedoli koczujących bezładnie pasażerów statku. Stewardzi roznosili jakieś mizerne racje żywnościowe, nalewali z dzbanków ciepłe napoje. Megafony ożywały co chwilę, podając komunikaty. Dowiedzieli się, że posiłki wydawane będą dwa razy dziennie.

Przed łaźniami i toaletami stały niekończące się kolejki.

Pod koniec piątego dnia żegluga bezgranicznie umęczeni schodzili ze statku. Stłoczeni w porcie, czekali na wyładowanie bagażu. Była to swoista loteria, nikt nie wiedział, czy jego rzeczy zdążyły trafić do ładowni.

Korolowie odzyskali tylko jedną ze swoich waliz. Były w niej prześcieradła, ręczniki i trzy suknie matki. Załadowali to na podstawioną furmankę i na piechotę pokonali kilka kilometrów do obozowiska urządzonego dla uchodźców na przedmieściach Gallipoli.

Rozlokowano ich w dawnych pomieszczeniach dla wojska, a tym, którzy się tam nie zmieścili, ustawiono namioty.

Po kilku dniach ludzie dla polepszenia bytu zaczęli szukać bodaj okresowego zatrudnienia w mieście. Lew Piotrowicz został

zaangażowany jako skrzypek do miejskiej orkiestry, ale w przeddzień rozpoczęcia pracy stracił przytomność od nagłej wysokiej gorączki.

Paweł wezwał lekarza, zabrano chorego do szpitala. Kiedy Gala przyszła go odwiedzić, nie wpuszczono jej tam. Okazało się, że w mieście, a zwłaszcza w obozowisku uchodźców wybuchła epidemia tyfusu plamistego i istnieje podejrzenie, że ojciec się nim zaraził.

Po trzech dniach już wszyscy troje leżeli w szpitalu. U większości zarażonych choroba przebiegała bardzo ciężko.

Gdy Gala ocknęła się z maligny, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Rzędy żelaznych łóżek ustawionych ciasno pod ścianami długiego pomieszczenia przypominającego obskurny korytarz przywodziły na myśl salę szpitalną, która majaczyła w jej pamięci. Ach, tak! Taką właśnie salę widziała przez oszklone drzwi, gdy przyszła odwiedzić chorego papcia. Nie wpuszczono jej... A teraz sama leży tu w łóżku. Też zachorowała?... A ojciec? Co z nim? Poderwała się, zapragnęła go zobaczyć, ale zakręciło się jej w głowie, siły ją opuściły i opadła na posłanie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Od chwili kiedy Gala odzyskała przytomność w szpitalu na Gallipoli, a działo się to tydzień po jej siedemnastych urodzinach, upłynęły prawie cztery miesiące.

Włosy obcięte po tyfusie przez zakonnice odrosły jej na trzycentymetrową kręconą, zgrabną czuprynkę, w której wyglądała wdzięcznie i malowniczo.

Tak uważała patrząc na nią Raisa Antonowna Sokołowa, która była jej najbliższą koleżanką z pracy i opiekunką.

- Mogłabyś już przestać nosić chustkę na głowie - powiedziała patrząc na Galę z uśmiechem. - Bardzo ładnie ci w tej krótkiej fryzurce.

- Mama by jej nie zaakceptowała...

- Na pewno wołałaby tę fryzurkę od chustki.

- Gdybym mogła od niej to usłyszeć! - westchnęła dziewczyna.

- I wiesz, papieros przy takim uczesaniu też jakoś bardziej ci pasuje. Na fryzurkę twoja mama za bardzo nie kręciłaby nosem, ale papierosy!

- Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jakby to zniosła. Najważniejsze, że żyje! Gdybym się o tym nie dowiedziała, wołałabym umrzeć... Jakie to szczęście w tym całym nieszczęściu, że one ocalały!

- Przestań rozpamiętywać, trzeba się pośpieszyć, bo znowu urwą nam całą godzinę. Ten ryży brygadier zawsze przed siódmą zamyka bramę.

- To okropny drań, ale ja już jestem gotowa. Chodźmy.

Wyszły z baraku jako ostatnie. Miały prawie pół godziny na pokonanie kilometra drogi. Fabrykę papierosów zbudowano w szcze-

rym polu w pobliżu Kyrdżali, zagłębiu tytoniowym Królestwa Bułgarii, jeszcze dalej od miasta niż baraki obozu dla kobiet.

Pracowały tam za głodowe stawki po osiem godzin dziennie. Wypłatę dostawały raz na tydzień, jedną czwartą potracano im za mieszkanie, a jedna tygodniówka w miesiącu rekompensowana była dwudziestoma paczkami papierosów, które mogły spieniężyć.

Najpierw starały się tak robić, a potem coraz mniej sprzedawały, a coraz więcej paliły. Mówiono bowiem w obozie, że kiedy się pali, głód mniej dokucza.

Gali papierosy nie od razu zasmakowały. Na początku nie potrafiła się zaciągać, robiło się jej niedobrze, z czasem jednak polubiła lekkie odurzenie, aż wpadła w nałóg z kretesem. I rzeczywiście: naszprycowana nikotyną miała przytępiony apetyt.

Z Raisą Antonowną poznały się jeszcze w szpitalu. Tylko one dwie spośród czterestu leżących w sali kobiet przeżyły tyfus.

Kiedy stan Gali poprawił się i zaświtała nadzieja, że pokona chorobę, Raisa już była na nogach. Przedtem jeszcze odzyskując siły przeżyła gehennę wnoszenia kolejnych zmarłych towarzyszek niedoli i w ocaleniu najmłodszej z nich upatrywała dla siebie dobrej wróżby.

Kiedy zaczęła wstawać, podchodziła do łóżka Gali i żarliwie modliła się o jej uzdrowienie. Dziewczyna przypominała jej młodszą siostrę, która zmarła przed laty. Od zakonnice, które pielęgnowały chorych, dowiedziała się, że nieznajoma jest zupełnie sama, bo ojciec i kuzyn, z którymi przyплыnęła z Odessy, nie przeżyli tyfusu. Mąż Raisy zmarł także. Miała dwadzieścia sześć lat i nikogo bliskiego na świecie. Toteż przyłgnęła do Gali, czuwała nad nią i pomogła jej przejść przez najgorsze chwile po stracie bliskich.

Metamorfoza, jakiej uległa dziewczyna w ciągu ostatnich miesięcy, była porażająca, niemniej bez życzliwej pomocy Raisy zapewne nie dałaby sobie rady. Kiedy wychodząc z choroby dowiedziała się o śmierci ojca i szwagra, zapadła w apatię, która na powrót odebrała jej siły, a nade wszystko wolę życia. Gdyby nie desperacja Raisy, pewnie nie zdołano by jej uratować. Kobieta wychodziła ze skóry, żeby rozbudzić w niej na nowo chęć do życia i wyzdrowienia. Nie zdawała sobie sprawy, że pomagając podopiecznej - pomaga i sobie. Skupiając się na nieszczęściu Gali odsuwała swoje, niejako ignorowała je, przez co stawało się bardziej znośne. W tym czasie dotarło do niej ogłoszenie miejscowej placówki Czerwonego Krzyża, że czyni się usiłowania ustalenia informacji o tym, co dzieje się z rodzinami, które zostały na terytoriach zajętych przez bolszewików.

W ten sposób zdobyła wiadomości o nowym adresie Zenobii Korolowej i jej córek, a więc matki i siostr Gali. List od nich okazał się najlepszym remedium, dziewczyna trzymała go w futerale razem ze skrzypcami ojca i traktowała jak relikwie.

To Raisa upilnowała rzeczy, które zostały Gali po bliskich. Miała baczenie na skrzypce ojca, jego portfel, w którym były fotografie ślubne Zenobii i Lwa Korolowów oraz zdjęcie ich córek z 1914 roku, jeszcze sprzed wojny.

To ona poprzerabiała wyjęte z walizy suknie dorodnej Zenobii, zbyt obszerne na drobnutką, chudziutką jej córkę. Prześcieradłami i ręcznikami Galinka podzieliła się z nią. Bardzo im się przydały. Ich współmieszkanki z baraku patrzyły na nie z zazdrością.

Po wielkiej wojnie życie na świecie zaczynało się pomału odraźać. W całej Europie brakowało jednakże rąk do pracy. Wszystkie niedobitki z trudem dochodziły do siebie po epidemii tyfusu. Na Gallipoli pośpiesznie likwidowano obozy kłopotliwych uchodźców, ewakuując ich do Bułgarii i Rumunii.

Przemysł tytoniowy ruszył wreszcie pełną parą; sprzyjał temu wpływ taniej siły roboczej. Biednie, bo biednie im się wiodło, lecz była to jednak mała stabilizacja.

W odległości kilkuset metrów od obozu kobiet był tam również obóz mężczyzn pracujących w fabryce papierosów i kilkanaście parterowych domków dla rodzin. Ludzie powoli zaczęli spotykać się po pracy, chodzić na msze, organizować wycieczki, spotkania towarzyskie, uroczystości, pikniki.

W najbliższą niedzielę w sali pobliskiego monasteru miał się odbyć koncert. Uproszono niejakiego Aleksieja Orłowa, żeby zaśpiewał piosenki moriaków odeskich; podobno był w tym mistrzem. Młodzieniec ten zdobył już sobie sławę w społeczności pracowników fabryki. Wieczorami po pracy śpiewał przy księżycu, grał na gitarze, harmoszce i na skrzypcach. I jak opowiadały dziewczęta, był bardzo przystojny.

Raisa z Galiną wystrojone w poprzerabiane suknie Zenobii przejechały się do pierwszego rzędu w sali monasteru. Zakapturzeni brodacie mnisi wskazywali przybyłym miejsca, sami ustawili się potem pod ścianami. Kilku z nich weszło na scenę. Widać mieszkańcy monasteru byli za pan brat z muzyką, bo w głębi, na podwyższeniu stały organy, niżej, na proscenium, pianino, a na krzesłach kilka innych, mniejszych instrumentów.

Jeden z brodaczy zasiadł przy organach, inni ustawili się w rzędzie

na scenie. Najpierw ozwały się organy. Ich brzmienie wprowadziło Galinę w ekstazę. Serce biło jej jak oszalałe, poczuła się jak w Odessie, jak w szkole, jak w domu. Przecież odkąd sięgała pamięcią, muzyka była w ich życiu. Słuchała i patrzyła jak zaczarowana. W akordach organowych usłyszała Ksenię koncertującą przy fortepianie, tony skrzypiec ojczulka, harmonijnie brzmiące głosy: sopran Wiery i dramatyczny kontralt mamy. Wrażenie było dojmujące.

Kiedy organy przycichły, sala wypełniła się głosami zakonników w ciekawie zharmonizowanej pieśni paschalnej. Zwłaszcza basy i barytony brzmiały wspaniale. Jakże jej brakowało takich wrażeń, nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo!

Odprowadzani grzmiącymi oklaskami zakonnicy zeszli na widownię, a organista zapowiedział młodego i obiecującego artystę z Odessy.

Kiedy wysoki, smukły młodzieniec o bujnej jasnej czuprynie i ujmującym uśmiechu pojawił się na scenie, Galina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jego twarz jest jej znajoma.

Wziął gitarę, sprawdził jej strój i zagrał kilka taktów, które wywołały poruszenie. Wtedy odezwał się w tle akordów, które wypływały spod jego palców:

- Panie i panowie, zanim zaśpiewam wam nasze odeskie piosenki, chciałbym oddać hołd temu, co było, naszej wytęsknionej ziemi, naszym bohaterom i męczennikom za dobry stary ład, naszym ojcom i braciom, którzy oddali życie... Śpiewajcie ze mną:

*Było dwienadcat rozbojnikow, żyli w szczastliwom kraju...**

* Było dwunastu rozbojników, żyli w szczęśliwym kraju...

Najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniejsza sala podchwyciła starą, popularną biesiadną pieśń rycerską.

Aleksiej usiadł na krześle i pięknym głębokim basem zaśpiewał nostalgiczną *Bandurę*. Publiczność zmusiła go do bisu.

Im dłużej Gala na niego patrzyła, tym bardziej była pewna, że gdzieś go już widziała. Ale gdzie? Nijak nie potrafiła sobie przypomnieć...

Po brawurowej *Bandurze* młodzieniec sięgnął po skrzypce. W rzewnym *Poemacie* Zdenka Fibicha, granym solo na skrzypcach, Galinie brakowało akompaniamentu fortepianu. Grywała to z ojcem w duecie. Nie mogła oderwać oczu od otwartej klawiatury pianina stojącego na proscenium.

Kiedy artysta zbierał oklaski za *Poemat*, wstała nagle i podeszła do instrumentu. Uderzyła w klawisze i zagrała wstęp do *Marzenia* Schu-

manna. Utwór ten należał do jej ulubionych. Z opowieści rodzinnych wiedziała, że rodzice zauroczyli się sobą przy muzyce tego właśnie kompozytora.

Zaskoczony Aleksiej Orłow patrzył na nią ze zdziwieniem, ale w samą porę zdążył wejść z partią skrzypcową. Uśmiech szczęścia rozjaśnił jej twarz.

Zaimprovizowany duet brzmiał, jakby go ćwiczyli razem. Potwierdziła to publiczność spontanicznymi brawami, kiedy umilkła koda.

Skrzypek podszedł do dziewczyny, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Zarumieniła się po same uszy.

- Pani raczy przedstawić się publiczności.

Galina nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Przełknęła ślinę i szepnęła:

- Przepraszam... ja... Naprawdę bardzo przepraszam!

- Przepraszają pani? Za co?

- Za zakłócenie pana koncertu. Nie wiem, doprawdy, jak to się mogło stać... Po prostu porwała mnie muzyka... brakowało mi jej...

- Ależ dziewczyno! Za co mnie pani przeprasza? Ubarwiła pani mój koncert. Dziękuję. Proszę nam zdradzić, kim pani jest?

- Galina Lwowna Korolowa... - powiedziała i uciekła na widownię.

- A to ci dopiero historia! - powiedział skrzypek odprowadzając ją zdumionym spojrzeniem.

Publiczność klaskała, tu i tam rozległy się śmiechy. Wszyscy byli przekonani, że niespodzianka z akompaniaturką była świadomie zainscenizowana. Raisa także poddała się zbiorowej mistyfikacji. Uściskała Galinę, mówiąc:

- No, no! Nie znałam cię z tej strony. Potrafisz dochować tajemnicy. Naprawdę ci się udało. Zaskoczyłaś mnie!

- Siebie też, nawet nie wiesz jak bardzo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Koncert w monasterze trwał o wiele dłużej, niż zaplanowano. Publiczność nie chciała puścić ze sceny utalentowanego Aleksieja Michaiłowicza Orłowa. Po niezliczonych bisach przełożony klasztoru wszedł na scenę i przemówił zebranym do rozsądku.

- Skoro wiemy już, jak lubicie muzykę - powiedział - nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy spotykali się w tej sali co tydzień. A teraz udajmy się na spoczynek, bo jutro czeka nas wszystkich pracowity dzień.

Gala z Raisą podniosły się z miejsc i porwane przez tłum wyszły na zewnątrz.

Nieśpieszno było ludziom opuszczać to miejsce. Klasztor prawosławny pod wezwaniem Matki Bożej okazał się w ich tułaczym życiu prawdziwym darem losu. Brodaci mnisi, pracownicy, pokorni i zapobiegliwi, w działalności charytatywnej widzieli swoje posłannictwo. To oni byli budowniczymi siedlisk dla przybyszów. Kiedy tylko imigrancy pracownicy Zakładów Tytoniowych pojawili się w ich okolicy, śpieszyli im z wszechstronną pomocą.

Tutaj wygnańcy mogli uczestniczyć we mszy, tutaj znajdowali pierwszą pomoc w chorobie, tutaj mogli korzystać z księgozbioru, który miał też dzieła w języku rosyjskim, nie tylko religijne, ale i literackie. Tutaj wreszcie można było znaleźć wskazówki, w jaki sposób uzyskać informacje o tym, co się dzieje w ich ojczyźnie i jak odnaleźć bliskich. Zadbali też o zorganizowanie kursu języka bułgarskiego dla imigrantów.

Teraz jednak nie zasługi monasteru zatrzymywały wychodzących z sali koncertowej. Chcieli jeszcze potrwąć w nastroju, któremu poddali się tego wieczoru. A dziewczęta, cóż, dziewczęta jeszcze raz

chciały spojrzeć na przystojnego artystę. Niektórzy z wychodzących podchodzili też do Gali, żeby pogratulować jej występu.

Kiedy Aleksiej wyszedł obładowany instrumentami, natychmiast otoczony został wianuszkami admiratorek. Każda chciała powiedzieć mu coś miłego. Dziękował za komplementy ze swoim ujmującym uśmiechem i lekkim roztargnieniem, bo jednocześnie najwyraźniej wypatrywał kogoś w tłumie. W pewnym momencie uśmiechnął się jeszcze szerzej i ruszył tam, gdzie spostrzegł osobę, której szukał. Łatwo mu się to udało, bo wzrostem górował nad większością ludzi zgromadzonych na dziedzińcu klasztoru.

- Znalazłem panią, a już myślałem, że mi pani ucieknie - powiedział do Galiny. - Chciałbym jeszcze raz uścisnąć pani dłoń w podziękę za urozmaicenie mego występu, niestety, jak pani widzi, mam zajęte ręce.

Rzeczywiście, obładowany był jak się patrzy: na plecach harmonia, w jednej ręce futerał ze skrzypcami, w drugiej futerał z gitarą.

- Ja też mam skrzypce - wyszeptła Galina - Stradivariusa mego papy.

- Zaciekawilo mnie pani nazwisko. Czy pani przypadkiem nie jest spokrewniona z Lwem Piotrowiczem Korolowem, dyrektorem Instytutu Sztuki z Odessy?

- To mój ojczulek.

- Ależ ten świat jest mały! Co za spotkanie! Córka Lwa Piotrowicza Korolowa... co za historia!

- Znał go pan?

- Czy go znałem? Ależ ja w sensie artystycznym wszystko mu zawdzięczam! Doprawdy świat jest mały! - emocjonował się Aleksiej.

- Teraz już wiem, gdzie panią widziałem. Ta mała dziewczynka skacząca jak ptaszek po schodach przy placu Richelieu, ku utrapieniu swojej dorodnej mamy... to musiała być pani.

- Przy panu to ona i teraz nie jest duża - powiedziała Raisa.

Galina odważyła się wreszcie na niego spojrzeć. Sięgała mu za ledwie do ramion.

- W tamtym czasie, rok przed wybuchem wojny, uczęszczałem do szkoły realnej. Jako muzyk byłem kompletnym amatorem i samoukiem. Brzdąkałem trochę na gitarze i śpiewałem. Tego wieczoru jak zwykle siedziałem z chłopakami z klasy na szczycie schodów przy placu Richelieu. Gdy zacząłem śpiewać, zebrała się wokół nas grupka słuchaczy. W pewnym momencie któryś z kolegów trącił mnie łokciem i szepnął: „Lew Piotrowicz Korolow cię słucha”. Nie muszę paniom mówić, jak wielkim autorytetem i sławą w Odessie

cieszył się ten człowiek. Dla mnie, wyrostka marzącego o sztuce, było to...

- Znalazłem naszą małą pianistkę - odezwał się jeden z zakonników, który dołączył do grupki. - Doskonale grałaś. Jeśli chcesz czasem sobie poćwiczyć, możesz tu do nas przychodzić po pracy. Ile masz lat, moje dziecko?

- Skończyłam siedemnaście - odpowiedziała Galina.

- Nie wyglądasz na tyle. Przepraszam, wziąłem panią za dziecko.

- Galina Lwowna jest córką mego mistrza. To on mnie wszystkiego nauczył.

- Naprawdę mogłabym czasami pomuzykować? Bardzo mi tego brakuje.

- Domyślam się. Mamy tu bogatą bibliotekę muzyczną.

- Byłabym szczęśliwa mogąc czasem z niej skorzystać.

- Kiedy tylko pani zechce i zapraszamy do udziału w następnym koncercie.

- Dziękuję.

- No a teraz moje dzieci idźcie już. Trzeba się wyspać przed pracą. Niech was Bóg prowadzi.

Po chwili dziedziniec klasztoru opustoszał.

- Odprowadzę panię - zaoferował się Aleksy - po drodze porozmawiamy. - Otóż, jak powiedziałem, wszystko lub prawie wszystko, co osiągnąłem w sztuce, zawdzięczam pani ojcu, Galino. Owego pamiętnego wieczoru podszedł do mnie, zapytał, u kogo uczę się muzyki. Był zdziwiony słysząc, że jestem samoukiem. Powiedział: „Trzeba to zmienić. Masz chłopcze dobre ucho, ładny głos i wspaniałe poczucie rytmu. Zaniedbanie takich atutów byłoby niewybaczalne. Oto mój bilet wizytowy. Przyjdź do mnie, pomyślimy, co z tym zrobić”. Opowiedziałem o tym w domu, ale ani ojciec, ani starsi bracia nie podzielili mego entuzjazmu. W rodzinie naszej z pokolenia na pokolenie pielęgnowane były tradycje kupieckie i moje ciągotki artystyczne nie były przez nikogo z bliskich traktowane poważnie. Cieszyli się, owszem, gdy umiłałem przyjęcia w domu, kiedy goście mnie chwalili, ale rodzic nie miał najmniejszego zamiaru inwestować w moją artystyczną edukację. Wtedy Lew Piotrowicz zrobił coś wspaniałego. Odwiedził mego ojca i zapowiedział, że odbędzie ze mną za darmo naukę podstaw muzyki. Widząc rezultaty, po roku ojciec pozwolił mi zamienić szkołę realną na Instytut Sztuki. Lew Piotrowicz zaraził mnie miłością do skrzypiec - jestem zresztą multiinstrumentalistą - dlatego ojca pani, Galino, uważam i za mo-

jego. W sensie duchowym, ma się rozumieć, bo... Ale co to? Pani płacze? Co się stało, źle się pani czuje, boli coś panią??? Przepraszam, najmocniej przepraszam. Rozgadałem się o sobie i nie zauważyłem nawet, że pani źle się czuje... Jak mogę pomóc?

- Serce ją boli, ot co! - powiedziała Raisa tuląc do siebie łkającą dziewczynę - jeszcze nie pogodziła się ze śmiercią ojca.

- Lew Piotrowicz nie żyje??? Dobry Boże, co za straszna nowina... Kiedy... to się stało?

- W czasie epidemii tyfusu na Gallipoli.

- Co za strata, okropna strata. Doprawdy, nie wiem, jakich słów mam użyć...

- Niech pan opowiada dalej, Aleksieju, nie wie pan, co dla mnie znaczysz słysząc o papciu takie opinie...

- Ale... ja... po prostu jestem wstrząśnięty... W czym mógłbym pani pomóc, Galino, jak mógłbym... To straszne... taki człowiek, taki wspaniały człowiek! Moi bracia i ojciec zginęli w bojach z bolszewikami... myślałem, że przynajmniej Lew Piotrowicz ocalał, że go kiedyś odnajdę...

Tej nocy Galina prawie nie zmrużyła oka. Zderzenie z muzyką, Aleksiej, jego magnetyzm, ciepło, którym emanował, jego opowieści o ojcu - urywki tego wszystkiego przeplatały się ze sobą i sprawiały, że nie mogła znaleźć spokoju.

Skonstatowała wreszcie, że to wszystko graniczy z cudem. Co prawda rozpacz, która z takim trudem przycichała w jej sercu, objawiła się z nową siłą, ale towarzyszył temu jakiś radosny niepokój, jakaś obietnica, ba, nawet radosne przeczucie. Upatrywała w spotkaniu Aleksieja znaku od ojca. Bo jakże to możliwe, żeby w tym ponurym zamęcie, który zapanował w ostatnim czasie w życiu jej i jej bliskich, pojawił się nagle ktoś tak niezwykły jak ten młodzieniec, który w dodatku z wielką estymą mówił o jej ukochanym ojcu. Już za to samo można go pokochać. Poza tym tyle zebrał wyrazów podziwu, adoracji, a jednak zaraz po koncercie podszedł do niej, właśnie do niej. Najwyraźniej papcio czuwał nad tym, żeby się spotkali.

Aleksiej też długo nie mógł zasnąć tego wieczoru. Przynajmniej przed wszystkim poraziła go wieść o tym, że Lwa Piotrowicza Korolowa nie ma już wśród żywych. Tylu ludzi bliskich mu i kochanych odeszło, świat zmienił się nie do poznania, ale trzeba jakoś z tym żyć.

- Przysięgnij mi, Alioszka, że nigdy nie zdradzisz sztuki, jesteś do niej stworzony. Pamiętaj, dostałeś od Boga wielki dar i zaniedbanie go byłoby wielkim grzechem - powtarzał mu Lew Piotrowicz.

Oczywiście miał zamiar dotrzymać obietnicy, ale teraz, mając

dwadzieścia jeden lat, już zdawał sobie sprawę z tego, że życie potrafi weryfikować zamierzenia.

To pod wpływem słów mistrza zadbał o to, żeby w czasie ewakuacji z Odessy mieć przy sobie instrumenty. Błogosławił tę decyzję, gdy okazało się, że kufry z ubraniem i resztą jego majątku przepadły, bo nie zdążono załadować ich na statek.

Aleksiej wyrzucał sobie, że od razu nie zapytał Gali o los jej ojca, uniknąłby wtedy sprawiania jej bólu opowiadaniem o lepszej przeszłości. Tak płakała biedaczka!

Okres, w którym następowała jego metamorfoza z wyrostka w urodziwego młodzieńca, nie sprzyjał romantycznym porywom serca. To właśnie wtedy ruszyła lawina nieszczęść i wielkich zmian. Jednocześnie Alosza wychowywany był w kulcie kobiet. Jego matka Irmina Iwanowna Orłowa była niezwykle mądra i czarująca, lecz słabego zdrowia, więc ojciec i bracia odnosili się do niej z wielką atencją i czułością. Zmarła, kiedy chłopiec miał dwanaście lat. W ich pozbawionym kobiet domu i jego ojciec, i bracia, i nawet on sam, najmłodszy z nich, wszyscy wyrzucali sobie, że gdyby poświęcili matce jeszcze więcej troski i uwagi, żyłyby dłużej. Nie mieli racji, zrobili dla niej wszystko, co mogli, jednakże choroba i tak ją pokonała. Ale tak się zdarza, że ci, którzy poświęcają najwięcej czasu i troski na pielęgnację bliskiej chorej osoby, kiedy ta odchodzi, gryzą się najbardziej, że może nie zrobili jeszcze więcej, co można było, dla jej ocalenia. W każdym bądź razie po tym doświadczeniu Aleksy był przekonany, że kobiety są istotami godnymi najwyższego szacunku, uwagi i troski.

Zdawało mu się, że po tych wszystkich stratach, których doznał, nic już nie będzie straszne. A tu nagle wieść o śmierci jego mistrza, mentora i przyjaciela wtrąciła go na nowo w otchłań przygnębienia. Co za okropne czasy! Groby utraconych drogich osób zostały tam, dokąd już zapewne nie wróci... Nigdy nie usłyszy zachęty dobrego profesora, jego życzliwych uwag, jego natchnionych opowieści o sztuce. Nie zdoła mu podziękować za to, co dla niego zrobił... Dobrze chociaż, że ta Galina, jego córka, tu jest. Jakże musi się czuć samotna.

Widował ją dawniej z oddali. Prawdopodobnie miała ładny głos, bo śpiewała w chórze dziecięcym opery. Widział ją kiedyś w chórze chłopców w *Carmen*. Jeśli potrafi śpiewać, namówi ją do wspólnego występu... Kiedyś najwyraźniej była pieszczoszką rodziny. Zawsze pod opieką pięknej matki, sióstr i guwernantek, jakże ona sobie teraz radzi? Jest taka delikatna i krucha - rozmyślał. - Jak pisklę, co wypadło z gniazda. Nie bez kozery użył tego porównania.

Kiedyś lubił ją obserwować z daleka. Jako dziecko miała w sobie ptaszcę żywość i wesołość. Teraz jest już dorosłą panną, szczupłą i drobną, ale harmonijnie zbudowaną. Zupełnie jej nie poznał z tymi króciutkimi włosami - pewnie odrastają po tyfusie. Ze szczupłą trójkątną twarzyczką, spiczastym małym noskiem i wielkimi oczami wygląda jak ptaszek - smutny, zdziwiony ptaszek, pisklę, co wypadło z gniazda. Takie sprawia wrażenie. Muszę się nią zaopiekować - skonstatował - jestem to winien jej ojcu, który tyle dla mnie uczynił...

Z tym oto postanowieniem Aleksiej przewrócił się na drugi bok, poczuł, że ogarnia go przyjemne ciepło i zaczął zapadać w sen.

* * *

Raisa po odkryciu nieznanymi cech swojej podopiecznej była bardzo z niej dumna. To ona przypomniała Galinie o przyzwoleniu klasztoru na to, żeby mogła tam korzystać z pianina. Sama była ciekawa, czym jeszcze zadziwi ją ta dziewczyna, i chciała posłuchać jej gry. Postanowiły więc nie zwlekać i pójść do monasteru już we wtorek po pracy.

- A oto i nasza pianistka - powitał Galinę mnich Grigorij. - Ma pani jakieś nuty czy od razu idziemy do biblioteki?

- Potem chętnie. Jeśli można, chciałabym najpierw trochę rozgrzać ręce, poćwiczyć gamy. Tak dawno nie grałam...

- Jak pani sobie życzy.

- Chciałabym też wyjaśnić, że nie jestem pianistką. Moja starsza siostra, która została w Odessie, jest prawdziwą pianistką. Ja po prostu kocham muzykę, jak wszyscy w naszej rodzinie. Często razem grywaliśmy, akompaniowałam ojcu, gdy grał na skrzypcach, mamie, gdy śpiewała, no i sobie, bo ja, prawdę powiedziawszy, to najbardziej lubię śpiewać.

Mówiła to przy wtórze pasaży, które rozbrzmiewały spod jej wprawnych palców.

- Jako „nie-pianistka” nieźle pani sobie radzi.

- Dużo grałam, szybko zresztą zapamiętuję nuty, ale wolę śpiewać. Tylko teraz będzie chyba z tym kłopot. Nie wydałam głosu od opuszczenia Odessy.

Tak to się zaczęły wycieczki na muzykowanie w klasztorze. Dziewczyna prawie przez całe dni, nawet przy pracy, nuciła pod nosem. Dopiero za trzecią wizytą w klasztorze odważyła się zaśpiewać. Miała silny mezzosopran o ciemnej, dramatycznej barwie, zupełnie nieprzystający do eterycznej zewnętrżności.

Tego właśnie popołudnia przyszedł do monasteru Aleksiej, żeby ustalić program sobotniego koncertu. Zwabiony dźwiękami *Habanery* z *Carmen*, wszedł do sali, z której one płynęły, i kiedy zobaczył wykonawczynię, stanął jak wryty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Od tego dnia Galina i Aleksy spotykali się niemal codziennie. Nie znaleźli wprawdzie okazji, żeby spędzić choć chwilę sam na sam, ale Raisa nie miała wątpliwości, że jej podopieczna przeżywa swą pierwszą, niewinną miłość. Przyjemnie było na nią patrzeć, jak z wypiekami na twarzy, z podświadomym uśmiechem i rozmarzeniem w wielkich niebieskich oczach idzie ufnie ku swemu przeznaczeniu. Ale jakie ono będzie, zgubne czy szczęśliwe, tego Raisa nie mogła przewidzieć. Życzyła przyjaciółce spełnienia jej pragnień, lecz patrząc na obiekt jej zachwyty nie była w stanie ukryć niepokoju.

Jeśli Galina była stworzeniem urokliwym, to Aleksę w gronie imigrantów okrzyknięto zgodnie ideałem. Utalentowany, wysoki, o zręcznych ruchach, urodziwej, wrażliwej twarzy, bujnych, wijących się jasnych włosach i nade wszystko o ujmującym uśmiechu, spędzał sen z powiek nie tylko jej przyjaciółce Galinie, ale co najmniej połowie młodych robotnic. Raisę to właśnie martwiło. Była na tyle dojrzała, żeby zdawać sobie sprawę, że ideałów nie ma. Ludzie na ogół są tylko ludźmi, a skoro chłopak tak szczerze obdarzony przez naturę ma nadmiar widocznych zalet, musi też mieć i jakieś niedostatki. Nie obchodziłoby jej to, gdyby nie bała się o swoją podopieczną. Chodziło jej o to, że prędzej czy później Galina może ocknąć się ze swego zadurzenia głęboko zraniona. Jak ją przed tym uchronić - nie miała pojęcia.

Tymczasem młodzi spędzali ze sobą prawie cały wolny od pracy czas, głównie muzykując. Koncerty odbywały się niemal w każdą sobotę i Galina pozyskiwała sobie śpiewem nie mniejsze grono wielbicieli niż Aleksy. Wieczorki sobotnie w monasterze były teraz regularnie przedłużane o tańce. Niby mała rzecz, a w społeczeństwie

rozbitków coś się nagle odmieniło na lepsze. Ludzie poznali się lepiej wzajemnie, narodziły się nowe związki uczuciowe, słowem, zaświtała nadzieja, że bytowanie na uchodźctwie nie musi być jedynie pasmem tęsknoty, rozpacz i niedoli.

Galina i Aleksy, którzy na ogół przygrywali innym do tańca, siłą rzeczy tańczyli niewiele, ale byli bardzo zajęci sobą. Rozmowom ich nie było końca. Chłopak chciał wiedzieć wszystko o swoim mistrzu, jego życiu i bliskich, a Galina chętnie mu opowiadała. W ten sposób powracała myślą w czasy bezpiecznego, szczęśliwego dzieciństwa. Możliwość wyartykułowania swojej tęsknoty i rozpacz sprawiała, że robiło się jej lżej na sercu. Jej ukochani rodzice, siostry byli z nią znowu, po prostu opowiadając o nich, odczuwała ich obecność. Ponadto odbiorca jej zwierzeń stawał się dla niej coraz ważniejszy. Była dumna, że poświęca jej tak dużo uwagi i choć kajała się przed niedawno zmarłym ojczulkiem, że coraz mniej myśli o nim, a coraz więcej o Aleksym, czuła się szczęśliwa.

Aleksy nie klasyfikował swoich uczuć, ale nieustannie myślami był przy dziewczynie. Urzekła go jej muzykalność, ale nie tylko. Przede wszystkim wzruszała go jej niezwykła kruchość. Przez wszystkie swoje lata otoczona troską, przywykła do dostatku, teraz nagle pozbawiona brutalnie wszystkiego musiała na równi z innymi, o wiele bardziej zahartowanymi towarzyszami niedoli, zmierzyć się z życiem. Z żywością ruchów, z małą twarzyczką osadzoną na cienkiej, długiej szyi, z tymi zdziwionymi oczami wygląda, doprawdy, jak pisklę wyrzucone z gniazda. To porównanie przychodziło mu na myśl, ilekroć na nią spojrzeł. A spoglądał na nią coraz uważniej. Coraz bardziej chwytala go za serce. Czuł, że musi być blisko niej, żeby ją wspierać, żeby nad nią czuwać. Ile było w tym litości i troski, a ile fascynacji - nieważne. Ważne, że chłopak był przekonany, iż nie może i nie chce jej opuścić.

* * *

Maria skrupulatnie przejrzała notatki i włożyła je do przygotowanej koperty. Zanim jednak ją zaadresowała, podeszła do telefonu i wybrała na tarczy numer Irminy Bergeronnette.

- *Ça va, Irmine? C'est Maria, qui te parle.**
- *Salut, ma chérie. Moi - ça va, et toi, comment vas-tu **
- *Comme toujours, généralement, toute va bien, sauf manque de Maman...**
- *Oui, je le sais... **

* Co u ciebie, Irmino? Mówi Maria.

* Witaj kochana. U mnie w porządku, a co u ciebie?

* Po staremu, w sumie wszystko w porządku, tylko, że mama...

* Tak, wiem...

Zamilkły obie na chwilę. Maria przed kilkoma miesiącami musiała pożegnać się ze swoją matką, z którą była bardzo związana. Natychmiast po jej pogrzebie pojechała do Irminy do Paryża, żeby w pobliżu przyjaciółki koić rozpacz. Nigdy nie udało się jej zawieźć matki do Paryża, chociaż bardzo tego pragnęła. Zawsze to planowały i w ostatniej chwili wyrastały jakieś przeszkody. Kiedy matka odeszła, Maria wierząc, że duch jej nadal przebywa blisko niej, postanowiła pokazać jej Paryż. Wędrowała po ukochanym mieście ze świadomością, że matka jej towarzyszy, pokazując jej jego urodę, jego rozmach i niepowtarzalną atmosferę, prowadząc ze zmarłą nieustający dialog, wymianę myśli na temat tego, co razem zwiedzają. Była przekonana, że po ciężkich chwilach czuwania przy chorej dla nich obu jest to błogosławiony czas odpoczynku.

Wyjechała z Paryża z obietnicą Irminy, że ta odwiedzi ją latem w Modrzejowie. Sprawa pracy nad śledzeniem losów przodków Irminy na razie nie miała kontynuacji. Dopiero po trzech miesiącach od tragedii Maria zabrała się do tego na nowo. Teraz właśnie kolejna część opowieści, odtworzona we współpracy z Eulalią Harczuk, leżała w kopercie na biurku.

- Doszłam w historii twoich przodków do czasów, kiedy twoi rodzice się poznali i pokochali. Mówiłaś, że na temat tego okresu w ich życiu masz dużo wiadomości. Czas, żebyś wkroczyła do akcji. Przygotowałam już kopertę z maszynopisem do wysłania, ale zmieniłam zdanie. Przyjedziesz odebrać ją tutaj. Lada dzień zacznie się wiosna, Puszcza Piska będzie budzić się z zimowej drzemki i tylko nas tam brakuje. Mówiąc o nas mam na myśli i ciebie. Żadne wymówki nie wchodzi w grę. Musisz do nas przyjechać.

- Och, Mario, ja nie robię planów na przyszłość. Po pierwsze w kwietniu czeka mnie operacja drugiego oka; muszę się do niej przygotować. Po drugie, trzecie i dziesiąte nie mogę i już. To ty przyjedź do mnie. *Sans façon! Tu es toujours bienvenue, tu le sais**.

* Bez ceregieli! Zawsze jesteś tu mile widziana, jak wiesz.

- Nie chcę tego słuchać. Chcesz, przyślę ci bilet, u nas można trafić na bardzo tanie.

- Nie rób niepotrzebnych wydatków, bo ja nie skorzystam z okazji. Nie mogę. Przyjedź, sama zobaczysz.

Po odłożeniu słuchawki Maria nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że coś z Irminą jest nie tak. Zawsze odbierała ją jako osobę pełną

energii, a teraz była w jej tonie jakaś bierność, rezygnacja, wyczuwalne poddanie się. Wcale jej się to nie podobało. Może osamotnienie tak na nią wpływało. Bo nie dość, że Sophie wyemigrowała z młodszymi dziećmi do Teksasu, to jeszcze Mireille wciąż podróżowała ze swoimi spektaklami po Europie, a od jesieni miała w ogóle wybyć za ocean, bo zaangażowała się do teatru muzycznego w Dallas.

Maria myślała o tym w czasie prawie bezsennej nocy, myślała nazajutrz i po naradzie z córką i mężem kupiła sobie bilet lotniczy do Paryża.

Irmina, mimo wietrznej pogody, czekała na nią na przystanku przy Porte Maillot, dokąd autobus dowoził pasażerów z odległego lotniska Beauvais. Po dwudziestu minutach siedziały już w salonie Irminy przy Jasmin, racząc się przygotowaną wcześniej, a teraz odgrzaną w mikrofalówce kolacją i nade wszystko rozmową. Maria od razu poczuła się tu jak u siebie, a ich pogawędka zdawała się być kontynuacją dopiero co przerwanej konwersacji, zupełnie jakby się nie rozstawały. Jedno tylko się zmieniło - jakaś nutka rezygnacji, która czaiła się w przypadkowo rzucanych zdaniach, i to spojrzenie przybladłych oczu, jeszcze niedawno tak intensywnie niebieskich.

- Powiedz mi, Irmino, co tak naprawdę jest grane?
- No wiesz, Mario, nic nie trwa wiecznie. Jeśli budzę się i mogę popatrzeć przez okno na te drzewa, jeśli jeszcze żyję, to i tak już dobrze...
- Daj że spokój! Jak na kogoś zegnającego się z tym światem poruszasz się bardzo sprawnie i myślisz też sprawnie, choć nie podoba mi się ton twoich wypowiedzi.
- Nie jesteśmy wieczni, Mario, ot co. Pokaż mi lepiej, co tam napisałeś o moich przodkach.
- To może poczekać. Przyjechałam na trzy tygodnie, najpierw pójdziemy sobie do teatru, do kina, a potem...
- Nigdzie teraz nie chodzę. Tylko na konieczne zakupy.
- To do ciebie niepodobne.
- A jak ja mam się pokazać ludziom z taką twarzą?
- Z jaką znowu twarzą? Przestałaś się sobie podobać, to może powinnaś zoperować oczy albo zmienić okulary.
- Nie widzisz tych plam na policzkach?
- Tym się przejmujesz? Po lecie tysiącom ludzi pigment się nierówno rozkłada.
- Pojutrze spotkam się z moim dermatologiem. Poza tym mam podwyższony cholesterol i arytmie serca...
- Widać, że nie widzisz ludzi. Zaczynasz nadinterpretować

swoje wyniki badań.

- Zapominasz, że całe życie przepracowałam w służbie zdrowia.
- To teraz weź się za siebie. Osobiście tego dopilnuję.
- Rzeczywiście! Myślisz, że ci na to pozwolę? Nie po to przyjechałaś do Paryża, żeby zajmować się moim zdrowiem.
- W tej chwili to jest najważniejsze i koniec dyskusji.
- Mario, nie martw się o mnie. Sama załatwię swoje sprawy. Wiesz, jakie między nami panują zasady. Biegaj sobie po Paryżu, gdzie chcesz i kiedy chcesz, wiem, jak to lubisz. Jesteś człowiekiem wolnym.

- Wiem, wiem, Irmino. Nie zagaduj mnie. Na wszelki wypadek chcę ci przypomnieć, że tym razem przyjechałam do ciebie, a nie do Paryża...

- *Enfin bref A table!* *

* No dobra, koniec tego. Do stołu!

Warszawę Maria zostawiła przyprószoną śniegiem, wiał wiatr i temperatura nie przekraczała zera, a tutaj w słońcu było osiemnaście stopni ciepła, na trawniku kwitły stokrotki, żółciły się rdesty i drzewa były w pąkach, choć to dopiero połowa marca. W tej sytuacji trudno było Marii wyrzec się wędrowki choćby po Champs Elysées czy Ogrodach Tuileries.

Kiedy wróciła pod wieczór do domu, Irmina pochłonięta była czytaniem przywiezionej przez nią historii swoich przodków. Na widok Marii odłożyła maszynopis i zaczęła nakrywać do stołu.

W czasie rozmowy przy kolacji Maria wyczuła, że przyjaciółka denerwuje się jutrzejszą wizytą u dermatologa.

- Gdzie masz tego lekarza - zapytała - i o której?
- O jedenastej przed południem. Doktor Pockachard ma gabinet na bulwarze Saint-Germain, niedaleko kościoła.
- Idę z tobą - powiedziała Maria kategorycznie.
- Dobrze, ale poczekaś na mnie w „Les Deux Magots”. To może potrwać.
- Jak chcesz, chętnie tam przy okazji zajrzę.

Nazajutrz po śniadaniu pojechały obie do lekarza. Maria odprowadziła przyjaciółkę pod drzwi gabinetu doktora Pockacharda i zawróciła wolnym krokiem w kierunku słynnej kawiarni. Na bulwarze jak zwykle było tłumnie. Niektóre dzielnice Paryża zawsze wyglądają odświętnie. Mimo że otwarte są sklepy i biura, przybyszom wydaje się, iż praca w tym mieście jest na niby albo tylko po to, żeby dostarczyć satysfakcji turystom.

Dotarłszy do placyku Saint-Germain-des-Prés Maria weszła do

najstarszego w Paryżu kościoła o tej samej co plac nazwie, pochodzącego z pierwszego stulecia naszej ery. Im dłuższa była jej własna historia, z tym większym zainteresowaniem odnosiła się do historii jako takiej. W mroku kaplicy św. Kazimierza przyklękała na chwilę i zmówiła zdrowaśkę za pomyślny wynik wizyty przyjaciółki u dermatologa.

W tej to kaplicy spoczywa serce polskiego króla Jana Kazimierza, który po abdykacji w siedemnastym wieku został przez Ludwika XVI mianowany tytularnym opatem kościoła. Maria omiotła wzrokiem płaskorzeźbę przedstawiającą bitwę pod Beresteczkiem i opuściła mroki romańskiego wnętrza świątyni.

Doczekała się na zielone światło, przekroczyła jezdnię i weszła wreszcie do legendarnej kawiarni „Les Deux Magots”. Na oko nie różni się ona od tysiąca innych w tym mieście, ale jej magiczny urok polega na bliskim sąsiedztwie kościoła Saint-Germain-des-Prés, no i niezwykle bogatej historii. To tu narodził się francuski egzystencjalizm. Sartre i jego kompania w latach czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku przeżywali tu, przy czarnej kawie, w oparach dymu papierosowego, bo wtedy wszyscy jeszcze palili, swoje rozdarcie między sferą świadomości a sferą rzeczy. Tutaj wtedy zaczynała swoją karierę ich muza - młodzianka, obdarzona kontraltem Juliette Greco o wielkich oczach w kształcie migdałów i przydługim, jeszcze nie poprawionym skalpelem nosie. Z kąta wpatrywał się w nią nieznanym jeszcze nikomu piękny gitarzysta Sacha Distel. Tabliczki na ścianach nad stolikami pokazują teraz, gdzie siadywał wtedy Jean Paul Sartre, gdzie Simone de Beauvoir, gdzie inni wielcy tamtych czasów.

Przy stoliku pod tabliczką „Ernest Hemingway” rezyduje od jakiegoś czasu codziennie potencjalna noblistka ze swoim laptopem, pragnąca napisać współczesną powieść historyczną. Przez całe dni szuka tu natchnienia, wypijając morze *café l'express* i zjadając w południe *la salade au jambon*. Ma czarną gęstą grzywkę zakrywającą brwi, indyjską barwną kurtkę i szerokie, bufiaste, pomarańczowe spodnie z krokiem na wysokości kolan. Myśli intensywnie, ale natchnienie nie jest dla niej zbyt łaskawe, bo nie często jej palce dotykają klawiatury. Ale kto wie? Może po zamknięciu kawiarni pisze jak szalona?

Barwna to postać, zaprzyjaźniona z bywalcami i kelnerami, ale nikt z kawiarnianych gości nie zwraca na nią uwagi, podobnie jak i na „mademoiselle Poubelle”, która zjada tu co dzień swój południowy posiłek. Jej ksywa bierze się ze sposobu ubierania się. Ma mianowicie

strój skomponowany z plastikowych worków na śmieci: marszczona plastikowa spódnica przewiązana sznurkiem, także bluzka z bufiastymi rękawami, powiewający na wietrze szal z rozdartego worka i misternie upięty szpilkami kapelusz. Codziennie nosi podobny zestaw, niezmiennie z tego samego tworzywa. Co jakiś czas zmienia tylko kolory. Tego dnia jest w tonacji szarej. Rysy jej świadczą o azjatyckich korzeniach i godnym pochodzeniu. Zjada często w gronie przyjaciół obfite posiłki z drogim winem i zawsze jest ich fundatorką. Płaci nowocześnie - kartą. O tym wszystkim poinformował Marię rozmowny kelner. Nikt się tu widokiem tak wystrojonej Azjatki nie dziwi, nikt się na nią nie gapi. Taki jest Paryż.

Maria siedziała przy stoliku na zewnątrz kawiarni zmęczona słońcem, które bezlitośnie nagrzewało jej ciemne włosy. Zdążyła powoli wysączyć czarną kawę, potem cappuccino, zjadła sałatę i wypila sok, kiedy zjawiła się w wreszcie Irmina. Pół policzka i jedną brew miała zalepione plastrem.

- Chodźmy stąd, muszę szybko znaleźć się w domu - powiedziała.

- Co powiedział lekarz?

- *Peu importe**.

* Nieważne.

Maria podeszła do baru, uregulowała rachunek i obie kobiety wyszły z kawiarni.

Samochód zostawiły o dwie przecznice dalej, niedaleko stacji metra Mabillon.

- Możesz poprowadzić? - spytała Irmina podając Marii kluczyki.
- Byłam znieczulana, głupio się czuję.

Maria siadła posłusznie za kierownicą, aczkolwiek jazda samochodem po Paryżu nie była jej żywiołem. Nie знаła topografii ulic jednokierunkowych, pakowała się w kłopoty, potrzebowała w tej sferze pomocy, a Irmina była w tej chwili nienaturalnie rozmowna, ale niezbyt przytomna. Jak to po znieczuleniu. I w tym to lekko narkotycznym ożywieniu wypaplała (czego nie uczyniłaby w swoim normalnym stanie), że dermatolog stwierdził u niej początki średnioskładliwego raka skóry i zaognione miejsca musiał wymrozić.

Odbiorczyni tych informacji, kierowca mimo woli, przerażona rewelacjami o stanie zdrowia przyjaciółki, z trudem natężyła uwagę, żeby dojechać bezpiecznie na miejsce.

- Skończyłam rano czytać to, co napisałaś - powiedziała Irmina po wejściu do mieszkania, sadowując się w butach na kanapie. - Rodzice moi pobrali się dwa lata potem, czyli na początku roku 1923 w

Warnie... - dodała i bez uprzedzenia zasnęła.

Maria podłożyła jej poduszkę pod głowę i okryła ją pledem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeszcze przed upływem trzech tygodni, które Maria postanowiła spędzić u przyjaciółki w Paryżu, niespodziewanie zatelefonowała do nich Eulalia Harczuk. Ta niedawno odkryta kuzynka Irminy z Białegostoku okazuje niepohamowany zapał w poszukiwaniach prowadzących do odtworzenia historii rodziny. Wróciła właśnie z podróży po Bułgarii i przywiozła stamtąd sensacyjną wiadomość dotyczącą Galiny Korolow i Aleksieja Orłowa, czyli rodziców Irminy Bergeronnette.

- Witaj Irmino - powiedziała - podobno Maria jest akurat u ciebie. Zgadnijcie, skąd wracam.

- Jak się masz Lulu? Miło cię słyszeć. Maria rzeczywiście jest tu ze mną i właśnie ona mówiła mi, że pojechałaś do Bułgarii.

- Wróciłam z Warny i wiesz, co stamtąd przywiozłam?

- Skąd mam wiedzieć? Uchyl rąbka tajemnicy.

- Udało mi się zdobyć odpis oryginalnej metryki ślubu twoich rodziców!

- Doprawdy? Jak tego dokonałaś?

- No wiesz... zawzięłam się i już. Postanowiłam odwiedzić tamtejsze cerkwie. Załamalam się, kiedy powiedziano mi, że jest ich w tym mieście aż dziewięćdziesiąt! Ale szczęście mi dopisało, bo dokument odnalazłam za trzecim podejściem, w archiwum kancelarii Cerkwi Katedralnej Zaśnięcia Bogurodzicy. A trzeba wam wiedzieć, że poszłam tam raczej z pobudek turystycznych, bez nadziei, że trafię na ślad Galiny i Aleksieja w miejscu aż tak okazałym - a jednak! Zaskoczyło mnie to, bo ta monumentalna świątynia uchodzi za znak rozpoznawczy Warny i w ogóle jest drugą co do wielkości w całej Bułgarii. Nie przyszło mi do głowy, że dwoje porewolucyjnych

uciekierów z Rosji zafunduje sobie ślub akurat w tym przybytku. Bez przekonania weszłam do kancelarii parafialnej i przejrzałam dokumenty z 1923 roku. Przypadkiem otworzyła mi się strona rocznika 1922 i ze zdumieniem zobaczyłam tam nazwiska twoich rodziców. Wszystko się zgadzało: daty i miejsca urodzenia oraz inne dane, oprócz daty ich ślubu. Wedle dokumentu miał on miejsce 18 stycznia 1922, a nie 1923 roku, jak twierdziłaś.

- Nie ja twierdziłam, tylko w opowieściach rodziców przewijała się ta data. Wiesz, uświadamiam sobie teraz, że to rzeczywiście musiało być jednak wcześniej, bo przecież w 1923 roku oni już byli w Normandii. Jesteś, Lalu, niezrównana. Nie wiem, jak wam dziękować, tobie i Marii, za trud, który wkładacie w rozszyfrowanie losów moich przodków.

- Maria jest twoją przyjaciółką, a ja... zapominasz, że to również moi przodkowie. Poza tym jest to fascynujące zajęcie.

Trzy tygodnie w Paryżu minęły jak z bicza strzelił, ślady po zabiegu na twarzy Irminy goiły się dobrze, jej nastroje też były znacznie lepsze od tych, w których przyjaciółka zastała ją po przyjeździe z Warszawy. Pożegnały się z nadzieją na spotkanie w Polsce.

W samolocie Maria rozmyślała o wszystkim, czego dowiedziała się od Irminy i jej siostry o życiu Orłowów i odkryciu Eulalii. Teraz łatwiej będzie wszystko poskładać, bo świadkowie zdarzeń mogą skorygować nieścisłości. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak znaczące fakty i daty można łatwo odtworzyć, chociaż prawdziwą i całą swoją historię każdy i tak zabiera ze sobą odchodząc w zaświaty.

Tymczasem Irmina, chcąc wypełnić czymś pustkę, jaką poczuła po wyjeździe przyjaciółki, wzięła się za czytanie wciąż uzupełnianej przez Marię i Lalę historii swoich przodków.

* * *

- Sprawy zaszły już tak daleko, że trzeba coś postanowić, nie sądzisz? - spytała Raisa patrząc z wyrzutem na Aleksęgo.

- Dlaczego chcesz być moim sumieniem? Nie widzę w naszych kontaktach nic niestosownego.

- Zrozum, ona nawet sobie nie wyobraża, że mógłbyś ją traktować obojętnie.

- Nie wiem, co masz na myśli mówiąc, że sprawy zaszły za daleko.

- Rozkochałeś ją w sobie.

- Przesadzasz. Nie starałem się o to, a jeśli tak jest, no to co?
- Jak to: „No to co?” Jak możesz tak mówić? Mam nadzieję, że postąpisz z nią przyzwoicie.
- Raiso, nie panikuj. Postąpię, jak sam uznam za stosowne.
- Tego się obawiałam!
- Nie uprzedzaj faktów.
- Ona nie ma nikogo oprócz mnie. Nikogo, kto by ją obronił!
- Przed czym ją chcesz bronić?
- Przed rozczarowaniem...
- Tak nisko mnie oceniasz?

W tym momencie Galina wróciła z biblioteki. Raisa oddaliła się od chłopaka i jak zwykle w czasie próby usiadła na krześle oddalonym od sceny.

Aleksy był zły. Nie powinna była robić mu takich uwag. Nie miał sobie nic do zarzucenia. To, że spędzał z Galiną dużo czasu, wydawało się całkiem naturalne. Razem muzykowali, mieli dużo wspólnych tematów, lubił jej towarzystwo, no i była córką jego mistrza, a to miało dla niego szczególne znaczenie. Jeśli dziewczyna potrzebowała ochrony, to na pewno nie przed nim. Fakt, że spotykając się z nią nie zaprzętał sobie głowy tym, do czego to prowadzi, ale jeśli miały z tego wyniknąć jakiegokolwiek konsekwencje, nie zamierzał ich unikać.

Obcowanie z Galiną dostarczało mu wielu wzruszeń. Wzruszała go barwa głosu kontrastująca z jej kruchością, sposób, w jaki na niego patrzyła, Właśnie! Nade wszystko wzruszało go zaufanie, z jakim na niego patrzyła. Gotów był zrobić wszystko, żeby jej nie zawieść.

Ostatnimi czasami Aleksy i Galina co drugi dzień spędzali dwie godziny na muzykowaniu. Raisa słuchała ich z przyjemnością, a przy okazji szydełkowała. Była w tym prawdziwą artystką, jej robótki - kołnierzyki, serwetki, mankietiki, obrusy - cieszyły się wielkim powodzeniem. Dorabiała sobie w ten sposób po pracy. To, że zawsze towarzyszyła przyjaciółce w czasie spotkań z Aleksym, było czymś oczywistym i dopiero jej dzisiejsze sugestie uświadomiły młodemu człowiekowi, że samozwańcza opiekunka Galiny pełni przy okazji rolę cerbera. Kiedy to odkrył, poczuł się skrępowany. Odprowadzając kobiety po próbie był mniej rozmowny niż zwykle i baczniej obserwował zachowanie dziewczyny.

Niebawem w fabryce zaczęto mówić, że znaczna grupa Bułgarów wróciła z niewoli do kraju i potrzebne będą dla nich miejsca pracy obsadzone dotychczas przez cudzoziemców. Jednocześnie pojawili się werbownicy oferujący dobrze płatne zajęcia we Francji, Anglii i Niemczech. Po zdziesiątkowaniu wojska i ludności cywilnej, jakie

przyniosła wojna, w całej dynamicznie odbudowującej się Europie brakowało rąk do pracy.

Aleksieja zainteresowała propozycja Francuzów. Chętnym do zatrudnienia się w fabryce wyrobów żelaznych niedaleko miasta Caen oferowano domki w kolonii robotniczej, obywatelstwo i różne przywileje. Jego kolega przebywał tam już od pewnego czasu i jak wynika z jego listów, bardzo sobie chwalił pobyt we Francji. Aleksiej mógłby pójść w jego ślady, gdyby nie... Galina. Przyrzekł sobie, że będzie nad nią czuwać, a jak ma to czynić na odległość?

Przez całą noc bił się z myślami i uświadomił sobie, że nie może i nie chce przebywać z dala od córki Korolowa. Musi wiedzieć, jak potoczą się jej losy, chce słuchać jej głosu, widzieć jej nieśmiały uśmiech i czuć na sobie ufne spojrzenie jej wielkich błękitnych oczu. Ona potrzebuje opieki, a on ją powinien jej zapewnić. Podjął decyzję, że wyjedzie razem z Galiną albo wcale.

Następne ich spotkanie miało niewiele wspólnego z muzyką. Aleksiej czekał już, kiedy nadeszły przyjaciółki. Nie kryjąc entuzjazmu opowiedział dziewczynom o kuszącej propozycji Francuzów. Raisa skwitowała jego opowieść sarkastycznym stwierdzeniem:

- Wyjedziesz i zaczniesz nowe życie, prędzej czy później tak się to musiało skończyć...

Galina, która słuchała go z grzecznym uśmiechem, po odzywece przyjaciółki zrozumiała wagę tego, co usłyszała, i uśmiech jej zastygł na wargach, a za chwilę ulotnił się. Usta ułożyły się w podkówkę, jak u dziecka, które ma zamiar się rozpłakać.

Tymczasem Raisa wypowiedziawszy swoje hiobowe przypuszczenie, udała się do kancelarii monasteru. Tego dnia bowiem nie była jak zwykle tylko osobą towarzyszącą. Sława o jej precyzyjnych haftach i cieniutkich szydełkowych koronkach dotarła i tutaj. Postanowiono zamówić u niej komże i obrusy liturgiczne. Bardzo ją to emocjonowało, jednocześnie bała się, czy stanie na wysokości zadania. Kiedy wyszła, Aleksiej usiadł bliżej Galiny i powiedział:

- Wyjadę, ale tylko w takim przypadku, gdy ty zgodzisz się pojechać ze mną.

- Ale werbownicy proponują pracę tylko mężczyznom - wyszeptwała dziewczyna.

- Co z tego? Przecież żonaci jadą z rodzinami.

- Ale ty nie jesteś żonaty...

- To zależy od ciebie.

- Ode mnie?

- Ależ ze mnie bałwan! Nic dziwnego, że nie jesteś w stanie

zrozumieć, o co mi chodzi, skoro ja... Nie kończąc zdania przyklękła przed nią i powiedział poważnie:

- Galino Lwowna Korolowa, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną?

Galina stała jak zaczarowana. Chociaż nieobce jej były ostatnio sny na jawie z Aleksiejem w roli głównej, sceny, którą oglądała, nie było w najśmielszym z nich.

- Jeśli nie żartujesz sobie ze mnie, to... to ja...

- Bardzo, bardzo poważnie, najpoważniej na świecie ja, Aleksiej Michaiłowicz Orłow, proszę cię, Galino Lwowna Korolowa, żebyś została moją żoną.

- Dobrze... dobrze, Alioszka, ale żeby się pobrać, trzeba się pokochać... a ty... nigdy nie dałeś mi do zrozumienia...

- A to, że od wielu miesięcy spędzam z tobą każdą wolną chwilę, nic nie znaczy? Dotąd nie było perspektywy rozstania. Sam nie wiedziałem, co czuję. Kiedy pomyślałem o wyjeździe, zrozumiałem, że nie mogę być daleko od ciebie, że chcę wiedzieć, iż nic ci nie grozi, patrzeć na ciebie, słuchać twego głosu, opiekować się tobą... Czy to nie są wystarczające powody, żebyśmy byli razem? Chyba że nie chcesz...

- Ja miałabym nie chcieć? Ja nawet nie śmiałam o tym marzyć!

Aleksy podniósł się i stanął przed Galiną w całej swojej okazałości. Uniósł ją lekko w ramionach, żeby dosięgnąć jej ust. Nie oddała mu pocałunku, ale nie bronila się przed nim. Stała nieruchomo, z przymkniętymi powiekami i lekkim uśmiechem. Spod wilgotnych rzęs oderwała się kropelka łzy i potoczyła się po rozgrzanym policzku. Postawił ją delikatnie na podłodze. Jej kruchość, która tak go urzekała, kiedy poczuł ją w ramionach, przyprawiła go o zawrót głowy. Miał ochotę tulić ją bez końca. A świeżo upieczona narzeczona rozplakała się na dobre.

- Tak się cieszę... tak się cieszę! - szeptała pociągając nosem.

- Właśnie widzę: rozpaczliwie się cieszysz - roześmiał się Aleksy. - Nie wiem, czy mi to pochlebia.

Otoczył ją ramieniem, wyjął chusteczkę i zaczął wycierać łzy.

Sam też poczuł się nieswojo, wydawało mu się, że takie wzruszenie, jakiego w tej chwili doświadczał, jest niestosowne dla mężczyzny. Oboje nie byli przyzwyczajeni do takich sytuacji. Ich nagła bliskość była porywająca, ale czuli się też nią zażenowani.

- Nie płacz maleńka - szeptał chłopak, tuląc ją do siebie.

- Bo widzisz... od czasu, kiedy zostałam sama, myślałam, że już nigdy nic dobrego mnie nie spotka... a tu nagle - takie szczęście!

- Oboje jesteście okaleczeni przez życie, ale wierzę, że będziemy mieli swoje dobre dni. Nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić, nigdy! Święcie ci to przyrzekam.

- Co daj Boże, amen! - usłyszeli Raisę, która wróciła właśnie z kancelarii.

Aleksy przytrzymał Galinę, która na dźwięk głosu przyjaciółki odruchowo próbowała odsunąć się od niego. Przytulając ją mocniej do siebie, powiedział:

- Jak to przepowiedziałś, jadę do Francji, z tą tu obecną moją przyszłą żoną, żeby tam zacząć nowe życie. Co ty na to, prorokinio?

Raisa nie powiedziała ani słowa, podeszła bliżej i otoczyła ich ramionami.

Wiść o zaręczynach błyskawicznie rozniosła się wśród imigrantów. W odróżnieniu od głównych bohaterów wydarzenia wszyscy twierdzili, że dawno się tego spodziewali. Ślub musiał się odbyć w ciągu najbliższych tygodni, bo za niecałe dwa miesiące miało nastąpić zgrupowanie wszystkich chętnych do wyjazdu do Francji w Warnie, skąd miał wyruszyć transport.

Młodzi postanowili, a opat wyraził na to zgodę, że ceremonia zaślubin odbędzie się w kolejną rocznicę wyzwolenia monasteru od Turków, które świętowano od lat bardzo uroczyście. Kiedy jednak zaczęli załatwiać wstępne formalności, okazało się, że Galina oprócz wpisu na liście robotnic fabryki nie posiada żadnego dokumentu stwierdzającego jej tożsamość, a bez niego nie można było udzielić sakramentu.

Zaniepokojeni narzeczeni starali się zasięgnąć tu i tam języka, jak załatwia się takie sprawy. Wreszcie poradzono im, żeby napisali do Sofii, do urzędu do spraw imigrantów. Uczynili to natychmiast i czekali z niecierpliwością, bo czas naglił. Termin odprawienia transportu zbliżał się nieubłaganie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po dwóch tygodniach nadeszła wreszcie wiadomość z Sofii w sprawie sporządzenia dokumentu tożsamości Galiny. Okazało się, że winna zgłosić się po niego osobiście w stołecznym Centralnym Urzędzie Imigracyjnym. Był to nie lada kłopot, bo do odprawienia transportu do Francji pozostało zaledwie dziesięć dni i istniało prawdopodobieństwo, że młodzi nie zdążą do tego czasu ze ślubem. Ich mariaż poza tym, że go pragnęli, był też pewnego rodzaju dyktatem. Transport mianowicie obejmował wyłącznie ludzi wciągniętych na listę przyszłych pracowników koncernu wyrobów żelaznych w Colombelles pod Caen i ich rodzin. Aleksy był na tej liście, a Galina nie. Gdyby nie zdążyli z formalnościami i ceremonią, nie mogłaby wyjechać razem z nim. Takiego obrotu sprawy młodzieniec nie przyjmował do wiadomości. Postanowił w duchu, że jeśli nie zdążą się pobrać, zrezygnuje ze swego wyjazdu. Skoro się już zadeklarował, nie może narazić narzeczonej na rozczarowanie.

Poprzedniego dnia zakończył pracę w Zakładach Tytoniowych. Wszystkich zwerbowanych do Francji już zwolniono, ich miejsca od razu zajęli Bułgarzy. Taki obrót sprawy Aleksemu był na rękę, bo chciał towarzyszyć narzeczonej w Sofii przy uzupełnieniu dokumentów. Czekał na nią pod bramą fabryki. Nazajutrz mieli wyruszyć w podróż do stolicy, ale postanowili jeszcze wstąpić do monasteru, żeby pożegnać się z mnichami i odebrać z biblioteki nuty, które brat Zachar dla nich kopiował. Wykonał ogromną pracę i nie chciał przyjąć zapłaty. Podając im grubą teczkę z nutami powiedział:

- Mam dla was pewną nowinę, która może okazać się wybawieniem z waszych opałów. Odwiedził mnie mianowicie kuzyn, też zresztą duchowny, który jest popem w Cerkwi Katedralnej Zaśnięcia

Bogurodzicy w Warnie. Opowiedziałem mu o was i on jest skłonny pomóc.

- W jaki sposób?

- Sam wam to powie, chce z wami najpierw porozmawiać, zaraz go tu poproszę.

Kuzyn brata Zachara wcale nie był do niego podobny. Gdyby nie sutanna, nie przypominałby duchownego. Z wyglądu była to persona nadzwyczaj demoniczna. Czarne włosy, poskręcane jak u Afrykanów sprawiały wrażenie kozackiej czapy baraniej, jego zarost, a więc wąsiska, bokobrody i długa broda też były skręcone tak mocno, że chyba nigdy nie był w stanie ich rozczesać, bo nie było na nich śladu grzebienia. Do tego zrosnięte nad nosem, łukowate gęste brwi nad głęboko osadzonymi czarnymi oczami o świdrującym spojrzeniu - wszystko to bardziej pasowało do diabła, złego czarownika niż do popa.

Kiedy się jednak odezwał, jego rozmówcy byli zdezorientowani, tak bardzo ten łagodny, melodyjny głos nie przystawał do demonicznej zewnętrzności. Po prostu przeczył wyglądowi.

Przywitał się z młodymi, a następnie zwrócił się do Galiny:

- Czy ty aby jesteś pełnoletnia? Wyglądasz mi na czternaście, no, najwyżej piętnaście lat.

- Za trzy miesiące skończę dziewiętnaście, Wasza Świątobliwość.

- To dobrze, chociaż trudno mi w to uwierzyć. A może ty ukrywasz dokumenty, żeby wydać się ludziom starsza, niż jesteś? - zażartował.

- Ależ skąd! Papcio miał przy sobie wszystkie nasze papiery. Nośił je zawsze w kieszeni surduta. W szpitalu na Gallipoli spalono nasze ubrania, pewnie nie zdążył ich wyjąć, był przecież nieprzytomny. Ja też potem zachorowałam i dopiero po wyzdrowieniu dowiedziałam się, że papcio nie przeżył.

- A twoja matka też jest bez dokumentów?

- Mama i dwie moje siostry zostały w Odessie. Bolszewicy zbliżyli się do miasta i statki dostały nagle rozkaz odplynięcia. Więcej niż połowa ludzi nie zdążyła się zaokrętować.

- Biedacy... A ty, moje dziecko, zostałaś sama?

- Tak, jestem tutaj zupełnie sama...

- Już nie - szepnęła Aleksy.

- Tak... teraz już nie.

- I ty, chwacie, uważasz, że będziesz dla niej dobrym opiekunem?

- Mam taką nadzieję. W każdym razie zrobię wszystko, żeby ją chronić.
- Dobrze więc. Udzielę wam ślubu.
- A dokumenty?
- Zrobimy tak: pojedziecie do Sofii, a gdyby oczekiwanie na dokument się przedłużyło na tyle, że zaistniałoby ryzyko spóźnienia się na transport, przyjeżdżajcie do Warny, udzielę wam sakramentu.
- Bez dokumentów?
- Sporządzimy w kancelarii parafialnej akt małżeństwa, to powinno wystarczyć do umieszczenia twojej narzeczonej na liście pasażerów. Musicie jednak przywieźć ze sobą dwie osoby, które poświadczą tożsamość panny młodej.
- Raisa Antonowna Sokołowa mogłaby poświadczyć. Leżała ze mną w szpitalu na Gallipoli - powiedziała Galina.

Oprócz zamętu z dokumentami, cieniem nad szczęściem dziewczyny kładła się perspektywa rozstania z Raisą. Wprawdzie przyjaciółki obiecały sobie, że gdy tylko sprawy nowożeńców we Francji trochę się ustabilizują, powiadomiona o tym Raisa dołączy do nich, ale zdawali sobie sprawę z tego, że jak im się tam ułoży, zobaczą dopiero na miejscu.

Tymczasem zajęci sobą narzeczeni nie wiedzieli o tym, że Raisa wpadła w oko Arkademu Babinczowi, który przyjechał jako tłumacz z organizatorami transportu pracowników skaptowanych do Fabryki Wyrobów Metalowych w Colombelles.

Był to Francuz polskiego pochodzenia, z wykształcenia chemik. Dał się namówić przyjacielowi na wyprawę do Bułgarii ze względów turystycznych. Ponieważ mówił też doskonale po rosyjsku, przy okazji był tłumaczem. W ten sposób wykorzystał swój urlop. Ten trzydziestoletni naukowiec od dwóch lat pełnił funkcję kierownika produkcji w koncernie wyrobów żelaznych w Colombelles.

Raisę poznał w czasie swojej wizyty u przeora monasteru. Najpierw zobaczył jej ręce. Zdumiała go ich nadzwyczajna zręczność. Kobieta znaczyła monogramami klasztoru wcześniej przez siebie wyhaftowane szaty liturgiczne, obrusy i stuły. Gdyby nie zobaczył jej przy pracy, nie uwierzyłby, że podobnie precyzyjne wzory mogą być wykonane ręcznie.

Cieniutka igiełka tylko śmigała w jej smukłych palcach, znacząc materiał splotem zdobnych liter. Pomyślał, że te ręce zasługują na to, by je ucałować. Ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, a tu nagle ciemna czupryna odsłoniła czarne łukowate brwi i wspaniałe,

też czarne jak smoła oczy. Spuściła je natychmiast i zarumieniła się lekko, jakby nieznajomy przyłapał ją na coś niestosownym.

- Pozwól Raiso, że ci przedstawię naszego gościa. Pan Arkady Babinicz jest uczonym z dalekiej Francji. Pokazałem mu wczoraj twoje dzieła, zachwycił się nimi. A dzisiaj, skoro cię tu zastał, ma okazję osobiście ci ich pogratulować. Oto nasza artystka hafciarka Raisa Antonowna Sokołowa.

- *Merveilleuse!** - wyszeptał młody człowiek. - Dosłownie dech mi zaparło.

- *Merci monsieur, c'est gentil** - odpowiedziała kobieta.

* Cudowna!

* Dziękuję panu, to miłe.

Arkady miał rację, że dech mu zaparło, tylko że teraz uświadomił sobie, iż nie wie, co bardziej: chmurna, ale niewątpliwa uroda młodej kobiety czy jej niewiarygodne hafty.

- Mówi pani po francusku? Gdzie się pani tego nauczyła?

- Na pensji w Odessie. I mówić po francusku, i haftować.

- Nie spodziewałem się spotkać tutaj kogoś tak wyjątkowego, czuję się zaszczycony. - Mówiąc to młody człowiek obserwował dłonie Raisy, które ani na chwilę nie ustawały w pracy.

- Widzę, panie Arkady, że jest pan wielkim admiratorem hafciarstwa, niezwykajne upodobanie jak na chemika - zażartował przeor. - Raiso, gdy pani skończy, zapraszam do mnie po zapłatę i na herbatkę. Pana też zapraszam - zwrócił się do Babinicza.

- Z przyjemnością skorzystam z zaproszenia, ale teraz, jeśli pani nie będzie to krępowało, popatrzę sobie jeszcze, jak pani haftuje.

- Proszę bardzo, chociaż nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że w haftowaniu jest coś na tyle widowiskowego, żeby aż się temu przyglądać.

- Ja też nie przypuszczałem, że ulegnę takiej fascynacji.

Raisa udawała obojętność, ale w duchu cieszyła się, że przybysz z daleka nie odszedł z przeorem. Spodobał się jej. Wysoki, dobrze zbudowany, elegancki, z gęstą ciemnoblonde falą prostych włosów opadających na czoło. Jego stalowe oczy były duże i wyzierała z nich dobroć. Kiedy w nie spojrzała, pomyślała, że komuś takiemu mogłaby zaufać, chociaż od śmierci męża sądziła, że już nigdy żaden mężczyzna jej nie zainteresuje.

Nie rozmawiała o tym z Galiną, ale jej dotychczasowe życie od śmierci rodziców, jeszcze przed wybuchem wojny i rewolucji, nie było usłane różami. Pochodziła wprawdzie ze znakomitej i zasobnej rodziny, lecz niezbyt długo trwało jej beztrudne bytowanie. Ojciec,

znany chirurg, był dyrektorem odeskiego szpitala, a matka córką właściciela kopalni złota.

Raisa była ich pierworodną córką, a po niej każdego roku przybywało nowe dziecko. Przy ósmym matka zmarła w połogu, zabierając z sobą niemowlę. Ojciec nie potrafił sobie z tym nieszczęściem poradzić i po dwóch latach zmagania z rozpaczą odebrał sobie życie.

Osierocone dzieci trafiły pod opiekę żony brata matki, Niny Pietrownej. Sprawowała tę opiekę sama z pomocą służby, bo jej mąż Grigorij, podobnie jak wszyscy od kilku pokoleń w tej rodzinie, był poszukiwaczem złota i w domu pojawiał się rzadko i na krótko. Być może także z tego powodu, że Nina Pietrowna nie dała mu potomstwa. Jego ciągłą nieobecność w domu znosiła dotąd z pokorą, więcej muzykowała, więcej czytała, ale rzadko widziano ją uśmiechniętą.

Kiedy mali kuzyni zaludnili rozległe domiszcze, wszystko się nagle zmieniło. Przede wszystkim nareszcie zapełniły się liczne pokoje. Razem z dziećmi przyjechały bony i guwernantki. Sierotom niczego nie brakowało, oprócz, ma się rozumieć, miłości rodzicielskiej. Nina Pietrowna nieba im skłonna była przychylić, pokochała je jak swoje, przy nich czuła się nareszcie spełniona. Lata mijały i starsze dziewczęta posłano na pensję. Najtrudniej było Ninie Pietrownej rozstać się z najstarszą siostrzenicą męża, Raisą. Ta poważna, pracowita dziewczyna stała się dla niej prawdziwą podporą i przyjaciółką, jako że była zaledwie o pięć lat od niej młodsza. Kiedy tuż po wybuchu rewolucji Raisa ukończyła pensję i wróciła do domu, stały się nierozłączne.

Niedługo potem czasy zrobiły się tak niespokojne, że trzeba było i młodsze rodzeństwo poodbierać ze szkół. Mogli teraz kontynuować naukę jedynie w domu. Bardzo szybko bolszewicy zajęli kopalnie złota i wujek Grisza wrócił na łono rodziny. Nienawykły do bezczynności, snuł się po pokojach znudzony i załamany, zwłaszcza że czuł się też odtrącony przez żonę, która zajęta dziećmi, nie poświęcała mu tyle uwagi, ile się spodziewał. Tak jak ona wcześniej, tak on teraz czuł się niepotrzebny. Mimo że pokrewieństwo jego z dziećmi siostry było znacznie bliższe niż jego żony z nimi, nie czuł więzi krwi.

Nade wszystko zaś drażniła go zażyłość Niny z najstarszą siostrzenicą, Raisą. Obserwował je ukradkiem, gdy spacerowały po ogrodzie z książkami pod pachą. Przyglądał się im, kiedy haftując w altanie rozmawiały i śmiały się, czasem podejrzewał, że z niego. Będąc wciąż w pobliżu, nie mógł nie zauważyć zmian, jakim uległa nowa przyjaciółka jego żony. Z tyczkowatej, patrzącej spode łba poczwarki zmieniała się nie tyle w motyla, co pięknego ptaka. Mocna,

ale smukła budowa, grube czarne warkocze upięte w koronę i ślicznie zarysowane czarne łukowate brwi podobne rozpiętym skrzydłom ptaka, umieszczone niezbyt daleko nosa, co czyniło twarz nieco chmurną, no i te oczy. Oczy przepaściste, czarne jak smoła i błyszczące. Nosek krótki, nietypowo jednakowej szerokości od oczu do nozdrzy. Do tego śniada, nieskazitelna cera.

Im dłużej Grigorij na nią patrzył, tym trudniej było mu przestać to czynić. Kiedy zauważył zażyłość obu kobiet, najpierw był zazdrosny o żonę. Teraz zaczynał zazdrościć żonie zażyłości z dziewczyną, która zaczęła w niezdrowy sposób działać na jego wyobraźnię. W każdym bądź razie nie przestawał o niej myśleć.

Jeszcze się karcił za to, ale tylko do momentu, kiedy nad rzeką zobaczył ją nagą. Od tej pory jego słabość zamieniła się w obsesję, aż pewnej nocy zakradł się do jej pokoju i zaczął pieścić śpiącą. Obudziła się, wyskoczyła z łóżka, stanęła w kącie i chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Po chwili uświadomiła sobie, że jest wobec wujaszka absolutnie bezbronna, bo jeśli podniesie alarm, sprawi przede wszystkim wielką przykrość ukochanej ciotki Ninie, która okazuje jej i rodzeństwu tyle serca. Postanowiła więc przemówić do rozumu niesforememu wujaszкови.

- Wujku Grigorij, proszę, nie rób mi krzywdy, przez pamięć o mojej mamie, a twojej siostrze - błagam...

- Krzywdy??? Ja bym ci nieba przychylił dziewczyno, a to, co nazywasz krzywdą, jest szczęściem. Jesteś piękna, stworzona do miłości.

- Ale błagam wujaszku, zostaw mnie w spokoju...

Dziewczyna łkała, przesuwała się wzdłuż ściany, a on zbliżał się do niej.

- Cicho głupia - szeptał usiłując jej dosięgnąć. - Cicho, bo pobudzisz wszystkich...

Dziewczyna była przerażona, wujek Grisza sprawiał wrażenie szaleńca. Jego oczy były zupełnie nieprzytomne. Raisa postanowiła zaryzykować, skoczyła ku drzwiom, otworzyła je szybkim ruchem i wybiegła na korytarz. Nie zważając na swego prześladowcę, który był o krok, skierowała się do pomieszczenia dla służby, wiedząc, że mężczyzna nie odważy się tam za nią wejść. Dopadła łóżka starej pokojowej, a gdy ta się obudziła, powiedziała, że miała straszny sen i boi się zostać sama. Kobieta podniosła się i obiecała, że zostanie z nią, póki nie zaśnie. Dziewczyna wypłakała się w jej ramionach, a po godzinie powiedziała:

- Idź już Wiera, ja zasnę, tylko poczekaj pod drzwiami, aż za-

mknę je na klucz.

Od tej pory nie czuła się w tym domu bezpieczna. Zamykała drzwi na klucz każdej nocy, a za dnia nosiła go pod stanikiem, żeby wujaszek go nie sprzątnął. Unikała samotnych spacerów, wszędzie ściagał ją pożądliwy wzrok brata jej matki. Jego żonie, jedynej osobie, która zdołałaby jej pomóc, nie mogła i nie chciała o tym powiedzieć, żeby jej nie zranić. To było nie do wytrzymania, toteż kiedy nadarzyła się okazja, zdecydowała się na krok desperacki.

Po utarczce z bolszewikami w ich domu schronili się ranni białogwardziejcy. Jeden z nich, zielonooki Misza Sokołow, był tylko draśnięty w ramię i szybko wrócił do zdrowia. Ledwie wydobrzeł, zaczął zalecać się do Raisy. Trochę jej się podobał, ale nie na tyle, żeby odpłacać mu takim zainteresowaniem, jakim on ją darzył. Pewnie nic by z jego zalotów nie wyszło, gdyby nie wujek Grisza. Znienawidził chłopaka i przy najbliższej okazji wypowiedział mu dom. Zrozpaczony Misza klęknął przed wybranką i błagał, żeby jako jego żona opuściła dom razem z nim.

Dziewczyna nic do niego nie czuła, ale pomyślała sobie, że taki związek mógłby być wybawieniem z kłopotu imieniem wujek Grisza. Przyjęła oświadczyzny z nadzieją, że go pokocha. Przeliczyła się. Misza należał do zdobywców, którzy tracą zainteresowanie tym, co do nich należy. Był nazbyt rubaszny i nieokrzesany, kochał się z nią po prostaku, bez czułości. Była to gehenna, nie małżeństwo, i prawdę rzekłszy, jego śmierć w czasie zarazy na Gallipoli okazała się dla niej wybawieniem.

Nie dopuszczała do siebie takich myśli, bo wszystko było lepsze od tego, że znalazłaby się w ramionach wujka Griszy. Poza tym w swojej dobroci Raisa nigdy nie życzyła Miszy śmierci. Jaki był, to był, ale jednak to był jej mąż i nawet żałowała, że nie miała z nim dziecka. Po tych doświadczeniach ani jej w głowie było myśleć o nowym związku. Dopóki nie spotkała Arkadego. Zjawił się niespodzianie, pokochał ją i ona tę miłość odwzajemniła. Los okazał się aranżerem mocniejszym niż wszyscy. Sprawy potoczyły się szybko, sama nie wiedziała, kiedy powiedziała „tak”.

Nie upłynęły dwa tygodnie, a dwie młode pary brały ślub w Warnie. Potem wsiedli na statek i popłynęli do Francji. Galina nareszcie z otuchą patrzyła w przyszłość. Wierzyła, że jej los się spełnił i nigdy już nad nią ani jej nową rodziną nie zawiśnie groźba takich nieszczęść, jakie były udziałem jej i bliskich jej osób. A wielki reżyser - los uśmiechał się pobłażliwie i swoje wiedział.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Osiemnastotysięcznik „Normandie”, przycumowany w porcie warneńskim, odbył właśnie połowę swego dziewiczego rejsu. Zakupiony niedawno od Hiszpanii, był jednym z pierwszych wielkich nabytków Francuzów po wojnie. Pomalowany na dwa odcienie niebieskiego, z granatowymi kominami, dumnie wystawiał na maszcie trójkolorową banderę, powiewającą wesoło na wietrze. Był masywny i dostojny. Pod białą inskrypcją na kadłubie: „Normandie” mniejszymi literami wypisane było jego przeznaczenie: „statek handlowy”.

Skończono właśnie wyładowywanie szyn kolejowych wyprodukowanych w Zakładach Wyrobów Metalowych w Colombelles. Całe ich góry leżały wzdłuż portu. Ledwie znaleziono miejsce na ustawienie trapu.

Zanim ochotnicy zwerbowani do pracy w owej fabryce w Colombelles pod Caen zaczęli się po nim wspinać, dźwigi załadowały towar zakupiony w Bułgarii, między innymi wyprodukowane przez naszych bohaterów w Zakładach Tytoniowych papierosy.

Do kilkudziesięciu osób, które z niewielkimi tobołkami czekały na zaokrętowanie, zszedł sam kapitan statku. Towarzyszył mu mąż Raisy. Kapitan przemówił, a Arkady przetłumaczył jego słowa na rosyjski: „Wita Państwa Jerome Arnaud, kapitan «Normandie». Zapraszam na pokład. Czynię to z tym większą przyjemnością, że jest to nasz pierwszy rejs, którego połowę ukończyliśmy właśnie tutaj, w Warnie. Państwo będziecie naszymi pierwszymi i zarazem, jak sądzę, ostatnimi pasażerami, bo statek jest przeznaczony do transportu ciężkiego ładunku, a nie ludzi. Na ten rejs jednak przystosowano kilka pomieszczeń dla podróżnych, żeby mogli z nami popłynąć. Nie są to

kajuty komfortowe, jakie zapewniają statki pasażerskie. Niemniej załoga zrobi wszystko, by wasza podróż była znośna. Mam nadzieję, że czas rejsu do Marsylii będziecie wspominać dobrze. Tym bardziej że jego trasa jest niezwykle atrakcyjna. Zawiniemy bowiem do takich portów, jak Istambuł, Ateny, Neapol i oczywiście Marsylia. I jeszcze coś: kilka większych kajut wygospodarowaliśmy dla czterech rodzin, które z nami popłyną, a dwie dwuosobowe kabiny gościć będą dwie pary nowożeńców, bo to ich podróż poślubna. Pan, który teraz jest uprzejmy pełnić rolę tłumacza, to Arkady Babinicz, a drugim nowożeńcem jest Aleksiej Orłow - proszę pana tu do mnie. Wręczając panom klucze do kabin, życzę szczęścia na nowej drodze życia". Po tych słowach grupa uchodźców zgotowała kapitanowi owację.

Zarówno dla Raisy, jak i Aleksego z Galiną była to wielka niespodzianka. Nie oczekiwali tak pięknego gestu. Może nie było to aż tak wielkim zaskoczeniem dla Arkadego, jego status był wszakże zupełnie inny. Był bądź co bądź inżynierem ze ścisłego kierownictwa jednej z największych fabryk francuskich i od dawna obywatelem tego kraju, ale Aleksy, biedny wędrowiec mimo woli, niepewny do końca swojej przyszłości, naprawdę czuł się wielce uhonorowany.

Wyłynęli z Warny przy pięknej pogodzie przed południem. Niemal cały pierwszy dzień spędzili na pokładzie stłoczeni przy rufie statku, patrząc na północ. Tam to gdzieś za horyzontem pozostawała za nimi Odessa, którą opuszczali przed laty w dramatycznych okolicznościach. Teraz dzieliło ją od nich tylko morze, ale też barykada nie do pokonania - bolszewicka granica.

Galina płakała - gdyby matka i siostry wiedziały, że jest tak niedaleko, lecz zamiast się do nich zbliżać, oddała się coraz bardziej... Zresztą może to i dobrze, że tego nie wiedzą, tylko by cierpiały niepotrzebnie. Popłynie teraz tą samą drogą co przed laty, przez Bosphor, morze Marmara i Egejskie, aż do Śródziemnego. Rejs ma się zakończyć w Marsylii. Później pociągi powiozą ich na północ, aż nad kanał La Manche. Co za przygoda!

Wspomnienie bliskich bardzo poruszyło Galinę. Raisa bała się, że zmiany, jakie nastąpią w życiu jej przyjaciółki, mimo zaufania do Aleksego i wielkiej do niego miłości dziewczyny, mogą być dla niej niełatwe. Dawno przekonała się, że Galina jest naiwna jak mało kto. Do tego wszystkiego miała naprawdę bardzo słabe serce. Opowiadała o tym, jak od dzieciństwa wszyscy nad nią z tego powodu czuwali, wciąż ją leczyli i chronili przed emocjami i wszelkim wysiłkiem. Paradoksalnie, spartańskie warunki na uchodźstwie trochę ją zahartowały. Nie raz jednak, kiedy śpieszyły rano do pracy, dziewczyna

dostawała zadyszki, jakby miała lat sześćdziesiąt, a nie kilkanaście.

Dlatego też Raisa postanowiła uczulić na to Aleksieja. Zrobiła to przy pierwszej okazji, kiedy Gala oddaliła się na chwilę.

- Alioszka, wybacz mi, że wtrącam się w wasze sprawy, ale chciałabym cię przed czymś przestrzec.

- Co znowu? - zaniepokoił się. Poczul też lekką irytację. Raisa rzeczywiście miała nieznośny zwyczaj mieszania się w życie jego żony.

- Może nie wiesz, że Galina jako dziecko długo chorowała na serce. Uważaj na nią, proszę. Teraz trochę się jej poprawiło, ale nigdy nie wiadomo.

- Ożeniłem się, żeby ją chronić, a nie zniszczyć. Przyjmij to do wiadomości i nie zaprzataj sobie tym głowy. Możesz być o nią spokojna:

- Co ty, nie gniewaj się, ja tylko...

Raisa poczuła się nieswojo, może rzeczywiście nie powinna się wtrącać. Aleksy, jak zauważyła, odnosił się z szacunkiem do kobiet, a dla Gali był niezwykle czuły. Poza tym jej słowa jednak wywarły na nim wrażenie. Widać to było choćby i w tym, że pomimo zaofiarowanej przez kapitana wielkim gestem dwuosobowej kabiny, inicjację Galiny rozgrywał z wielką delikatnością i zrozumieniem i dopiero trzeciej spędzonej razem nocy zostali naprawdę mężem i żoną.

Młode pary, a więc i nierozłączne dotąd kobiety niewiele się widywały. Właściwie tylko w czasie posiłków i w portach. Wszakże Ateny, Neapol, Genua były tak wielką atrakcją, że wszystkie inne tematy blakły. Wystarczyło Raisie spojrzeć na błyszczące szczęściem oczy Gali, żeby dać sobie spokój z sondowaniem jej samopoczucia. Ją samą zresztą wciągnęła intensywność małżeńskich przeżyć.

Kiedy w Marsylii Aleksiej i Gala żegnali się z nadzwyczaj uprzejmym kapitanem, ten uraczył ich opowieścią o swojej niedosłej podróży poślubnej. Gdy już miał ją odbyć, został nagle wezwany na statek wojenny. Prosto ze ślubu pojechał objąć stanowisko. Jego losy potoczyły się tak, że z żoną już więcej się nie spotkał. Zmarła na zapalenie płuc, zanim wrócił z wojny. Dlatego dowiedziawszy się o ich ślubie w Warnie, postanowił ich ufetować. Poznawszy jego tragiczną historię, tym bardziej mu dziękowali, bo też rzeczywiście, zgodnie z jego życzeniami, dni i noce spędzane na „Normandii” były dla nich niezapomniane.

Po zejściu na ląd w Marsylii nie było już tak różowo. Czasy powojenne nie sprzyjały podróżowaniu. Pociągi były zatłoczone.

Ponieważ mieli bilet zbiorowy, tanio wykupiony przez fabrykę, traktowano ich odpowiednio do jego ceny. W Lyonie mieli przeziadkę, czekali półtorej doby.

Do Paryża dojechali w doczepionych do składu osobowego wagonach towarowych i musieli przemieścić się z dworca lyońskiego (Gare de Lyon) na Dworzec Saint-Lazare, skąd dopiero mieli dotrzeć na miejsce przeznaczenia. Pociąg osobowy, do którego ich załadowano, robił dużo hałasu, szarpał, sapał i zatrzymywał się na każdej stacji. W efekcie pokonanie dwustu dwudziestu kilometrów dzielących Caen od Paryża zajęło ponad pięć godzin.

Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, Galina była ledwie żywa. Dla Raisy był to kres podróży. Apartament jej męża znajdował się bowiem w eleganckiej dzielnicy Caen. Kobiety pożegnały się obiecując sobie, że będą się często odwiedzać.

Galina nie wątpiła w szczerą przywiązaną przyjaciółki do niej, ale co do częstych spotkań żywiła pewne obawy. Aleksy uświadomił jej w rozmowie poprzedniego wieczoru, że Raisa nie będzie dzielić ich losu. Jako żona znanego chemika, wicedyrektora fabryki, znajduje się w zupełnie innym środowisku i nawet nie będzie jej wypadało bratać się z rodziną prostego robotnika.

- Prostego robotnika? Też coś! Chyba nie mówisz o sobie? - oburzyła się Galina. - Ty jesteś przede wszystkim artystą, a potem robotnikiem.

- Dla pracodawców jestem tylko robotnikiem. W dodatku niewykwalifikowanym. Ot co.

- Ależ skąd, Alioszka. Nieważne, co oni sobie myślą. Jesteś, kim jesteś, a dla mnie jesteś słońcem i światem.

- Kruszynko moja! - przytulił ją do siebie wzruszony.

Cała ta ich rozmowa przypomniła mu się, kiedy żegnali się z Arkadym i Raisą. Rozejrzał się wtedy po tłumie tych, co z nimi przyjechali, i musiał przyznać rację swojej żonie, że dalibóg nie wyglądali na zwykłych robotników. Bo też w istocie nimi nie byli, zaczęli pracować fizycznie dopiero w okresie swojej niedoli. Przecież to odeska elita, szlachta, kupcy i inteligencja uciekała przed bolszewicką nawałą. Biednie ubrani, ale kulturalni, o szlachetnych, nierzadko dystygowanych twarzach, myślących oczach. Było wśród nich kilku zawodowych muzyków, profesorów gimnazjum, nawet profesor literatury z odeskiego uniwersytetu, jeden dentysta, malarz i kilku kupców. Wszyscy teraz zadeklarowani ochotnicy do pracy w Zakładach Wyrobów Metalowych w Colombelles, skłonni do nauki zawodu, żeby tylko zarobić na jakąkolwiek egzystencję, nim się w

Rosji sytuacja nie wyjaśni.

Zanim Aleksy skończył lustrowanie towarzyszy niedoli i niewesołe rozmyślenia, podstawiono ciężarówkę i powieziono ich w stronę morza. Nie dotarli jednak do niego, Colombelles bowiem, gdzie znajdowała się fabryka i osiedle robotników, położone było w połowie drogi między Caen a morzem, kilka kilometrów od brzegu.

Robotnicy samotni dostali klucze od pokoi w stojących szeregowo kamienicach, rodziny zaś rozlokowano w wolno stojących dwurodzinnych domach z ogródkami. Aleksego i Galinę potraktowano też jak rodzinę i ku swojej radości zostali lokatorami połowy dość obszernego domu. Mieli do swojej dyspozycji kuchnię, dużą jadalnię i trzy małe sypialnie na piętrze. W domu była elektryczność i woda bieżąca w kuchni, ale nie było żadnych sanitariatów. Przytulona do tylnej ściany domu ubikacja miała służyć lokatorom dwóch domów. Każda z rodzin dostała do niej klucze. Zważywszy jednak na to, jakie warunki mieli w Bułgarii, to, co tu zastali, wydawało się im darem losu.

Mieli przed sobą trzy dni na zagospodarowanie się. Każda z osób zatrudnionych w fabryce dostała zaliczkę pieniężną, poinformowano ich, gdzie są sklepy, szkoła oraz punkt sanitarny i zaproszono do pracy od poniedziałku.

Już nazajutrz zauważyli, że znaleźli się w nieźle zorganizowanym społeczeństwie. Okazało się, że ulokowano ich w ostatnich niezamieszanych domach.

Oprócz nich byli tu też inni rosyjscy uciekinierzy, a także spora liczba Polaków i Włochów. Przybyli przed nimi Rosjanie trzymali się razem, mieli swój sklep, a także salę widowiskową, gdzie spotykali się w niedziele i święta; rozpoczęli już nawet budowę cerkwi. Polacy chodzili do francuskiego kościoła katolickiego, a siostry zakonne użyczały im sali do spotkań w tak zwanych kółkach zainteresowań. Włosi - najmniej liczni - okupowali teren położony najbliżej fabryki. Byli najmniejszą, ale najbardziej hałaśliwą społecznością. Z ich strony docierały do wszystkich głośne śpiewy, kłótnie i nawoływania. Wszystkie dzieci, bez względu na przynależność narodową, miały obowiązek uczęszczania do szkoły francuskiej znajdującej się w centrum osady Colombelles.

Galina i Aleksy czuli się jak królowie w przydzielonym im lokum. Porozwieszali na kółkach w jadalni instrumenty Alioszy oraz Stradivariusa Lwa Piotrowicza Korolowa i od razu poczuli się u siebie.

- Z czasem urządzimy się tutaj całkiem wygodnie, zobaczysz kochanie - obiecywał młody mąż Galinie, która siedziała na ławeczce

przed domem. Kupił właśnie w sklepie łopatę. Zdążył już skopać nią niewielki przydzielony im ogródek i zaczął wytyczać grządki. - Te proste sprzęty zamienimy na wygodniejsze meble. Niech no tylko zaczną pracować.

- A co posadzisz na tych grządkach? Skąd ty to umiesz robić?

- Mieliśmy w Odessie dom z ogrodem. Bardzo lubiłem tam pracować w wolnych chwilach. Cieszę się z tego tu kawałka ziemi. Zasieję kwiaty, warzywa, będzie pięknie. A w niedzielę zrobimy sobie wycieczkę nad morze.

- Życie jest piękne, wszystko dzięki tobie, Alioszka!

- Nie przesadzaj. Rząd francuski też ma w tym pewne zasługi. Gdyby nie dał nam pracy i lokum...

- Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że kiedyś mogę stać się „francużenką”.

- My jak my, ale nasze dzieci, jeśli się tu urodzą...

- No co ty, Alioszka - *Kudriawyj moj, razkudriawyj, kakije dzieci?**- zarumieniła się Galina.

* Mój piękny, mój kędzierzawy, jakie dzieci?

Aliosza mrugnął do niej łobuzersko spod kędzierzawej blond grzywy opadającej mu na czoło.

- Jak to „jakie dzieci”? Te, o które się co noc z takim zapalem staramy.

- Przestań! Nie zawstydzaj mnie.

- Po ciemku mniej jesteś wstydliva. No dobrze, już dobrze. Obie was jednakowo lubię: i tę śmielszą, kiedy ciemno, i tę splonioną teraz.

Niedzielną wyprawę nad morze nie do końca im się udało. Przed wszystkim okazało się, że plaża najbliższej ich osiedla jest jeszcze nie do końca rozminowana po wojnie. Była ogrodzona i wielkie napisy ostrzegały o niebezpieczeństwie nastąpienia na niewypał. Żeby się wykapać, musieliby zrobić dodatkowe dwa kilometry, a pokonali ich już ponad osiem. Galina była mocno zasapana, a musieli jeszcze wrócić do domu. Popatrzyli więc na morze z oddalenia. Znad ogrodzenia nad wydrami, wciągając w nozdrza jego zapach, słuchali jego szumu, nim wybrali się w drogę powrotną.

Przez pół roku od przyjazdu do Colombelles Orłowie przyzwyczaili się do rytmu życia w kolonii rosyjskiej. Miejscowi Francuzi byli im przychylni. Nazywali ich „le Ruskoł”, w odróżnieniu od „les Polaks” i „les Italiens”.

Jak dotąd nikt z osadników nie zwrócił się do rządu francuskiego o naturalizację (zresztą nikt ich do tego nie zachęcał). Wszyscy żyli

jeszcze nadzieją, że nowe porządki w Rosji przestaną obowiązywać i to pozwoli im wrócić do kraju. Nie dopuszczali do siebie myśli, iż opuścili swoją ojczyznę na długo, a co dopiero, że na zawsze.

Spotykając się z rodakami po pracy Aliosza szybko zorientował się, że narastają w ich gronie różnice poglądów i coraz głębsze podziały. Jedni gloryfikowali cara, inni zaczęli się zastanawiać, czy socjaldemokracja nie byłaby lepszym dla Rosji rozwiązaniem, jeszcze inni rozważali, czy aby bolszewicy w pewnych sprawach nie mieli racji. Ich teorie pod wieloma względami byłyby do przyjęcia, gdyby nie chaos i przemoc, jakie towarzyszyły wielkim przemianom.

Niektórzy z emigrantów byli za Kiereńskim. Większość jednak uważała, że car powinien być głową ich państwa, ale bez władzy absolutnej. Aliosza zgadzał się z nimi: car z pewnością powinien być władcą, może nie absolutnym, ale jednak. Sprawa ta pozostawała tylko na poziomie dyskusji i rozważań teoretycznych, albowiem im dłużej bolszewicy utrzymywali się przy władzy, tym bardziej się w niej umacniali i nic nie wskazywało na to, że ją w najbliższym czasie utracą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W rok po przyjeździe do Francji Galina pewnego razu zasłabła. Na szczęście Aliosza właśnie wrócił z pracy i szybko wezwał lekarza. Doktor Peckar już od piętnastu lat przebywał w tych okolicach. Po studiach w Paryżu trafił na praktykę do Calais, tam poznał swoją piękną przyszłą żonę, która była córką ziemianina z Colombelles i nie wrócił już nigdy do Rosji. Po ślubie młodzi osiedli we dworze rodziców panny młodej. Tuż po zakończeniu wojny, kiedy to większość załogi fabryki powołana do armii została zdziesiątkowana, po ponownym uruchomieniu fabryki w miasteczku robotniczym osiedlono wielu zatrudnionych w fabryce cudzoziemców. Największą ich grupę stanowili Rosjanie - zbiegowie z okresu Wielkiej Rewolucji.

Doktor Peckar, który był co prawda Żydem, ale przybywszy przed laty z Rosji, znał doskonale język rosyjski, został lekarzem fabrycznym do obsługi zatrudnionych tu Rosjan. Mieszkańcy osady fabrycznej natychmiast przechrzcili go na „Pekarowicza”.

Przestraszony niemocą żony Aliosza zostawił przy niej sąsiadkę i pobiegł po Pekarowicza. Kiedy wrócił z doktorem, Galina była już przytomna, ale zmęczona nękającymi ją mdłościami.

- Co pani zjadła, młoda damo?

- Niewiele, nie mam ostatnio apetytu. Po wszystkim jest mi niedobrze.

- Od kiedy?

- Od dwóch tygodni, może trochę dłużej.

Po dokładnym wszechstronnym badaniu i przepytaniu pacjentki doktor Peckar zawołał Alioszę i oznajmił mu, wypisując receptę:

- Mamy dla pana, młody człowieku, dwie wiadomości: jedna dobra, druga nie bardzo. A zatem po pierwsze, za mniej więcej siedem

miesiący zostanie pan ojcem - to ta lepsza wiadomość. A druga jest taka, że musi pan bardzo troszczyć się o żonę, bo ona ma słabe serce. Nie podoba mi się jej nierówny, słaby puls. Może to po zasłabnięciu i potem wszystko się unormuje. Jednak powiedziała mi, że już w dzieciństwie chorowała na serce.

- Czy ciąża jej nie zaszkodzi?

- Kto to może wiedzieć? Ciąża częściej uzdrawia, niż szkodzi. Musi być pod kontrolą. Niedługo powtórzymy badanie. Po tym, co przeszła, ma prawo w pierwszych miesiącach być nieco słabsza.

- Nie wiem, co powiedzieć. Czuję się winny. Co pan doktor radzi?

- Przede wszystkim wykupić lekarstwa, oto recepta. Regularnie brać krople trzy razy dziennie. Dobrze się odżywiać i nie przemęczać. No i cieszyć się z potomka. Uszy do góry, młodzieńcze. Wszystko będzie dobrze. Byleby minęły pierwsze cztery miesiące ciąży, potem się poprawi.

Po tych słowach doktor spakował swój nesesor i skierował się do wyjścia. Aleksy zerwał się, żeby mu towarzyszyć.

- A pan dokąd? Proszę zostać przy żonie - powstrzymał go doktor.

Aliosza zawrócił spod drzwi i usiadł przy Gali. Leżała cichutko jak trusia, z przymkniętymi oczami. Nie miała odwagi na niego spojrzeć ani odezwać się. On także, choć zazwyczaj rozmowny i dowcipny, teraz milczał. Ale czuł się dumny i ogarniała go coraz większa radość, przyćmiona wszakże niepokojem o nią.

Będą więc mieli dziecko! Co za szczęście! Popatrzył z czułością na żonę. Na jej drobnej twarzyczce malowało się napięcie. Długie, gęste rzęsy rzucały cień na policzki, teraz już nie tak blade jak przed paru godzinami. Ta krucha osoba ma urodzić dziecko. Jakże sobie z tym poradzi? Sama wygląda jak dziecko.

- Nie cieszysz się? - zapytał Aleksy.

- A ty? - spytała z obawą.

- Jestem szczęśliwy, tylko boję się o ciebie.

- Jeśli to cię uszczęśliwia, o mnie się nie martw, dam radę. Jeśli mnie kochasz...

- Kocham cię oczywiście i zawsze będę kochać.

- Nie mów „zawsze”. Nie lubię słowa „zawsze” ani „nigdy”. Tak naprawdę one nic nie znaczą. Są fałszywe. Nic nigdy nie jest na zawsze. Oboje to wiemy.

- Linoczka, wszystko jedno, trzeba wierzyć, że może być lepiej. Przeszość jest za nami, a jutro może być tylko lepsze.

- Dopóki jesteś przy mnie.
- Jestem i będę.
- Czasami zdaje mi się, że to sen. Co ja takiego dobrego zrobiłam, że po tych wszystkich nieszczęściach, jakie mnie spotkały, Bóg postawił cię na mojej drodze? Czym sobie na to zasłużyłam?
- Linoczka, dziecinko, przestań! Zaslugujesz na dużo więcej, niż ci się zdaje. Teraz śpij. Powinnaś dużo odpoczywać, a ja pójdę po lekarstwo.

Poza częstymi mdłościami, które ją wyczerpywały, właściwie nie miała żadnych powikłań i tak, jak przewidział doktor Peckar, w siedem miesięcy po jego pamiętnej wizycie pojawił się na świecie Liowa Aleksiejewicz. Imię odziedziczył po dziadku. Włoski miał białe jak śnieg, a głos mocny, najwyraźniej po obojgu rodzicach. Na razie używał go wyłącznie do płaczu, ale wszystko wskazywało na to, że śpiewać też kiedyś będzie potrafił.

Dumny tata był uszczęśliwiony, nie wiedział, jak dziękować żonie, która dała mu potomka. Pewnego dnia wpadł na pomysł, żeby wynająć dla niej pianino.

- No co ty, Alioszka? - karciła go Galina. - Wydatków nam teraz przybędzie, a ty sztasz pieniędzmi!

W duchu jednak nie posiadała się z radości. Instrument trzeba było nastroić, jego płyta nie była wprawdzie pęknięta, ale miała rysę. Marka też nie była przednia, lecz można było na nim grać. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak jej tego grania brakowało. No i Liowka przy muzyce prędzej zasypiał.

Aliosza już od kilku miesięcy prowadził zajęcia chóru rosyjskiego, który zaczynał cieszyć się renomą. Sformował też niewielką orkiestrę, którą chętnie wynajmowano na chrzciny, wesela i inne okazje, a ponadto w czwartki uczył gry na skrzypcach. Był w swoim żywiole.

Kilka miesięcy po narodzinach syna Aleksy zdecydował się poprosić o obywatelstwo francuskie. Nie chciał, by jego potomek czuł się poza nawiasem społeczeństwa i nie miał swego miejsca na ziemi. Był zbyt wielkim realistą, by mieć złudzenia, że w najbliższym czasie ich powrót do Rosji będzie możliwy. Poza tym oczekiwali drugiego dziecka, które miało się urodzić czternaście miesięcy po pierworodnym. Tak więc kiedy w ich domu pojawiła się siostrzyczka Liowy, mieli już obywatelstwo francuskie. W metryce zapisano ją jako Irminę. Odziedziczyła to imię po matce ojca.

Matką chrzestną dziewczynki została Raisa, która wciąż nie mogła doczekać się własnego potomstwa i to było chyba jedynym jej zmartwieniem, gdyż poza tym miała wszystko, o czym mogła zama-

rzyć: kochającego męża, piękny dom, pozycję i w ogóle niczego jej nie brakowało. A jednak nie czuła się do końca spełniona. Niezbadane są wyroki boskie - rozmyślała ze smutkiem. - Jak to się dzieje, że słabiutka i drobna Gala rodzi dziecko po dziecku, a ona taka zdrowa i dorodna, mimo usilnych starań nie może zająć w ciążę?

Lata mijały i nic się w tej sferze u Raisy nie zmieniało. Z czasem legło to cieniem na przyjaźni obu kobiet. Raisa zazdrościła Galinie. Zaczęła jej unikać, chociaż bardzo pokochała swoją chrzestną córeczkę i zawsze znajdowała dla niej czas.

Kiedy śliczna jak obrazek Irminka skończyła dwa latka, zapadła na dyfteryt. Tylko dzięki szybkiej i skutecznej interwencji doktora Pec-kara zawdzięczała ocalenie. Jej młodszy o rok brat, Griszeńka, nie miał tego szczęścia, pożegnał się z życiem.

Żeby odciążyć zrozpaczoną Galinę, która była w kolejnej ciąży, Raisa zabrała Irminkę na okres rekonwalescencji nad morze do Dau-ville, a po powrocie zaproponowała, żeby dziewczynka odtąd wszystkie soboty spędzała u niej. Nie było powodów, żeby się temu przeciwstawiać i tak to zaczęły się zarówno dla Raisy, jak dla Irminki niezapomniane razem spędzone chwile, które powtarzane pod koniec każdego tygodnia trwały latami.

Na ogół Irmina przebywała u matki chrzestnej w sobotę i w niedzielę, ale tym razem już w niedzielę rano szofer odwiózł dziewczynkę do rodziców. Była niezwykle podniecona, bo nazajutrz miała pójść po raz pierwszy do szkoły. Siedząc na tylnym siedzeniu samochodu, w otoczeniu licznych torebek i pudełek z prezentami, rozmyślała o usłyszanej przypadkiem rozmowie swojej matki chrzestnej, Raisy, z jej mężem. Oboje zadbali o to, żeby miała wszystko, co jej będzie potrzebne jako uczennicy. Tego właśnie dotyczyła rozmowa:

- Twoja przyjaciółka powinna być ci wdzięczna, nie byłoby ich stać na podobną wyprawkę do szkoły. Dzieci z jej środowiska nie mają tak wyszukanych przyborów szkolnych ani podobnie eleganckich ubiorów. Będzie się tym od nich różnić. Nie wiem, czy to dobrze?

- Pewnie, że dobrze. Skoro ma mnie, może mieć wszystko, co najlepsze.

- Ale nawet jej starszy brat może jej zazdrościć.

- To niech zazdrości. Co mnie to obchodzi. Ważne, żeby ona była zadowolona.

- To niesprawiedliwie.

- Wiesz Arkady, co jest niesprawiedliwe? To, że oni w ich sytuacji mają za dużo dzieci. Gdyby Pan Bóg pozbawił ich

przynajmniej dwójki, byłoby im o wiele łatwiej.

- Raja! Bój się Boga, co ty mówisz?

- Nie to, co myślisz. Jak już są, to są oczywiście. Ale gdyby było ich mniej, żyłoby się im łatwiej, nie zmieniając zdania.

- Jesteś okrutna w swoich sądach - powiedział Arkady i w ten sposób zakończył dyskusję. Nie przestał jednak o tym myśleć. Postanowił pomóc przyjaciółce żony i jej mężowi poprawić ich byt, ale znając dumę Aleksego wiedział, że nie może po prostu udzielić im wsparcia.

Irminka słuchała tej rozmowy z wypiekami na twarzy. Ogarnął ją strach, że rodzice oddadzą komuś dwoje z nich. Zaczęła się zastanawiać - kogo? Dotychczas nie przychodziło jej do głowy, że mama i tata mają przez nich jakiegokolwiek zmartwienia ani że czegokolwiek w ich domu brakuje. Wydawało się jej, że rodzice cieszą się nimi, kochają ich. Mama śpiewała im piosenki, czytała do snu *Murzilkę*, tata często żartował i uczył ich gry na instrumentach. Byli zadbani, czysto ubrani i dobrze nakarmieni. Nigdy, ale to nigdy dziewczynka nie zauważyła oznak niezadowolenia ze strony rodziców. No, może raz, kiedy spadła ze schodów na butelki. Liowa drażnił się z nią wtedy, uciekał przed nią skacząc od jednej do drugiej poręczy, aż potracił ją ręką. Straciła równowagę i spadła z kilku stopni prosto na przygotowane do schowania butelki z sokiem z wiśni. Cudem nie doznała uszczerbku, natomiast przewracała butelki. Poplamiona rozlanym sokiem omal nie przyprawiła matki o atak serca. Sama też była przerażona. Pierwszy raz zobaczyły ojca tak zdenerwowanego. Nigdy nie karmił swoich dzieci inaczej niż słowem, ale tym razem wymierzył synowi klapsa. Ocalała szczęśliwie czekała jak skazaniec na swoją kolej, ale usłyszała tylko obietnicę: „Następnym razem ty także dostaniesz”. Bardzo sobie wzięła to do serca, bo tym razem tata najwyraźniej nie żartował.

Jak tylko wynaleziono radio, rodzice kupili je na kredyt bankowy. Wszyscy słuchali programów muzycznych i tata kazał im zapamiętywać tytuły emitowanych utworów. Przywiązywał dużą wagę do ich edukacji muzycznej.

Pewnego wieczoru Irminka zajrzała do sypialni rodziców, żeby im powiedzieć dobranoc. Leżeli już w łóżku. Z radia na dole, gdzie Liowa jeszcze odrabiał lekcje, płynęły czarowne dźwięki. Jakaś śpiewaczka dramatycznym sopranem wykonywała brawurową arię, którą dziewczynka już kiedyś słyszała, ale nie mogła sobie przypomnieć jej tytułu.

- Tato, chodź, posłuchaj, co to za aria?

Tata nie odpowiadał. Otworzyła z rozmachem drzwi sypialni i zapytała po raz drugi:

- Tatusiu, jaki jest tytuł tej arii?

- „Nie wyciągaj mnie spod ciepłej kołdry” - odrzekł tata i przewrócił się na drugi bok.

Tytuł wydawał się jej dziwny, ale właśnie dlatego go zapamiętała. Kiedy emitowano ten utwór ponownie, nie omieszkała pochwalić się swoją wiedzą. Rodzice śmiali się jak opętani. Ze zdumieniem dowiedziała się, że aria naprawdę nosi tytuł *Habanera* i pochodzi z opery *Carmen* Bizeta, a podając tamten dziwny tytuł ojciec sobie z niej żartował. Miał jednak tak poważną minę, że potraktowała to serio.

Wszystko to przypominała sobie podczas drogi powrotnej z Caen do Colombelles, szukając jakiegoś przykładu na potwierdzenie słów cioci Rai.

Nie. Jeśli nawet rodzice rzeczywiście byli niezadowoleni z dużej liczby posiadanych dzieci, nie dawali tego poznać po sobie. Będzie musiała ich o to zapytać. W domu przyzwyczajono ich, żeby wszystkie wątpliwości wyjaśniali z rodzicami.

- Nie ma po co gubić się w domysłach i męczyć. Nie jesteście na szczęście sierotami, a rodzice są po to, żeby wam wszystko wyjaśniać. „Kto pyta, nie błądzi” - mawiał tata.

Toteż Irminka zdecydowała się opowiedzieć mu rozmowę swojej matki chrzestnej z mężem, którą przypadkiem słyszała. Postanowiła też podzielić się z bratem przyborami szkolnymi, zeszytami i książkami, żeby jej nie zazdrościł.

Gdy szofer przywiózł ją do domu, zostawił paczki z zakupami i odjechał. Ledwo przywitała się z rodzicami, wdrapała się na kolana taty i zapytała:

- Tatusiu, czy ty i mama kochacie nas naprawdę?

- Naturalnie. Jak możesz o to pytać?

- I nie pozwolicie, żeby pan Bóg pozbawił was dwojga z nas?

- Czemu miałby to zrobić, co ty wymyślasz?

- Bo ciocia Raisa powiedziała wujkowi Arkademu, że gdyby Bóg wybawił was od dwojga z nas, byłibyście szczęśliwsi i żyłoby się wam łatwiej.

- Co to za brednie? Ciocia z pewnością żartowała.

- Naprawdę? Ja myślałam, że mówi poważnie. W takim razie ona żartuje tak jak ty, tatusiu.

- Ja? Ja tak żartuję? Nie sądzę.

- Z poważną miną.

- No widzisz, nie martw się więcej. Przyrzekasz?
- Przyrzekam.
- I pamiętaj, Kochamy was wszystkich troje nad życie i nie oddamy nikomu, nawet samemu Panu Bogu.

W taki oto sposób Irminka pozbyła się jednego ze swoich zmartwień, ale czekała ją jeszcze rozmowa z braćmi o przyborach szkolnych, które dostała od Raisy i Arkadego, a którymi - jak sądziła - powinna podzielić się z rodzeństwem. Ze słów wujka wypowiedzianych w pamiętnej rozmowie wynikało bowiem, iż będzie im przykro, że oni takich podarków nie dostali.

Jak się okazało, myliła się. Jej starszy brat, Liowa, kiedy weszła do pokoju braci, właśnie układał w tornistrze nowe zeszyty i powitał ją w progu tymi słowami:

- Popatrz, jaki mam piórniki! Koledzy będą mi zazdrościć. Temperówka z podwójnym ostrzem i zielona gumka do ścierania.

- A ja mam różową!
- A ja nie mam żadnej... - pożalił się Wowa, najmłodszy z nich.
- Ty nie potrzebujesz, nie chodzisz jeszcze do szkoły - zadecydował Liowa.

- Właśnie, że potrzebuję.
- Oddam ci połowę mojej.
- Ja chcę całą, nie chcę połowy.
- To masz, proszę. Weź całą.
- Ty durna, Irmina - stwierdził Liowka. - Musisz mieć gumkę do ścierania, to jest w szkole obowiązkowe.

Dziewczynka zmartwiła się. Jak postąpić w takiej sytuacji? Malec już ścisnął gumkę w rączce, nie mogła mu jej przecież odebrać, bo znała doskonale powiedzenie: „Kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera”.

Problem rozstrzygnęli rodzice. Wowka dostał używaną gumkę Liowy z zeszłego roku, zeszyt do rysowania i stare kredki, a Irminka miała zapakować wyprawkę szkolną od chrestnej do swego tornistra i nie myśleć o dzieleniu się z kimkolwiek, bo to było dla niej.

- Masz dobre serce, to miłe - stwierdziła mama - ale tata dba o to, żeby żadnemu z was niczego nie brakowało.

- Ciocia Raisa martwiła się, że jesteście biedni.
- Ciocia Raisa powinna martwić się o siebie. Nie wszystko można mieć za pieniądze.

- Ciocia Raisa ma wszystko.
- Ale nie ma dzieci. A właśnie dzieci są największym bogactwem.

Usłyszawszy to z ust mamy, Irminka uspokoiła się zupełnie i przestała myśleć o tym, że może być kłopotem dla rodziców. Natomiast oni długo jeszcze wracali do tego w rozmowach.

Gala nie mogła pogodzić się z tym, że jej przyjaciółka była w stanie powiedzieć coś podobnego w obecności dziecka, że w ogóle takie myśli mogą przychodzić jej do głowy. Kiedy przed laty pracowały razem w fabryce papierosów w Bułgarii, Raia była aniołem i największym jej autorytetem. Nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszej przyjaciółki. Czuwała nad nią jak matka. Gala jest przekonana, że przetrwała te lata tylko dzięki niej. A teraz... co się z nią stało?

Nie chodzi o to, że się stroi i gazety o niej piszą, błyszczą w towarzystwie - czemu nie, jeśli może. To normalne w jej sytuacji. Jest oczywiste, że będąc żoną człowieka tak wysoko postawionego, musi być zadbana. Ale żeby mówić coś takiego - to niepodobne do Raisy, jaką знаła.

- Nie poznaję Rai - powiedziała do męża. - I to mnie najbardziej smuci.

- Nie zwracaj sobie tym głowy, Linoczka. Musisz ją zrozumieć. Ludzie bezdolni rozumują inaczej.

- Ciekawe, dlaczego właściwie nie starają się o dzieci, skoro stać ich na wszystko. Bo tak wygodniej?

- Kto to może wiedzieć? Może nie mogą. Jeśli nawet twoja przyjaciółka żyjąc w dobrobycie zrobiła się wygodna, Arkady Babinicz nie wygląda mi na takiego, co dla wygody pozbawiłby się potomka.

- Jeśli nie mogą, to smutne. Raia, kiedy się spotykamy, nigdy nie mówi mi nic na ten temat. Zresztą ona w ogóle rzadko mi się teraz zwierza - powiedziała Galina i westchnęła. - Nie przypuszczałam, że pieniądze tak ją odmienia.

- A może pieniądze nie mają nic do tego? Może ona zazdrości ci dzieci?

Mówiąc to Aleksy nie zdawał sobie sprawy z tego, że trafił w sedno.

Następnego dnia zaraz po przyjściu do fabryki został wezwany do gabinetu dyrektora technicznego Arkadego Babinicza. Kiedyś w czasie rejsu z Warny do Marsylii z uwagi na przyjaźń między ich żonami bardzo się do siebie zbliżyli, mówili sobie po imieniu. Teraz też Arkady tego nie zaprzestał, Aleksy natomiast z racji swojej niższej pozycji w pracy nie śmiał tego kontynuować. Omijał, jak potrafił, tę formę zwracania się do przełożonego.

- Siadaj, Aliosza. Co słyhać? - powitał go serdecznie Arkady.

- Dziękuję, wszystko dobrze, nie narzekam.
 - Bardzo jestem rad. Co byś powiedział na przeniesienie z produkcji do mojego biura, ma się rozumieć z wyższym uposażeniem?
 - Chętnie, tylko czy ja sobie poradzę? Z moją znajomością francuskiego bardziej w mowie niż w piśmie.
 - Będziesz się musiał przyłożyć. Organizujemy akurat kurs rachunkowości. Jak radziłeś sobie w szkole z arytmetyką?
 - Zanim wstąpiłem do Instytutu Sztuki w Odessie, byłem uczniem szkoły realnej, jak wszyscy w naszej kupieckiej rodzinie. Prawie ją ukończyłem. Szło mi nawet nieźle, ale kupiectwo mnie nie pociągało. Wolałem muzykę.
 - Wychodzi na to, że będziesz musiał do tego wrócić, żeby polepszyć byt swojej rodzinie. Bo po kursie możesz jeszcze awansować, jeśli przedtem nie zrobisz kariery muzycznej. Ale to, nie obraż się, niepewny kawałek chleba. No to co? Zgadzasz się?
 - Oczywiście i dziękuję, że pan o tym pomyślał, zwłaszcza że Linoczka, to znaczy my z Linoczką oczekujemy kolejnego dziecka.
 - Wobec tego moja propozycja przyszła w samą porę. Gratuluję z całego serca. I co tu dużo mówić - zazdroszczę... A w ogóle czemu Alioszka mówisz do mnie „pan”?
 - Jakoś inaczej nie wypada...
 - Może przy robotnikach rzeczywiście, ale kiedy jesteśmy sami? Ucisnęli sobie ręce. Aliosza spojrział w jasne oczy Arkadego i zobaczył w nich smutek, którego się nie spodziewał. W taki oto niespodziewany sposób byt Orłowów miał ulec polepszeniu. Licząc na to Aleksy wracając z pracy wstąpił do sklepu i kupił żonie perfumy.
 - A co to za święto? - spytała zdziwiona, kiedy wręczał jej pięknie opakowany flakonik.
 - A święto, święto. Wyobraź sobie, że od jutra nie będziesz już żoną prostego robotnika, ale biuralisty.
- Korzystając z okazji, że oniemiała ze zdziwienia, opowiedział jej o swojej rozmowie z Arkadym.
- Ten Babinicz jest nadzwyczajny. Cieszę się, że Rai trafił się taki mąż - powiedziała Gala.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po kilku miesiącach Irminka stwierdziła, że bardzo lubi szkołę. Nauczyciele chwalili ją często, co mobilizowało ją do tego, że jeszcze bardziej się starała. Jednak tym, co najbardziej jej się podobało, była możliwość obcowania z dużą liczbą koleżanek. To było naprawdę wspaniałe, zwłaszcza że jej koleżanki były niezwykle. Już w pierwszych dniach roku szkolnego ona i trzy inne dziewczynki stworzyły grupkę, o której mówiły „nasza czwórka”. Zawsze trzymały się razem. Były to Lucilla Gatto - Włoszka, Wanda Nowak - Polka, Ivette Lavielle - Francuzeczka, jedyna, której tata nie pracował w fabryce, ponieważ był rolnikiem, i której rodzina znikąd nie przybyła, bo od zawsze mieszkali w Colombelles, no i pochodząca z Rosji Irminka. Każda z nich wyróżniała się czymś w klasie. Wandzia była niezwykle wygimnastykowana. Umiała robić mostki, szpagaty oraz różne inne łamańce i popisywała się nimi nie tylko na lekcjach gimnastyki, ale również na boisku w czasie przerw. Lucilla śpiewała jak słowik i uczyła swoich melodyjnych piosenek koleżanki z ich czwórki. Po niedługim czasie każda z nich potrafiła zaśpiewać po włosku *Primavera*, *O sole mio* i wiele innych utworów.

Ivette była bardzo rezolutna, wiedziała wszystko o uprawie roślin, miała też dużą wiedzę o sprawach damsko-męskich. Swoje bogate doświadczenie czerpała z obserwacji życia starszych sióstr. Irminka natomiast była urodzoną tancerką. Jako małe dziecko podobno też ładnie śpiewała, przebyty dyfteryt jednak zniszczył jej struny głosowe i odtąd śpiew mogła już tylko podziwiać.

Dziewczynki z „ich czwórki” podziwiały nawzajem swoje umiejętności. Paradoksalnie, wygimnastykowanej Wandzi nie zazdrościły jej wygibasów, ale perspektywy przystąpienia do pierw-

szej komunii. Zaczęło się wszystko od tego, że zostały zaproszone na pierwszą komunię jej starszej siostry. Uczestniczyły najpierw w ceremonii w kościele, a potem były na przyjęciu w domu Wandzi. Uroczystość ta zachwyciła Irminę.

Najpierw zobaczyła w kościele ubrane na biało dzieci. Chłopcy stali po jednej stronie, dziewczęta po drugiej. Chłopcy mieli białe garnitury, białe koszule i krawaty, dziewczynki powiewne, długie białe suknie i białe wianki na głowach. Włosy ich były rozpuszczone i pięknie uczesane, w małych jedwabnych torebeczkach zawieszonych na prawej ręczce miały książeczki do nabożeństwa. Wyglądały jak aniołki lub królowny.

Jakże Irmina chciałaby znaleźć się na ich miejscu. Postanowiła w związku z tym poprosić rodziców, żeby przeszli na katolicyzm, a jeśli nie, sama to uczyni.

Ponieważ msza w kościele odprawiana była w dużej mierze po francusku, rozumiała modły katolików i uznała, że ani w intencjach, ani w obrządkach nie odbiegają zbyt od prawosławia, nie ma więc obaw co do tego, że coś się złego stanie, jeśli zacznie chodzić do kościoła zamiast do cerkwi. Pan Bóg i Matka Boża są w jednej i drugiej świątyni. Wierni modlą się do nich i tam, i tu. Ale w cerkwi prawosławnej nie ma uroczystości komunijnych, zwyczaju ubierania dziewczynek w piękne suknie księżniczek, a do tego, co zauważyła na przyjęciu, otrzymywania przy tej okazji prezentów od wszystkich zaproszonych gości.

Tak więc jej zdaniem katolicyzm ma przewagę nad jej wiarą, chociaż - jak stwierdziła uczestnicząc we mszy świętej - wiele się od jej wiary nie różnił. Nawet pod względem muzycznym, do czego rodzice przywiązywali tak dużą wagę. Muzyka katolików różniła się wprawdzie od prawosławnej, ale były to w gruncie rzeczy niuanse. U nich dominowały organy, ale chór kościelny śpiewał też całkiem ładnie. Irminie w każdym razie się podobał. Zwłaszcza soprany. Chociaż musiała przyznać, że brakowało jej trochę brzmienia wspaniałych basów i barytonów, tak charakterystycznego w ich chórze cerkiewnym. Papcio bardzo przyczynił się do poziomu chóru cerkiewnego, ale mógłby zrobić kilka prób w chórze kościelnym i Polacy śpiewaliby równie pięknie. Trzeba będzie ojczulka o to poprosić. Z takim oto postanowieniem wróciła z uroczystości do domu.

Wandzia zapraszając na komunię siostry swoje trzy koleżanki od razu zapowiedziała, że w przyszłym roku też je zaprosi, tym razem na własną komunię.

- I będziesz ubrana w taką piękną białą suknię jak twoja siostra

Krysia? - spytała Irmina.

- Najprawdopodobniej w tę samą co ona. Taki jest los młodszej siostry. Wszystko mam po niej.

- Mnie mama będzie zmuszona kupić nową. Jestem jedyną córką w naszej rodzinie - pochwiliła się.

- Po co ci suknia? Przecież prawosławni nie świętują pierwszej komunii. Sama mi to mówiłaś.

- Ale my przejdziemy na katolicyzm.

- Naprawdę? A dlaczego?

- Bo tak. Zobaczysz.

- To będziecie przechrzty - wtrąciła się Ivette. - Wiary nie wolno sobie zmieniać ot tak sobie. A poza tym może do tego czasu nie będziesz jedyną córką w waszej rodzinie.

- Będę. Jestem jedyna i mam dwóch braci.

- Ale twoja mama ma duży brzuch, a to znaczy, że będzie miała kolejne dziecko.

- Nieprawda! W mojej rodzinie mamy wystarczająco dużo dzieci, więcej nam nie trzeba.

- Akurat! Zapytaj mamy, jeśli nie wierzysz. Będziesz miała siostrę albo brata. Zobaczysz!

- Wcale nie!

- A właśnie że tak! Przekonasz się - upierała się Ivette.

Irmina nie miała nic przeciwko temu, żeby mieć siostrę. Bracia czasem byli fajni, ale na co dzień nie bardzo udawało się jej o wszystkim z nimi pogodzić. Ponadto, mimo że rodzice uspokoili ją co do tego, że nikogo z nich nie oddadzą do ochronki, nie wiadomo, jak postąpiliby, gdyby im dzieci przybyło. Zaraz więc po powrocie z uroczystości postanowiła to z nimi wyjaśnić.

- Irminoczka podaj mi krople - poprosiła ją matka, którą zastała w nie najlepszej formie.

Ostatnio zdarzało się jej to coraz częściej. Łatwo się męczyła, dostawała zadyszki. Często przed jakimiś zajęciami musiała napić się kawy, żeby - jak mówiła - „zmusić serce do normalnego bicia”. Bo najczęściej jej serce biło powoli i ledwie ledwie. Tym razem widać też tak było, gdyż matka leżała na kanapce w kuchni ze strapioną miną.

- Jak tam udały się uroczystości, zadowolona jesteś?

- O tak, bardzo - odpowiedziała, podając mamie krople. A kiedy mama je wypila, dodała: - Musimy szybko przejść na katolicyzm.

- Na katolicyzm? Co to znowu za pomysł?

Mama była tak zaskoczona, że aż dostała wypieków. Energicznie zerwała się z kanapy, nie zważając na osłabienie. Wyglądało na to, że

tym razem obejdzie się bez kawy.

- Pan Bóg jest jeden, u nich i u nas. Maryja, Matka Boża, także. A oni mają jeszcze komunię. To jest wspaniałe, ja też chcę wyglądać jak mała księżniczka. Chcę mieć piękną suknię i wianek...

- Aliosza! - zawołała matka. - Chodź tutaj. Posłuchaj, co twoja córka wygaduje. Chce się wyprzeć swojej wiary, nie wiem, agituja ich czy co?

Ojciec wszedł i zażądał wyjaśnień.

- Mógłbyś poprowadzić chór kościelny - zasugerowała Irmina. - Z pewnością gdybyś się tym zajął, brzmiałby jeszcze wspanialej.

- Nie ma takiej potrzeby. Proboszcz Henryk Kwiatkowski i *bon frère** Antoine doskonale sobie radzą, a wiary nie zmienia się na zawołanie. Pan Bóg by się obraził i mógłby nas za to ukarać. A jak tam twoje lekcje? Chodź na górę, trzeba przygotować tornister na jutro.

* braciszek

- Ojczulku, czy wówczas, gdy mówiłeś, że nikogo z nas nie oddacie, myślałeś poważnie? Nic się nie zmieniło?

- Najpoważniej w świecie, ale może się zmienić, jeśli będziesz zadawać głupie pytania.

- Właśnie chcę zadać pytanie, bardzo ważne, ale nie wiem, czy ono jest głupie, czy mądre?

- Co znowu?

- Bo Ivette mówiła, że my... Tatusiu, dlaczego mamusia ma taki duży brzuch?

- Głupie pytanie! Pewnie gorset jej się popsuł. Wiesz doskonale, że dorosłe panie używają gorsetów, by poprawić swoją figurę.

- No tak. Rzeczywiście. Noo...

- Więc jak wiesz, to nie pytaj. A teraz proszę sprawdzić, jakie masz jutro lekcje, i poukładać swoje książki i zeszyty. Czy odrobiłaś domowe zadania?

- Tak, już rano, jeszcze zanim poszłam na komunię.

- To idź się umyć i jazda do łóżka. Śpij dobrze i nie denerwuj mamy żadnymi głupimi pomysłami, jak ten, że zmieniasz wiarę.

- Dlaczego?

- Bo mama ma słabe serce.

No tak, to prawda. Słabe serce mamy to argument nie do odparcia. Na to nie ma rady. Trzeba będzie marzenie o pięknym stroju komunijnym odłożyć do lamusa, skoro mamie mogłoby to zaszkodzić. Tak to jest z marzeniami.

- Nie warto marzyć. Marzenia się nie spełniają - powiedziała ze

smutkiem.

- Odwrotnie, *dietoczka* * - zaprzeczył ojciec. - Marzyć trzeba. Dążenie do spełnienia marzeń kształtuje ludzi i wzbogaca ich wewnątrznie. Trzeba jednak pamiętać, że nie wszystkie się spełniają.

- Dlaczego?

* dziecinko

- Bo takie jest życie. Z niektórych musimy sami zrezygnować w imię wyższych celów. Kiedyś to zrozumiesz.

Irmina kiwnęła główką na znak zgody, lecz było jej smutno. Zrozumiała bowiem, że jej marzenie o pięknym stroju komunijnym odpływa w siną dal. Będzie zmuszona go zaniechać, skoro przejście na katolicyzm mogłoby zaszkodzić słabemu sercu mamy... Ale co tam! Dla mamy mogłaby zrezygnować z wielu swoich marzeń. Jeśli los za zdecydował, że sprawa jest nierealna, przestanie o tym myśleć.

- Wytłumaczyłeś jej, że nie może tak mówić? - spytała Galina wieczorem męża. - Skąd ona w ogóle bierze takie pomysły? „Przejdziemy na katolicyzm”. Żeby takie dziecko...

- A mnie to cieszy. Słyszałaś, jak porównywała nasze religie? Potrafi słuchać i wyciągać wnioski. Ma też odwagę cywilną. Będą z nie ludzie.

- Podobna jest *toczka w toczkę* do ciebie, Aliosza. Prawdziwa córeczka tatusia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kwiecień w Modrzejowie był pogodny, chociaż zimny. Maria postanowiła dołożyć polan do kominka. Irmina odłożyła zapisane arkusze papieru i uśmiechnęła się do niej nic nie mówiąc, toteż Maria zapytała:

- Nie masz mi nic do powiedzenia o tekście? Jak mam rozumieć ten uśmiech?

- Że akceptuję. Świetnie oddajesz moje nastroje, sposób myślenia z tamtego okresu. I wiesz? Ty całkiem dobrze piszesz po francusku. Chyba nawet lepiej, niż mówisz. Oczywiście robisz trochę błędów, ale się je poprawi...

- Zajmij się tym, bo ja teraz muszę sporządzić polską kopię dla Eulalii. Francuską wersję możesz już dalej pisać sama. Doszliśmy do czasów, które pamiętasz.

- Tak, to prawda. Ale wiesz, ta historia mojej rodziny opowiedziana przez ciebie zaczęła mnie wciągać. Jestem ciekawa, co ty jeszcze wymyślisz, żeby ją ożywić.

- Myślisz, że przeinaczam albo naciągam fakty do mojej wizji?

- Fabularyzujesz. Całkiem zgrabnie. Robi się z tego historia do czytania. Może rzeczywiście powinnaś to opublikować?

- Żartujesz!

- Trzeba by oczywiście pozmienić nazwiska, imiona. Bo w gruncie rzeczy jest to twoja interpretacja faktów. W dużej mierze dowolna.

- Przepraszam. Staralam się. Fabularyzowanie to obciążenie zawodowe. Mam to z teatru. Cokolwiek robię, muszę opowiedzieć jakąś historię.

- Ależ to wspaniałe. Nie wiem, czemu się tłumaczysz i przepa-

szasz? Idziemy nad to jezioro czy nie, bo za chwilę zrobi mi się tak wygodnie, że nie dam się wyciągnąć.

- No to idziemy. Zobaczymy, czy konwalie mają już pąki. Jak na początek kwietnia, nie jest za ciepło.

Rozmawiały tak siedząc na tarasie mazurskiego domu Marii. Po dłuższym czasie udało się jej namówić Irminę do przyjazdu do Polski. Natrudziła się przy tym niemało, bowiem jej przyjaciółka uparcie twierdziła, że nie nadaje się już do podróży.

- A co będzie, jak ci tam umrę? - droczyła się z nią.

- Czemu miałybyś umrzeć? Co za pomysł? Ja też mogę jutro wpaść pod samochód albo cegła zleci mi na głowę...

- Przestań!

- To ty też przestań.

- Ja to co innego. Zapominasz, że kawał życia spędziłam lecząc ludzi. Mam słabe serce, tak jak moja matka, do tego jestem stara i wszystko może się zdarzyć.

- Wszystko może się zdarzyć każdemu. Ale tu nie może cię spotkać nic złego. Przecież jesteś w *paradis polonais*, jak sama to miejsce nazywasz.

- To prawda. Nigdzie nie oddychałam takim powietrzem, jak tu u was.

- No widzisz!

Maria zwabiła przyjaciółkę do Modrzejowa jedynie dlatego, że była wiosna, latem by jej się to nie udało. Irmina nie znosi upałów i od niedawna latem nie rusza się z domu. Zresztą i na ten kwietniowy przyjazd nie od razu przystała. Teraz jednak widać było, że czuje się tu coraz lepiej.

Z racji małżeństwa Irminy z katolikiem odprawiano w jej domu obrzędy obu religii. Nie знаła jednak jeszcze wszystkich zwyczajów związanych z uroczystościami katolickimi. Nowością dla niej okazało się święcenie jajek i potraw wielkanocnych pod krzyżem nad jeziorem. Zaśmiewała się oglądając z balkonu śmigus-dyngus. Ale najbardziej polubiła spacerować po leśnych duktach. I w czasie tych spacerów jest prawdziwą *bergeronnette* - pliszką. Mimo swego słabego serca porusza się zupełnie jak ten ptaszek: szybko i energicznie; nazwisko jej męża pasuje do niej jak ulał.

- Nie dziwię się, że twoja matka, Mario, tak długo żyła. To po-
byty tutaj z pewnością tak jej służyły. Co za powietrze!

- No widzisz, a tak się broniłaś przed przyjazdem.

- Bo jestem realistką i wiem, że w moim wieku...

- Dość! Nie chcę o tym słuchać! Zresztą dzwoni telefon. Odbierz

Irmino! To z pewnością twoja córka. Sophie zapowiadała, że będzie dzwonić przed południem.

Irmina posłusznie podeszła do telefonu. Słuchała przez chwilę ze zmieszaną miną, po czym rzekłszy: *Ne quittez pas!* *, oddała słuchawkę Marii.

* Proszę nie odkładać słuchawki!

To nie była Sophie, tylko Beatka. Jak twierdzi wnuczek Marii, najważniejsza osoba w Modrzejowie. Beatka bowiem jest sołtysem. Dla Marii to nie tylko najważniejsza we wsi osoba, ale i najbardziej sympatyczna. Jest rówieśnicą jej córki. Pamięta ją z czasów, gdy była kilkuletnią dziewczynką.

- Aż trudno uwierzyć, że ta małomówna, nieśmiała milusińska dorastając aż tak się przeobraziła. Dzisiejsza Beatka jest urodziwą kobietą, energiczną i wiedzącą, czego chce, świetną gospodynią, żoną i matką, oraz najlepszym sołtysem, jakiego Modrzejów mógłby sobie wymarzyć. Tylko dzięki jej staraniom piaszczyste, pełne wykrotów polne drogi dojazdowe ku radości posiadaczy pojazdów mechanicznych zamieniły się w asfaltowe wstęgi, osada doczekała się własnej kaplicy, estrady, nazw ulic, kanalizacji i kto wie, czego jeszcze uda się jej dokonać. Niektórzy żartują, że tylko patrzeć, jak Beata dokona tego, że przeniosą tu stolicę.

Marii nade wszystko podoba się w Beacie i całej jej rodzinie niekłamana ciekawość świata i pęd do wiedzy. Kiedy ich latorośle kończyły licea, oni też uzupełnili swoje wykształcenie, żeby nie pozostawać w tyle za dziećmi.

Teraz Beatka zadzwoniła z propozycją, by obie panie, to znaczy Irmina z Marią, pojechały z nią na „radość o poranku”.

- A co to jest owa „radość o poranku”? - spytała Irmina. - Film czy teatr?

- Nic z tych rzeczy. To targ staroci i ubrań z drugiej ręki, coś w rodzaju paryskich „Guerrisoldów”.

- I co miałybyśmy tam robić? „Radość o poranku”? Skąd taka nazwa?

- Tutejsze kobiety uczestniczące w tym targu tak go nazwały. Jak zobaczysz, zrozumiesz. Chyba cię na to namówię, bo przy okazji będę mogła uzupełnić braki w spiżarni. Wiesz, to będzie zabawne doświadczenie. Co tydzień skoro świt zjeżdżają się tam handlarze z regionu, a kupujący też przybywają najwcześniej, jak mogą, żeby nie stracić okazji. No i jak się upoluje za bezcen jakąś przebojową zdobycz, czyż nie jest to prawdziwa „radość o poranku”? Zajrzyj do mojej garderoby. Prawie wszystko w niej jest stamtąd.

- Bo ty, Mario, jesteś kokietką. Ja już nie.
- Na pewno wygrzebiemy coś, co ci się przyda.
- No dobrze, skoro tak trzeba... O której jedziemy?
- O siódmej?
- Tak wcześnie?
- I tak ze względu na ciebie postanowiliśmy wyruszyć o godzinę później niż zwykle.
- Żartujesz?
- Wcale nie. Taki tu zwyczaj.

Kiedy nazajutrz dotarły do placu targowego, Irmina nie posiadała się ze zdumienia. Ranek był bardzo chłodny, żeby nie powiedzieć mroźny. Słońce nie mogło przedrzeć się przez grubą warstwę wilgotnej mgły. Mimo to na placu rozstawione były długie ławy przykryte stertami odzieży, a przy nich tłoczyły się tłumy niewyspanych, zziębniętych kobiet, pracowicie przegrzebujących to, co było na straganach. Te, którym udało się już wyłowić jakąś zdobycz, ustawiły się grzecznie w kolejkach do samochodów zaparkowanych obok straganów, gdzie właścicielki tego bogactwa wyceniały wybrane rzeczy i inkasowały należność. Były tam też grzebowiska z butami, stare meble, kwiaty, sadzonki, dywany, firanki i tym podobne rzeczy, ale szmatki w soboty miały zdecydowanie największą klientelę.

Irmina długo patrzyła zdumiona na to misterium, a potem wybuchnęły z Marią głośnym śmiechem, aż wreszcie dołączyły do grzebiących w stertach. Po pół godzinie każda z jakąś zdobyczą opuściły plac „radości o poranku”, zrobiły zakupy żywnościowe i poszły na śniadanie do pobliskiej kafejki.

Tymczasem mgła opadła, wyjrzało słońce, ręce przestały grabieć z zimna. Dzień zapowiadał się pięknie. Obiecywały sobie długi spacer po lesie, ale ledwie wróciły, okazało się, że będą musiały zrezygnować nie tylko z niego, ale w ogóle z dalszego pobytu Irminy w Modrzejowie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zadzwoniła bowiem do Irminy z Caen jej młodsza siostra, Masza, z wiadomością, że właśnie nagle zmarł jej mąż, Jean Paul Segal.

- Co za strata! Co za strata! - powtarzała Irmina przez łyzy. - Maszeńka była z nim taka szczęśliwa. Co ona teraz pocnie sama w tym wielkim, pustym domu?

Maria poznała kiedyś Jeana Paula. Był miłym i bardzo pocziwym człowiekiem, zapatrzonym w swoją żonę.

Masza była absolutnym przeciwieństwem Irminy. Tęga i ociężała, nie miała ani jej zręczności, ani urody. Nie była też podobna zewnętrznie do żadnego ze swoich rodziców, których Maria знаła z fotografii. Natomiast tak samo jak jej mąż była znakomitą prawniczką. W życiu codziennym była przede wszystkim życzliwa światu, czasem nieco ospała i nierzadko wręcz nudna. Nic nie zdradzało jej niezwyklej skuteczności w zawodzie. Mimo zewnętrznych różnic siostry kochały się i rozumiały jak rzadko które.

- Nie wiem, Mario, czy mówiłam ci kiedykolwiek, że wszystko co dobre w życiu Maszy zjawiało się wraz z Jeanem Paulem? Odkąd przeszedł na emeryturę, często się na niego irytowała, a teraz pewnie będzie to sobie wyrzucać.

- Irytowała się na niego? To niewiarygodne. Jean Paul to taki miły człowiek i bardzo jej oddany.

- Zgadza się z tobą. Ale jak przestał pracować, postawił sobie za cel dogadzać jej w każdy możliwy sposób, ciągle chciał jej w czymś pomagać, gdzieś ją podwozić, aż poczuła się osaczona tą jego gotowością. „Nie masz pojęcia - powiedziała - jak mnie denerwuje ten mój, pozał się Boże, *chevalier servant* *. Czasami umykam do miasta, żeby od niego odpocząć”.

* usłużny rycerz

- Denerwuje cię także, jak sobie rozwiązuje krzyżówki - rzuciłam.

- Co ci to szkodzi?

- Bo co to za zajęcie? - ona na to. Bez sensu.

- Czy ty, Masza, nie przesadzasz? - zapytałam. Inne kobiety nie wiem co by dały, żeby ich mężowie mieli tylko takie wady.

- Wiem - odpowiedziała „osaczona dobrocią” - ale nie mogę nic poradzić na to, że mnie to irytuje.

- On się po prostu o ciebie martwi. Bo tobie stale coś dolega - podsumowałam.

No właśnie. Z nich dwojga to ona wciąż niedomagała, Jean Paul nigdy na nic się nie skarżył, a jednak wystarczył jeden jedyny atak serca, żeby go zabić. Nie wiem, nie wiem, jak ona sobie z tym poradzi sama w takim wielkim domu.

- A córka? Przecież oni mają córkę.

- Marie, twoja imienniczka, po ukończeniu studiów prawniczych - o ile pamiętam, w ubiegłym roku - wyniosła się z domu. Ma już własny apartament i swój rytm życia, który bardzo sobie chwali. Nie sądzę, żeby chciała wracać do domu. No, może na jakiś czas...

Irmina zamyśliła się nad nieszczęściem siostry, a Maria zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób ma przearanżować wcześniejsze zamierzenia. Przede wszystkim musi zawiadomić Eulalię Harczuk, że kuzynka nie odwiedzi jej w Białymstoku, bo musi jechać na pogrzeb.

Ledwie wykręciła numer Lali, gdy przyszło jej do głowy, że nie można Irminy zostawiać teraz samej sobie. Jeśli ma tak słabe serce, jak opowiada, samotna podróż w tych okolicznościach może jej zaszkodzić. Powinam z nią pojechać - pomyślała i już wiedziała, że tak uczyni. Zwłaszcza że przypomniała sobie opowieść przyjaciółki o tym, jak od czasu tragicznej śmierci Patryka, jej syna, działają na nią pogrzeby. Po prostu cała trauma wraca do niej wtedy jak bumerang. Tak, stanowczo będzie musiała z nią pojechać na pogrzeb Jeana Paula i zostać przez jakiś czas w Paryżu.

Eulalia była wstrząśnięta przekazaną jej przez Marię wiadomością.

- Jest mi tym bardziej przykro - powiedziała - że będąc w ubiegłym roku u Maszy i Jeana Paula zaprosiłam ich oboje do siebie. Nie zdążył pojawić się u mnie. O ile pamiętam, to on właśnie wystąpił z pomysłem, żeby korzeni Maszy i Irminy szukać w Białymstoku. Tak. To była jego sugestia.

- I nawet nie przeczytał do końca odtworzonej historii rodziny swojej żony.

- To już nieważne. Najgorsze, że odszedł. Taki dobry człowiek. Ucałuj ode mnie moją kuzynkę i powiedz jej, iż jestem niepokieszona, że nie będę mogła jej gościć.

- Zaraz ją zawołam, sama jej to powiesz.

Podczas gdy Irmina rozmawiała z Lalą, Maria zastanawiała się, w jaki sposób dać znać przyjaciółce, że pragnie jej towarzyszyć w podróży, na pogrzebie i potem pobyc z nią przez jakiś czas w Paryżu.

Kiedy Irmina odłożyła słuchawkę, Maria powiedziała do niej:

- Tak to się wszystko pokomplikowało... Nie wiem, jak ci to powiedzieć... wiesz, mam do ciebie prośbę. Nie znam twoich planów na następne tygodnie, ale gdybyś mogła swoje sprawy poukładać tak, żeby wygospodarować trochę czasu dla mnie... Pojechałabyś ze mną?

- Właśnie zastanawiałam się, jak ci to zaproponować.

Obie kobiety uściskały się po tych słowach.

- To się nazywa zgodność myślenia! - ucieszyła się Irmina. - Jak to dobrze mieć przyjaciół.

- A co będzie, jeśli Sophie i jej dzieci też przyjadą?

- Nie wiem, czy wszyscy będą mogli. Zresztą jeżeli ktokolwiek z nich przyjedzie, to tylko na pogrzeb, ale miejsca na Jasmin starczy dla wszystkich.

- Wiem, ale jeśli Sophie przyjedzie, będzie chciała mieć cię tylko dla siebie...

- Łudzisz się. Ona nie może się opędzić od przyjaciół. Kiedy ostatnio u mnie była, widywałam ją tylko w nocy i rano, zanim nie pobiegnęła na kolejne spotkanie.

- Jesteście zupełnie inne, ale twoja córka bardzo cię kocha.

- To wiem. Szkoda, że nie potrafi tego okazać, czasem bardzo tego żałuję. Dopiero kiedy mnie zabraknie...

- Daj spokój, Irmino, ona nie ma łatwego życia. Po tym wszystkim, co przeszła...

- O tak, nie zasłużyła na to, czemu musiała stawić czoła.

- Jest bardzo dzielna. No i ma wspańiałe dzieci. One są rekompensatą i lekiem na wszystko.

- A moja biedna siostrzyczka teraz rozpacza. Jest po kim, bo mimo smutnego dzieciństwa, odkąd spotkała swego męża, miała dobre życie.

- Otóż to, musimy się teraz zmobilizować, żeby wszystko pozalać i być przy niej jak najszybciej.

- I to wszystko spada na ciebie, Mario, bo co ja tu potrafię zalać?

- Ty tylko spakuj swoje rzeczy, a ja zajmę się resztą.

Tego samego dnia pod wieczór obie kobiety dotarły do Warszawy i choć trudno było Marii uwierzyć, że zdąży wszystko załatwić, nazajutrz po południu leciały już samolotem do Paryża.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ledwie zapięły pasy, na długo przedtem, zanim samolot oderwał się od ziemi, Maria zmęczona po wyczerpujących przygotowaniach do podróży zaczęła zapadać w drzemkę. Obudziła się dopiero po godzinie, kiedy stewardzi serwowali posiłek.

- Ojej - powiedziała do Irminy. - Zasnęłam? Czemu mnie nie obudziłaś?

- Po co miałabym cię budzić? Spałaś jak dziecko.

- A ty?

- A ja? Ja rozmyślałam o tym, jakie byłoby życie Maszy, gdyby nie spotkała Jeana Paula.

- Właśnie! Miałaś opowiedzieć mi o jej dzieciństwie. A więc to ona była tym dzieciątkiem, które urodziło się, gdy poszłaś do szkoły?

- Wtedy urodził się Kola. Niestety, żył tylko dwa dni i omal nie zabił naszej mamy. Do powikłań w ostatnim okresie ciąży dołączyła się rozpacz po jego śmierci i niewiele brakowało, a zostalibyśmy sierotami. Niezawodny doktor Peckar jeszcze raz dokonał cudu i uratował ją dla nas.

* * *

„No, moi drodzy - powiedział wtedy. - Nie można dłużej igrać z losem. Serce pani Gali jest bardzo zmęczone i trzeba będzie o nie zadbać. Nie powinna mieć więcej dzieci”.

Jako prawie ośmiolatka Irmina była świadkiem tej rozmowy i bardzo wzięła ją sobie do serca. Toteż wielkie było jej zdziwienie, kiedy po roku, wróciwszy ze szkoły, zobaczyła niemowlę w kołysce obok łóżka matki. Była zmęczona, ale szczęśliwa, ruchem ręki

przywołała ją do siebie i rzekła:

- Przywitaj Irminko swoją siostrzyczkę. Maszeńka będzie potrzebowała twojej pomocy.

Irmina z zapartym tchem, zupełnie zdezorientowana patrzyła w milczeniu na maleńką, różową, lekko pomarszczoną buzię dziecka i rude włoski wyzierające spod koronkowego czepka. Nie mogła wydusić z siebie słowa. Jak to siostrzyczka? - buntowała się w myślach. - Skąd ona się tutaj wzięła? Przecież to niemożliwe. Słyszała dokładnie, jak doktor Peckar mówił, że dla zdrowia mamy ma nie być więcej dzieci.

- Nie cieszysz się? - spytała mama, rozczarowana milczącą reakcją córki.

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Bo jakże to? Miało nie być więcej dzieci, żeby serce mamy mogło dobrze pracować, a skoro przyszło na świat, może być dla niej zagrożeniem. Spojrzała z niechęcią na małego intruza, bez słowa odwróciła się do niego tyłem i poszła na górę.

Uświadomiła sobie po drodze, że Maszeńka ma na swej ryżej główce jej czepeczek, podarowany przez jej matkę chrzestną, ciotkę Raję. To już naprawdę była przesada. Do tej pory przechowywany był w wyściełanym atłasem pudle razem z jej sukienką i pelerynką do chrztu, a teraz ubrano weń istotę, która nie powinna była przyjść na świat. Zamknęła ze złością drzwi swego pokoju i rzuciła się z rozpaczą na łóżko. Jak długo będzie to tylko mój pokój - pomyślała z żalem. - Bracia mieszkają razem, więc ja także będę zmuszona dzielić pokój z siostrą. Nie chcę, nie potrzebuję żadnej siostry!

Postanowiła nie odezwać się więcej do rodziców. Oszukali ją. Wykorzystali nikczemnie jej wyjście do szkoły, żeby sprowadzić tu tę niepotrzebną nikomu istotę. Nie mogła nawet porozpaczać sobie do woli, bo ledwie zaczęła płakać, otworzyły się drzwi i stanął w nich tata.

- Co to za zachowanie? - powiedział ściszym głosem. - Pomyślałaś chociaż przez chwilę o mamie? Płacze przez ciebie. Natychmiast idź ją przeprosić.

- Nie pójdę. Po co sprowadziliście tego dzieciaka? Ja nie potrzebuję żadnej siostry. Doktor Peckar mówił, że ma nie być więcej dzieci, bo serce mamy nie wytrzyma!

- Więc o to chodzi! - zdziwił się tata. - A już się martwiłem, że moja ukochana córeczka zamienia się w zimny głaz. Posłuchaj mnie Irmina, skoro Bóg dał nam Maszeńkę, miał w tym jakiś swój plan. Na pewno wiedział, co robi. I tobie nie pozostaje nic innego, jak

przeprosić mamę i pokochać siostrzyczkę. Jest taka bezbronna. No... chodź już, wytrzymaj oczy. Przecież sama mówiłaś, że chciałabyś, żeby dla równowagi były w rodzinie dwie dziewczynki. Teraz jest sprawiedliwie: ich dwóch i wy dwie.

To prawda - pomyślała, ale spytała jeszcze, chcąc się upewnić:

- Ale ona nie zaszkodzi mamie, jesteś tego pewny?
- Najzupełniej. Nie dałaby rady. Widziałaś, jaka jest mała?

Rzeczywiście. Wobec tego trzeba będzie pogodzić się z jej obecnością. Skoro tata tak uważa...

- No dobrze już - zgodziła się. - Pójdę przeprosić mamę.

Mama uśmiechnęła się widząc ją zbiegającą z góry i wcale nie wyglądała na zagniewaną. Mimo to dziewczynka dygając grzecznie cmoknęła ją w rękę i spojrzała na siostrzyczkę.

- Ona będzie teraz nosić wszystkie moje rzeczy? - zapytała wskazując na czepek.

- Jeszcze nie ma swoich. Jak dostanie wyprawkę, twój czepek powędruje znowu do pudła. Pożyczysz jej go tylko na chrzest.

- No dobrze.

Mała siostrzyczka podobała się jej coraz bardziej. Szczerze mówiąc, wyglądała jak pomarańczka. Oczka z rudawymi długimi rzęsami często miała zaciśnięte, policzki były lekko pomarszczone, ale cała ta miniaturowa buzia nie była nieprzyjemna. Irminka pogładziła ją po policzku. Był jak aksamit. Poczuli, że ogarnia ją czułość. Bracia przyglądali się dziecku ukradkiem, ale mimo że ich fascynowało, starali się nie pokazać tego po sobie. W końcu była tylko dziewczyną.

Tego dnia wieczorem Irmina w nadmiarze wrażeń nie mogła zasnąć i poprosiła, żeby nie zamykano drzwi do jej pokoju. Przewracając się z boku na bok słuchała rozmowy dobiegającej z pokoju rodziców. Przenieśli już kołyskę dziecka do swojej sypialni.

- Maszeńka tak się śpieszyła na świat, że urodziła się o dwa miesiące za wcześnie. Czy ona nam się uchowa? - martwiła się Gali.

- Uchowa się, uchowa. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Bylebyś ty była zdrowa, włos z głowy jej nie spadnie - uspokajał ją Aleksiej.

- Widziałeś jej włoski? Są miedziane, takie same jak u mojej siostry Kseni. Co za los, nawet nie mogę się z moimi siostrami ani mamą podzielić moją radością...

Niedawno siostry Gali przysłały jej kartkę z pozdrowieniami. Była dość lakoniczna. Wynikało z niej, że one i matka czują się dobrze i że wolałyby, żeby nie bombardować ich korespondencją, bo kontakty obywateli ZSRR ze światem kapitalistycznym nie są u nich dobrze

widziane.

Myśląc o tym Galina poczuła wilgoć pod powieką.

- Tylko przestań się rozczulać, to nic nie da - upomniał ją mąż. - Rozpamiętywanie nic tu nie zmieni, może ci tylko zaszkodzić. Nie tego nam teraz potrzeba.

Aleksiej mówił cicho, jakby coraz ciszej. Irmina słuchając jego słów odprężała się coraz bardziej, poczuła ciepło i dalsza rozmowa rodziców przestała do niej docierać. Głosy ich odpływały gdzieś dalej i dalej, a ona uspokojona, zasnęła nie wiedząc kiedy.

Aleksiej został po ukończeniu odpowiednich kursów, był już głównym rachmistrzem w biurze Arkadego Babinicza.

Człowiek ten miał złote serce. Nie dość, że stworzył swojej żonie raj na ziemi, to jeszcze jak mógł pomagał wielu rodzinom Rosjan i Polaków z kolonii robotniczej. Rosjanom, bo miał żonę Rosjankę, a Polakom, bo sam miał polskie korzenie.

Pojawienie się nowego członka rodziny u Orłowów nie było dla nich obciążeniem finansowym, bo takie problemy zdawały się ich opuszczać. Aleksiej oprócz tego, że awansował, co przyniosło im poprawę bytu, zaczął czerpać coraz większe dochody ze swoich uzdolnień muzycznych. W każdy czwartek przyjmował u siebie dwóch, z czasem trzech uczniów, których uczył gry na skrzypcach. Odkąd jego pierwszy uczeń dostał się do konserwatorium paryskiego, jego renoma tak wzrosła, że musiał ograniczać przyjmowanie na lekcje.

Bił się z myślami, czy nie powinien w ogóle zwolnić się z fabryki i rozkręcić swoją działalność muzyczną, która była jego prawdziwą pasją. Przeważała odpowiedzialność za losy rodziny. Pewna posada w fabryce była przecież podstawą ich egzystencji.

W ciągu pierwszych dwóch miesięcy swego życia Masza nie nastęrczała rodzicom żadnych kłopotów. Szybko przybierała na wadze, wodziła za rodzeństwem spojrzeniem dużych, granatowych oczu i prawie nie płakała. Wszystko zmieniło się niespodziewanie od dnia, kiedy została ochrzczona.

Ledwie tylko koronkowy czepeczek po Irminie, a także jej sukieneczka i pelerynka, spełniwszy już drugi raz swoją rolę, wylądowały w pudle, odłożone na pamiątkę, Masza głośnym płaczem ogłosiła wielki alarm.

Ceremonia jej chrztu miała miejsce szóstego stycznia, czyli w dniu prawosławnego Nowego Roku. Padał śnieg i w cerkwi było przenikliwie zimno, toteż mała bohaterka podniosłego obrzędu,

odkrywana co chwilę, przemarzła i zaczęła kichać raz po raz. Stąd wzięły się jej dolegliwości, co oznajmiła światu głośnym płaczem.

W nocy już tylko kwiliła, bo dostała wysokiej gorączki. Rodzice świeżo ochrzczonej nie zmrúżyli oka do białego rana, ale nie koniec na tym. Zaziębienie dziecka leczyło się opornie, trwało i trwało. Po pewnym czasie zamieniło się w zapalenie oskrzeli, potem płuc i wszystko wskazywało na to, że małej nie uda się uratować. Sytuacja zrobiła się naprawdę dramatyczna, kiedy jeszcze matka, zmęczona czuwaniem nad maleństwem, zasłała i okazało się, że też wymaga pomocy lekarskiej.

Wtedy to Raisa odwiedziła Orłowów, zobaczyła na własne oczy, co się u nich dzieje, i pośpieszyła z pomocą. Irminę i jej braci na okres niedomagania przyjaciółki i maleństwa zabrała do siebie. Chorym natomiast przysłała opłaconą przez siebie pielęgniarkę. Kobieta ta, instruowana przez doktora Peckara, okazała się aniołem. Obie pacjentki zaczęły powoli przychodzić do siebie. Trwało to długo, bo prawie trzy miesiące, ale obie wyzdrowiały.

Na początku kwietnia cała rodzina Orłowów była już razem. Nie wszyscy byli tym do końca uszczęśliwieni. Galina i Aleksiej na pewno tak, ale nie Raisa, której trudno było się przyzwyczajać na nowo do swego domu pozbawionego gwaru dziecięcych głosów, ich małych i wielkich spraw i zadań, które mieli do odrobienia pod troskliwym okiem cioci Raisy i wujka Arkadego.

Dzieciom brakowało tolerancji, wielkiej łaskawości i hojności swych możliwych opiekunów, nie mówiąc już o codziennych wyjazdach z szoferem do szkoły i z powrotem. Byli bardzo dumni, kiedy ich wysiadaniu lub wsiadaniu do samochodu towarzyszyły zaciekawione spojrzenia kolegów i koleżanek ze szkoły. Mimo dobrobytu i troski, jaką ich otaczano, tęsknili jednak za rodzicami i swoim skromnym domkiem i z radością wrócili do nich, gdy tylko okazało się to możliwe.

Po chorobie Maszeńki nie było śladu. Dziewczynka siedziała już samodzielnie i chowała się dobrze. Miała dołeczki w policzkach, a także mnóstwo piegów na nosku. A tym, co jej starszej siostrze, Irminie, podobało się w niej najbardziej, były rude jak marchewka loczki. Jej pyzata, uśmiechnięta buzia okolona tymi loczkami przypominała twarzyczkę duszka leśnego, „ogonioka” - płomyczkiem zwanego. Tak też bawiąc się z nią Irmina często nazywała ją „płomyczkiem”.

Kiedy Masza zaczęła już biegać, przyłgnął też do niej inny przydomek: „Kaczka”. Ten nielubiany potem epitet towarzyszyć jej miał

przez całe życie. Ojciec po latach, kiedy była już dorosła, przyznał się, że nie może sobie darować zainicjowania jej udręki.

Jak świat światem każdy mężczyzna za punkt honoru poczytuje sobie spłodzenie syna. Ci, którym się to udaje, są z tego niesłychanie dumni. Jednak jeśli oprócz syna mają także córki, kochają je nieprzytomnie, bezkrytycznie i świata poza nimi nie widzą. Tak też było z Aleksym. Liowa był jego wielką miłością, ale dopiero Irmina stała się oczkiem w głowie. Nie mógł się nadziwić jej wdziękowi, urodzie, gracji ruchów, mądrości, staranności i tak dalej. Wszystko w niej napawało go zachwytem i poruszało do głębi. Była też niedoścignionym wzorem dla reszty jego dzieci.

Kiedy jej młodsza siostra, Maszeńka, zaczęła chodzić, od razu zapragnął, żeby robiła to z wdziękiem.

- Popatrz na swoją starszą siostrę - powiedział kiedyś do niej. - Widzisz, jak ona chodzi? Jak księżniczka, jak nimfa wodna, zdaje się nie dotykać stopami ziemi, a ty?

Mała, która dreptała niezgrabnie w jego stronę, zatrzymała się zakłopotana. Nie bardzo rozumiała, o czym tata mówi, ale usłyszała w jego głosie przyganę i poczuła się nieswojo.

- Czego ty od niej chcesz? - wzięła ją w obronę Galina.
- Żeby inaczej stawiała stopy, tak jak to robi Irminka.
- Irmina chodzi na lekcje tańca i ma już dziesięć lat, a Maszeńka to prawie osesek.
- Ale stawia nogi jak kaczką. Chcę tylko, żeby moje córki ładnie się poruszały.
- Kaczka, kaczką! *Canard!* - zawołał Wowa. - Maszeńka to kaczką!

Do końca tego wieczoru chłopcy nie przestawali na nią wołać „Kaczka”. Aż biedaczka, jeszcze nieświadoma tego, jaki posmak ma ta nowo nadana jej nazwa, zaczęła na nią reagować. Tak to z Maszeńki przemieniła się w Kaczkę. Bracia z czasem nazywali ją już tylko tak właśnie. Nawet Irminie, którą Masza lubiła najbardziej, bo ta traktowała ją jak swoją najukochańszą zabawkę, zdarzało się w złości nazywać ją Kaczką. Na ogół w chwilach, kiedy mała grymasiła lub była nieposłuszna.

Kaczka nigdy nie nauczyła się poruszać tak, jak jej starsza siostra. Z wiekiem nie przemieniła się w motyla. Często się zamyślała i w zamyśleniu potykała. Lubiła natomiast, gdy jej czytano. Słuchała też z zapartym tchem opowieści starszych. Wszystko, co usłyszała i zobaczyła, analizowała i przeżywała na swój sposób. Tak dużo miała do przemyślenia, że nierzadko wpadała na meble stojące na jej drodze,

nieraz na ścianę. I nieodmiennie kwitowano to okrzykiem:

- A Kaczka znowu się zagapiła!

- Patrz pod nogi, Kaczka - powiedział do niej kiedyś zniecierpliwiony tata. Zaraz jednak się zreflektował i dodał: - Tylko kaczuszki człapią przed siebie nieuważnie. A ty jesteś moją córeczką Maszeńką i powinnaś jednak uważać.

Masza była zmartwiona. Czuła, że w jakiś niezrozumiały sposób sprawia zawód tacie. Nie potrafi biegać tak szybko, jak inne dzieci, a chyba tak być powinno. Tylko że dla niej to skakanie, bieganie wcale nie było czymś upragnionym. W każdym razie poczuła się inna, może gorsza niż reszta rodzeństwa, i najbardziej ze wszystkiego pragnęła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Żeby jednak zrozumieć, musiała o tym pomyśleć. I rozmyślała, a przy okazji znowu coś przegapiła, z czymś się spóźniała, za kimś nie nadażała. I tak w kółko, bez końca. Z czasem dystans między nią a resztą rodzeństwa wydawał się być nie do pokonania. Nie tylko z racji wieku, lecz również temperamentu. Jednakże poza chwilami, kiedy trzeba było udzielić jej pomocy, bo znowu nabiła sobie guza albo stłukła kolano, była niekłopotliwa. Umiała sama zająć się sobą. Godzinami na przykład układała klocki, bawiła się puderniczką albo rękawiczkami mamy, niby patrząc na nie, a nie widząc, bo myślała zupełnie o czymś innym. Nikt nie musiał jej zabawiać ani też długo usypiać, wystarczyło, by ktoś jej troszkę poczytał przed snem. Słuchała z szeroko otwartymi oczkami, które patrzyły coraz bardziej nieprzytomnie, po czym zamykały się powoli, a rude długie rzęsy przykrywały piegi na policzkach. W milczeniu pozwalała się kąpać, myśląc przy tym o tym, co ją nurtowało. W milczeniu siadała do jedzenia, posłusznie otwierając buzię, żeby połknąć kolejny kęs czy wypić podaną porcję płynów i wciąż myślała: dlaczego to, dlaczego tamto?

- Hej, myślicielko, ocknij się, mleko kapie ci po brodzie, ocknij się! - upominała mama.

Mama z czasem coraz rzadziej zajmowała się Maszą. Nie dlatego, że nie chciała, po prostu nie miała siły. Często kąpał ją wieczorem tata, a przeważnie ukochana duża siostra. Ona też wieczorem czytywała jej w zastępstwie mamy *Murzilkę* lub *Baśnie* Kryłowa. Mała uwielbiała te chwile, bo Irmina w dodatku potrafiła cierpliwie odpowiadać na zadawane bez końca pytania: „A dlaczego...” W wymyślaniu ich Masza wyprzedzała znacznie swoich rówieśników, a nawet starsze od niej dzieci.

- Nasza Kaczuszka jest ruda jak marchewka - powiedział kiedyś Lowa. - Może ktoś nam ją podrzucił?

- Nie waź się tak mówić - ofuknął go ojciec. - Moja matka, a twoja babcia też miała taki kolor włosów i była najpiękniejszą kobietą, jaką znałem. Maszeńka ją przypomina.

- Jakie to szczęście, że Irmina potrafi tak ładnie zajmować się Maszą - mówiła mama. - Teraz, kiedy ja jestem taka słaba, w niej cała nadzieja. - Irminko, kochanie, nalej mi kawy, muszę rozruszać to moje leniwe serce.

I Irmina posłusznie zagrzewała wodę i podawała mamie kawę. Ostatnio robiła to coraz częściej.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Niedawno w jednym z domów w sąsiedztwie Orłowów zamieszkała nowa rodzina. Małżeństwo z dwojgiem dzieci. Wkrótce po przeprowadzce ojciec rodziny nagle zmarł i Anna Pawłowna Konina została sama z dziećmi.

Galina siedziała kiedyś ze swoimi pociechami w ogródku, żeby przywitać Alioszę wracającego z pracy. Już się do nich uśmiechał z daleka. Kiedy przechodził obok płotu Anny Pawłownej, szepnęła z przekąsem, patrząc w tamtą stronę:

- A wesola wdówka jak zwykle na nieustającej pikiecie.

Tylko Irmina zwróciła na te słowa uwagę. Spojrzała na napiętą twarz matki, popatrzyła tam gdzie ona i zobaczyła sąsiadkę na schodach jej domu. Była to przystojna kobieta, świadoma swego uroku. Papcio właśnie jej się uklonił, a ona odpowiedziała mu z uśmiechem. Ojciec nie zatrzymał się, po prostu pozdrowił napotkaną, ale niepokój na twarzy matki obserwującej tę scenkę zastanowił Irminę.

Zaraz o tym zapomniała, bo ledwie weszli z tatą do domu, mama zasłabła. Zrobiło się zamieszanie, trzeba było szukać kropli na serce. Okazało się, że właśnie się skończyły, więc Irmina co sił w nogach pobiegła do apteki. Kiedy wróciła, wszyscy siedzieli cichutko wokół kanapki, na której mama leżała i teraz już zupełnie przytomnie patrzyła na dzieci, mówiąc ze smutkiem:

- Co z wami będzie, moje dziecińki? Co z wami będzie?

- Wyrosną, ani się spostrzeżesz - powiedział ojciec, podając jej krople, które Irmina odmierzyła na łyżeczkę z cukrem.

- Nie wiem... naprawdę nie wiem...

Ojciec nadrabiał miną, ale widać było, że jest zmartwiony. Bo też omdlenia Galiny powtarzały się ostatnio coraz częściej.

Tego wieczoru wszyscy byli smutni, a nazajutrz wszystko wróciło do normy. Dzieci, jak to dzieci, zajęły się swoimi sprawami szkolnymi, tata poszedł do pracy, a mama ubrała ładnie swoją najmniejszą pociechę, wzięła ją za rączkę i udała się do wróżki.

Wróciła od niej odmieniona.

- Wyobraź sobie - powiedziała do męża, gdy przyszedł z pracy - madame Odette postawiła mi kabałę pani Lenormand i wynikało z niej, że będę żyła siedemdziesiąt pięć lat!

- No widzisz! Musisz tylko dbać o siebie i wszystko będzie dobrze - ucieszył się tata i objął ją czule.

Irmina patrzyła z kąta pokoju na przytulonych rodziców i czuła się szczęśliwa. Nie mogła jednak długo cieszyć się tą chwilą, bo siostrzyczka ciągnęła ją za rękę, chcąc jej coś pokazać.

Od pewnego czasu, gdy tylko Irmina wróciła ze szkoły, Maszeńka była przy niej, nie odstępowała jej na krok. Do lekcji mogła zabrać się dopiero wtedy, kiedy Masza już spała. Ale jakoś sobie z tym radziła. Opieka nad małą siostrzyczką dostarczała jej dużo radości, a nauka nigdy nie sprawiała jej kłopotu. Jedynym zmartwieniem było teraz to, że przez ostatnie miesiące nieczęsto udawało się jej spędzić sobotę i niedzielę z matką chrzestną. Tak było, odkąd mama poczuła się słabiej i mimo że jej o to nie prosiła, Irmina wolała zostawać w domu, żeby służyć jej pomocą. Wiedziała, że słabość mamy wkrótce ustąpi i wszystko będzie tak, jak dawniej.

Madame Odette, podobnie jak stawiana przez nią kabała wróżki napoleońskiej, pani Lenormand, cieszyła się wielkim powodzeniem w Colombelles. Wiele spraw potrafiła przewidzieć, nie raz ostrzegła przychodzących do niej przed nieszczęściem czy zasadzką. A jednak pomyliła się w przypadku Galiny Orłowej. Bo ta, ku wielkiej rozpacz i strapieniu rodziny, pewnego ranka nie obudziła się ze snu i w taki oto spokojny sposób zakończyła swój żywot w zaledwie trzydziestym piątym roku jego trwania.

Pomimo jej złego ostatnimi czasy samopoczucia nikt nie przewidywał takiego obrotu spraw i zarówno niespełna czterdziestoletni wdowiec, jak i jego osierocone dzieci byli w szoku. Tylko mała Maszeńka nie bardzo rozumiała, co się stało i dlaczego wszyscy w domu są tacy smutni. Aleksy Orłow czuł się zupełnie zagubiony. Przyzwyczajony był wprawdzie do tego, że jego żona była stworzeniem kruchym i wymagającym troski, ale do głowy mu nie przychodziło, że tak młodo umrze. A dzieci były jeszcze całkiem małe. Najstarszy, Liowa, miał lat trzynaście, Irmina dwanaście, Wowka osiem, a Maszeńka trzy - biedactwo, pewnie nawet nie będzie pamięć-

tała matki.

Dopiero teraz docenił to, co jego żona robiła dla dzieci. I kto ją teraz zastąpi? Żadne z dzieci nie dorosło jeszcze do takich zadań. Co innego pobawić się z młodszą siostrą, a co innego zabezpieczyć wszystkim pożywienie, zadbać o czystość domu, odzieży, rozwiązać całą masę problemów, które wynikają z codziennej egzystencji. Nie miał więc innego wyjścia, jak zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

Kiedy tylko pochowali Galinę, zawołał dwoje najstarszych dzieci i powiedział:

- Spotkało nas wielkie, wielkie nieszczęście, ale wy, moje dzieci, macie całe życie przed sobą i musimy sobie jakoś radzić. Synku mój, Lwie Aleksiejewiczu, jesteś teraz razem ze mną opiekunem rodziny. To bardzo ważne i zaszczytne zadanie i wierzę, że sobie poradzisz i będziesz starał się wyręczać mnie w niektórych pracach męskich. Natomiast ty córeczko - zwrócił się do Irminy - ty będziesz musiała w wielu sprawach zastąpić mamę. Ona też szybko musiała dawać sobie radę sama. Tak to w życiu bywa. Nikt nie jest panem swego losu. Ale nie trzeba się poddawać i nie damy się - prawda?

- Tak, papcio - powiedziała dziewczynka przez łzy. - Ja naprawdę dużo potrafię. Widziałam, jak mama wszystko robiła - rozplakała się przy tych słowach, ale wytarła oczy i starała się uspokoić.

- Jesteś bardzo dzielna i kocham cię, kocham was bardzo!

- My też cię kochamy, tato - usłyszał w odpowiedzi.

- Jak wiecie, zaczęły się wakacje. Tak, jak planowaliśmy, spędzimy dwa tygodnie nad morzem. Zamiast mamy ja z wami pojadę, właśnie dostałem urlop. A potem zobaczymy.

Kochany papcio - myślała Irmina. - Ale „zamiast mamy”? Nikt nie zastąpi nam mamy. Tata to tata, a mama... Czemu los jest taki okrutny?

Czas pobytu nad morzem minął szybko i trzeba było wracać do domu. W zamieszaniu po śmierci mamy osieroceni przez nią bliscy nie zastanawiali się, dlaczego jej najlepsza przyjaciółka, tak pomocna w ciężkich czasach, od pogrzebu nie pojawiła się przy nich, przeżywających największe nieszczęście. Prawdą jest, że ani Irmina, ani jej ojciec nawet nie pomyśleli o Raisie. Dopiero kiedy po przyjeździe znad morza Aleksiej wrócił do pracy, dotarła do niego ta tragiczna wiadomość.

Kilka dni po pogrzebie Galiny Raisa i Arkady Babinczowie wsiedli do swojej limuzyny, bo chcieli pośpieszyć z pomocą sierotom. Ledwie wyjechali za rogatki Caen, z bocznej drogi wyjechał zaprzęg

koni prosto na nich. Arkady gwałtownie szarpnął kierownicą, aby go ominąć, ale konie się spłoszyły i zarzuciło wozem prosto na samochód. Efekt zderzenia był okropny. Woźnica stratowany, jeden z koni zabity i ranni oboje jadący samochodem. Raisa szybko odzyskała przytomność, miała tylko lekkie wstrząśnienie mózgu, natomiast Arkady z uszkodzonym kręgosłupem musiał pozostać w szpitalu. Po dwóch tygodniach był wprawdzie przytomny, ale dowiedział się, że już nigdy nie stanie na nogach. Resztę życia miał spędzić na wózku inwalidzkim, a skończył dopiero czterdzieści trzy lata.

I niech mi kto powie - myślał Aleksy - że nie ma racji przysłowie „nieszczęścia chodzą parami...” Napisał do Raisy serdeczny list i postanowił, że jak tylko trochę razem z dziećmi oswoją się ze swoim nieszczęściem, odwiedzą wszyscy razem Babiniczów.

A swoją drogą, jak tu nie mieć respektu dla mocy i magii przeznaczenia? Jeszcze tak niedawno, bo zaledwie czternaście lat temu obie pary tego samego dnia brały ślub - i w tym samym czasie po latach dotknęło je nieszczęście.

Okaleczona boleśnie rodzina Orłowów powoli oswajała się z nową sytuacją. Była to raczej wegetacja niż normalna egzystencja, ale żyli, musieli sobie jakoś radzić. Przynajmniej jedno z nich wyglądało na spokojne i szczęśliwe. Była to małeńka Masza, zupełnie nieświadoma tego, czego została pozbawiona. Miłość matczyną, jej cud i potęgę zrozumieć miała dopiero po wielu latach, kiedy sama została matką.

Aleksy nie uświadamiał sobie dotąd, jak wiele pracy i starań wkładała w ich codzienność jego sła biutka żona. Teraz zmuszony był wstawać o dwie godziny wcześniej. Przed wyjściem do pracy starał się z grubsza przygotować dzieciom śniadanie, podgotować obiad, sprawdzić ich ubrania. Zostawiał też zapisane kartki z poleceniami dla starszych dzieci i kreślił im plan zajęć na czas, kiedy będzie przebywał poza domem. Pisał także rozmaite ostrzeżenia: gdzie nie powinny chodzić, czego dotykać i tak dalej. Od tego wszystkiego głowa mu pękała. Ale teraz jeszcze było pół biedy, bo dzieci miały wakacje. Mógł pod opieką starszych zostawić Maszę. A co będzie we wrześniu? Bał się o tym myśleć. Będzie musiał na kilka godzin zaangażować kogoś do pomocy.

Całkiem niespodziewanie propozycja takiej pomocy wyszła od ich sąsiadki, zwanej przez jego żonę nieboszczką „wesołą wdówką”.

Nigdy nie zastanawiał się, jak to się dzieje, że ilekroć przechodzi obok jej domu, ona jest na zewnątrz. Przedtem na jego roztargnione pozdrowienia odpowiadała tylko uśmiechem. Skłamałby, gdyby zaprzeczył, iż mimo to że mijał ją w pośpiechu, nie zwrócił uwagi na

jej atrakcyjność. Co to, to nie. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył jej kipiącej żywotności, bujnych włosów i cienkiej talii nad krągłymi biodrami. Wszystko to odnotował, tyle że nie miało to jak dotąd żadnego znaczenia. Mało to ładnych kobiet chodzi po tym świecie? Teraz jednak Anna Pawłowna na jego widok podchodziła do płotu, pytała, jak sobie radzi, a z czasem zaczęła mu podawać dla dzieci a to trochę zupy, a to jakieś bliny, a to upieczone ciasto. Ostatnio zaproponowała, żeby zostawiał u niej zakupione produkty, to ona do wieczora ugotuje z nich obiad na następny dzień.

Aleksy był ujęty jej uprzejmością, nie widział powodu, żeby z niej nie skorzystać. Zanim poszedł odebrać ugotowany obiad, zerwał trochę kwiatów w ogrodzie i z ogromnym bukietem, gdy jego dziatwa już spała, zjawił się u wdowy.

- Czym ja się pani odwdzięczę? - zapytał wręczając jej kwiaty.

- Dobrym słowem, to w zupełności wystarczy - odpowiedziała rumieniąc się.

Akcent miała jakiś dziwny, wcale nie rosyjski. A przecież jej imię i nazwisko było swojskie. Anna Pawłowna Konina. Kiedy wypowiedziała jeszcze kilka słów, odważył się zapytać:

- Z jakich rejonów Rosji pani pochodzi, bo akcent ma pani inny niż Wielkoruscy, a nawet Ukraińcy?

- Jestem Polką z pochodzenia. Mój mąż był Rosjaninem. Wojna nas zetknęła i połączyła.

Miła sąsiadka zapakowała do kosza garnki z obiadem, ale Aleksy bynajmniej nie śpieszył się z opuszczeniem jej domu, a ona też nie była temu nierada.

- Dziękuję pani za uprzejmość. Wielka to dla mnie wyreka.

- A co będzie, jak dzieci pójdą do szkoły? Załatwił pan już kogoś do opieki nad maleństwem?

- Muszę o tym pomyśleć. Na razie próbowałem się oswoić z nową sytuacją. Samemu z czwórką dzieci nie jest mi łatwo.

- Nikomu nie jest łatwo w pojedynkę - powiedziała kobieta ze zrozumieniem.

Uśmiechnął się do niej na dźwięk dziwnie i twardo akcentowanych słów. Ona też się uśmiechnęła i zauważył, że ma piękne i bardzo białe zęby oraz czarujący dołek w brodzie. Nie wiedzieć czemu poczuł się zażenowany tym spostrzeżeniem i zaczął się żegnać.

- Pomyślałam sobie - odezwała się z wahaniem...

- Tak?

- Pomyślałam sobie, że gdyby trudno było panu znaleźć kogoś do opieki nad dzieckiem, mogłabym małą brać przez jakiś czas na kilka

godzin do siebie...

- To by było wspaniałe, no i mogłaby pani w ten sposób sobie dorobić.

- A tam pieniądze! Trzeba sobie pomagać!

Spojrzał na nią zdziwiony. Prawdziwa altruistka!

- Ugotować też panu mogę. I tak gotuję dzieciom, więc trochę mniej, trochę więcej, co to za różnica.

- Cudowna propozycja, droga pani, ale pod jednym warunkiem: odwzięczę się pani finansowo.

- Jeśli pan się upiera...

- Wobec tego ugoda stoi. Bóg mi panią zsyła!

Aleksy ucałował jej ręce, zabrał koszyk i wyszedł. Minał furtkę i pośpiesznie podążał do swojego domu, podczas gdy ona zerknęła zza firanki, póki nie zniknął jej z oczu.

Od tej pory jego krótkie wieczorne wizyty u niej powtarzały się niemal codziennie. Czasem Aleksy przysyłał po odbiór żywności dwoje starszych dzieci z koszykiem. Anna Pawłowna wypytywała je, dlaczego tata nie zjawił się osobiście. „Bo jest zmęczony i nie chciało mu się” - odpowiedziała jej raz Irmina i ujrawszy jej zawiedzioną minę, komunikowała to nie pytana za każdym razem, gdy przychodzili. Sprawianie przykrości „wesołej wdówce” dostarczało jej satysfakcji.

Krótką przerwą w aprowizacji nastąpiła po pierwszym września, kiedy to dzieci poszły do szkoły, a Aleksy zgodnie z umową przyprowadził do Anny Pawłownej Maszeńkę. Gdy zdjął jej czapkę, a uwolnione spod niej rude loki otoczyły małą twarzyczkę ognistym obłokiem, gospodyni wydała z siebie okrzyk:

- Mój Boże! Ona jest ruda! Nic pan nie mówił, że jest ruda! Dlaczego mnie pan nie uprzedził?

- Nie widziałem powodu, po mojej matce ma te włosy - odpowiedział - i dodał z dumą: Straciłem ją mając dwanaście lat. Dokładnie tyle, co moja starsza córka, gdy została pól sierotą. Widzi pani, tak to jest, zadziwia mnie magia przeznaczenia...

Anna Pawłowna milczała. Spojrzał na nią wreszcie. Do tej pory zajęty doprowadzaniem do porządku niesfornych loków córeczki nie zauważył, że gospodyni jest w szoku. Była biała i na jej twarzy malowało się coś w rodzaju odrazy.

- Co jest nie w porządku? Czy pani źle się czuje?

- Nic mi nie jest... Ale... gdyby pan mnie uprzedził, że ona jest ruda, to...

- A cóż tu za znaczenie ma kolor włosów tego dziecka?

- Dla mnie ma... Przepraszam pana, ale ja... No dobrze, dzisiaj się przemożę. Jak z tym będzie dalej, doprawdy nie wiem... Dzisiaj proszę ją zostawić.

Aleksy był skonsternowany, nigdy nie spotkał się z takim traktowaniem kogoś z powodu koloru włosów, to było nieprawdopodobne. Kim, na Boga, jest ta kobieta? Wariatka jakaś czy co? Bo ona najwyraźniej była mocno zde gustowana, a nawet jakby przestraszona. Patrząc na nią, na jej dziwne zachowanie, poczuł się nagle niespokojny o bezpieczeństwo córeczki. Co za fatalna sytuacja. Musi iść do pracy, a zostawianie dzieciaka tutaj wydaje mu się ryzykowne.

- Nie będziemy pani kłopotać - powiedział do kobiety. - Jakoś sobie poradzimy. Ubierajmy się, Maszeńka.

- Aleksiej, nie! Niech pan ją zostawi, włos jej... O mój Boże! Nic jej tutaj nie grozi, zapewniam pana.

- No, nie wiem - wahał się jeszcze - doprawdy nie wiem, co mam robić.

- Zostawić ją i już, jakoś to przetrwamy.

Aleksy idąc do pracy kilka razy chciał jeszcze zawrócić. Jeśli dziecku coś się stanie, nigdy sobie tego nie daruje. Było w zachowaniu tej kobiety coś takiego, co nie dawało mu spokoju. Jednocześnie czuł się urażony czynieniem różnic między ludźmi z powodu tak błahej rzeczy, jak kolor włosów. Zwłaszcza że dotyczyło to jego córeczki i burzyło wspomnienie o ukochanej matce. Z drugiej strony, dotychczas Anna Pawłowna wyświadczyła mu tyle dobrot, że głupio byłoby potraktować ją niegrzecznie. Bijąc się z myślami wstąpił jeszcze w drodze do pracy do szkoły i zostawił Irminie liścik z prośbą, aby natychmiast po szkole odebrała Maszę od sąsiadki. Uznał, że jeśli pobyt małej w jej domu się skróci, będzie o wiele spokojniejszy.

Kiedy w biurze zwierzył się kolegom ze swojego kłopotu, poradzili mu, żeby poszukał pomocy u sióstr w kościele. Masza mogłaby spędzać kilka godzin dziennie w prowadzonej przez nie ochronce. Sam dźwięk nazwy tej instytucji przyprawił go o dreszcz, ale jakie miał inne wyjście? Przynajmniej na jakiś czas byłoby to rozwiązaniem. Postanowił spróbować.

Od tej pory ustały jego wizyty w domu Anny Pawłownej. Starsze dzieci jadały teraz u sióstr, kiedy wstępowały tam po szkole, aby odebrać Maszeńkę, a on poprzestawał na kanapkach. I byłoby tak nie wiadomo jak długo, gdyby wdowa nie napisała do niego listu z gorącą prośbą, żeby przyszedł wieczorem wysłuchać jej wyjaśnienia. Z uwagi na to, co przedtem dla niego robiła, nie śmiał jej odmówić, a może istniały też inne powody, ale do nich nie chciał się przyznać

nawet przed samym sobą.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nazajutrz po otrzymaniu listu zatem odczekał, aż jego trzódka zapadła w sen, zmienił koszulę, popryśkał się wodą kolońską i udał do sąsiadki. Musiała stać przy oknie, bo ledwie pokonał trzy schodki do drzwi jej domu, te otworzyły się przed nim jak na zawołanie.

Zamurowało go, kiedy ją zobaczył. Niestosownie do sytuacji, ubrana była w szafirową wizytową suknię, pamiętającą wprawdzie lepsze czasy, ale leżącą na niej doskonale. Nie zauważył dotąd, że jest aż tak zgrabna.

Stali naprzeciw siebie bez słowa dobrą chwilę, zanim ona zreflektowała się i gestem ręki, bo głos odmówił jej posłuszeństwa, zaprosiła go do środka.

- Dobry wieczór - powiedział na niskich tonach, które go zdziwiły.

- Witam pana - wyszeptwała. - Proszę, niech pan wejdzie - odzy-skała głos.

Przysiadł na brzegu krzesła nieco skrępowany. Nie tyle sytuacją, co wrażeniem, jakie na nim zrobił jej widok po kilku dniach nie widywania się.

- Chciałabym wyjaśnić panu moje zachowanie, kiedy to przyprowadził pan do mnie swoją córeczkę. I przeprosić, jeśli to możliwe.

- Nie będę ukrywał, że byłem zaskoczony. Pani, taka dobra osoba... To było zupełnie do pani niepodobne.

- Nie chciałabym, żeby pan oceniał mnie fałszywie. Ale niełatwo będzie mi opowiedzieć to, co mnie kiedyś spotkało.

- Jeśli to panią krępuje, proszę mi nie opowiadać.

- Kiedy ja muszę. Za bardzo mi na pańskiej opinii zależy. Bo pan, panie Aleksy, jest wyjątkowym człowiekiem.

Spojrzał na nią zdziwiony. Ostre wypieki i rozgorączkowane oczy świadczyły o jej zdenerwowaniu. Oblizła zaschnięte wargi, zanim zaczęła mówić. Starał się jej nie przerywać, bo widział, że jest ogromnie speszona.

- Zapyta pan, skąd ja to wiem, jaki pan jest. Czuję to. Widzi pan, moje życie z mężem nie układało się najlepiej, nie był ze mną ani czuły, ani delikatny, chociaż z pewnością po swojemu darzył mnie uczuciem. Nie takim jednak, jak pan swoją żonę.

- A cóż pani może wiedzieć na ten temat?

- To było widać. Obserwowałam państwa. Pan się obchodził z nią jak z jajkiem. Przyjemnie było na was popatrzeć. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna z podobną atencją traktował jakąś kobietę.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym inaczej.

- No właśnie! A dlaczego? Nie dlatego że była lepsza od innych, ale dlatego że pan jest lepszy.

- Och, nie przesadzajmy! Moja żona była istotą kruchą i wymagającą troski.

- Może i tak, ale nie każdy zdobyłby się na to, żeby ją należycie traktować. A pan...

- Och, nie mówmy już o mnie, to mnie krępuje, miała mi pani opowiedzieć...

- Tak, tak. Nie jest mi łatwo. A więc wtedy zachowałam się nerwowo, może nawet histerycznie na widok rudych włosów pańskiej córeczki. Bo ja, proszę pana, czuję coś w rodzaju odrazy, więcej - coś w rodzaju odium do rudych włosów.

- Dlaczego, na Boga? To zwykle uprzedzenie. Przecież to tylko kolor. W dodatku całkiem ładny, taki ciepły. Mnie się podoba.

- Ale ja mam powód, żeby go nie lubić.

- Jakiż to może być powód?

- Kiedyś spotkała mnie wielka krzywda od osoby o takich włosach...

- Z tego nie można wyciągać wniosku, że każdy, kto jest rudy, musi być zły, a Maszeńka ma niewiele ponad trzy lata.

- Ale to było straszne, proszę mi wierzyć.

Anna Pawłowna aż się wstrząsnęła. Była bardzo przejęta i w stanie tego zdenerwowania wyglądała bardzo ponętnie. Aleksy nie mógł od niej oderwać oczu.

- No więc? - zachęcał. - Proszę to z siebie wyrzucić, może po-

czuje pani ulgę.

- Nie wiem. Zwierając się z tego nie przysporzę sobie honoru, ale muszę się usprawiedliwić. No trudno, raz kozie śmierć.

Przyjechaliśmy wtedy z Polski do Dunkierki. Potem ojciec zginął pod Lwowem, w wojnie bolszewickiej 1920 roku. Straciliśmy wszystko. Nie mieliśmy domu ani środków do życia. Był wtedy w Polsce okres euforii i nadziei, ale początki zmian były ciężkie. Nasz kraj, niszczonego przez zaborców, zrujnowany przez wojnę, z trudem budził się do życia. Wiele było rodzin takich, jak nasza, bez żadnych perspektyw. Mój brat Grzegorz miał lat osiemnaście i na niego spadł ciężar utrzymania rodziny. Akurat wtedy zaczęli jeździć po Polsce rekrutanci z krajów wyżej rozwiniętych, namawiający do pracy za granicą. Dopóki żył tata i istniał nasz niewielki majątek ziemski, sytuacja nasza była na tyle dobra, że mogliśmy się kształcić. Ja chodziłam na pensję, a Grzegorz do gimnazjum. Wcześniej mieliśmy guwernantkę francuską. No i właśnie znajomość języka francuskiego oraz sympatia do kultury francuskiej zadecydowały o tym, że brat mój dał się namówić na pracę w przemyśle żelaznym we Francji. Postanowiliśmy jechać wszyscy, bo nic nas w kraju nie trzymało.

Po przyjeździe do Dunkierki okazało się, że do dobrobytu nam będzie daleko, ale jakieś widoki na przyszłość były. Mama miała duże zdolności manualne i szybko otworzyła sklepik z kapelusznami, brat został zatrudniony w stalowni, a ja dostałam się do gimnazjum i zamierzałam zdać maturę. Mieszkaliśmy w polskiej kolonii robotniczej, podobnej do tej tutaj. Były akurat wakacje, a ponieważ domy nasze graniczyły z plażą, korzystałam z pięknej pogody i chodziłam zażywać kąpieli. Miałam lat szesnaście i pół, marzyło mi się, że kiedyś będę studiować literaturę, uwielbiałam książki. I to właśnie marzenie okazało się moją zgubą.

- Żartuje pani! Jak to możliwe, żeby miłość do książek okazała się zgubna?

- Wszystko jest możliwe. Gdybym wtedy nie była pochłonięta czytaniem... Ale po kolei. Otóż ja nie lubiłam tłumów. Wolałam, kiedy na plaży nie było ludzi wokół mnie. Szłam daleko, tam gdzie nie było żywej duszy, rozkładałam koc między wydmi, brałam książkę i zapomniałam o całym świecie.

No i pewnego dnia wszystko się skończyło. Do dziś nie wierzę, że mnie to spotkało. Wyszłam właśnie z kąpieli. Było tak gorąco, bezwietrznie, że postanowiłam nie wycierać się ani nie zmieniać kostiumu na suchy. Pospacerowałam przez chwilę w jedną i w drugą stronę, po czym wróciłam do przerwanej lektury. Właśnie odkrywa-

łam na nowo Prousta. Czytywałam go jeszcze w Polsce, ale nużył mnie, nie mogłam się na nim dłużej skupić. Tu, we Francji, było to moje trzecie do niego podejście i nagle zaczęłam go rozumieć, chłonać, przeżywać, celebrować odczytywanie każdego zdania.

Przed kąpielą skończyłam drugi tom *W poszukiwaniu straconego czasu* i schowałam go do torebki, wyjmując trzeci. Leżał na kocu otwarty na pierwszej stronie. Przez całe życie pamiętać będę krój czcionki i wytłuszczone litery nagłówka: „Strona Guermites 1”. I poniżej, po dłuższym odstępnie, pierwsze zdanie: „Ranny szczebiot ptaków niecierpliwiał Franciszkę. Lada odezwanie się którejś z «młodszych» podrzucało ją”. I pamiętam... Nie! Ja po prostu widzę jeszcze, zupełnie jak wtedy, cień, który nagle padł na książkę, moje ramię, na koc obok książki. Podniosłam oczy. Stał nade mną mężczyzna, wysoki, barczysty, z płonąca głową. Potrzebowałam paru sekund, żeby uświadomić sobie, że ten ogień na głowie to ruda czupryna prześwietlona słońcem od tyłu. To było coś tak niesamowitego, że leżałam bez ruchu, jak sparalizowana. W następnej chwili poderwałam się, żeby uciec, ale było już za późno. Upiorna postać runęła na mnie z ogromną siłą. Szarpałam się, ale napastnik był silniejszy ode mnie. Trzymał mnie w żelaznym uścisku, nacierał na mnie. Reszty może się pan domyślić. Walczyłam do utraty tchu, potem zemdlałam, a on nawet wtedy nie zrezygnował ze swoich nikczemnych zamiarów. Zostawił mnie tam nieprzytomną, naga, odartą z godności.

Ci, którzy mnie znaleźli, uznali, że oddaliłam się od tłumu specjalnie, w poszukiwaniu przygód. Wytykano mnie palcami, byłam zmuszona zrezygnować z gimnazjum, bo wstydziłam się spojrzeć ludziom w oczy. Życie straciło dla mnie sens. Człowiek o rudych włosach tym jednym, ohydny czynem zburzył całe moje życie, zabrał mi spokój i zaufanie do mężczyzn, dlatego nie należy się dziwić, że mam awersję...

Kobieta zamilkła. Aleksy czuł się niezręcznie. Współczucie, które go ogarnęło, przemieszane było z niesmakiem i zdumieniem.

- Dlaczego pani mi to opowiada, Anno Pawłowna?

- Sama nie wiem. Może żeby Pan nie myślał... nie oceniał mnie fałszywie. Nie jestem histeryczką. Tamto zdarzenie sprzed lat bardzo ciężko odchorowałam, dotąd ten cień tkwi we mnie, nic na to nie poradzę.

- Szczerze pani współczuję, ale zapewniam, że nie wszyscy mężczyźni są potworami.

- Teraz już to wiem. Ale to jedynie potwierdza fakt, że nie

urodziłam się pod dobrą gwiazdą.

- Żaden pech nie trwa wiecznie. Przecież miała pani męża...
- Och, mój mąż! Niestety, on też mnie boleśnie ranił.
- To smutne.

- Kiedy poprosił mnie o rękę, matka uznała to za dar losu. Miała pewnie nadzieję, że to utnie wszelkie plotki i spekulacje na mój temat. Nie była, oczywiście, zachwycona tym, że jest Rosjaninem. To już u nas atawistyczne. Po rozbiorach nikt z nas nie pałał do pana rodaków entuzjazmem. Matka moja przemogła tę niechęć, byleby jej skompromitowana córka zrzuciła brzemię krzywdzącej opinii. Żyjemy w takim świecie, że miarą wartości kobiety jest jej mąż. Tak się to postrzega, niestety.

- Nie wiem. Ja osobiście byłem wychowywany w kulcie kobiet. A przynależność narodowa ludzi? Jakie to ma znaczenie? Wszędzie są ludzie dobrzy i ludzie źli, niezależnie od tego, skąd pochodzą.

- Też tak uważam.

- No to przynajmniej w czymś się zgadzamy. Co zaś się tyczy zaborów, proszę zrozumieć, że pojedynczy człowiek nie jest za takie sprawy odpowiedzialny. Takie rzeczy dzieją się za przyczyną rządów, władców. Zwykli ludzie jednakowo cierpią od wielkiej polityki. A już najgorzej jest, kiedy dochodzi do wojny. Ale nie o tym mowa. Więc mój rodak nie okazał się dobrym mężem, przykro mi.

- Bo ja wiem? Może i on byłby dobry, gdybym ja tego uprzedzenia do mężczyzn nie miała. Ale w jednej sprawie zawinił, tego mu wybaczyć nie mogłam. Ale to zupełnie inna historia. Zbyt intymna, żebym mogła panu zawracać tym głowę.

- Jak pani uważa.

- Chciałabym tylko wiedzieć, czy nie ma pan do mnie żalu za incydent z córeczką i czy mogłabym w czymś pomóc?

- Dziękuję. Jakoś sobie radzimy, chociaż lekko nam nie jest. Doceniam dobre chęci. Jest pani piękną i dobrą osobą.

Aleksy zamilkł i pomyślał, że teraz powinien się pożegnać, ale nie miał wcale na to ochoty. To, na co miał ochotę, było w tej chwili niemożliwe. Anna miała w sobie jakiś magnetyzm, chętnie otoczyłby ją ramieniem, ba, gotów byłby czuwać nad nią, aby więcej nic złego jej nie spotkało. Ledwie podziękował, odrzucając w ten sposób zaofiarowaną pomoc, a już tego żałował. Bo przecież tej pomocy potrzebował, tak samo jak rozmowy, bliskości z tą kobietą, tak przykro doświadczoną, ale jakże pociągającą. Pograżony w kłopotach, odpowiedzialny za czwórkę swoich dzieci, nie przestał być mężczyzną z krwi i kości. Nie w głowie były mu takie sprawy, ale okazja

czyni złodzieja. Natura zaczęła dawać znać o sobie.

- Pora na mnie. Dzieci zostały same... I jeszcze jedno: Anno Pawłowna, czy... mógłbym czasem panią odwiedzić? Chyba dobrze się nam rozmawia? - zaproponował zaskakując samego siebie.

- Będzie mi bardzo miło - odpowiedziała. - A więc rozumiem, że nie żywi pan do mnie urazy?

- Ja? Do zobaczenia, Anno Pawłowna.

- Mam prośbę - zawołała za nim.

- Słucham?

- Proszę nazywać mnie po prostu „Anną”, bez dodawania odczucia - Pawłowna. Nie to, że się wstydzę ojca, ale jestem Polką i u nas używa się tylko imienia.

- Jak pani sobie życzy.

- Będę wdzięczna.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dobra nasza! - powiedziała do siebie Anna, zamykając za nim drzwi. Kto by jednak myślał, że wedle słów jego żony nieboszczki jako „wesola wdówka” celowo zastawiła na niego sidła, byłby w błędzie. To fakt, że mieszkając o kilka domów dalej miała okazję zebrać o Aleksym pozytywne opinie. Był ogólnie znany z powodu swoich talentów, zwłaszcza w kolonii rosyjskiej. Prowadził chór, uczył muzyki, błyszczał na występach, ale nie tylko to budziło jej zainteresowanie. To, że wychodziła przed dom, kiedy tylko miała nadzieję go zobaczyć, jego samego lub w towarzystwie rodziny, było dziełem przypadku, który zdarzył się ponad trzy lata temu. Był maj. Cała społeczność rosyjska z Colombelles, do której i ona z racji swojego małżeństwa należała, uczestniczyła wtedy w wielkim pikniku dobroczynnym obok sali widowiskowej. Były występy, kiermasz potraw rosyjskich, haftów ludowych i tym podobne atrakcje. Orłow był gwiazdą tego dnia. Oczarował zarówno Francuzów, jak i Polaków, Włochów, wszystkich tam obecnych. Anna oklaskiwała go jak inni, a że siedziała tuż za jego bliskimi, przyglądała się ukradkiem tej rodzinie. Żona Aleksieja, Galina, była w mocno zaawansowanej ciąży. Siedziała otoczona trójką dzieci. Była to drobna i wedle opinii Anny niepozorna kobietka. Mówiono, że jest świetną pianistką i ma ładny głos, ale tym razem nie występowała. Za to jej mąż był główną gwiazdą popołudnia. Anna musiała przyznać, że jest czarujący w tym, co robi, miał też ujmującą powierzchowność, ale to wszystko nie miało dla niej znaczenia. Dla niej najbardziej pociągająca była jego troska o rodzinę i stosunek do żony. W przerwach między występami podchodził do nich, pochylał się nad Galiną, pytał, jak się czuje, czy czegoś nie potrzebuje. A więc istnieją i tacy mężczyźni - myślała

Anna patrząc na nich. - Naprawdę możliwe jest takie życie?

Drobniotka, niepozorna Galina patrzyła na swego dobrego męża z miłością. Ma ładne błękitne oczy - zanotowała Anna w myślach. - Ileż w nich uwielbienia dla niego. To też wydawało się jej wprost nieprawdopodobne, graniczące z cudem. Ona sama nigdy nie byłaby zdolna zaufać mężczyźnie, a co dopiero darzyć go uczuciem. Bo też doświadczenia, jakie były jej udziałem, nie skłaniały jej do miłości. Szczerze mówiąc, uważała, że jest pod tym względem przeklęta. Kiedy dorastała, zanim jeszcze cokolwiek w tej sferze przeżyła, została brutalnie zgwałcona. Wszystkie jej plany i marzenia legły wtedy w gruzach.

Z tego, jaką to wywołało burzę, nie bardzo zdawała sobie sprawę. Wizyty u psychiatry, środki uspokajające pozwoliły jej przetrwać pierwszy okres. Potem pojawił się Sierioża. Bardzo o nią zabiegał, ale ona nie zwracała na niego uwagi. Był przystojnym chłopcem, mechanikiem w hucie, kolegą z pracy jej brata. Żeby do niej dotrzeć, zaskarbił sobie przyjaźń Grzegorza, przez co miał okazję bywać w jej domu. To, że dziewczyna jest osowiała i jakby nieobecna duchem, wcale go nie zrażało. Nie przejmował się też plotkami, które o niej krążyły. Patrzył w Annę jak w obrazek i starał się zwrócić na siebie jej uwagę z takim zapamiętaniem, że pozyskał sobie tym sympatię jej matki, pani Zofii, która usiłowała przekonać do niego swoją córkę.

- Wstaw kwiaty do wody, Sierioża tak się postarał. Docen, jak mu na tobie zależy!

- Doceniam. Ale nic mnie to nie obchodzi.

- Nie każdej dziewczynie zdarza się taki adorator. Przecież on świata poza tobą nie widzi.

- Przychodzi do Grzesia, nie do mnie, to jego kolega.

- Gdyby nie ty, nie przychodziłby do Grzesia.

- Oj, mam, daj mi spokój.

Ale mama nie chciała dać jej spokoju. Przede wszystkim dlatego że pragnęła, aby córka odzyskała spokój i wiarę w miłość. Nie była przecież ułomkiem. Jeden nieszczęśliwy wypadek nie może przekreślić jej życia. Chłopak jest najwyraźniej zakochany, a miłość czyni cuda. Chciała dla córki jak najlepiej. Sprzyjała więc Sierioży. To ona sprawiła, że Anna zaczęła wychodzić od czasu do czasu z chłopakiem. Była jednak tak dzika i niedostępna, że ten nie wiedział, jak do niej trafić.

Początkowo nie zamierzał się z nią wiązać na stałe. Po prostu chciał ją uwieść, i to w najgorszym znaczeniu tego słowa. Ponieważ to się nie udawało, zawziął się i zaczął ulegać czemuś w rodzaju pasji.

Kiedy przekonał się, że sprawa jest trudna, zaczął myśleć o małżeństwie. I z tego zwierzył się najpierw potencjalnej teściowej, pomijając kandydatkę na żonę. A ta chwyciła przynętę.

Tak, małżeństwo Anny byłoby zdecydowanie najlepszym dla niej rozwiązaniem. Kochający mąż z czasem przekona ją do siebie, uspokoją się ludzkie języki i wszystko wróci do normy. Tak jak obiecała Sierioży, robiła wszystko, żeby przekonać córkę do niego. Czy jej się to udało? Tak sądziła. A prawda wyglądała trochę inaczej.

Dziewczyna przeżywając swój koszmar po wiadomych przeżyciach nie była skupiona bynajmniej tylko na sobie. Pamiętając wciąż rozpacz matki po śmierci ojca, jej bezradność w sytuacji, kiedy cała odpowiedzialność za przyszłość dzieci spadła na jej barki, czuła się teraz winna wobec niej. Bo niewątpliwie jej fatalna przygoda była następnym ciężkim ciosem dla matki. Jakby się nie tłumaczyła, powinna była przewidzieć, że wystawianie się na bezludziu na widok publiczny w kostiumie kąpielowym jest ryzykiem. Zabrakło jej wyobraźni. To prawda, że nie znała ciemnych stron ludzkiej natury, tak jak nie znała siły swojej urody. Po prostu była nieświadoma tego wszystkiego. Matka ostrzegała ją, żeby nie błąkała się sama po pustkowiach, a ona nie przywiązywała do tego wagi. Szczerze mówiąc, obie kobiety po fakcie obwiniały się jednakowo. Jedna za to, że za mało ostrzegała i przez to nie potrafiła uchronić, druga, że przestróg nie traktowała tak, jak należało. Poczucie winy po złu, które zaistniało, rzadko coś załatwia. I tak było tym razem.

Matka wmówiła sobie, że aranżując małżeństwo uporządkuje to, co złośliwy los pogmatwał, a córka uznała, że skoro matce tak bardzo zależy na jej zamążpójściu, powinna na to przystać, tym bardziej że dostarczała jej dotąd jedynie rozczarowań.

Wyszła więc za Siergieja. Noc poślubna okazała się dla niej koszmarem. Kiedy już legalnie zdobył sobie do tego prawo, posiadł ją, gdy tylko zostali sami, po prostaku, bez żadnych ceregieli, bez ani jednego wstępnego pocałunku. Zupełnie jak tamten gwałciiciel. Tak samo brutalnie zrywał z niej wszystko, co na sobie miała, tak samo skutecznie udaremniał jej obronne ruchy. Zaspokoiwszy swoje pożądanie, zasnął natychmiast, a ona płakała do rana.

Nie miała wyboru. Przysięgała mu wierność w kościele, a tak naprawdę przysięgę składała swojej matce, którą chciała zadowolić godząc się na ten związek.

Będąc zapaloną miłośniczką literatury, znała z niej przykłady wielkich miłości, pragnień i namiętności, dla których ludzie skłonni są poświęcić życie. Tak było w książkach, ale jej nie dane było

doświadczyć niczego podobnego. „Życie to nie literatura” - wzdychała smutno i brnęła z rezygnacją w swój dzień powszedni.

Kiedy przyszły na świat ich dzieci, życie zaczęło nabierać kolorów, ale pewnego razu jej ukochany mąż sprawił, że i radość z dzieci zaczęła smakować gorzko, przez łzy. Było to po kolacji u matki z okazji jej sześćdziesiątych urodzin. Zofia Marzecka mieszkała z synem w polskiej części kolonii robotniczej. Grzegorz - brat Anny - zadbał o to, żeby nie zabrakło dobrego wina, które Sergiuszowi bardzo przypadło do gustu. Wypijał kieliszek po kieliszku, za siebie i za żonę, która nigdy nie mogła się do wina przyzwyczaić. Działo na nią źle. Zawsze potem bolała ją głowa i miała zgaę. Doktor Peckar twierdził, że to z powodu żółtaczki, którą przeżyła w dzieciństwie. W związku z tym unikała wina, gdy tylko mogła. Z tego skwapliwie korzystał jej mąż. Na urodzinach teściowej pociągał zdrowo, był hałaśliwy i swoim rubasznym zachowaniem dominował uroczystość. Anna była poirytowana i gdy powiedział, że chciałby jak najszybciej znaleźć się w domu, chętnie na to przystała.

Kiedy jednak wrócili, zamiast - jak to miał w zwyczaju będąc pod wpływem alkoholu - położyć się spać, zebrało mu się na amory.

- Poczekaj chociaż, aż dzieci pousypiają - upomniała męża, mając nadzieję, że zmoże go czekanie i zaśnie. Po kilku latach trwania w związku małżeńskim ciągle jeszcze życie intymne było dla niej bardziej powinnością niżli przyjemnością. Konfrontując to z literaturą skłonna była przyznać mężowi rację, że coś z nią nie tak.

- Jesteś zimna jak ryba - mawiał. - Ale ja cię jeszcze kiedyś rozgrzeję - odgrażał się. - Bo w tobie musi być ogień. Podejrzywałem to od chwili, kiedy zobaczyłem, jak cię ten ryży chędoży. Takie ciało nie może być jak drewno.

- Co powiedziałeś? Ty byłeś świadkiem tej okropności?

- Byłem tam na wydmach. Obserwowałem cię. Walczyłaś jak lwica.

- I nic nie zrobiłaś, żeby mu przeszkodzić?

- No pewnie, że chciałbym być na jego miejscu, ale...

- Ty bydlaku!

- No co ty, Annuszka... Czego chcesz, straciłem wtedy dla ciebie głowę, powiedziałem sobie, że cię zdobędę, żeby nie wiem co.

- Ty draniu! Pozwoliłeś mnie tak skrzywdzić, czy ty wiesz, co ja przeżyłam?

- Doprowadził cię do nieprzytomności!

- Mój Boże! Nie wierzę! Powiedz, że to nieprawda. Nikt, kto był tego świadkiem, nie mógł nie stanąć w mojej obronie.

- Co się miałem wtrącać? Szczerze mówiąc, zazdrościłem mu. Pozazdrościłem do tego stopnia, że jesteś moją żoną.
- Idź precz! Nie dotykaj mnie. Nie chcę cię znać i widzieć!
- A co ty myślisz? Że kim jesteś? Jaśnie panna Anna! Gdzieś mam twoje umiłowanie książek, wielkopańskie maniery i ambicje. Masz kształtny kuper i to jest cała twoja wartość.
- Zejdź mi z oczu, ty prostaku!
- No, wolnego! Obrażać się nie pozwolę, a leż sobie odłogiem ty dziwko.

Siergiej wyszedł. Nie rozumiał, o co miała do niego pretensję. Ciągle mu robi łaskę wpuszczając go do łóżka, jakby była królowną.

Anna usiadła na brzegu łóżka i zalała się łzami. Czuła się, jakby ją ktoś zdzielił obuchem po głowie. Więc ten człowiek, z którym dzieliła życie, był świadkiem jej hańby. I nic nie zrobił, żeby ją przed tym uchronić. Mimo to miał czelność dążyć do zdobycia jej. Jest ojcem jej dzieci... Mój Boże, co za upokorzenie, co za ironia losu! - Ja naprawdę jestem istotą przekłętą - stwierdziła ze smutkiem.

Przeplakała całą noc. Nie wiedziała, jak zdoła sobie ułożyć resztę życia z człowiekiem, który ją tak rozczarował.

Los rozstrzygnął to za nią. Nazajutrz przywieziono Sergiusza z pracy z silnym atakiem bóleści. Doktor Peckar po zbadaniu go wezwał pogotowie ratunkowe. Uważał, że jest to ostry atak ślepej kiszki i pacjent wymaga natychmiastowej operacji. Następnego dnia Anna dostała depeszę z Caen, że jej mąż zmarł na stole operacyjnym. Zabieg rozpoczęto za późno, kiedy wyrostek już pękł.

Uzyskawszy niewielką rentę po mężu, Anna żyła samotnie, wiążąc jakoś koniec z końcem. Żyła, co tu dużo mówić, marzeniami. Miała teraz dwie miłości: dzieci i książki. I dalibóg, nie było jej z tym źle. Aż do tamtego pamiętnego dorocznego święta kolonii rosyjskiej. Zobaczyła wtedy nagle, że książki mają jakieś odniesienie do realnego życia. Widok kochającej się rodziny Orłowów zachwyił ją i zafascynował. Wychodziła przed dom, żeby ich podpatrywać. Lubiała patrzeć, jak się witają, jak patrzą na siebie, jak się dotykają. Ona nigdy nic podobnego nie doświadczyła. Dlaczego?

Siergiej nie był do końca złym człowiekiem. Ale jego miłość to były tylko zmysły - nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to źle, czy dobrze. Czy miłość to właśnie zmysły? Nie była w stanie tego zrozumieć. Nie umiała podzielać jego zapałów, nie kochała go. A jednak była w niej jakaś tęsknota za tym, co nie było jej znane. Kiedy podpatrywała Orłowów, patrzyła tylko na nich dwoje, na ich wzajemne relacje. Dzieci, owoce ich miłości, nie interesowały jej wcale.

To dlatego doznała takiego szoku ujrawszy rude loki małej Maszy. Dziewczynka zawsze, kiedy ją widziała, miała coś na główce, a to czepeczek, a to kapelusik, ona zaś nie przyglądała się tym dzieciom na tyle uważnie, żeby zauważać kolor ich oczu czy włosów.

Kiedy Aleksy Orłow owdowiał, popłakała się ze współczucia: „Taki dobry, czuły mąż, jakże on biedak musi teraz cierpieć!” Postanowiła mu jakoś pomóc, a potem, gdy zaczął przychodzić do niej, żeby odebrać prowiant, zauważyła, że kiedy ściska jej rękę na powitanie czy pożegnanie, od tego uścisku przenika ją dziwny dreszcz. Że mimo swego cierpienia patrzy na nią z uznaniem i sprawia to jej nieznaną dotąd radość. Że lubi barwę jego głosu, że ma ochotę odgarnąć z jego czoła niesforne jasne loki.

Mnóstwo nieznanych dotąd emocji i doznań, rodzących się w niej z powodu jego bliskości, osaczało ją coraz bardziej. A potem zdarzył się ten incydent z małą, rudą jak jej gwałciciel córeczką Aleksieja. I wszystko się urwało. Wszystko oprócz tego, że nie przestawała o nim myśleć. O nim i o swoim całym dorosłym życiu. Wszystko, co ją dotychczas spotkało, działo się bez jej zgody, nie z jej wyboru. Bo wydarzyło się, zanim zdążyła dokonać wyboru.

Po śmierci ojca nikt jej nie pytał, czy chce wyjechać z kraju. A potem, kiedy już wydawało się, że jest na dobrej drodze do podążania za marzeniami, zdarzył się ten koszmar. I od tej pory na nic już nie miała wpływu. Starła się tylko dostosowywać do zaaranżowanych przez los okoliczności. Było to nawet wygodne, bo na niczym jej naprawdę nie zależało. A teraz nagle coś się zaczęło w niej budzić, odkryła, że coś jest ją w stanie poruszyć i echo przeszłości w postaci rudych włosów tego dziecka położyło temu kres. Postanowiła, że musi zacząć decydować o sobie. Dlatego napisała do Aleksieja.

A potem wszystko potoczyło się jak lawina. Oboje nie byli w stanie zapanować nad tym, co czuli. Wszystko przemawiało za tym, że muszą być razem, kontrargumenty nie miały znaczenia. Postanowili pobrać się natychmiast po najkrótszym zwyczajowo okresie żałoby, czyli sześć miesięcy po śmierci Galiny.

Dzieci Aleksieja wiadomość o jego ponownym małżeństwie przyjęły jako zło konieczne. Chłopcy spokojnie, Irmina z buntem, a Maszeńka? Jej było wszystko jedno. „Wesoła wdówka” naszą macochą! - oburzała się w duchu Irmina. - Biedna mama! Gdyby wiedziała, jak szybko tata się pocieszy! Dobrze, że tego nie widzi.

Dzieci Anny natomiast były zachwycone zmianą, jaka nastąpiła w ich życiu. Ośmioletnia Wiera zawsze chciała mieć siostrę i nagle trafiła się jej siostra, na dodatek starsza od niej, ładna, miła i mądra -

każdy chciałby mieć taką. Wiera od razu zapragnęła wkraść się w jej łaski i nie odstępowała jej na krok.

Dom Orłowów, przedtem dość obszerny, w nowej sytuacji, kiedy zamieszkało w nim osiem osób, zrobił się nieco za ciasny. Do każdego pokoju dziecięcego przybyła jedna osoba. Dotąd, zarówno wtedy, kiedy żyła matka, jak i po jej śmierci, sypialnia rodziców zawsze stała otworem, dzieci mogły tam wchodzić, kiedy tylko chciały. Teraz się to zmieniło. Ojciec z macochą zamykali się na klucz i nie wolno im było przeszkadzać. Wieczorem dzieci z każdym swoim kłopotem musiały sobie radzić same. Najczęściej ich spory rozstrzygała Irmina.

Podczas kiedy krzątała się jeszcze po domu, zapędzała braci do mycia czy kończyła zmywanie, Wiera grzała jej miejsce do spania. W ich sypialni stały wprawdzie dwa duże łóżka i dziecięce dla Maszeńki, ale dziewczynki przeważnie spały razem w największym łóżku Irminy.

Wiera była zaborcza i zazdrosna. Chciała mieć Irminę na wyłączność, przeszkadzało jej to, że jej faworytka troszczy się o małą. Żeby ją za to ukarać, ustawicznie skarżyła do matki na Maszę, której Anna i tak starała się nie dostrzegać.

Kiedy Irmina po pracowitym dniu wchodziła do sypialni, Wiera nigdy jeszcze nie spała.

- Zagrzałam ci łóżko - przymilała się. - Ale w moim jest teraz zimno, mogę zostać u ciebie?

- A ja? - prosiła Maszeńka. - Ja też chcę do ciebie.

- To chodź tu i śpij już, dobrze?

- Niech Masza położy się po drugiej stronie, nie będę spała koło niej!

- Wobec tego puść ją na swoje miejsce przy ścianie. Jest za mała, żeby spać z brzegu. Mogłaby spaść i co wtedy?

- Nic by się jej nie stało.

- Wieroczka, nie bądź egoistką. Maszeńka jest taka malutka.

- Ale ona nie kocha cię tak, jak ja.

- Co ty tam wiesz.

Odkąd Anna została ich macochą, Irmina nie musiała co prawda gotować, ale poza tym zajęć jej wiele nie ubyło. Zmywała, prała, sprzątała, a ponieważ zadań szkolnych jej przybywało, brakowało w domu czasu na ich przygotowanie. Nie to jednak było jej największą troską.

Kochała ojca bardzo, ale nie mogła darować mu tego, że tak szybko sprzeniewierzył się pamięci mamy. No i w dodatku zdradził ją z „wesolą wdówką” - to było naprawdę nie w porządku. I co najgor-

sze, wygląda na bardzo szczęśliwego. Nie przeszkadza mu to, że Anna używa naczyń mamy, wkłada na siebie niektóre jej bluzki, spryskuje się jej perfumami, śpi w jej łóżku. Zawłaszczyła sobie wszystko, a przede wszystkim serce ojca. A on zachowuje się, jakby mamy nigdy nie było.

Trudno powiedzieć, że Anna źle traktuje pasierbów. Nie, ona ich po prostu nie zauważa. Podobnie zresztą, jak własnych dzieci. Dla niej liczy się jedynie tata, dzieci wszystkie co do jednego tylko jej przeszkadzają. A tata wcale tego nie zauważa. Irmina postanowiła z nim porozmawiać.

- Papiu - powiedziała do niego, kiedy kopał grządki w ogrodzie; była z nim sama, bo Anna właśnie gotowała obiad. - Czy ty naszej mamy już nie pamiętasz?

- Co ty opowiadasz. Naturalnie, że ją pamiętam. Nigdy jej nie zapomnę.

- Ale jakoś nie widać, że ją pamiętasz, bo kiedy jesteś z Anną...

- To co? Kiedyś była mama, a teraz jest Anna. A ty wołałabyś, żebyśmy nie byli szczęśliwy?

- No właśnie! Wydajesz się taki szczęśliwy. A z mamą też byłeś szczęśliwy?

- Byłem szczęśliwy, że mogłem jej pomagać. Była taka zagubiona, jak pisklę wyrzucone z gniazdka. Bardzo mi jej było żal.

- Ale kochała nas. A Anna jakby nas nie widziała, nawet swoje własne dzieci kocha mniej niż ciebie.

- Nie osądzaj jej. Ma dopiero dwadzieścia pięć lat, a spotkało ją już dużo złego. Coś jej się od życia należy. Czego ty od niej chcesz? Przyszła do naszego domu, taka jeszcze młoda, a tu od razu ma sześcioro dzieci. To nie jest dla niej łatwe.

- Dla nas też, tatusiu.

- Wiem. Ale co ja ci mogę na to powiedzieć? Ty niedługo dorosniejesz, odejdziesz z domu, będziesz miała swoje życie, a ja... to znaczy my z nią zostaniemy. Tak będzie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

No i tak to trwało. Trzeba było przyzwyczać się do nowych porządków. Najbiedniejsza ze wszystkich była Maszeńka. Gdyby nie Irmina, nie zaznałaby miłości. Tata albo w pracy, albo zajęty nową żoną. Nie żeby stracił zainteresowanie dziećmi. Co to, to nie. Kochał je i troszczył się o nie, ale nie mógł dać Maszeńce tyle czułości i uczucia, ile takie małe dziecko potrzebuje. A macocha? Unikała jej, jak mogła. Nigdy nie była w stanie zaakceptować jej do końca.

Darem losu dla osieroconych przez Galinę dzieci okazali się natomiast babcia Zosia i wujek Grisza, czyli matka i brat Anny.

Babcia Zosia miała gęste, białe jak śnieg, starannie uczesane włosy, na których nosiła poza domem zgrabne małe kapelusiki. Ubierała się przeważnie we wszelkie odcienie niebieskiego. Były to przeważnie kostiumiki założone na białą bluzkę. Niewysoka, pulchniutka, trzymała się prosto. Ruchliwa i zawsze uśmiechnięta, nigdy nie robiła żadnej różnicy między dziećmi. Traktowała z taką samą miłością dwójkę swojej córki, jak i czwórkę jej męża.

Opowiadała im polskie bajki, uczyła polskich kolęd, cerowała wszystkim skarpetki i przynosiła wydziergane przez siebie skarpetki.

Dzieci ją ubóstwiali, podobnie jak jej syna Grzegorza, zwanego wujkiem Griszą.

Wujek Grisza grywał z chłopcami w piłkę, żartował z dziewczętami i znał mnóstwo wesołych opowieści. On też traktował ich wszystkich jednakowo. Nosił Maszeńkę „na barana” i pozwalał się targać za włosy.

Kiedy w 1939 roku wybuchła wojna i Niemcy przejęli Fabrykę Wyrobów Metalowych, natychmiast zapisał się do ruchu oporu.

Nastaly trudne dni. Z kazdym rokiem zylo im sie ciezej. Zreszta nie tylko im, wszystkim dookolu wojna mocno dawala sie we znaki. Coraz trudniej bylo z zywnoscia, czesto teraz glodowali. Babcia Zosia, opuszczona przez syna, ktorego coraz bardziej pochlanial ruch oporu, zostawila kolonie polska i zamieszkała z nimi, w jadalni na dole. Starsze dzieci byly zdziwione, ze rezygnuje z wygod wlasnego samodzielnego mieszkania na rzecz juz i tak zatloczonego ich domku. Twierdzila, ze w cięzkich wojennych czasach chce być bliżej córki, skoro syn jest w ciągłych rozjazdach. Irmina rozmawiając z ojcem dała wyraz swemu zdziwieniu tym faktem.

- A czy tobie, moje dziecko, obecność babci Zosi przeszkadza?
- Nie, skądże. Ona jest dla nas bardzo miła. Tylko dziwię się, że chce przebywać w takim zagęszczeniu.
- To rzeczywiście musi być dla niej trochę uciążliwe. Ale ona nie ma wyjścia. Mam nadzieję, że potrafiśz dochować tajemnicy?
- Jakiej tajemnicy?
- Bardzo ważnej i niebezpiecznej.
- No pewnie, że potrafię. O co chodzi?
- O to, że babcia Zosia musi teraz mieszkać z nami. Z powodu wujka Griszy. Działając w ruchu oporu zdaje sobie sprawę z tego, że Niemcy mogą się o tym dowiedzieć. Wyniósł się z domu, żeby nie narażać matki. Nie ma więc sensu, żeby mieszkała sama. W ciężkich czasach powinniśmy się trzymać razem, chyba nie macie nic przeciwko temu?

- Skądże. Babcia Zosia jest dla nas bardzo dobra.
- No to nie wracajmy już do tego tematu.

Gdyby córka babci Zosi, Anna, traktowała ich tak jak ona! Nigdy nie będzie już tak, jak wtedy, kiedy żyła mama, ale byłoby znośniej. Liowka nie zaciągnąłby się tak przedwcześnie do marynarki, a Wowa nie paplałby o tym, że jak się nadarzy okazja, to ucieknie do Afryki. W tej jego wymarzonej Afryce też jest przecież wojna.

Biedna Maszeńka, ona zupełnie mamy nie pamięta. Nawet nie potrafi sobie jeszcze wyobrazić, jak inaczej wyglądałoby teraz jej życie, gdyby ona żyła. A prawdę mówiąc - pomyślała Irmina - mama umarła trochę z jej powodu, choć biedaczka nie jest temu winna. Jednak pamiętam, jak doktor Peckar mówił, że nie powinna mieć więcej dzieci, a poza tym kiedy mała chorowała, mama nie spała po nocach, czuwała nad nią i traciła zdrowie. - Och, czemu tak być musiało? - słowa te Irmina podświadomie wypowiedziała głośno.

- Co być musiało? - spytała babcia Zosia, która właśnie weszła do domu.

- To, że czuwanie nad Maszeńką w czasie jej choroby mama musiała przypłacić życiem. Bo od tego czasu zaczęła gasnąć.

- Tak widać miało być. Nic w życiu nie dzieje się na próżno, moje dziecko. Pan nasz, Stwórca, sprowadzając nas na ten świat wyznacza nam jakąś rolę.

- Babciu Zosiu, pani musi tak mówić, bo pani córka zajęła miejsce mamy.

- Nic nie muszę. Bardzo mi was szkoda i pokochałam was. Gdyby nie była tu moja córka, byłaby inna. Mężczyźni nie są stworzeni do tego, żeby samotnie zmagać się z życiem. A moja Anna bardzo go kocha. Wolałabyś, żeby twój tata był nieszczęśliwy do końca życia?

- No, nie. Tego mu nie życzę.

- No widzisz. A Maszeńka i tak jest szczęściarą, bo ma ciebie - powiedziała patrząc na przytulone siostry.

I moja Anna też ma szczęście, że jest Irminka - dodała w myśli. - Bez niej nie dałaby sobie rady. Ta dziewczyna to prawdziwy skarb, taka jeszcze młoda, a taka już przydatna.

Irminka rzeczywiście była przydatna. Macocha widząc jej zręczność w pracach domowych, bardzo szybko większość zadań scedowała na nią. Ponieważ dziewczynka przejawiała sporo inicjatywy, z czasem nawet prawie przestała wtrącać się w jej zajęcia. Samodzielność pasierbicy bardzo jej odpowiadała, bo mogła zająć się tym, co ją interesowało w tym domu najbardziej, czyli ukochanym mężem.

Gdyby kto inny pilnował porządku w kuchni - myślała tymczasem Irmina - nie byłoby tu tak, jak za życia mamy. Ja przynajmniej czuwał, żeby wszystko było tak, jak u niej.

Bo też faktycznie dziewczynka obsesyjnie przestrzegała zasad panujących dawniej w ich domu. Tak samo ustawiała porcelanę w kredensie, w tym samym miejscu leżała deska do krojenia chleba, tak samo krochmalila i prasowała serwetki układane na półkach. Chętnie też przyrządzała niektóre potrawy według przepisów mamy. Chowała je teraz jak relikwie. Była zdziwiona tym, że matka zgromadziła ich tak wiele. Powycinane z czasopism Irmina powklejała po jej śmierci do swojego zeszytu i stały się jej największym skarbem, najdroższą po mamie pamiątką. Nie zastanawiała się nad motywami, które skłaniały jej rodzicielkę do ich gromadzenia.

A prawda była banalna. Jako rozpieszczana przez wszystkich najmłodsza córka, nigdy nie nauczyła się gotować, bo w ogóle nie była dopuszczana do jakichkolwiek prac w domu. Potem, po rewolucji, kiedy została sama, wszystkiego musiała się nauczyć. Według mędr-

ców w życiu nic dwa razy się nie zdarza, a jednak w przypadku ich rodziny powtarzalność czy też podobieństwo losów jest zdumiewająca. Tak niedawno Galina rozłączona z matką musiała sama zmagać się z życiem, a teraz jej kilkunastoletnia córka doświadcza czegoś podobnego. Nawet znacznie wcześniej ją to spotkało niż matkę. W dodatku czuła się współodpowiedzialna za resztę rodzeństwa, a zwłaszcza za najmłodszą, nielubianą przez macochę siostrę.

Rzadko teraz Irmina miała okazję do spotkań z koleżankami. Zresztą nie była to tylko kwestia jej obowiązków. Wanda Nowak z rodziną wyjechała do Belgii, gdzie brat jej matki pracował w kopalni i zapewniał siostrę, że u nich jest bezpieczniej. Ivette natomiast w wieku piętnastu i pół roku wyszła za mąż. Jej chłopak został powołany do wojska i chciał koniecznie przed wyruszeniem na front ożenić się. Dziewczęta wiedziały, że edukacja szkolna Ivette potrwa tylko do jej małej matury, bo to wystarczało do gospodarowania na roli, tym niemniej jej wczesny ślub bardzo ich czwórkę emocjonował.

- Wszystko wam opowiem - obiecywała Ivette.

Pamiętając te słowa Irmina kilka dni po ślubie i odjeździe męża koleżanki na front zagadnęła ją:

- No i jak to było z tą nocą poślubną? Miałś nam opowiedzieć.

- Co tu opowiadać? - wykręciła się Ivette. - Wyjdiesz za mąż, to sama zobaczysz, jak to jest.

Dziewczęta były niepokieszone. Nie miały zresztą teraz wielu okazji do spotkań. Szkołę Niemcy zamknęli. Ivette męża miała i nie miała. Nawet nie zdążyła się do niego przyzwyczaić, bo po trzech dniach trwania ich związku był już na wojnie. Nie mogła jednak o nim zapomnieć, bo po kilku miesiącach jako szesnastolatka została mamą jego dziecka. Do końca wojny widzieli się jeszcze dwa razy i w dziewięć miesięcy po każdym jego urlopie przychodziło na świat kolejne dziecko. W ten sposób kiedy szczęśliwie wrócił z wojny, mieli już trójkę pociech.

Tak było z Ivette, ale im dłużej trwała wojna, tym rzadziej dawne przyjaciółki się kontaktowały. Każda z rodzin miała teraz swoje coraz większe problemy. W rodzinie Irminy kłopotów także nie ubywało. Ojciec, to prawda, robił dla nich, co mógł, ale podobnie jak wszystkim, jego starania ograniczyła wojna. Zresztą mimo szczęśliwego nowego ożenku, od wybuchu wojny trosk miał znacznie więcej niż chwil szczęścia. Tak samo jak większość załogi, stracił pracę w fabryce, należącej teraz do Niemców. Uczniowie muzyki też się wykruszali. Tam, gdzie nie milkną strzały, dalej wszak ludziom do sztuki. A rodzina była liczna i trzeba było ją wykarmić. Najstarszy syn

zaciągnął się do marynarki i zrealizował w ten sposób swoje dawne zamierzenia. Tyle że nie było to spokojne żeglowanie po bezmiarze wód, a igranie z losem, bo na morzach trwały walki.

On to, kiedy przyjechał na urlop, zaczął namawiać ojca, żeby zabrał rodzinę i wywiózł ją w głąb kraju, bo niedługo północne wybrzeże może stać się najbardziej niebezpiecznym miejscem na ziemi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Od 1939 do 1942 roku Niemcom udało się opanować większość Europy i ogromne połacie Związku Radzieckiego. Ich rozległe operacje wojskowe okazały się w tym okresie niezwykle skuteczne. Siły sprzymierzone nie były w stanie ich odeprzeć.

Mówiło się, że Stalin nalega, wręcz wywiera presję na prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta i na brytyjskiego premiera Winstona Churchilla, by dokonali wspólnego lądowania w zachodniej Europie, co zmusiłoby Niemców do walki na dwóch frontach, a tym samym osłabiłoby ich siły na terenie Związku Radzieckiego.

Wspólne przeciwstawienie się Niemcom zaczęto po wypowiedzeniu przez Hitlera 12 grudnia 1941 roku wojny Stanom Zjednoczonym, a także po jego tragicznej w skutkach decyzji o unicestwieniu Żydów na terenie całej Europy.

Skutki tej decyzji widoczne były nawet w Colombelles. Wzrosła liczba aresztowań i rozstrzelań, a pewnego dnia ojciec przyniósł do domu hiobową wieść:

- No, moi drodzy, chyba już nie zobaczymy naszego doktora Pekarowicza.

- Co się z nim stało, tatku?

- Ano, stało się. Jego i całą jego rodzinę Niemcy zabrali dziś do obozu. Biedacy, podobno stamtąd nikt nie wraca.

W czwartym roku wojny przyjechał nagle wujek Grisza, czyli Grzegorz, syn babci Zosi i brat macochy. Już od dawna nie było go we Francji. Po kilku śmiałych akcjach ruchu oporu poszukiwany przez Niemców, musiał się ukrywać. Przedostał się do Anglii, dołączył do polskiego dywizjonu lotniczego 303. Po odpowiednim przeszkoleniu został pilotem. Udało mu się na krótko przyjechać do Normandii z

jakąś misją i korzystając z okazji odwiedził matkę i siostrę. On też radził im wyjechać z Colombelles. Tym bardziej że decyzja o inwazji wojsk alianckich zapadła już na konferencji w Teheranie.

Łatwo było snuć projekty wyjazdu, trudniej je zrealizować. Tutaj mieli dom i wciąż łudzili się nadzieją, że coś położy kres wojnie. Krążyły wieści o przygotowaniach aliantów, o szkoleniu wielu jednostek przerzuconych ze wszystkich stron, w tym zza oceanu na teren Anglii, ale ruszyła też starannie przygotowana dezinformacja, która miała osłonić lądowanie aliantów w Normandii. Toteż nie tylko Niemcy, ale i druga strona nie była niczego pewna do końca. Chodziły słuchy, że lądowanie odbędzie się w okolicach Pas-de-Calais, bo to najkrótsza droga z Anglii. Te zatem tereny Niemcy obstawiali najstaranniej.

A jednak i w pobliżu Caen, a zatem i w Colombelles zaczęły się przygotowania. Niemcy zadbali o to, aby całe połacie niezabudowanej ziemi naszpikowano kółkami, a właściwie sterczącymi z ziemi polanami, mającymi utrudnić lądowanie samolotów.

Ludzie łudzili się, że to działanie na zapas, bo pewnie walki będą się toczyć gdzieś dalej, ale ojciec dowiedział się, iż w razie zbliżenia się frontu powinni ukryć się w pobliskich kamieniołomach Carrières, gdzie w ostatnich latach urządzono wielkie pieczarkarnie.

I rzeczywiście nocą piątego czerwca usłyszeli zbliżające się odgłosy nadlatujących samolotów.

- Nie ma na co czekać, to z pewnością alianci. Trzeba się stąd zabierać! - zdecydował Aleksiej.

Od kilku dni już byli jako tako spakowani. Większość dobytku zostawiali w domu, ale najpotrzebniejsze rzeczy musieli zabrać ze sobą. Nie wiedzieli bowiem, jak długo będą się ukrywać w kamieniołomach.

Zdecydowali się na to w samą porę albo nawet w ostatniej chwili, bo zanim zdążyli zejść do schronów, rozpętało się piekło. Przede wszystkim nadleciały samoloty aliantów. Było ich tak dużo, że zakrywały niebo, a do ryku ich motorów dołączyła się jeszcze kano-nada niemieckich dział przeciwlotniczych. W porównaniu z tym, co teraz się działo, głód i niedogodności, jakich doświadczali od czasu wybuchu wojny, wydały im się utraconym rajem.

Podziemia Carrières drżały od wybuchów na górze. Ludzie stłoczeni w ciemnych, krętych, wilgotnych korytarzach nie czuli się bynajmniej bezpieczni. Gdzieniedzie palące się świeczki i kaganki oświetlały sceny kojarzące się bardziej z sądem ostatecznym niż bezpiecznym schronieniem. Wszyscy tulili się jeden do drugiego,

plakali. Nie było wątpliwości, że nie będą mieli do czego wracać. Liczba wybuchów nie pozostawiała co do tego żadnych złudzeń. W dodatku wydawało się im, że piekło na górze wcale się nie uspokaja, ale jeszcze wzmacnia. Nie było mowy, żeby mogli tam zasnąć czy nie myśleć o tym, co się na górze dzieje. Nie byli pewni, czy bomby nie dotrą i do nich. W oczekiwaniu na najgorsze modlili się coraz głośniej, ktoś padł na kolana, inni poszli za jego przykładem i nagle wszystkie kręte korytarze kamieniołomów przemówiły wieloma głosami. Zgromadzone tam tłumy klęczały zgodnie, a ich donośne modły odbijały się echem po całych podziemiach.

Następnego dnia o świcie w pewnym momencie na zewnątrz zapanowała cisza. Modlący się przyciszyli głosy, przeżegnali się i z niedowierzaniem zaczęli podnosić się z klęczek. Ci, którzy byli bliżej wejścia, odważyli się wychylić głowę na świat nad kamieniołomami. To, co zobaczyli, nie napawało optymizmem. Ruiny i zgłiszczca zamiast ich osiedli, płonące domy, zabite zwierzęta, palące się szczątki samolotów, jęczący ranni, zwłoki walczących po obu stronach i ludzi cywilnych, którzy z jakiegoś powodu nie zdążyli do schronów. Na potwierdzenie tych opowieści przy wejściu rozległy się komendy wypowiedane po niemiecku. Zaborcy żądali zrobienia miejsca w kamieniołomach dla swoich rannych żołnierzy.

Prowizoryczny szpital zaczęto urządzać w jednym z większych pomieszczeń. Leżało tam już kilku rannych aliantów i mieszkańców z okolicy. Teraz jeszcze przybyli Niemcy. Po trzech dniach liczba rannych zatrważająco się powiększyła, trzeba było zorganizować pośpiesznie służby sanitarne.

- Mama zajmie się dziećmi, a ja z Irminką zgłosimy się do służby - powiedziała Anna do Aleksieja.

Nie można było postąpić inaczej. Tak się złożyło, że całe kierownictwo fabrycznej przychodni zdrowia znajdowało się w schronie, ale było to zaledwie kilka osób. Dwoje lekarzy i cztery pielęgniarki. O wiele za mało na tak dużą liczbę ciężko rannych, a przecież wciąż ich przybywało. Przeniesiono tu wprawdzie zawczasu z przychodni część materiałów opatrunkowych i leków, lecz potrzeby były o wiele większe, niż można było przewidzieć. Brakowało wszystkiego, a także rąk do pracy.

Irmina z lampą naftową w rękę i ściśniętym sercem szła za macochą. Za chwilę miały przejść chrzest bojowy w służbie sanitarnej.

- Jesteśmy ochotniczkami do służb sanitarnych - powiedziała Anna do siostry rozdzielającej zadania przy wejściu do pomieszczenia dla rannych.

- To dobrze, bardzo nam się przydadacie. Chodźcie ze mną. Trzeba przygotować rannego do zabiegu.

Irmina szła za kobietami rozglądając się trwożnie po sali. Ogrom ludzkiego cierpienia chwycił ją za serce i przyprawiał o zawrót głowy. Najchętniej uciekłaby stąd jak najdalej, ale wiedziała, że musi zmobilizować się, żeby móc udzielać pomocy. Pierwszym zadaniem, jakie z macochą dostały, było ogolenie przyrodzenia rannego w udo staruszka.

- Trzymaj lampkę i oświetlaj mi dobrze to miejsce, żebym nie skaleczyła go brzytwą - zadysponowała macocha. - I nie odwracaj głowy, patrz, gdzie świecisz. Musisz teraz zapomnieć o wstydzie.

Otóż to! Jakże ona ma patrzeć? Przecież ten nieprzytomny starszek z pewnością nie chciałby pokazywać wszystkiego, co ma, takiej młodej osobie jak ona. No tak. Tylko że on nie jest tu z własnej woli, a od tego, jak będzie opatrzony, zależy jego życie. W dodatku wydaje się taki bezbronny... Mój wstyd rzeczywiście mu nie pomoże - skonstatowała Irmina i od razu poczuła się mocniejsza. Kolejne zadania spełniała z coraz większym spokojem.

Kiedy po kilku godzinach udała się na spoczynek, ciągle miała przed oczami krwawe widoki z pomieszczenia dla rannych i długo nie mogła zasnąć. W ciągu następnych dni spała po takich zajęciach jak suseł, zmęczenie zwyciężyło.

Gdy mijał dziesiąty dzień ich pobytu w schronach, ojciec, który właśnie wrócił do nich po zasięgnięciu języka na zewnątrz, powiedział:

- Spakujcie nasze rzeczy, bo wieczorem wychodzimy stąd.

- Co ty, Aliosza, a dokąd pójdziemy? Przecież tam ciągle bombardują i strzelają - powiedziała macocha.

- Właśnie dlatego. Rozmawiałem tam, na górze, z jednym spadochroniarzem angielskim. Nasz teren, określany w planach operacyjnych jako Plaża „Sword”, jest przez Niemców broniony bardzo mocno i okazał się najtrudniejszy do zdobycia. Żeby odbić Caen, alianci muszą wzmóc bombardowania, które osłonią lądujące tu siły. A to stanowi dla nas coraz większe niebezpieczeństwo. Nie będziemy tu czekać na śmierć. Nocą walki prawie ustają, będziemy więc uciekać nocą na południe.

- A skąd wiesz, że tam będziemy bezpieczni?

- Na pewno. Bylebyśmy zdołali tam dotrzeć. Całe swoje wojsko Niemcy przerzucili albo na południe, albo tu nad morze. Środek Francji jest teraz od nich wolny. Gdy tylko się ściemni i ustaną bombardowania, wyruszamy.

Tego wieczoru idąc w ciemności pokonali ponad sześć kilometrów i przesпали resztę nocy w café-restaurant u znajomej ciężarnej Polki, która wyszła za Francuza, właściciela tego przybytku. Znali ją stąd, że jej ojciec pracował w biurze fabryki razem z Aleksiejem.

- Teraz możemy liczyć tylko na Opatrzność. Jeśli będzie nad nami czuwać, ocalejemy.

- Nikt nie przechytrzy przeznaczenia - powiedziała babcia Zosia.

Jej słowa okazały się prorocze, bo jeszcze tego samego wieczoru, ledwie wyszli z piwnicy, w której razem z gościnnymi gospodarzami ukryli się przed bombardowaniem, żeby udać się w dalszą drogę, przeznaczenie dało znać o sobie. Niemieckie działo przeciwlotnicze, które oddało salwę do odlatujących samolotów, trafiło przypadkiem w ich stodołę przylegającą do domu. Po serii niespodziewanych eksplozji w kilka minut wszystko spłonęło. Właściciel bowiem, członek ruchu oporu, miał w stodole pod sianem istny arsenał amunicji. Zginęli wszyscy, którzy byli wewnątrz. Ocalała tylko ciężarna Polka, która wyszła z Orłowami na zewnątrz, żeby im pokazać drogę dalszej ucieczki.

Zrozpaczona kobieta, pozbawiona męża i dachu nad głową, była w szoku. Zdecydowali, że zostaną z nią, póki nie odnajdzie szczątków męża. Sąsiedzi, którzy przybyli na ratunek, radzili im wyruszyć w dalszą drogę, bo zgłiszczą były tak rozpalone, że penetrowanie ich okazało się niemożliwe. Półprzymną wdowę zabrali do siebie. Z powodu tragedii, jaka się na ich oczach rozegrała tej nocy, nie posunęli się zbyt daleko. Pokonawszy trzy kilometry spotkali jednak furmankę, która pod osłoną nocy podążała do Falaise. Woźnica zgodził się ich zabrać. Stwierdził, że raźniej mu będzie podróżować z nimi. Ledwie zmieścili się na jego taradaji. Siedzieli na pustych workach, stłoczeni jak śledzie, a kiedy dotarli do celu, byli poobijani jak spady w sadzie. W taki oto sposób przedostali się wreszcie do rejonów znajdujących się poza linią frontu. Na przedmieściach Falaise dogadali się z gospodarzem, który pozwolił im przespać się w stodole na sianie.

Wieczorem znów wyruszyli na południe. Ojciec uważał, że powinni się znaleźć w środku kraju, między północnym a południowym wybrzeżem Francji, bo działania wojenne ponoć tam teraz nie docierały. Poruszali się jednak coraz wolniej. Coraz bardziej byli zmęczeni, coraz bardziej głodni. Dobrze jeszcze, kiedy udawało się im zdobyć jakiś transport, furmankę czy ciężarówkę, co teraz było łatwiejsze, bo nie musieli wędrować pod osłoną nocy.

Po kilku dniach dotarli do Tours. Tutaj dowiedzieli się, że nie są

jedynymi uchodźcami z północnych terenów kraju i że w merostwie zorganizowano punkt pomocy uchodźcom. Ojciec poszedł tam, dostał dwa bochenki chleba i wskazówki, gdzie w drodze na południe będą mogli przenocować lub uzyskać jakąś pomoc. Pierwszym takim punktem miał być zamek w Montrésor, należący do polskiej arystokratki Jadwigi Rey.

Babcia Zosia porozmawiała z nią po polsku i opowiedziała, że też jest polską szlachcianką, która po wojnie bolszewickiej, straciwszy męża i majątek, musiała wyemigrować. Pani Jadwiga Rey była tym poruszona i serdecznie się nimi zajęła.

Po raz pierwszy od czterech lat jedli wtedy chleb z masłem i miodem. Dzieci były zachwycone. Po przenocowaniu dostali prowiant na dalszą drogę, a także listę domów arystokracji na ich trasie, w których mogli otrzymać pomoc i przenocować. Pani Reyowa radziła im zakończyć wędrówkę gdzieś w okolicy Limoges. W pobliżu tego miasta znajdował się zamek Pousac, do właścicieli którego dała im list polecający.

Jak się w czasie swojej wędrówki przekonali, Francuzi w czasie wojny potrafili być solidarni przeciw wrogowi. Ludzie dzielili się tym, co mieli, przyjmowali pod swój dach całe rodziny.

Orłom szczęście w tej wędrówce sprzyjało. Część trasy udało im się nawet przejechać pociągiem. Po trzech tygodniach dotarli wreszcie do Château Pousac. Właściciele, monsieur i madame Revau, gościli ich u siebie przez cały tydzień, a potem znaleźli im dwa pokoiki w chacie zamożnego wieśniaka w pobliskiej osadzie Oradour-sur-Glane. Pozwolono im tam pozostać do końca wojny. Ojciec znajdował u gospodarzy dorywcze prace. Irmina natomiast zaprzyjaźniła się z bliźniaczkami, wnuczkami gospodarzy, które były jej rówieśnicami. Pożyczała od nich książki do czytania i słuchała długich opowieści o ich przedwojennym życiu w Limoges, gdzie ojciec pracował w fabryce wyrobów porcelanowych, a matka była pielęgniarką w Szpitalu Mormotan.

Dziewczęta spacerowały razem po okolicy. Pewnego razu zaprowadziły Irminę do spalonej przez Niemców wsi. Teraz były tam tylko popioły i zgłiszcza. Wszyscy mieszkańcy tej nieistniejącej już wioski ulegli zagładzie. W dodatku bez żadnego powodu. Gdzieś w okolicy chłopci zastrzelili dwóch żołnierzy niemieckich. Rozwścieczeni Bosze nie sprawdzali długo, gdzie to miało miejsce, postanowili się zemścić i wybór ich padł na tę nieszczęsną wioskę. Wtargnęli tam, wyprowadzili wszystkich mężczyzn i rozstrzelali ich, po czym wpendzili kobiety i dzieci do kościoła i podpalili go, tak jak całą wieś.

Trudno sobie wyobrazić, co wycierpieli biedacy palący się żywcem. Na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych nie ocalało nic, ani jeden kolec z płotu, krzak czy drzewo. Śwąd spalenizny unosił się w powietrzu, a wieś na zawsze zginęła z mapy Francji.

Po kilku tygodniach przyjaźni z bliźniaczkami, po rozmowach o tym, co było i co będzie, Irmina stwierdziła, że nadszedł czas, aby pójść własną drogą. Postanowiła pojechać do Limoges. Od bliźniaczek dostała adres ich matki. U macochy wyprosiła pieniądze na dojazd do miasta.

Wojna jeszcze trwała, ale już zaczęto mówić o rychłym jej zakończeniu. Niemcy poniosły klęskę na froncie północnym, pobici przez aliantów. Najdłużej, bo aż do piętnastego sierpnia bronili się w Caen. Z rozmów Aleksieja z Anną wynikało, że jak tylko ustaną działania wojenne, wrócą do Normandii. Irmina nie zamierzała im towarzyszyć. Ich domu już nie było. Zresztą co ją tam czekało? Wyręczenie macochy w pracach domowych? Inaczej widziała w marzeniach swoją przyszłość.

Skoro matka bliźniaczek pracuje w szpitalu, może i ona mogłaby tego spróbować. Przez kilka dni w podziemiach Carrières opiekowała się już rannymi i ma pojęcie o takiej pracy.

Po odnalezieniu Szpitala Mormotan stanęła przed obliczem Bernadette Maron z listem od jej córek bliźniaczek. Okazało się, że pani Maron jest tam siostrą oddziałową.

- Dlaczego chcesz pracować w szpitalu? - zapytała Irminę.
- Bo muszę gdzieś pracować. A już udzielałam pomocy rannym w Normandii, w czasie lądowania aliantów.
- To nie jest zwyczajna praca. Trzeba ją naprawdę lubić, żeby się w niej sprawdzić. Jeśli nie oddasz się jej całym sercem, nie będzie z ciebie pożytku. Musisz więc być przekonana, że chcesz robić to, a nie co innego.

Irmina w duchu nie była do końca przekonana, że pielęgnowanie chorych jest jej pasją, ale za wszelką cenę chciała się gdzieś zaczepić i usamodzielnic. Nie zdobyła się zatem na żadne zapewnienia, tylko kiwała głową z wypiekami na twarzy. Madame Bernadette odczytała to jako wielką gorliwość i postanowiła pomóc jej i szpitalowi, któremu brakowało personelu do wykonywania prac podstawowych.

Pierwszą noc w Limoges dziewczyna spędziła w jej mieszkaniu. Był to piękny apartament w starej, szesnastowiecznej kamienicy. Nazajutrz prawie osiemnastoletnia Irmina Orłowa została zatrudniona jako opiekunka i niższa pomoc medyczna na oddziale dziecięcym. Przyznano jej niewielką pensję i miejsce w przyszpitalnym internacie,

w pokoju, który miała dzielić z inną dziewczyną przybyłą tu ze wsi do pracy.

Francine - bo tak miała na imię jej współlokatorka - okazała się skromną, cichą, ale niezbyt rozgarniętą dziewczyną. Natomiast Irmina doskonale sprawdzała się w swojej pracy. Przywykła do opieki nad swoją siostrą Maszą, miała świetne podejście do dzieci i one ją uwielbiały. Przełożeni i siostry zakonne szybko zauważyły jej bystrość, rozważę i pracowitość. W niecałe trzy tygodnie po rozpoczęciu pracy została wezwana do dyrekcji szpitala i zaproponowano jej udział w kursie laborantek prowadzonym przez siostry. Ponieważ zajęcia na kursie odbywały się po południu, przeniesiono ją na męski oddział chirurgii urazowej, gdzie pracowała od szóstej rano do trzynastej, jako pielęgniarka pomocnicza.

W tym czasie przyjechał po nią ojciec. Umówili się wieczorem, po jej zajęciach na kursie, w restauracji znajdującej się w pobliżu szpitala. Był to dość elegancki lokal, w którym do kotleta przygrywała orkiestra smyczkowa. Świadomy wybór taty melomana.

- No, córeczko - powiedział do niej - poużywałaś trochę świata, a teraz czas wracać na łono rodziny.

- Poużywałaś świata? Ależ ja pracuję. O żadnym „używaniu” nie ma mowy.

Opowiedziała mu, co robi. Wysłuchał jej z zainteresowaniem i zaczął się tłumaczyć.

- Przepraszam, jeśli cię dotknąłem. Mówiąc o „używaniu świata” miałem na myśli to, że urwałaś się ze smyczy. A ty, dziecinko, wedle prawa nie jesteś jeszcze dorosła. Odpowiadam za ciebie. Chcę cię zabrać do domu.

- Do jakiego domu? Przecież go nie mamy.

- Jesteś nam potrzebna. Kochamy cię. Maszeńka za tobą tęskni.

- Ja też za nią tęsknię. Ale Masza ma już prawie dziewięć lat. Babcia Zosia nie da jej zrobić krzywdy.

- Anna też mówi, że lepiej, żebyś wróciła.

- Anna, twoja żona, ma własną córkę. Wiera jest na tyle duża, że może ją we wszystkim wyręczać. Ja to robiłam w tym wieku. Chcę się uczyć i pracować. Już czas, żebyśmy mogła żyć tak, jak chcę.

- Jak uważasz. Ale pamiętaj, że cię kochamy i będziemy szczęśliwi, jeśli do nas dołączysz, bo po wojnie wrócimy do Normandii, chyba do Caen.

- Przykro mi tato, ale ja tu zostaję.

- Masz kogoś?

- Mam pracę i szkołę, to wystarczy.

- To twoje ostatnie słowo? Jesteś tego pewna?
- Jestem pewna. Przykro mi się rozstawać z tobą, tatkę, ale przecież będziemy się widywać.
- I to, co robisz, cię zadowala?
- Nie skończę na tym, będę się uczyć, może nawet studiować.
- To dobrze. Z twoim charakterem dużo możesz osiągnąć. Pozostaje mi tylko modlić się, żeby ci się udało.
- Jesteś kochany.

Ojciec odjechał. Czuli, że nie jest do końca przekonany. A może tak się jej tylko zdawało. Może dostał zadanie ściągnięcia jej z powrotem? Popadła w przygnębienie. Zdała sobie bowiem sprawę z tego, że oto dokonała wyboru i teraz już tylko od niej zależy, co zrobi ze swoim życiem.

Następnego dnia po pracy i zajęciach na kursie laborantek, zamiast udać się jak zwykle do internatu, poszła do kościoła katolickiego, który mijala co dzień idąc do szpitala. Pozostawał on pod opieką tych samych sióstr zakonnych, które prowadziły kurs i opiekowały się chorymi. Ich przełożona wiedziała, że dziewczyna jest prawosławna, i gdy zauważyła, że co niedzielę przychodzi posiedzieć w kościele, zaczęła ją obserwować.

- Przechodzisz na katolicyzm? - zagadnęła ją pewnego razu.
- Nie. Dlaczego miałabym tak postąpić? Przychodzę tu, bo lubię posłuchać muzyki, porozmyślać w ciszy.
- Wobec tego pójdiesz do piekła.
- Dlaczego? Nic złego nie robię. A co do Boga - Bóg jest jeden, i wasz, i nasz. Wy nazywacie go katolickim, my prawosławnym. Karze tylko tych, co Go obrażają albo lekceważą Jego przykazania, a ja tego nie robię, więc proszę mnie piekłem nie straszyć!
- Aleś ty harda! Na wszystko znajdziesz odpowiedź.
- A nie mam racji?
- Błóżniesz dziewczyno, ot co ci powiem - co rzekłszy siostra przełożona odeszła.

Już nigdy więcej nie straszyla Irminy piekłem. W duchu zaś była pełna podziwu dla logiki i odwagi cywilnej dziewczyny. Korciło ją, by spróbować nawrócić ją na katolicyzm. Jednak instynkt podpowiadał, że może się to nie udać.

Wojna toczyła się dalej, chociaż klęska Niemców wydawała się nieunikniona. Tymczasem Szpital Marmotan nie ustawał w przyjmowaniu coraz to nowych rannych. W parę tygodni po odjeździe ojca na oddział męski, gdzie pracowała Irmina, trafił szef ruchu oporu w tym regionie - Georges Goguin. Był to młody, przystojny mężczy-

zna, lubiący demonstrować swoje lewicowe poglądy. Starał się do nich przekonywać lekarzy, pielęgniarki i nawet sprzątaczkę. Propaganda komunistyczna to była jego obsesja i kiedy wygłaszając swoje idee natknął się na Irminę, trafiła kosa na kamień.

Doświadczenia życiowe jej przodków, losy jej rodziców i przekonania ojca, że wszystko co złe pochodzi od komunistów, złożyły się na to, że i ona była o tym przekonana. Nie raz z ojcem rozmawiali o tym. Toteż kiedy ranny kapitan Goguin zaczął ją agitować, odbiła piłeczkę takimi argumentami, że dosłownie oniemiał.

Następnego dnia poprosił siostrę oddziałową, by pozwoliła mu na dłuższą rozmowę z młodą praktykantką. Irmina nie bardzo się do tego paliła, bo - jak wiadomo - po pracy uczyła się, ale Goguin tak nalegał, że siostra oddziałowa zgodziła się, żeby dziewczyna z nim porozmawiała w godzinach swojej pracy w szpitalu, pod warunkiem wszakoż, że spełni swoje zadania i że nie pojawią się jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Tak więc ku niezadowoleniu Irminy doszło do tej rozmowy. Była zdumiona, że zaciętrzewiony w swojej wierze w głoszone przez siebie idee doświadczony bojownik i szef znaczącej grupy ruchu oporu liczy się z jej zdaniem.

- No cóż, młoda osobo - odezwał się do niej. - Czemu to z takim zapalem przeczy pani moim argumentom i buntuje się przeciw głoszonej przeze mnie idei?

- Głosić to pan ma prawo wszystko, co się panu spodoba. Ja natomiast protestuję tylko przeciw temu, że powinnam w to wierzyć. Też mam do tego prawo.

- Tego nikt nie neguje. Dziwię się tylko pewności, z jaką pani to czyni. Na czym pani to opiera?

- Na doświadczeniach mojej rodziny. Mój dziadek był spokojnym człowiekiem kochającym muzykę i literaturę. Nie miał nic wspólnego z polityką i uciskiem. Jednak przez rewolucję stracił życie, a przedtem został rozłączony z rodziną. Moja babcia i ciotki, które zostały w Rosji bolszewickiej, boją się z nami korespondować.

- Każda wielka nowa idea wymaga ofiar.

- Niech pan opowiada to tym, którzy tego nie doświadczyli.

- Mimo młodego wieku jest pani bardzo śmiała i zdecydowana w swoich poglądach. Szkoda, że nie chce pani słuchać moich argumentów. Skąd ta pewność, że to pani ma rację.

- W moim domu dużo było dyskusji i rozmów na ten temat. Po prostu umiałam z nich wyciągać wnioski. Proszę się nie trudzić, mnie pan do swoich idei nie przekona. Szkoda pańskiego czasu.

- Skoro pani tak uważa, nic nie poradzę, a jednak żałuję. Pozyskanie zaufania kogoś takiego liczy się podwójnie.

- Przepraszam pana, wolałabym wrócić do swoich obowiązków.

I na tym skończyła się wtedy rozmowa Irminy z lewicowym bohaterem ruchu oporu. Dokąd leżał w szpitalu, próbował przekonywać ją do swoich idei. Kilka razy innym swoim rozmówcom nieźle zamieszał w głowach, ale z nią mu się to nie udało. A potem...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Więc było jednak jakieś „potem”? - roześmiała się Maria i - zmieniła temat: - Wiosna do was przychodzi jednak wcześniej niż do nas. Gdy wyjeżdżałyśmy z Modrzejowa, na drzewach były tylko pąki, a tutaj wszystko zielone!

Kobiety siedziały na balkonie apartamentu Irminy przy Jasmin. Brzoza i kasztan, rosnące na trawniku przed nimi, rzeczywiście kipsiały zielenią młodych liści. Przed trzema dniami Irmina i Maria wróciły z Caen, z pogrzebu Jeana Paula. Spędziły tam z Maszą kilka dni, dokąd córka nie odwiozła jej do sanatorium w Bagnoles-de-l'Orne.

- Przepraszam za dygresję, przerwałam ci, ale ta zieleń mnie rozprasza - zreflektowała się Maria.

- Jest piękna. Kocham ten trawnik z drzewami zagładającymi do okien. Jest to namiastka tego, co ty masz w Modrzejowie. A wracając do naszej rozmowy, przypomnij mi, na czym skończyłyśmy?

- Zapytałam, czy było jakieś „potem” z tym twoim lewicowym bohaterem.

- Niepotrzebnie ironizujesz, Mario. Niepotrzebnie też gubisz się w domysłach. Powiem ci, jak było: on wcale nie próbował mnie uwodzić. Jego tylko naprawdę bolało to, że nie jest w stanie mnie przekonać.

- A, tam! Gdybyś wtedy była stara i brzydka, mniej by się tym przejmował.

- Nie sądzę. To nie był byle kto. Wielki ideowiec i bohater ruchu oporu. Po wojnie zrobił karierę polityczną. Przez jakiś' czas był nawet merem Limoges i piastował inne ważne funkcje w kraju, oczywiście startując zawsze z list lewicy.

- Pewnie więc najlepiej wiodło mu się za rządów Mitteranda.
- Żebyś wiedziała. Był ministrem. Poczekaj... miałam gdzieś wycinki z gazet na jego temat. Kiedy umarł przed paru laty, dużo o nim pisano. - Mówiąc to Irmina otworzyła swój sekretarzyk, magiczne miejsce przechowujące pamiątki z przeszłości. - Gdzie to jest?...

- Daj już sobie z tym spokój, nie szukaj, chyba że twój los z jego losem jakoś się jeszcze splątały.

- Skądże? Wcale! Po prostu był jedną z osób, które spotkałam w Szpitalu Mormotan.

- Wiesz, Irmino, nie mam pojęcia, czemu nie chcesz napisać sama dalszego ciągu historii swojej rodziny. Opowiadasz tak barwnie.

- Po co miałabym to robić? Chodziło mi o odtworzenie tej części losów moich przodków, której nie znałam. Udało mi się to dzięki tobie i Lali i na tym koniec. A pisać o sobie? Po co?

- Dla potomnych. Też zechcą poznać swoje korzenie, tak jak ty. Nawet mnie to ciekawi. Opowiadaj, co było dalej.

- A twoje zakupy? Kiedy zamierzasz je zrobić?

- Rzeczywiście! Zupełnie zapomniałam.

Minęły już dwa tygodnie od wyjazdu Marii z Polski. Za dwa dni miała wracać. Na myśl o tym, że zobaczy swoich bliskich, serce zabiło jej radośnie, ale zaraz posmutniała, bo trzeba będzie rozstać się z Irminą. Ta widocznie odgadła jej myśli, bo powiedziała:

- Jak to szybko minęło. Znowu trzeba będzie się rozstać, będzie mi ciebie brakowało, Mario.

- Pomyślałam o tym samym. Tym bardziej że wyczekiwany przeze mnie twój pobyt w Modrzejowie został tak brutalnie przerwany.

- Co robić, my mamy swoje plany, a wielki architekt losów swoje... Nikt jeszcze nie wygrał z przeznaczeniem.

- To prawda. Ale wracając do moich zakupów, zamierzam pojechać na Boulevard Saint-Michel, chcę zajrzeć do księgarni Guilbert Jeune. Chyba znajdę w niej podręczniki do nauki języka francuskiego dla dzieci? Wybierzesz się tam ze mną?

- Nie mogę. Mam kilka spraw urzędowych do załatwienia.

- Rozumiem. Wobec tego nie trać czasu na przygotowanie obiadu. Przekąszę coś w mieście.

- Ale wrócisz na kolację?

- Tak, lecz wystarczy mi herbata i grzanka.

Na tym skończyła się poranna pogawędka przyjaciółek. Ile to już lat się znaję? - zastanawiała się Maria. - Nie do wiary! Prawie

czterdzieści! Jakże szybko to przeleciało. Tyle razem przeżyły. Były chwile radosne, pogodne i tragiczne. Jedno się nie zmieniało. Gdy były razem, ledwie Maria otworzyła rano oczy, Irmina już szykowała śniadanie, zasiadały obok siebie i rozmawiały. Bagietka, całe litry słabej kawy, odrobina bezcukrowej konfitury Irminy i rozmowy o tym, co się akurat dzieje, o polityce, historii, o książkach. Czasem tylko kawę wypijały do dna, bo były tak zaaferowane rozmową, że nie tknęły jedzenia. Tyle godzin razem przegadanych, prześmianych i przepłotkowanych... Ile ich jeszcze będzie?

Będzie mi brakowało tych naszych posiadów z gadaniem - myślała Maria. Z biegiem lat nabrała przekonania, że przed nikim nie potrafi tak się otworzyć, jak przed Irminą. Żadna z osób, które zwykła uważać za swoje przyjaciółki, nie sprawdziła się tak, jak ona. Będzie musiała ją przekonać do kontynuowania kroniki rodzinnej. Jej córka i wnuki prędzej czy później zechcą poznać losy swoich przodków, nie tylko te najdawniejsze. Może dzisiaj wreszcie uda się jej zobaczyć witraże w kaplicy La Sainte-Chapelle. Nie powiedziała tego głośno, żeby nie zapeszyć. Pomimo tak wielu pobytów nad Sekwaną miała kilka miejsc, których pechowo wciąż nie mogła zwiedzić. Zawsze gdy zamierzała tam się wybrać, nieprzewidziane zdarzenie stawało temu na przeszkodzie. Zupełnie jakby jakieś tajemne moce sprzysięgły się przeciw dotarciu do nich. Jednym z tych miejsc była La Sainte-Chapelle, a drugim groby królów Francji w Basilique Saint-Denis. Podobnie było kiedyś z cmentarzem Perè-Lachaise. Aż zaczęła myśleć, że niesie to ze sobą jakąś wróżbę i jeśli uda się jej tam dotrzeć, będzie to jej ostatni pobyt w Paryżu. A jednak któregoś roku spędziła dzień zaduszny przy grobie Chopina i miejscach spoczynku innych wielkich ludzi, choć nie bez wyrzucania sobie, że zadecydowała o swoim losie i być może nie zobaczy więcej ukochanego miastka.

Upłynęło od tego czasu mnóstwo lat i nic się nie zmieniło. Wciąż tu wraca. Postanowiła więc nie robić już zakładów z losem, zaś przeszkody piętrzące się przed dotarciem do tych miejsc mają już posmak anegdotyczny. Jej bliscy przed każdym kolejnym wyjazdem robią nawet zakłady, czy jej się to uda. A po powrocie opowiada, jak to było, że nie zdołała tam dotrzeć.

Kiedy wysiadła tego dnia z metra na stacji Cluny-La Sorbonne, stwierdziła, że dzień jest niezwykle piękny. Poszła bulwarem Saint-Michel w stronę Sekwany, zaglądając do wszystkich sklepów, które tu powstały w ciągu ostatnich lat. Bally, côte à côte, MaxMara, wszystkie modne marki, zupełnie jak od niedawna w centrach

handlowych Warszawy. Wszędzie to samo. Dwadzieścia lat temu nie do pomyslenia! Jakże się ten świat zunifikował!

Porwana falą spacerujących turystów, nie wiedząc kiedy znalazła się w sklepie Guilbert Jeune. Tam zgodnie z przewidywaniami znalazła książki, które chciała kupić, i zamierzała udać się na drugą stronę rzeki, żeby zwiedzić wreszcie La Sainte-Chapelle. Wchodząc po schodach z najniższego poziomu księgarni nagle straciła równowagę i poleciała w dół. Jacyś uczynni ludzie pomogli jej się podnieść i zapytali, czy coś jej nie stało. Drżała cała, ale udało się jej stanąć na nogi. Upewniwszy się, że nie potrzebuje dalszej opieki, ludzie ci odeszli, a ona na miękkich nogach doszła do pobliskiej kafejki przy bulwarze nabrzeżnym, zajęła miejsce przy oknie wychodzącym na Notre Dame i zamówiła *croque madame* * oraz kawę.

* kanapka z szynką i serem

Szok po upadku mijał powoli i dopiero teraz poczuła lekkie pieczenie w kolanach. Obejrzała je dyskretnie. W rajstopach na obu nogach miała wielkie dziury, oba kolana były obtarte. Odpocznie trochę i będzie musiała wrócić do domu, żeby opatrzyć skaleczenia. Oczywiście znowu nie zobaczy La Sainte-Chapelle. I niech ktoś powie, że fatum nie broni przed nią tych miejsc. Nie zaliczy ich i tym razem, bo jutro ma samolot.

U bukinisty, który ma swój kramik naprzeciwko jej miejsca w kawiarni, kupiła przed laty francuski ilustrowany przekład *Ogniem i mieczem*, książkę będącą białym krukiem w jej biblioteczkę. Ciekawe, co interesującego ma teraz ten sprzedawca i czy będzie ją na to stać. Wtedy kupowała dużo książek i dogadzała swoim kaprysom, bo pracowała w kilku znanych kabaretach równocześnie. Kiedy nad tym rozmyślała, wielki odkryty autobus piętrowy „Paris-Open Tour” zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i zasłonił jej nie tylko widok znajomego bukinisty, ale i całe Notre Dame. Zirytowała ją to. Że też musiała usiąść akurat naprzeciw przystanku tego kolosa.

Kiedy dotarła do domu, Irmina opatrując jej porozbijane kolana zapytała:

- Dlaczego właściwie upadłaś? Czy nie przez te twoje wysokie obcasy, które tak uparcie nosisz?
- Nie wiem, ale domyślam się, że dlatego, iż postanowiłam pójść do La Sainte-Chapelle.

Nazajutrz przyjaciółki powiedziały sobie „do widzenia” i tak skończył się kolejny pobyt Marii w Paryżu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zdarzenia potoczne skierowały uwagę Marii na zupełnie inne sprawy, losy przodków Irminy odpłynęły od niej daleko i nie wracała do nich myślami. Lato w Modrzejowie kipiało bujną zielenią. Upały przeplatane burzami dawały się mocno we znaki mieszkańcom tego pięknego zakątka. Przypominała o tym uszkodzona przez piorun pompa wodna i skasowany telefon, a także milczący dzwonek przy furtce. Gdyby nie ujadanie psów trwających na nieustającej pikiecie, nikt by się do ich domu nie dołomotał.

Tym razem był to listonosz, który przyjechał z grubą przesyłką z Francji. Do paczki dołączona była kartka z widokiem świątyni Sacré Coeur i krótkim wyjaśnieniem na odwrocie:

Mario, ma Chérie!

Dziwny przypadek sprawił, że zmieniłam zdanie. Przeznaczenie wmiszało się w życie mojej rodziny, zatoczyło koło i Mireille wraca do korzeni. Dlatego lapidarnie, bo lapidarnie, ale postanowiłam napisać ciąg dalszy, aby pokazać swoim wnukom drogi, jakie do tego wiodły. Bo wiesz, Mario, w życiu nic nie dzieje się na próżno. Dlaczego Ci to wysyłam? Chcę, abyś sporządziła też polską wersję, na wypadek gdyby dzieci Mireille mówiły kiedyś lepiej po polsku niż po francusku. Różnie może być. Miałam, jak wiesz, wielkie opory przed kontynuowaniem tej opowieści, dlatego pisałam ją w trzeciej osobie, sądząc, że mniej się w ten sposób obnażam.

Do serca tulę, Irmina

Maria szybko rozpakowała rękopis i zaczęła czytać:

Czas spędzony w Limoges od 1944 do 1950 roku był najszczęśliwszym okresem w jej życiu. Patrząc na te zdarzenia z perspektywy przeżytych po nich lat nabierała pewności, że żadne ze zdobytych wtedy doświadczeń nie było daremne. To tam odważyła się sama zdecydować o swoim losie, tam zdobyła wykształcenie, przeżyła największą i chyba jedyną miłość i tam, poznała człowieka, z którym spędziła co najmniej połowę swego życia.

Po pięciu latach wojny, kiedy to z dziecka stawała się kobietą, okres Limoges był dla niej serią odkryć i nowych, fascynujących doświadczeń. Również pasmem wielkich wyzwania, które odważała się podejmować. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nie miała żadnych perspektyw, nie wiedziała, co chce w życiu robić, a teraz oto miała już swoją pasję, w której pozwolono jej się doskonalić.

Po ukończeniu z dobrą oceną kursu laborantek awansowała. Przeniesiono ją do pracowni analitycznej. Przestała pielęgnować chorych, podawać im baseny i zmieniać opatrunki. Teraz w zakresie jej działania znajdowały się ich próbki krwi i inne materiały do badania, a także mikroskopy, odczynniki chemiczne.

Spełniała swoje zadania pieczołowicie, pod czujnym okiem doświadczonych starszych laborantek. Pasjonowało ją to, ale czuła pewien niedosyt. Miała oto praktykę, lecz brakowało jej zajęć teoretycznych, pogłębiających wiedzę. Tyle jeszcze chciała się dowiedzieć; chemia, medycyna ciekawiły ją coraz bardziej.

Siostra Matylda, kierowniczka laboratorium, powiedziała kiedyś do niej: - Bardzo jestem z ciebie zadowolona, Irmino. Ty powinnaś kształcić się dalej, masz zacięcie naukowe. Powinnaś studiować.

- Bardzo bym chciała, ale to chyba nie jest możliwe. Po pierwsze, muszę pracować na swoje utrzymanie, a studia też kosztują; po drugie, studia podejmuje się po maturze. A ja... przerwałam naukę półtora roku przed *baccalauréat**.

* matura

- To drugie z pewnością będziesz mogła nadrobić. Niech no tylko ta przeklęta wojna się skończy.

Rozmowa ta miała miejsce w marcu, a w maju niedobitki dowództwa Wehrmachtu podpisały wreszcie kapitulację. III Rzesza przestała istnieć.

Biedne i trudne były to czasy, ale umilkły wreszcie działy, ludzie odetchnęli i nadzieja wstąpiła w ich serca.

Siostra Matylda, która sama bardzo długo zmagiała się kiedyś z życiem, zanim osiągnęła to, co sobą reprezentuje, zatroszczyła się o

swoją podopieczną.

- Słyszałaś już o liceum wieczorowym przy ulicy Fin de Siècle? - zapytała pewnego dnia Irminę, kiedy ta weszła do laboratorium.

- Nie. A powinnam coś o nim wiedzieć?

- A jakże! Przygotowuje młodzież zapóźnioną w nauce przez wojnę do *baccalauréat*. Powinnaś się tym zainteresować.

- A gdzie to jest?

- W najstarszej dzielnicy Limoges. Wycięłam dla ciebie ogłoszenie z gazety. Dostaniesz od szpitala rekomendację. Już to załatwiłam z dyrektorem.

W taki oto sposób spełniło się ciche marzenie Irminy. Teraz nie ustawała w pracy. Ale czy przedtem było inaczej? Od śmierci mamy obowiązki osaczały ją ze wszystkich stron.

Ile to już lat. Szkoła i prowadzenie domu, opieka nad młodszym rodzeństwem. Od dwunastego roku życia nigdy nie miała czasu dla siebie. Z przyjaciółkami widywała się tylko w szkole. Ustały lekcje tańca, wycieczki i przyjemności.

Praca nigdy jej nie przerażała. To, czego w życiu bała się najbardziej, to utrata nadziei i brak perspektyw. A to już jej teraz nie groziło.

Z egzaminów do liceum wieczorowego wróciła z tarczą. Po wakacjach miała zacząć zajęcia na rocznym przyśpieszonym kursie dla uzdolnionej młodzieży, przygotowującym do matury.

Na przełomie czerwca i lipca spotkało ją też inne wyróżnienie. W uznaniu jej dobrej pracy w ciągu ostatnich miesięcy przyznano jej tygodniowy płatny urlop. Jakiś czas temu dostała list od ojca. Zajmował się teraz uczeniem gry na skrzypcach, otworzył małą szkółkę w Caen. Irmina postanowiła odwiedzić bliskich i zdradzić im swoje plany na przyszłość.

Szczęśliwie wszyscy przeżyli wojnę. W niewielkim mieszkaniu było ich teraz o troje mniej niż w domku w Colombelles, bo starsze dzieci już się wyprowadziły. Pojechali zobaczyć swoje dawne siedlisko, ale wprawilo ich to w przygnębienie. Wioska po walkach w czasie lądowania aliantów została zrównana z ziemią, fabryka, podobnie jak przylegające do niej kolonie robotnicze: włoska, rosyjska i polska, zniknęły z mapy okolicy. Uprzątnięto gruzy, puste miejsca szybko porosły trawą i krzewami, a na tej dużej przestrzeni urządzono gigantyczny cmentarz, wypełniony w większości bezimiennymi grobami. Zaczynał się przy starym cmentarzu obok zburzonego kościoła i ciągnął po kres horyzontu. Tych, którzy walczyli przeciw sobie, pochowano obok siebie. Symboliczne tabliczki umieszczone na brzegach rozległych zbiorowych mogił miały wstrząsającą wymowę.

Każdy z Billów, Alainów, Jeanów, Hansów czy Carlów miał nie więcej niż dwadzieścia cztery lata!... Żeby dojść do grobu matki, musieli minąć tysiące miejsc ich spoczynku. Stłoczeni, leżeli karnie w równych ordynkach. Pogrzebano ich razem z ich marzeniami i snami o przyszłości, której nie doczekali.

- Wiecie, kochani, czego najbardziej dla was pragnę - powiedział ojciec, przerywając milczenie. - Żebyście nigdy więcej nie doświadczyl wojny. Tylko tego sobie dla was życzę. Obyśmy nigdy nie musieli do tego wracać fizycznie, bo myśli o wojnie tych, co ją przeżyli, nigdy ich nie opuszcza.

Jak tylko wrócili do Caen, słowa ojca znalazły swoje potwierdzenie. Miasto szykowało się do pierwszej rocznicy lądowania aliantów. W części strategicznej, nazwanej przez aliantów „Sword”, której Caen było głównym celem, Niemcy bronili się najdłużej, bo ponad dwa miesiące. Dopiero 15 sierpnia miasto zostało ostatecznie wyzwolone.

Rodzinie Orłowych udało się przeżyć wojnę w całości, ale wiele się u nich zmieniło. Najmłodsza z dziewcząt, Masza, skończyła już dziesięć lat i nauczyła się wreszcie mówić po francusku. Tak jak kiedyś Irminy, teraz nie odstępowała na krok babci Zosi - matki macochy. I rozmawiała z nią, o dziwo, po polsku.

- A to dopiero niespodzianka! - zdziwiła się Irmina. Maszeńka mówi po polsku!

- Wszyscy powinniście znać ten język. Przecież wasza matka była po matce, a waszej babci pół-Polką, a to zobowiązuje.

- Jak się zastanowić, to rzeczywiście! Sama mówiła, że urodziła się w Białymstoku.

- Co tu się zastanawiać, tak jak ona była półkrwi Polką, tak i wy. Nigdy nie rozmawiała z wami po polsku?

- Gdy była niemowlęciem, dziadkowie Galiny już mieszkali w Rosji. W domu jej rodziców mówiło się po rosyjsku.

- To błąd. Trzeba pamiętać o swoich korzeniach. Przynajmniej Maszeńka nadrobiła zaniedbania. Tęgą ma głowę. Trzeba będzie dopiłnować, żeby się kształciła.

Jakie to szczęście, że Anna wniosła do ich domu w posagu babcię Zosię! Przynajmniej nie muszę martwić się o Maszę.

Wiera wyrosła na piękną pannę, podobną do matki. Ma siedemnaście lat i jest nieprzytomnie zakochana. Trwa to już od jakiegoś czasu, a konkretnie od dnia, kiedy najstarszy brat Irminy, Lowa, przyjechał po zakończeniu wojny na urlop. Okazało się, że wyrósł na przystojnego młodziana i bardzo mu było do twarzy w angielskim mundurze marynarskim. Wiera zupełnie straciła głowę dla niego. Adorowała go

z takim zapalem, że i on przestał na nią patrzeć obojętnie. Lecz szkopał w tym, że urodziwy marynarz przestał teraz pływać po morzach i oceanach, więc po co komu taki oblubieniec? Jako członek królewskiej floty brytyjskiej miał niezłe apanaże i to sprawiło, że jego macocha zaczęła sprzyjać zauroczeniu swojej córki i nakłaniać jego ojca do przyzwolenia na związek młodych. Wkrótce została ustalona data ich ślubu.

Drugi brat Irminy, Wowa, zamieszkał na równiku i szkolił się na przewodnika safari w Kenijskim Parku Narodowym. A zatem także i on realizował swoje dziecięce marzenia. Aleksiej Orłow i Anna stanowili bardzo zgodne i zakochane w sobie małżeństwo. Najwięcej kłopotu było z młodszym synem Anny. Łobuzerskie wybryki, ciemne sprawy pociągały go o wiele bardziej niż szkoła. Jak na swoje czternaście lat wyglądał bardzo dojrzałe.

- No i co ty, Irminka, ciągle upierasz się, że będziesz żyć z dala od rodziny? - pytał ojciec.

- Nie chcę cię, tatku, urazić, ale nie widzę tu miejsca dla siebie. Znalazłam w Limoges swoją pasję. Chcę studiować medycynę. Przyjęto mnie na przyspieszone kursy przygotowawcze do matury.

- Poradzisz sobie? A może to miłość nie do medycyny, tylko do jakiegoś medyka cię tam trzyma?

- Ależ skąd! Nie spotkałam nikogo, kto by mnie zainteresował.

- Szkoda. Bo miłość to piękna sprawa, a ty, córeczko, jesteś jej warta jak mało kto. Życzę ci jej z całego serca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nawet nie przypuszczał Aleksiej Orłow, jak szybko spełnią się jego życzenia.

Dwa tygodnie z rodziną upłynęły Irminie bardzo szybko i z radością wróciła do Limoges. Mimo że będąc ciągle zapracowana, mało korzystała z uroków miasta, czuła się w nim jak u siebie.

W laboratorium czekała ją niespodzianka. Kiedy podeszła do siostry Matyldy, żeby się z nią przywitać, stanęła w progu skonsternowana. Obok kierowniczkini pracowni siedział młody człowiek o bujnej kruczoczarnej czuprynie i okrągłych brązowych oczach. Na jej widok otworzył je jeszcze szerzej i menzurka, którą trzymał, wypadła mu z ręki. Schylił się po nią, nie spuszczać z niej wzroku. Jego policzki oblały się rumieńcem.

- Tego mi tylko brakowało! - roześmiała się siostra Matylda. - Chyba nie będziecie co dzień tak na siebie reagować. Zupełnie jakby żadne z was nie widziało nigdy dotąd osobnika płci przeciwnej. Pozwólcie zatem, że was sobie przedstawię: ta smukłonożna nieśmiała ślicznotka to młodsza laborantka Irmina Orłowa, a ten niezgrabny młodzieniec to student drugiego roku biochemii Jean Bonier. Tak, tak, z tych Bonierów. Jest jedynym synem właściciela fabryki porcelany. Został skierowany do nas na dwumiesięczną praktykę.

Irmina nie mogła oderwać oczu od młodziana. Jego lśniące włosy, śniada cera, a nade wszystko wielkie zdziwione oczy patrzące na nią z zachwytem urzekały ją. Czuła się jak rażona piorunem. Nigdy dotąd nie doświadczyła niczego podobnego. Zerwał się z krzesła, żeby uściskać jej rękę. Był wyższy o głowę.

- *Jean. Je suis enchanté* * - wyszeptał.

* Jean. Bardzo mi miło.

- *Irmine. Je...*

- No dobrze - przerwała jej siostra Matylda. - Skoro już się poznaliście, pokaż mu, gdzie przenieść te próbki krwi. Mają być zbadane do popołudnia! Niech się przygląda całemu procesowi. Wiedzę teoretyczną to on może i ma, ale jak znam tych studentów, sporo czasu musi upłynąć, zanim można im powierzyć jakieś samodzielne zadanie. Od Irminy możesz się dużo nauczyć - zwróciła się do Jeana. - Jest w tym bardzo sprawna.

Nie zdawała sobie sprawy poczciwa siostrzyczka, że zachwalając zęczność Irminy podbijała jej wartość w oczach chłopca. Skąd zresztą mogła coś o tym wiedzieć. Zakonny habit od lat chronił ją przed emocjami, które w tej chwili opanowały tych młodych. Dziewczyna miała nogi jak z waty, nie mogła od chłopca oderwać oczu, czując się jednocześnie sparaliżowana jego spojrzeniem. Bała się poruszyć, wydawało się jej, że nie potrafi panować nad swoim ciałem, nad tym, co robi, myśli i mówi. Z nim było podobnie.

Do tego wszystkiego kępowała ich obecność siostry Matyldy. Każde czuło się jak w potrzasku. Czuli się, jak przyłapani na gorącym uczynku i bali się, że patrząc na nich, odczyta ich myśli, a tych nawet oni sami nie byli w stanie zrozumieć.

No to mam kłopot! - myślała Irmina. - Jakże ja będę tu pracować? Przy tym chłopaku nigdy, przenigdy nie zdołam się skupić. Boże, jaki on piękny!

Mój Boże, co za oczy! - myślał w tym czasie Jean. - Jak żyję, nie widziałem takich. A te nogi! Marzenie!

- Weź tę tackę z próbkami i chodź za mną - przemogła się Irmina. - Tylko uważaj, żeby nie upuścić.

- Łatwo ci mówić. Jak mam na nie uważać, skoro mam iść za kimś takim jak ty - powiedział i zawstydził się. - Przepraszam cię. Nie powinienem...

- Właśnie. Chodź, pokażę ci odczynniki.

No i jakoś się potoczyło, chociaż wydawało się to zupełnie niemożliwe. Dzień był trudny dla Irminy, bo po raz pierwszy przez cały czas myślała dwutorowo. Aż dziw bierze, że nie popełniła żadnego błędu.

Po zakończeniu pracy była zmęczona jak nigdy. Chłopak ociągał się z wyjściem. Najwyraźniej bił się z myślami, czy powinien się pożegnać, czy też zaproponować jej swoje towarzystwo w drodze do domu. W końcu nieśmiałość zwyciężyła. Dziewczyna była lekko zażenowana, lecz odetchnęła z ulgą. Chciała, ma się rozumieć, żeby ją odprowadził, ale nie była pewna, czy gdyby jej to zaproponował,

powinna się od razu zgodzić.

Na ogół wracała do domu szybkim krokiem, tym razem szła powoli, rozmyślając o tym, jak się rozwinie ta znajomość, czy chłopak kiedyś zaprosi ją na kawę, bo że mu się podoba, nie miała wątpliwości. Zupełnie nie potrafił tego ukryć.

Przez pół nocy rozpamiętywała jego słowa, spojrzenia. Zasnęła prawie o świcie, mimo to zjawiała się w laboratorium długo przed czasem. A on już tam czekał.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! - powiedziała siostra Matylda na widok swoich pracowników czekających pod drzwiami. - Co to, moje ptaszki, spać nie możecie? Widać Irmino, że odpoczęłaś, przed urlopem wpadałaś tu jak burza w ostatniej chwili.

Tego dnia po pracy wracali razem. Jean wcale jej nie pytał o pozwolenie. Po prostu poszedł w tę stronę, co ona. Na dole w jej domu była kafejka. Ponieważ nie skończyli rozmowy, którą zaczęli w drodze, wstąpili na kawę. Nikt nikogo nie zapraszał. Rozmawiając usiedli przy stoliku i rozmawiali dalej.

- Nie wiedziałem, że oczy ludzkie mogą być aż tak niebieskie. Poczekaj, nie ruszaj się. Ależ ty masz długie rzęsy! Nigdy nie widziałem kogoś tak pięknego, jak ty.

- Co ty opowiadasz? Ja wcale nie jestem piękna, nawet by mi to nie przyszło do głowy.

- Naprawdę? Myślałem, że jak ktoś wygląda jak ty, musi być dumny i wyniosły. A ty jesteś taka nieśmiała i miła.

Irmina milczała. To ty jesteś miły - pomyślała i serce w niej rosło. Dotknął jej ręki, poczuła dreszcz. Bała się, że to zauważy, i zarumieniła się. Więc to tak wygląda miłość - rozważała, chyba się w nim zakochałam, a on? Sądząc z tego, jak na mnie patrzy, chyba też, a może żartuje sobie ze mnie?

Rozmawiali o głupstwach, jakieś aluzje, niedomówienia, i ani im w głowie było się rozstawać. A czas płynął. Aż usłyszeli:

- *On ferme, les amoureux. C'est à vous, que j'ai parlé**.

* Zamykamy, zakochani. To do was mówiłem.

Podskoczyli na te słowa, a raczej na widok właściciela, który stał nad nimi.

- Ojej, jak późno! - Irmina spojrzała na zegar na ścianie i zerwała się z miejsca.

- Rzeczywiście! - powiedział Jean - myślałem że czas stanął, a on jednak ucieka. Mama się zmartwi.

- No to zmykaj, niech się nie martwi. Wszystko bym dała, żeby moja na mnie czekała.

- A nie czeka?
- Umarła, gdy miałam dwanaście lat.
- To straszne. Przykro mi.
- Skąd mogłeś wiedzieć?
- Dużo jeszcze o sobie nie wiemy.
- No to do jutra.
- Do jutra.

Irmina szła po schodach do swojego *chambre de bonne** na szóstym piętrze jak na ścieżce. Najchętniej nie rozstałaby się już nigdy z Jeanem. Mogłaby do końca życia słuchać jego głupiutkich, ale jakże miłych komplementów, patrzeć w jego okrągłe brązowe oczy, na pieprzyk na lewej skroni, ruchliwe dłonie o długich palcach. Nie było w nim nic, co by się jej nie podobało.

* służbówka, pokój dla służby często na poddaszu

Siostra Matylda obserwując swoich podopiecznych zastanawiała się, czy nie powinna przeprowadzić rozmowy z Irminą. Przy całej sympatii i podziwie, jakie dla niej miała, nie wierzyła w szczęśliwy finał zauroczenia się sobą nawzajem tych dwojga młodych ludzi. Przeczuwała, że ta przyгода przyniesie dziewczynie wiele cierpienia.

Rozsądek, który tak w niej ceniła, zdawał się z niej wyparować. Irmina miała maślane oczy, rumieniała się jak gąska i wydawała się nieprzytomna. Aż dziw, że nie popełniała błędów w pracy. Na tym polu nie mogła jej nic zarzucić. Gorzej było z Jeanem. On najwyraźniej zupełnie zapomniał, po co przychodzi do laboratorium. Po dwóch tygodniach nie odróżniał probówki od tygielków. Wodził rozmarzonym wzrokiem za dziewczyną i nic poza nią nie widział.

Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co z tym począć, bo dynamiczny rozwój uczuć jej pracowników nie wróżył nic dobrego ani dla laboratorium, ani dla dzieciaków; byli przecież jeszcze tacy młodzi. Gdybyż on był zwyczajnym chłopcem, a nie sukcesorem wielkiej fortuny, niechby się kochali. Ale siostra Matylda nie wierzyła, aby Bonierowie zaakceptowali wybór syna. Nie ujmując nic walorom Irminy, na pewno nie o takiej synowej marzyli. Może kiedyś, po latach, jeśli uda się jej ukończyć studia medyczne, jako dobra lekarka zyskałaby ich aprobatę, ale nie teraz. Cóż, że ładna i mądra, ale córka ubogich rosyjskich imigrantów. Siostra Matylda знаła Bonierów, ich pychę i miłość do jedynaka i ta wiedza o nich nie wróżyła dziewczynie dobrze. Szkoda jej na takie rozczarowanie. Chłopak, jak to chłopak, szybko się pocieszy, a dziewczyna będzie cierpieć...

Matylda wiedziała, że się nie myli, sama czegoś podobnego w odległej młodości doświadczyła. Z czasem rozpacz ucichła pod habi-

tem zakonnym. To prawda, że czasy się zmieniły, ludzie coraz mniej zważają na majątek czy pochodzenie, ale wolałaby, by tych dwoje nigdy się nie spotkało. Nie miała jednak na to wpływu, już się znali.

Po dwóch tygodniach niespodziewanie pani Bonier zjawiała się u niej w klasztorze z prośbą o rozmowę. Wielkie było jej zdziwienie, kiedy matka Jeana zaproponowała jej pieniądze w zamian za odciążenie syna. Odsunęła kopertę z banknotami, mówiąc:

- To jakieś nieporozumienie droga pani. Nie przyjmę od pani żadnych opłat, bo praktyki studentów są opłacane przez uczelnię i szpital w ramach porozumienia. Osiem godzin dziennie przyglądania się pracy innych nikogo jeszcze nie przemęczyło. Dopiero po miesiącu praktyki studenci wykonują drobne zadania. A zatem pani syn nie może być przeciążony.

- Wiem, co mówię. Mówicie o ośmiu godzinach, a on wraca przed północą! Już nawet kolacji z nami nie jada. Przychodzi tak zmęczony, że idzie prosto do swego pokoju, a od świtu znowu ta praktyka. On ma słabe płuca. Długo tak nie pociągnie.

Siostra Matylda patrzyła z rozbawieniem na madame Bonier. Zastanawiała się, czy wielmożna mamuśka jest tak naiwna, czy głupia.

Doszło więc już do tego, że młodzi spędzają ze sobą aż tyle czasu i ten szelma twierdzi, że jest wciąż na praktyce. No, no!

- Bez urazy, szanowna pani. Pani syn jest młodym, atrakcyjnym chłopcem. W tym wieku ma naturalne prawo do spotkań z kolegami lub dziewczętami. I pewnie to robi, bo z laboratorium wychodzi o szesnastej.

- Naprawdę? To gdzie on spędza popołudnia i wieczory?

- Tego nie wiem. Mnie interesuje tylko laboratorium.

- Wobec tego przepraszam. Będę musiała z nim porozmawiać.

- Słuszna decyzja. Przepraszam, ale obowiązki mnie wzywają.

Nazajutrz siostra Matylda wezwała Irminę do siebie.

- Chyba nie zamierzasz zrezygnować z matury i dostania się na studia?

- Dlaczego siostra to podejrzewa? - spytała Irmina, a ostry rumieniec zdradził jej zakłopotanie.

- Wyciągam wnioski z tego, jak się ostatnio zachowujesz.

- Czy robię coś niestosownego?

- I tak, i nie. Wiem, że Jean nie jest ci obojętny, ale boję się, że to uczucie nie wyjdzie ci na dobre. Pamiętaj: nauka to twój kapitał na przyszłość. Nawet jako argument na twoją korzyść w oczach jego rodziców.

- Nie zamierzam zrezygnować z nauki i obiecuję to siostrze.
- Obiecaj to sobie, moje dziecko.
- Obiecuję - wyszeptła Irmina i znowu oblała się rumieńcem, bo uświadomiła sobie, że nie będzie to łatwe w jej obecnej sytuacji, kiedy cały czas po pracy zajęty ma przez Jeana.

Ale tak nie będzie zawsze. Niedługo dobiegnie końca jego praktyka w laboratorium i wyjedzie na wakacje do Kalifornii. Nie będą się widywać przez dwa miesiące, bo wraca dopiero na początek roku akademickiego.

Takie były plany Jeana, zanim się poznali. Teraz postanowił je zmienić. Nie wyobrażał sobie bowiem rozstania z ukochaną na tak długo. Uznał to za niemożliwe.

Bonierowie przywykli już do tego, że odkąd syn ich rozpoczął praktykę, zjawia się w domu w środku nocy jedynie po to, żeby się przespać i zmienić bieliznę. Niemal stracili z nim kontakt. Ostatnio zdarzyło się nawet kilka razy, że w ogóle nie wrócił na noc do domu, a teraz już stało się to zwyczajem. Matka, jak to matka, nie mogła się z tym pogodzić, ale ojciec nie miał nic przeciw temu. Jego syn dorastał, jako mężczyzna miał dla niego dużo wyrozumiałości. Przeprowadził nawet małe śledztwo. Uznał, że fascynacja jedynaka jest całkiem miłutka. Inna rzecz, że nie traktował całej sprawy poważnie. Co to - to nie! Uznał, że chłopak przejdzie inicjację, wszakże musi to kiedyś nastąpić, wyszumi się i wszystko wróci do normy. Na poważne decyzje przyjdzie jeszcze czas. Teraz ma zaledwie dwadzieścia lat. Zresztą i tak cała sprawa przestanie istnieć, gdy tylko wyjedzie za ocean.

Tymczasem ku wielkiemu zdumieniu rodzica, tuż przed zakończeniem praktyki, czyli po prawie dwóch miesiącach gorącego romansu, Jean zadzwonił do jego biura zapowiadając swoją wizytę. Dobra nasza! - pomyślał ojciec. - Jak widać, Romeo poszedł po rozum do głowy wcześniej, niż się spodziewałem.

- Oczywiście, możesz przyjść, zawsze jesteś tu mile widziany - powiedział do syna.

Zadzwonił zaraz do żony.

- Marnotrawny synek wraca na łono rodziny! Co ty na to?
- Niemożliwe! Skąd wiesz?
- Za chwilę będzie u mnie w biurze. No i warto było się zamartwiać?
- Bałam się, że się naprawdę zakocha.
- W jego wieku? Jeśli nawet, to jeszcze szybciej się potem odkocha. Mówiłem ci. Już ma dla nas czas.

Bonier senior był szczerze uradowany tym, że syn odwiedzi go w

jego biurze. Do tej pory traktował go jak dzieciaka. Odkąd chłopak przeżywał swoją pierwszą miłość - czy fascynację - on sam był tym uradowany, żeby nie rzec podniecony. Bo oto malec wkroczył w męski świat, przez co stał się jego sojusznikiem, będzie z nim wreszcie mógł rozmawiać jak równy z równym. Dla każdego ojca przemiana syna z chłopca w mężczyznę to wielka sprawa.

Mając to na względzie, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób ten fakt uczcić. Zajrzał do barku, wyjął koniak, kazał sekretarce przygotować kieliszki. Był tak podniecony, że nie potrafił zająć się czymkolwiek i cały czas do wizyty syna spędził na rozmyślaniu o zmianie, jaka nastąpi w ich wzajemnych relacjach, i przygotowaniach do tego niezwykle spotkania. Wreszcie doczekał się chwili, kiedy chłopak zapukał do drzwi. Sam je mu otworzył.

- Witaj stary - powiedział poklepując syna po ramieniu.

Jean stanął przy drzwiach czekając na dalsze dyspozycje, zupełnie nieprzygotowany na nowe nastawienie swego rodzica. O ile matka aż krępowała go czułościami, o tyle ojciec stosował - jak dotąd - tak zwany zimny wychów. Zawsze trzymał go na dystans. Był raczej oschły, wręcz surowy. Nigdy żadnej poufałości. A tu nagle jowialny uśmiech, mrugnięcia, klepanie po ramieniu. Nie wiedział, czy brać to za dobrą monetę, czy też powinien spodziewać się w tym jakiegoś podstęp. Słowem, był tak zaskoczony, że popadł w zakłopotanie.

- Witaj stary - powtórzył ojciec. - Siadaj. Kieliszek koniaku?

- Koniaku? - zdziwił się chłopiec. - Z przyjemnością. Przyznam tato, że jestem zaskoczony.

- Czym? Tym, że dorosłeś?

- Właśnie! Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że moje plany wakacyjne uległy zmianie. Nie wyjadę do Kalifornii.

- Cooo? Z jakiego powodu?

- Z powodu moich uczuć! Tato, ja spotkałem kogoś, kogo nie mogę opuścić. To jest wyjątkowa osoba i nie chcę się z nią rozstawać.

- Chyba się, mój stary, nie zakochałeś? Oszczędź mi takich żartów.

- Ja nie żartuję. Zakochałem się w bardzo wartościowej dziewczynie, chcę się z nią ożenić i nigdzie bez niej nie pojadę.

- A któż ci, mój mały, powiedział, że masz prawo decydować o sobie?

- Choćby ty, ojczu, przed chwilą. Powiedziałeś, że dorosłem.

- Po tym, co usłyszałem, cofam moje słowa. Oświadczyłeś się więc tej dziewczynie, nie mówiąc nam o tym? Bez naszej zgody?

- Nie oświadczyłem się jeszcze. Ale kocham ją i nie widzę dla

siebie innej drogi.

- Ani się waż, smarkaczu, robić sobie jakieś plany na widok pierwszej napotkanej łowczynie posagów.

- Daruj sobie, ojcze, podobne określenia. Irmina jest najszlachetniejszą istotą na świecie. Nie pozwolę jej obrażać.

- Co ty o niej wiesz? Ledwie ją poznałeś. Czy też pewnie nie znasz jej wcale.

- Znam dostatecznie, żeby wiedzieć, że nie jestem jej godzien.

- Ty oszalałeś! Straciłeś rozum, chłopcze!

- Mylisz się ojcze.

- A zatem posłuchaj: Nie ty decydujesz, kiedy i kogo poślubisz.

Dopóki płacę za twoje utrzymanie, studia i wszystko, czym, jak ci się zdaje, dysponujesz, nie masz nic do powiedzenia. Zapomniałeś, że jako sukcesor rodowej fortuny masz pewne obowiązki wobec rodziny.

Wyjedziesz. Opłaciłem już twoją podróż i pobyt w Kalifornii i nie ma odwrotu. Gdybyś z tego zrezygnował, zraniłbyś swoją matkę, która chciała ci zrobić niespodziankę i zgodziła się z tobą wyjechać. Nie masz prawa jej zawieść - improwizował stary Bonier, bo jego połówica nic o tym jeszcze nie wiedziała.

- Nie chcę sprawić zawodu mamie, mam jednak nadzieję, jestem nawet przekonany, że ona mnie zrozumie i nie będzie się czuła zawiedziona, że chcę uszanować osobę, którą kocham. Mama to zrozumie, sama jest kobietą. Zresztą ty, ojcze, też zmienisz zdanie, kiedy ją poznasz.

- Jeśli tak uważasz, chodźmy przedstawić matce twoje rewelacje. Zobaczymy, co na to powie.

Jean był dobrej myśli. Jak dotąd nie było jego pragnienia, którego matka nie chciałaby zaspokoić. Zupełnie jak dobra wróżka czuwała nad spełnieniem wszystkich jego zachcianek i kaprysów, często przeciwstawiając się woli surowego ojca. Chłopak zdawał sobie sprawę z tego, że często nadużywa jej dobroci. A przecież to były błahostki. Teraz, ten jeden jedyny raz potrzebuje naprawdę jej poparcia, bo tu chodzi o jego przyszłość, o jego szczęście. Wierzył, że znajdzie w niej orędowniczkę.

Tym większe było jego rozczarowanie. Sceny, które rozegrały się w domu, wprawiły go w przygnębienie. Matka na wieść o tym, że jej syn z powodu swego zauroczenia zamierza zrezygnować z wyjazdu do Kalifornii, wykrzyknęła:

- Ależ to niemożliwe! Ustaliliśmy to dawno, że ja na czas twego wyjazdu...

- No właśnie! - wtrącił się ojciec. - Nie powiedziałem ci, że

wychodząc naprzeciw twoim pragnieniom zrobiłem wszystko, abyś mogła wyruszyć w tę podróż razem z twoim ukochanym synem.

- Ależ ja... ja...? - matka próbowała wejść mu w słowo - ja wcale...

- Wiem, wiem, jak zwykle chcesz go bronić, mimo że jest tak nieodpowiedzialny, iż nie waha się oświadczyć, że zmienił właśnie plany. Bo wyobraź sobie: zakochał się! Zakochał się i to ma być powód!

- Skoro tak twierdzi... to wszystko mnie zaskakuje... pozwólmy mu wyłożyć swoje racje.

- Rozumiem to doskonale, moja droga, możesz być zaskoczona, skoro w ostatnim czasie byłaś myślami gdzie indziej, rozumiem też, że teraz ja tu rozdaję karty. Wyjazd wasz dojdzie do skutku. Dokonałem w związku z tym pewnych operacji finansowych i nie zamierzam pozwalać na to, aby jakieś chwilowe kaprysy przynosiły rodzinie straty.

- Ależ ojczy! Mamo, powiedz coś proszę.

Matka już otwierała usta, ale zmrożona władcym spojrzeniem męża, zaniechała słów.

- W takim razie rozumiemy się. Dwa miesiące to, mam nadzieję, wystarczający czas, żeby ostudzić zbyt pochopne zapalenia. A zatem koniec rozmów na ten temat. Nabierzemy dystansu i pomówimy o tym, jeśli będzie trzeba, po waszym powrocie.

W ten sposób ojciec zakończył sprawę i opuścił swój gabinet. Matka podniosła się także i bez słowa poszła do swego pokoju.

Młodzieniec był zdezorientowany. Nie zdarzyło mu się jeszcze trafić na taki mur niezrozumienia. Czuł też podświadomie, że matka nie stanęła w jego obronie tylko dlatego, że została w jakiś sposób ubezwłasnowolniona. Mógł zatem szukać u niej tylko wyjaśnienia, czemu w tej sprawie ojciec jest aż tak nieprzejednany?

Ostatnie dni praktyki Jeana w szpitalu minęły zbyt szybko, żeby młodzi kochankowie zdolali się do końca oswoić z tym, że ich plany legły w gruzach.

O ile dla Irminy było zrozumiałe, że ukochany musi póki co dostosowywać się do woli ojca, o tyle Jean nie mógł się z tym pogodzić.

- Nie martw się - powiedziała mu w końcu - co znaczy dwumiesięczna rozłąka w porównaniu z całym życiem, które ze sobą spędzimy? Będę na ciebie czekać. Obiecuję ci to.

Swoją drogą dziewczyna nie miała aż tyle optymizmu, ile zademonstrowała lubemu gwoli podniesienia go na duchu. Szczerze

mówiąc, niechęć jego rodziców czy też tylko ojca do niej mogła zaważyć na ich przyszłości. Jednak chłopak był przekonany, że kiedy po powrocie przedstawi ją w domu, problem przestanie istnieć, bo rodzice ulegną jej czarowi.

Tak więc nadszedł dzień, kiedy szepcząc zapewnienia i obietnice rozstali się na niewyobrażalnie długie dwa miesiące. To tylko tyle, ile się znamy, a ten czas przeleciał tak szybko - pocieszała się Irmina.

Kiedy siostra Matylda zobaczyła jej łzy, powiedziała:

- Przynajmniej weźmiesz się teraz do nauki. I to będzie najlepsze, co możesz zrobić.

Dziewczyna musiała jej w duchu przyznać rację.

Nazajutrz po pożegnaniu się z Jeanem Bonierem Irmina zasnęła bardzo późno. Obiecali sobie, że będą pisywać do siebie codziennie. Obliczała, ile przyjdzie jej czekać na pierwszy list. List z Kalifornii. Chyba co najmniej tydzień - ustaliła to ze sobą i westchnąwszy zasnęła wreszcie. Obudziła się jak zwykle przed siódmą rano, w sam raz, żeby zdążyć do pracy. Nie przywiązywała nigdy specjalnej wagi do tego, co jej się śniło, ale tym razem - dźwięczały jej w uszach słowa ojca: „Złe wieści przychodzą najszybciej”, które usłyszała we śnie - poczuła mrówki na plecach. Ciekawe, co złego jeszcze po wyjeździe Jeana mogłoby mnie spotkać, skoro najgorsze już się stało? - przemknęło jej przez głowę. Zaraz jednak zapomniała o tym, bo musiała się śpieszyć.

Siostra Matylda prawdopodobnie czekała na nią u drzwi laboratorium, bo pojawiła się tam, ledwie Irmina nacisnęła klamkę.

- Chyba się nie spóźniłam?

- Nie, moje dziecko... mój Boże, więc ty jeszcze nic nie wiesz?

- O czym?

- Wejdz, usiądź, proszę.

Bładość siostry, jej poważna mina, lekkie drżenie jej rąk zastanowiły Irminę. Zwolni mnie - pomyślała - co ja teraz zrobię?

- Siostrzo Matyldo proszę dać mi szansę, będę się starać z całych sił! Ja...

- Wiem, wiem moje dziecko. To nie jest teraz ważne. Bardzo ci współczuję...

- Więc jednak! Dlaczego? Przecież nie popełniłam żadnego błędu?

Irmina wpadła w panikę. Wiedziała, że pomyłki w jej pracy nie są do przyjęcia. Mimo całego zaangażowania uczuciowego, mimo szczęścia, w którym zanurzyła się ostatnio bez reszty, w pracy starała się być czujna i uważna. A jednak...

- Błądu? To nie twoja wina. Nie mogłaś go nie pokochać, skoro się tu pojawił. Byliście dla siebie stworzeni. Tym bardziej ci współczuję.

- Wobec tego proszę mi dać jeszcze jedną szansę.

- Szansę? Mój Boże! Ty rzeczywiście nic nie wiesz? Słuchałaś radia?

- Radia? Nie, śpieszyłam się.

- Usiądź. Samolot do San Francisco rozbił się. Jean i jego matka nie żyją. Przykro mi, że muszę ci takie wieści przekazywać.

Irmina poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją obuchem w pierś. Nie była w stanie się odezwać. Patrzyła na siostrę Matyldę w osłupieniu. Czy to możliwe, żeby przełożona żartowała sobie z niej w taki sposób?

Ale mina siostry nie była figlarna. To jednak nic nie znaczy. Ojczulek też potrafił żartować sobie z nich w domu ze śmiertelnie poważną miną, ojczulek... Nagle przypomniały się jej słowa wypowiedziane przez niego we śnie: „Złe wieści przychodzą najszybciej”.

- Nie!!! To niemożliwe!!! Nie, nie i nie!

- Niestety, moje dziecko.

Siostra wzięła ją w ramiona i tuliła do siebie.

- Płacz kochanie, wypłacz się, to przyniesie ci ulgę. A potem, jak się już wypłaczesz, weźmiemy się do pracy, bo chorzy nie mogą czekać. Najpierw musimy dokonać analiz, potem będziemy rozmawiać. Napij się herbaty, połknij ten proszek i do roboty.

Irmina spojrzała na nią zdziwiona, ale poddała się nakazowi, mimo iż wydał się jej irracjonalny. Bo jeśli to się stało naprawdę, jakie znaczenie ma dokonywanie analiz? Tylko służbowa zależność od przełożonej zmusiła ją do działania. Podporządkowała się jej odruchowo, jakby była zahipnotyzowana.

- Przestań tak na mnie patrzeć, bo zabijesz mnie wzrokiem. Szpital to szpital. Tu jest jak na wojnie. To, że gdzieś zgasło czyjeś życie, choćby nie wiem jak nam drogie, nie może być przeszkodą w ratowaniu innych - dodała celowo urzędowym tonem.

Rzadko używała go w stosunku do dziewczyny. Wiedziała, że ryzykuje, ale intuicja podpowiedziała jej, że to jedyna droga, jaką teraz może wybrać. Surowość mocniej nieraz panuje nad bólem niż tkliwość. Sama zdziwiła się efektem swego postępowania. Przez kilka godzin pracowały w skupieniu, a kiedy wreszcie skończyły, przytuliła Irminę jak matka, a ta dała upust łzom, choć trudno było jej uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jeszcze miała złudzenia, że wyjdzie stąd,

wróci do swojego pokoju i wszystko będzie jak wczoraj.

- Zabieram cię do siebie - zdecydowała tymczasem zakonnica. - Nie powinnaś teraz zostawać sama.

Nie powinnam... ale właśnie zostałam sama... To niemożliwe, nie przyjmuję tego do wiadomości! - myślała idąc bezwolnie za siostrą, która trzymała ją mocno za rękę.

Zanim wyszły, będąca w transie Irmina pozwoliła siostrze zaaplikować sobie jakąś kolejną pigułkę i popiła ją posłusznie. Nocą, kiedy nie mogła zasnąć, usłyszała od siostry: - Płacz dziecino. Łzy ci nie zaszkodzą. To straszna tragedia, ale gdyby on żył, pewnie i tak nie mógłby się z tobą ożenić.

- Dlaczego?

- Bo pan Bonier, jego ojciec, jest człowiekiem, który sam chciał decydować o przyszłości syna. A widział ją inaczej niż jego jedynak.

- Ale dlaczego?

- Może dlatego, że świat nie jest ani tak dobry, ani tak oczywisty, jak ci się wydaje, szczególnie gdy w grę wchodzi pieniądze. Choć ma ich dosyć, a nawet za dużo, żeby jakiegokolwiek znaczenie miał twój posag, przywiązywał do tego wagę. Ponadto miał problemy z wiernością żony, był rozdrażniony i tym bardziej chciał postawić na swoim. Całe Limoges aż huczało od plotek. Dlatego wysłał ją razem z synem w tę podróż. Myślał, że ich przechytrzył, a stracił oboje.

- Czemu siostra mi to mówi?

- Żeby ci pomóc. Nie wiem, jak mogłabym ci odjąć nieszczęścia...

- Tego się zrobić nie da...

- Może masz rację. Dlatego śpij teraz, bo jutro musimy wrócić do laboratorium. Tego też nie da się uniknąć - dodała surowo.

Dopiero po kilku miesiącach Irmina zrozumiała, ile zawdzięcza siostrze Matyldzie. W te dni poddawała się jej woli, ale myślała, że jest bez serca.

Pogrzeb ukochanego i jego matki do reszty uświadomił jej ogrom nieszczęścia. Uznała, że teraz naprawdę nic już nie ma znaczenia i jedyne, co może zrobić, to podporządkować się woli swojej opiekunki albo umrzeć, ale siostra Matylda nie zamierzała jej na to pozwolić i zwiększała jej obowiązki.

Po dwóch miesiącach od śmierci Jeana, kiedy już zdawało się, że dziewczyna zaczyna się oswajać ze stratą, rany otworzyły się na nowo. Zaczęła niedomagać. Że straciła apetyt przy takim strapieniu, nikt się nie dziwił. Ale miała też coraz częściej mroczki przed oczami i napady słabości.

- Musisz dbać o siebie, jadłaś śniadanie? Mizernie wyglądasz, moje dziecko - upomniała ją opiekunka.

Irmina przyłożyła rękę do ust. Na samą wzmiankę o jedzeniu zrobiło się jej niedobrze. Nieświadoma tego siostra Matylda rozpakowała kanapki, ułożyła je na talerzyku i postawiła przed dziewczyną. Zapach gotowanego jajka i majonezu tak bardzo podrażnił nozdrza dziewczyny, że zerwała się i wybiegła do toalety.

Ach, więc to tak się sprawy mają? No, no - pomyślała siostra.

Zanim ogarnięta słabością Irmina wróciła z toalety, siostra była już po rozmowie telefonicznej ze znajomym ginekologiem.

Badania potwierdziły jej podejrzenia. Cięża! Nowy kłopot. Reakcja Irminy zaskoczyła ją niepomierne. Po krótkiej chwili osłupienia dziewczyna wpadła w euforię.

- A więc będę miała coś od Jeana! To wspaniale! Może to będzie synek? Nazwę go jego imieniem. Już go kocham i mam po co żyć! - entuzjastycznie mówiła.

- Jakże ty sobie dasz radę? - martwiła się siostra Matylda. - Wychowanie dziecka to wielka odpowiedzialność.

- Pracuję przecież. Zacznę oszczędzać. Nie ja jedna jestem zmuszona z tym się zmierzyć. Rodzą się przecież dzieci niechciane i żyją. A moje będzie wytęsknionym.

Żadne argumenty nie były w stanie ostudzić jej zapału.

Taka jest jeszcze młoda i naiwna. Że też okrutny los tak bardzo musiał ją doświadczyć - martwiła się szczerze poczciwa zwierzchniczka i przyjaciółka Irminy. - Biedaczka, będzie musiała zrezygnować z nauki. Ale skoro ma to ukończyć jej serce... Nie mogła zasnąć i przemyślała na wszystkie możliwe sposoby, jak można by pomóc nieszczęsnej, która w tym momencie nie była w stanie właściwie ocenić swojej sytuacji. I wreszcie nad ranem wpadła na pomysł, żeby w sprawę wtajemniczyć niedoszłego teścia Irminy. Może ta nowina przyczyni się do ulżenia mu w nieszczęściu, skoro tak dobrze podzielała na dziewczynę. To prawda, że nie chciał tego związku, ale teraz co mu zostało? Tak, nadzieja na wnuka może mu przywrócić sens życia. Jeśli tylko potrafi podejść do tego z odrobiną dobrej woli. Będzie musiała go zawiadomić. Podjąwszy tę decyzję, siostra wreszcie zasnęła.

Bonier przyjął ją zyczliwie. Nie był to już ten sam pewny siebie i kipiący energią człowiek. Zgarbione plecy, głęboka zmarszczka między brwiami i przyciszony głos pokazywały, w jakim jest stanie. Dalej prowadził interesy, bo przez całe życie to robił, ale widać było, że przymusza się do tego, bo jego świat się zawalił.

- Czy mogę służyć, droga siostrzo? - zapytał.

- Przede wszystkim proszę przyjąć moje szczere kondolencje. Zapewniam pana, że nic w życiu nie jest daremne. Bóg często zabiera nam coś, aby w zamian dać coś innego.

- Nie sądzę, żeby nawet sam Pan Bóg był w stanie zrekompensować stratę, którą poniosłem.

- A gdybym panu powiedziała, że są na to widoki?

- Proszę sobie darować, siostrzo, snucie jakichś utopijnych teorii. Nie jestem skłonny do przyjmowania nauk. Są w życiu chwile, kiedy człowiek ma prawo zwątpić w istnienie Boga.

- Doskonale wiem, co pan może czuć w tej chwili, ale przyszedłam tu, żeby przekazać panu pewną nowinę. Chodzi o tę dziewczynę, którą pański syn pokochał.

- Czego ona chce ode mnie? Nie traktowałbym jej zbyt serio. Znali się tak krótko. Skąd te przypuszczenia, że ją w ogóle kochał?

- Co do tego nie mam wątpliwości. To uczucie rodziło się na moich oczach.

- Tym gorzej. To żaden argument. Siostra nie powinna była na to pozwolić.

- Nie czułam się do tego upoważniona. A skoro już pan to podnosi, ostrzegłam ją, choć nie musiałam.

- Więc po co ona siostrę do mnie przysłała?

- Po nic. Jestem tu z własnej inicjatywy. Ona nie ma pojęcia o tym, że tu jestem. Otóż ta biedaczka, o życie której do wczoraj drżałam, teraz poczuła się szczęściarą, bo okazało się, że nosi pod sercem dziecko pańskiego syna.

- Skąd ta pewność?

- Zaprowadziłam ją do lekarza.

- Tak, tak, ale ja pytam, skąd pewność, że jest to dziecko mojego syna?

- Panie Bonier, wstydzę się za pana. Sądziłam, że jest pan człowiekiem godniejszym. Przyszedłam tu, bo chciałam panu ulżyć w cierpieniu, podarować nadzieję. Uczyniłam to z pobudek altruistycznych. Ona niczego od pana nie oczekuje. Ją ta wieść z dna rozpaczki przeniosła na wyżyny euforii. Myślałam, że i panu to pomoże. Myliłam się. Nie warto było. A co do Irminy, proszę przyjąć do wiadomości, że jest czysta i niewinna. Ufam, że Bóg będzie ją miał w opiece. Żegnaj pana.

Co rzekłszy siostra podniosła się i szybko wyszła, nie oglądając się za siebie.

Nie upłynęły trzy dni, a Bonier pojawił się w laboratorium.

- Chciałbym porozmawiać z tą dziewczyną, Irminą - tak ma na imię?

- Nie mogę na to pozwolić - powiedziała siostra Matylda. - Z uwagi na jej stan nie powinna się denerwować.

- Nie zamierzam jej denerwować. Skoro mój syn ją kochał, uznam to dziecko.

- To bardzo szlachetne z pana strony, ale przyjdzie na to czas. Im później, tym lepiej. Przynajmniej nie będzie narażona na pana wątpliwości.

- Ależ ja chcę jej pomóc. Chcę uczestniczyć w tym wszystkim.

- Gdyby to było oczywiste, w ogóle nie byłoby tej tragedii.

- Posuwa się siostra za daleko.

- Rzeczywiście, może się rozpędziłam, ale nie pozwolę skrzywdzić tej dziewczyny. Panie Bonier, proszę wszystko głęboko przemyśleć. Jeśli pana wola jest szczerą, mamy jeszcze trochę czasu na deklaracje i działania.

- Wobec tego proszę na razie przekazać jej ten czek, na pewno jej się przyda.

- Dziękuję panu. Uczynię to w odpowiednim momencie. Na razie nie jest to konieczne.

Siostra wahała się, czy dobrze uczyniła przyjmując od Boniera wsparcie finansowe dla Irminy. Nie wiedziała, jak ona to przyjmie, ale nie miała prawa odmówić tego, co się jej należało. Postanowiła jednak odłożyć to na później. Tym bardziej że nastroje dziewczyny, jej samopoczucie nie były oczywiste, tak jak pierwszego dnia, kiedy dowiedziała się o ciąży.

Teraz miała podkrążone oczy, była wyraźnie niewyspana i miały ją sprzeczne uczucia. Razem z radością wróciła do niej rozpacz, że jej ukochany nie może cieszyć się dzieckiem razem z nią. Że nie było mu to dane. Siostra Matylda przyglądała się jej uważnie i nie mogła się nadziwić, jak w tej całej kotłownianinie nastrojów i sprzecznych uczuć potrafi się koncentrować i być skuteczna i nieomylna w pracy. Pod tym względem naprawdę była niezwykła. Jaka szkoda, że jej studia odchodzą na plan dalszy, jeśli w ogóle dojdą do skutku. Mając to na względzie, wręczyła jej kopertę z czekiem od Boniera.

- Chciałabym, żebyś po urodzeniu dziecka nie rezygnowała ze swoich planów. Będzie cię stać na to, żeby wynająć opiekunkę do dziecka. Pan Bonier będzie ci pomagał. Chce, żeby matka jego wnuka żyła godnie. Oto właśnie zaliczka.

- Nie mogę tego przyjąć. Zresztą, gdyby ojciec nie zmusił go do wyjazdu, Jean nie zginąłby. Nie chcę nic od niego.

Siostra Matylda nie nalegała. Schowała czek, żeby wręczyć go Irminie, gdy dziecko będzie już na świecie. Wtedy sama zrozumie, że będzie jej potrzebny.

Los sprawił, że nie musiała się tym długo martwić. Fatalnym zbiegiem okoliczności po trzech tygodniach od wizyty Boniera w laboratorium śpiesząca rano do pracy Irmina zderzyła się z nieuważnym rowerzystą i poroniła. Przypląciła to złamaniem nerwowym. Najwyraźniej nie urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Żeby pokryć koszty leczenia, siostra Matylda spróbowała jeszcze raz wręczyć Irminie zapomogę od Boniera, ale ta nie chciała tych pieniędzy.

Tak więc koperta wróciła do ofiarodawcy. Siostra Matylda odniosła mu ją osobiście, przynosząc jednocześnie niedobrą nowinę o tym, że wnuk się nie narodzi.

Tylko jej usilnym staraniom Irmina zawdzięczała to, że pomimo tego wszystkiego zdała potem naturę i rozpoczęła studia.

Bonier umarł w niecałe pół roku po stracie żony i syna. Nikt nie wiedział, czy z powodu utraty zdrowia, czy nadziei. A może jedno i drugie miało w tym udział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Minęły trzy lata. Irmina Orłowa już od tygodnia razem z innymi studentkami drugiego roku medycyny odbywała praktykę w dobrze sobie znanym Szpitalu Mormoton. Tak do końca nigdy z nimi nie straciła kontaktu, bo nawet kiedy przestała pracować w laboratorium, wciąż utrzymywała przyjacielskie kontakty z siostrą Matyldą.

Teraz właśnie siedziały razem w jej gabinecie i popijały kawę.

- Ależ ty jesteś chuda, Irmino, stanowczo powinnaś trochę się poprawić. Czy ty w ogóle coś jadasz?

- A jakże! Jestem łakomczuchem. Ale obiecuję siostrze, że się „poprawię”, skoro kolejny rząd zwiększył przydziały chleba aż o pięćdziesiąt gram! - roześmiała się dziewczyna.

- Rzeczywiście, mówili o tym w radiu. Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że jeszcze trzy lata po wojnie będziemy borykać się z takimi brakami żywności, wyśmiałabym go.

- No właśnie, rządy wciąż się zmieniają, a chleba jak nie było, tak nie ma. A ja, jako Słowianka z pochodzenia, wychowałam się w zwyczaju jedzenia go do wszystkiego: do kawy, do zupy, do jarzyn...

- No tak. Zawsze łaknie się tego, czego nam akurat brak. Ja jako rodowita Francuzka teraz też bym go chętnie do wszystkiego jadła. Ale nie ma co narzekać. Cała Europa ma podobne kłopoty. Nie mówmy o tym. Jak sobie radzisz na praktyce?

- Nieźle. Zaprzyjaźniłam się nawet z jedną z pacjentek. To starsza pani. Jej syn jest podobno artystą, dała mi bilety na jego koncert. Pójdzie siostra ze mną?

- A co to będzie za koncert?

- W Teatrze Muzycznym, pojutrze wieczorem najzdolniejsi absolwenci konserwatorium będą grali solowe partie z orkiestrą

filharmonii. A ten jej syn - zaraz, jak on się nazywa? Mam gdzieś zapisane. O, jest! - przeczytała z kartki: - René Bergeronnette. Dziwne! Mówi, że to jej syn, a ma zupełnie inne nazwisko. Ona jest madame Blanche.

- Bo może on nosi nazwisko ojca. A ona została przy panieńskim. Wiesz, ja gdzieś już o nim słyszałam. Ależ tak - to ten młody człowiek, który został organistą u Kamedułów. Słyszałam, jak gra. Bardzo utalentowany.

- Wobec tego idziemy razem na ten koncert?

- Czemu nie? Ale nie wiedziałam, że lubisz muzykę.

- Uwielbiam. I mam to we krwi. W mojej rodzinie od pokoleń niemal wszyscy żyli z muzyki. Ja jako dziecko tańczyłam, a poza tym jestem skazana na sztukę, choć przeklęta przez talent.

- Pewnie przesadzasz.

René Bergeronnette był eleganckim, średniego wzrostu młodzieńcem o ostrych rysach i bujnej czuprynie. Wszedł na scenę szybkim krokiem, uklonił się nisko i zasiadł do pianina. Trochę za długo kokosił się na stołku, przydługo też układał poły fraka, żeby się nie zmięły, podobnie zbyt ceremonialnie podwijał rękawy i poprawiał mankiety koszuli. Ten i ów z publiczności zaczął już chrząkać, a młody artysta nie przejmując się tym, dalej celebrował swoje przygotowania do koncertu. Wreszcie skulił plecy, potem je wyprostował i zaatakował klawiaturę.

Irmina poczuła, że coś ją chwyta za gardło. Chopin, znowu Chopin! Utwory, które po stokroć słyszała, zabrzmiały w całej swej krasie, odtwarzane z niezwykłą delikatnością, precyzją, a gdzie trzeba, z siłą. Ależ on gra! Że też tatko nie może go posłuchać - pomyślała z żalem.

Oklaskom nie było końca. Bez wątpienia René Bergeronnette okazał się gwiazdą wieczoru. Przy wirtuozerii, jaką zaprezentował, pretensjonalne zachowanie przestało mieć znaczenie. Słuchacze wybaczyli mu je do końca.

- Kiedy madame Blanche chwaliła się nim, myślałam, że przesadza. Muszę jej pogratulować - powiedziała Irmina do siedzącej obok siostry Matyldy.

Nazajutrz zaraz po zajęciach na oddziale intensywnej terapii, gdzie w tym tygodniu skierowano ją na praktykę, poszła jak co dnia do swojej podopiecznej. Madame Mariette Blanche czekała na nią z niecierpliwością. To, że upodobała ją sobie i przywiązywała się do niej w sposób egzaltowany, nierzadko przejawiając nawet zaborczość, trochę dziwiło i krępowało Irminę, ale nie doszukiwała się w tym

niczego podejrzanego. Ze swoich dawnych doświadczeń z chorymi znała już takie sytuacje. Ci biedni, przestraszeni swoją niemocą ludzie czuli potrzebę bliskości z kimś nowym, komu mogli się poskarżyć, zwierzyć, a także usłyszeć zapewnienie, że ich stan się poprawi. Chcieli nadziei.

Tak - pomyślała Irmina. - Będę musiała ją pocieszyć, że widziałam wiele osób, których serca były w gorszym stanie niż jej, a żyją i mają się dobrze. Z tym postanowieniem weszła do separatki madame Blanche i stanęła w progu niezdecydowana. Madame nie była sama. Już miała wycofać się dyskretnie, gdy ta zawołała:

- Ach, jesteś nareszcie, moje dziecko. Jak to miło z twojej strony!
- Nie będę przeszkadzać. Skoro pani ma gości, przyjdę jutro.
- Nie ma mowy. Zostaniesz z nami. René, chodź, przedstaw się tej wspaniałej dziewczynie, o której ci opowiadałam.

Pianista, którego Irmina oklaskiwała wczoraj, zerwał się z krzesła i stanął przed nią.

- Bardzo mi miło, René Bergeronnette.
- Irmina Orłowa.
- Wiele słyszałem o urodzie Słowianek, a teraz mam okazję przekonać się o tym - powiedział René i omiół ją dość bezceremonialnym spojrzeniem od góry do dołu. Speszyło ją to.
- Usiądźcie koło mnie, moje dzieci - odezwała się madame Blanche, zadowolona z wrażenia, jakie dziewczyna zrobiła na jej synu. René przysunął drugie krzesło bliżej łóżka i poczekał, aż Irmina na nim usiądzie, po czym zajął swoje miejsce.

- Byłam wczoraj na koncercie w Teatrze Muzycznym.

Zanim odpowiedział, oparł łokieć na oparciu swego krzesła i upozował się zalotnie opierając twarz na dłoni.

- No i?
- Gratuluję. Grał pan wspaniale.
- Naprawdę?
- O tak, znam się na tym, u nas w domu zawsze było dużo muzyki. Zresztą widział pan reakcję publiczności.
- No tak, rzeczywiście...

Komplementy, które padły z jej ust, były w pełni zasłużone. Dłaczego więc Irminie zdawało się, że zostaje do nich w jakiś sposób przymuszona. Pewnie dlatego, że starannie upozowany artysta patrzył na nią spod (słowo daję) trzepoczących rzęs z wyczekiwaniem. Wyraziła swoje zdanie, jak się jej zdawało, wyczerpująco, a on najwyraźniej nie czuł się do końca usatysfakcjonowany. Jak więc powinna go chwalić? Zastanawiając się nad tym walczyła z sobą, żeby

nie wybuchnąć śmiechem.

Co to za dziwne indywiduum? - myślała. - Czy artyści muszą być tacy dziwni? René Bergeronnette swoim zachowaniem potwierdzał taką tezę. Był wymuskany jak dandys, miał wyszukany sposób formułowania myśli i przesadnie wystudiowane gesty. Zupełnie jakby grał w jakiejś farsie na scenie.

Uczestnicząc w rozmowie matki i syna analizowała w duchu wrażenie, jakie młody człowiek na niej wywiera. Gdyby nie jego pretensjonalne zachowanie i przesadna dbałość o swoją oprawę, można by go uznać za całkiem przystojnego. Bo też nie był bynajmniej niemły dla oka. Miał zgrabną, szczupłą sylwetkę, piękne dłonie, bujne, choć nazbyt starannie uczesane włosy, wymowne brązowe oczy i kształtną, aczkolwiek jastrzębią twarz. Jednak jego emfaza w każdym zdaniu, jakie wypowiadał, i nienaturalnie wystudiowane gesty sprawiały, że bardziej Irminę irytował i śmieszył, niż się jej podobał.

- Madame Blanche, jeśli pani pozwoli, ja się już pożegnam. Jutro mam ciężki dzień, ale po pracy przyjdę dowiedzieć się, jak się pani czuje. Miło było pana poznać, panie René, jeszcze raz gratuluję. Do widzenia państwu.

- Na mnie też już czas - powiedział René.
- Oczywiście, idź dziecko, idź, odprowadź Irminę.
- Ach, to nie jest konieczne, proszę się nie fatygować.
- To żadna fatyga. Z wielką przyjemnością będę pani towarzyszyć.

- Dobrze mówi, to dla niego przyjemność - potwierdziła madame Blanche.

Pożegnali się pośpiesznie, przy czym Irmina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że madame jest bardzo uradowana. Chcąc nie chcąc młoda kobieta musiała zaakceptować towarzystwo pianisty w drodze do domu.

Chociaż bardzo się starał, nie robił na niej wrażenia, jakiego się spodziewał. Od matki nasłuchiwał się o niej dużo, bardzo chciała go nią zainteresować i przedstawivszy ich sobie osiągnęła swój cel.

- Moja matka piała wprost zachwalając panią i muszę przyznać, że nie przesadziła - wyznał nagle.

- Naprawdę? - zdziwiła się Irmina. - Pana matka jest bardzo uprzejma. Gdybym państwa ujrzała razem w innej sytuacji, nie pomyślałabym, że to matka i syn. Musi pan być podobny tylko do ojca.

- Mariette Blanche nie jest moją biologiczną matką. Adoptowała

mnie po śmierci moich rodziców w czasie epidemii grypy, gdy miałem sześć lat.

- Jest pan sierotą? Bardzo panu współczuję. Ja też wcześniej straciłam matkę... Ale jest pan szczęściarzem mając madame Blanche. Mówi o panu z wielką miłością.

- Podziwia mój talent?

- To też, ale kocha pana szczerze.

- Nie mówmy o tym. Pomówmy o pani. A zatem lubi pani muzykę i podobał się pani mój koncert?

- Tak. Bardzo - odpowiedziała, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

Ojciec jej bowiem, kiedy któregoś z dzieci miało przejawy egoizmu czy miłości własnej, często uraczał ich takim oto dowcipem charakteryzującym takich ludzi: „Powiedz mi coś o sobie, na przykład, jak ci się podoba mój głos”. Ostatnia wypowiedź René wydała się jej klasyką tego gatunku.

- Czy da się pani porwać gdzieś na kawę?

- Dziś naprawdę nie mogę. Muszę jeszcze...

- Jeśli nie dzisiaj, to może kiedy indziej?

- Może - odpowiedziała na odczepnego i pożegnała się, a potem szybko wspięła się na szóste piętro.

René był wściekły. Jak można kogoś takiego jak on potraktować tak niedbale? Co ona sobie wyobraża? Z drugiej strony, mimo że z przymrużeniem oka słuchał opowieści Mariette o niej, kiedy ją poznał, zrobiła na nim wrażenie. Intrygowała go. Jej ogromne, bardzo niebieskie oczy o nieco ironicznym spojrzeniu, szczupła, nawet eteryczna postać, długie kształtne nogi - wszystko to stwarzało niezwykle ujmującą całość. Poza tym pomimo kruchej postury emanowała siłą, której istnienia nie potrafiłby uzasadnić. Raczej ją wyczuwał, niż potrafił zdefiniować. Nad tym wszystkim zastanawiał się wracając do domu. Inna na jej miejscu poleciałaby na skrzydłach na zaproponowaną kawę, byłaby uszczęśliwiona, a ona odmówiła. Komuś tak wyjątkowemu jak on! Bo choć nie mógł tej dziewczynie odmówić urody i atrakcyjności, o sobie myślał jeszcze lepiej. Będzie jej musiał otworzyć oczy. Jeszcze go doceni.

Tymczasem Irmina, szczęśliwa, że wyzwoliła się wreszcie od towarzystwa tego „pajaca”, jak go w myśli nazwała, gdy tylko zamknęła drzwi swego mieszkania, zapomniała o nim zupełnie. Nie dlatego, że nie wytrzymał porównania z Jeanem. Nie. Nawet jej do głowy wtedy nie przyszło, żeby myśleć o nim w takich kategoriach. Nastąpiło to o wiele później, kiedy poczuła się przez niego osaczona.

Zapamiętanie, z jakim się o nią starał, budziło powszechne zainteresowanie. Szybko zorientował się, że tym, co ją urzeka, jest jego muzyka, a zatem zadbał o to, żeby otrzymywała zaproszenia na wszystkie jego koncerty. Irmina wychodziła z nich poruszona, wzruszona i była dla niego bardziej uprzejma i miłsza.

Okazało się też wkrótce, że mnóstwo ludzi kibicuje ich spotkaniom, ale ich bohaterka zdawała się nie przyjmować tego do wiadomości. Jednakże zaczęła powoli rewidować swój stosunek do starającego się o jej względy młodego pianisty. Nie dlatego, że madame Blanche, która zdrowiała ostatnio w szybkim tempie, wyznała jej, że odkąd ją poznała, wymarzyła sobie, że będzie jej synową. Nie dlatego nawet, że René świadczył jej uprzejmości, adorował ją i obdarzał kwiatami; bo kiedy chciał, potrafił być miły.

Ostatecznie na zmianę jej stanowiska wpłynęło przekonanie do niego dwóch osób, które obdarzała największym szacunkiem i zaufaniem. Byli to siostra Matylda i Aleksy Orłow, jej ukochany ojciec. Ta pierwsza - jej wypróbowana przyjaciółka i orędowniczka - przede wszystkim chciała, żeby rany Irminy po stracie ukochanego raz na zawsze zostały zabliźnione. René był utalentowany i wydawał się bardzo nią zainteresowany. Jedyne, co ją martwiło, to fakt, że nie widziała w oczach młodych tej pasji i iskry, ani zapamiętania w uczuciu, jakiego była świadkiem obserwując relacje dziewczyny z młodym Bonierem. A może to i dobrze? - mówiła sobie na usprawiedliwienie. - Ślepa miłość, bez hamulców, szybko może się wypalić. W związku na całe życie ważniejszy jest wzajemny szacunek i podziw, a tego tu nie brak. Ona podziwia go jako muzyka, a on w ogóle jest dla niej pełen podziwu.

Tak więc siostra Matylda z wielkim zapałem namawiała oporną Irminę do zmiany stanowiska. Mało tego, to ona napisała do Aleksego Orłowa, żeby przyjechał na jeden z koncertów René.

Irmina była uszczęśliwiona ujrzawszy ojca. Nie węszyła żadnego podstępu i ze swej strony też zaproponowała mu wysłuchanie koncertu swego fatyganta. Po prostu znając jego pasję wiedziała, że bardzo go tym uraduje. I nie pomyliła się. Ojciec był zachwycony. Lepszej rekomendacji René nie mógł sobie wymarzyć. Jeśli kiedykolwiek czuł się nieusatysfakcjonowany zbyt mizernym, jak na jego poczucie własnej wartości, hołdem dla jego wirtuozerii, Aleksy zrekompensował mu wszystko. Ten wrażliwy, sympatyczny starszy człowiek zrecenzował jego granie z ogromnym znawstwem i wielkim zapałem, na granicy euforii.

Toteż bardzo przypadł młodemu artyście do gustu. Tym bardziej

zapraǳał wkraść się w jego łaski i demonstrował swoje oddanie jego córce. Tak się w tych staraniach rozpedził, że nieoczekiwanie dla siebie samego oświadczył się ojcu o jej rękę i został przyjęty. Przez ojca. Na odpowiedź córki nikt nie czekał, bo to dla obu panów było aż nadto oczywiste.

Aleksy nie wyobrażał sobie, żeby można było nie pokochać kogoś, kto tak gra, a René znając przywiązanie i szacunek Irminy do ojca, nawet nie pomyślał, że byłaby w stanie mieć przeciwne zdanie.

- Cieszę się, że spotyka cię takie szczęście - powiedział Aleksy do córki.

I rzeczywiście, widząc jego entuzjazm, nie śmiała wyjawić, co naprawdę czuje, czy też ściślej mówiąc, czego nie czuje, a nawet zaczęła obwiniać się o to, że nie potrafi należycie docenić i odwzajemnić uczuć muzyka.

Już w rozmowach z siostrą Matyldą, która miażdżyła jej argumenty, zaczęła wnikliwie analizować swój punkt widzenia na ewentualny związek z René. Bilans jawił się jej nie tyle jako wymarzone szczęście, ile jako akt rezygnacji. Rozmyślając nad tym nabrała jednak przekonania, że godząc się na małżeństwo z René przyjmie to jako rezygnację z życia po zbyt pięknej miłości, która już się nie powtórzy. Bo i tak nikogo nie zdoła pokochać tak, jak Jeana. Tylko że jego już nie ma, a ona będzie musiała kiedyś założyć rodzinę i żyć normalnie. A René jest przynajmniej dobrym artystą, w tej sferze szczerze go podziwia. Dom pełen muzyki może być bardzo przyjemny.

Raz tylko przygotowania do ślubu stanęły pod znakiem zapytania. Było to w czasie ich wizyty w domu madame Blanche. Skrytykowała wtedy jakieś zachowanie swego wychowanka, a on odpowiedział jej wybuchem takiej agresji, że obie kobiety oniemiały i nie śmiały na siebie spojrzeć. Ponieważ po jego wybuchu zapadła niezręczna cisza, a oczy Irminy aż pociemniały z dezaprobaty, René szybko się zreflektował, przeprosił przybraną matkę i starał się obrócić wszystko w żart. Wszyscy troje udawali, że się odprężyli, ale atmosfera spotkania i tak się nie poprawiła. Starsza pani była zmartwiona i głęboko dotknięta, Irmina zniesmaczona, a sam bohater ekscesu lekko przestraszony tym, co wyczytał z oczu swojej wybranki. Całej trójce zajęcie dało dużo do myślenia. Najmniej zaskoczona była seniorka. Nie pierwszy raz miała okazję zobaczyć ciemne strony swego pupila, ale teraz poczuła się winna, że swoją uwagą sprowokowała złoźnika, co mogło zniechęcić do niego Irminę. Bo tego, że wobec ukochanej nie pozwoli sobie na coś podobnego, była raczej pewna. Ona jest

piękna i młoda, nie to co ja - rozważała. - Starzy ludzie często mężczyźni irytują.

Tak więc na początku roku 1949, w Caen, gdzie na stałe po wojnie osiedliła się rodzina Irminy, odbył się jej ślub z René. Stojąc przed ołtarzem przyrzekała sobie w duchu, że postara się go pokochać i naprawdę była pełna dobrej woli.

Przez cztery miesiące po ślubie małżonkowie gnieździłi się w niewielkim pokoiku zajmowanym przedtem przez René w apartamencie madame Blanche. Spędzane razem noce przyniosły Irminie duże rozczarowanie. Nie z powodu niesprawności czy oziębłości męża. Co to, to nie. Tylko że on nie wytrzymał konkurencji z jej pierwszą miłością, a ściślej mówiąc, z tym, co ona wtedy czuła, a czego nie potrafiła wykrzesać z siebie teraz.

Dnie były znacznie lepsze. René spędzał je przy fortepianie. Został zakwalifikowany do Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie, a Irmina kończyła studia.

Tuż po egzaminach końcowych została wezwana do dziekanatu uczelni. Profesor z paryskiego Instytutu Medycznego, który wykładał też u nich, w Limoges, czekał tam na nią. Była zaskoczona. Co prawda egzamin u niego, z bakteriologii, zdała bardzo dobrze, postawił jej najwyższą ocenę, ale może zreflektował się, że trochę ją zawyżył. Uchodził wszak za surowego i nie szafował dobrymi stopniami.

Dlatego udając się do dziekanatu Irmina zabrała ze sobą indeks.

- Dzień dobry panie profesorze - powiedziała i usiadła na wskazanym jej miejscu naprzeciwko profesora, po czym wyjęła indeks i położyła go przed nim.

- Co pani robi? Przecież jest pani po egzaminie.

- Tak, ale myślałam...

- No dobrze. Przystąpmy do rzeczy. Powiedziano mi, że przepracowała pani kilka lat w laboratorium analitycznym. Kierowniczka chwaliła panią za solidność i mobilizację w każdej sytuacji. Paryski Szpital Laënnec potrzebuje takich ludzi. Otwarto przy nim wielkie laboratorium związane z bankiem krwi. Prowadzi się tam badania nad leczeniem słabo znanych chorób. Co by pani powiedziała na posadę tam u nas?

- Od kiedy?

- Od zaraz.

- Ależ ja mam przed sobą jeszcze prawie dwa lata specjalizacji.

- Może to pani robić w Paryżu.

- Tutaj zapracowałam sobie na jakąś opinię. Robić dyplom u

pedagogów, którzy mnie nie znają, nie będzie... nie byłoby łatwe.

- Poradzi sobie pani.

- Nie wiem, panie profesorze. Jestem oczywiście mile zaskoczona, nie powinnam grymasić i to nie są grymasy, ale... w dodatku niedawno... wysłałam za męża... on tu pracuje.

- Słyszałem. Za tego pianistę. Tak się składa, że proboszcz parafii École Militaire, który jest moim bratem, i Towarzystwo Muzyki Sakralnej przy kościele szukają organisty, który podjąłby się też pracy pedagogicznej. Świątynia urządza też koncerty muzyki poważnej dla turystów i ma nadzór nad jesiennym festiwałem muzyki sakralnej. Angażuje się do nich artystów z zewnątrz, ale muzyka wiodącego świątynia chce zatrudnić na stałe. Koncerty są reklamowane i przyciągają wielu krytyków. Ktoś, kto przyjmie tę posadę, ma zagwarantowane zainteresowanie prasy.

- Skąd pan wie, że mój mąż sprosta tym zadaniom, że go w ogóle zaakceptują?

- Skoro ma reprezentować Francję w Konkursie Chopinowskim, to już o nim głośno. Może pani opowiedzieć mężowi o naszej rozmowie. Zastanówcie się. Oczekuję odpowiedzi za dwa dni. A oto numer telefonu mojego brata. Ksiądz prałat będzie czekał na jakąś wieść od pani męża.

Po powrocie z tej rozmowy Irmina od razu pobiegła do siostry Matyldy, żeby jej o niej opowiedzieć i podziękować za rekomendację.

- Jaka tam rekomendacja? - zapytała siostra. - Rozpytywał o ciebie, to mu powiedziałam prawdę.

- I co ja powinnam w tej sytuacji zrobić? Boję się, że przenosząc się do Paryża, nie ukończę studiów.

- Ależ ukończysz! Jestem o to spokojna. Jeszcze przed dyplomem będziesz miała angaż w dobrym szpitalu, i to w Paryżu, a i René...

Właśnie! Co też powie o tym René? Irmina uświadomiła sobie nagle, że nie ma pojęcia, jak on na tę propozycję zareaguje. Czy w swojej dumie nie poczuje się urażony, że nie zwrócono się do niego bezpośrednio, tylko otrzymuje propozycję za pośrednictwem żony? Poza tym tutaj ma matkę, może też jest mocno przywiązany do miejsca, w którym pracuje.

- Biegnij do René i opowiedz mu wszystko - przerwała jej rozmyślania siostra Matylda. - Na pewno się ucieszy. To wielka szansa dla was obojga, chociaż będzie mi ciebie tutaj brakować...

- Jeszcze nie wiadomo, czy wyjedziemy. Może René nie zechce?

Po powrocie do domu zastała tam sytuację, która ją przygnębiła.

Jeszcze będąc na schodach usłyszała podniesione głosy. Płaczliwy Mariette Blanche i kipiący agresją, nazbyt głośny swego męża. Mój Boże - pomyślała - co tam się dzieje? Czemu on tak krzyczy? Zawahała się, czy nacisnąć klamkę. Stojąc tak pod drzwiami doznała nagle uczucia *déjà vu*. Już raz, kilka miesięcy temu słyszała ten ton w głosie męża. Wtedy powiedział, że żartuje. Kiepski był to dowcip, czuła niesmak na jego wspomnienie. Czyżby znowu wyglądał się w ten sposób? Co za makiaweliczne poczucie humoru i jakim jest dobrym aktorem...

- *Tais-toi, la vielle salope!* * - krzyczał René.

- *Je me demande, au nom de Dieu, pourquoi tu es si cruel?* * - zapytała.

- *Par ce que tu m'agasses!* * - ryczał jej elegancki mąż.

* Zamknij się, stara idiotko!

* Zadaję sobie pytanie, na miłość Boską, czemu jesteś tak okrutny?

* Bo się tobą brzydzę!

Nawet jeśli to żarty, czas położyć temu kres, bo staruszka może się przestraszyć - pomyślała Irmina i nacisnęła klamkę.

- Dosyć tego! - powiedziała. - Masz specyficzne poczucie humoru, słyhać cię w całym domu.

- Nie wtrącaj się - krzyknął na to René. - A niech was wszyscy diabli! - trzasnął drzwiami i schował się w ich pokoju.

Tego jeszcze nie było. To prawda, że w miarę zbliżania się terminu Konkursu Chopinowskiego jej mąż był coraz bardziej rozdrażniony. Rozumiała to - zjadała go trema. Ale żeby tak się awanturować? To już przesada. I na kogo on krzyczy? Na starą, bezbronną, schorowaną kobietę, która wzięła na siebie ciężar wychowania krnąbrnego osieroconego chłopca, dbała o jego wykształcenie i nie pozwoliła, żeby zmarnował talent. Teraz siedziała blada i wystraszona w fotelu, który ustawiała sobie w kącie salonu, żeby przysłuchiwać się grze swego pupila, i bała się ruszyć. Opierała o oparcie drżące dłonie, a po jej policzkach toczyły się łzy.

- Co się stało, *maman*? - zapytała Irmina podbiegając do niej.

- Ach, szkoda gadać... Czemu on jest taki nerwowy... tak się starałam. Nie zasługuję na to.

- Wiem, moja droga. Wiem. Podać krople?

- Krople? Serce trzeba by mu odmienić, żeby moje nie pękło...

Dobrze, że już jesteś, moje dziecko. Połóż się.

- Pomogę mamie.

Po ślubie Irmina zaczęła nazywać madame Blanche mamą, na wyraźną jej prośbę. Nie było jej to niemiłe, bo już matki nie miała, ale

macocha nigdy nie doczekała się od niej tego. Zresztą nie zabiegała o to - różnica wieku między nią a pasierbicą nie była znowu taka duża. Spośród jej rodzeństwa tylko najbardziej nie lubiana przez macochę Masza nazywała ją, jak na ironię, matką.

Mariette Blanche to co innego. Irmina była dla niej pełna podziwu. Ta stara panna z niebywałym poświęceniem wzięła na siebie wszelkie ciężary związane z wychowaniem i utrzymaniem cudzego dziecka, które w dodatku okazało się niewdzięczne. Wszystko, co dla niego robiła, co przez niego znosiła, płynęło z dobroci jej gołębiego serca. Poświęciła dla niego nawet własne szczęście; opowiedziała jej kiedyś o tym. Było to dawno temu. Nie przyjęła oświadczyn ukochanego, bo on dowiedziawszy się, że René nie jest jej rodzonym synkiem, zaczął traktować go lekceważąco. Bała się, że nie będzie dla chłopca dobry.

Odprowadziła starszą panią do jej pokoju i nastawiona bojowo poszła do siebie. René leżał na łóżku z rękami pod głową i patrzył w sufit.

- Chyba przesadziłeś, *maman* nie zasługuje na takie traktowanie! Przepróż ją.

- Za nic na świecie! A na co ja zasługuję, nie pomyślałaś? - odciął się i odwrócił do ściany, dając jej do zrozumienia, że nie zamierza dalej o tym rozmawiać.

Irmina stała przez chwilę w milczeniu, potem wykręciła się na pięcie i poszła do kuchni, żeby jak co wieczór przygotować posiłek. Zastanawiała się przy tym, na co on zasługuje i doszła do wniosku, że na pewno nie na to, żeby mu opowiedzieć o rozmowie z profesorem. Nie wyszedł jak zwykle na jej spotkanie, nie przywitał się z nią i nawet nie zamierzał wytłumaczyć swego zachowania. Nie miała już wątpliwości, że jego poprzednia, przedmałżeńska scysja z teściową, której była świadkiem, a którą obrócił w żart, była na serio.

Jej mąż miał naturę gwałtownika, prędzej czy później wobec niej też się tak zachowa. Teraz jednak o tym nie myślała. Szkoda jej było sędziwej damy. Mariette nie usiadła tego wieczoru z nimi przy stole, poprosiła, żeby podać jej posiłek do pokoju.

Przy kolacji, oprócz zdawkowych zwrotów: „proszę”, „dziękuję” i tym podobnych, nie rozmawiali ze sobą. René zjadł i od razu zasiadł do pianina. Kiedy spod jego palców rozbrzmiały tony chopinowskiego mazurka, Irmina zastanowiła się, czy to ten sam człowiek, który jeszcze niedawno kipiał taką złością. Może nie jest do końca zły? - usprawiedliwiała go. - Pewnie się teraz wstydzi. Bo jakżeby inaczej potrafił wczuć się w tę muzykę, tak wysublimowaną i szlachetną.

Wedle zasad panujących w domu jej mąż powinien grać jeszcze

tylko pół godziny, bo i tak tolerancyjni sąsiedzi prosili o ciszę od dwudziestej drugiej. Jakby nie lubili muzyki, musieli przecież poukładać swoje dzieci do snu i sami zaznać spokoju. A ściany we francuskich domach nigdy nie były zbyt grube.

Irmina pozmywała naczynia i zadrżała do Mariette, żeby podać jej lekarstwa i zobaczyć, czy już ochłonęła po zająsci.

- Siadaj moje dziecko - powiedziała starsza pani do synowej. - Mój Boże, jak ja wyglądam!

- Dobrze mama wygląda, a jak samopoczucie?

- A tam!... Jak jest, tak jest, lepiej już nie będzie. Wiesz, co mi przyszło do głowy? Nie chciałabym dożyć takiej chwili, kiedy nie będą mogła zrobić sobie makijażu.

- Naprawdę???

Mariette skończyła właśnie siedemdziesiąt pięć lat. Jak na swój wiek wyglądała nieźle. Trudno powiedzieć, czy tak się trzymała, czy raczej była dobrze „oprawiona”. Zawsze, nawet w szpitalu budziła się wcześniej od wszystkich, żeby nikt nie zobaczył jej takiej, jaką stworzyła ją natura. Zawsze, w każdej sytuacji miała róż na policzkach, szminek na ustach i pociągnięte tuszem rzęsy. W chwilach, kiedy była cierpiąca, wyglądało to wręcz upiornie i budziło sensację wśród szpitalnego personelu. „Widać nie jest z nią tak źle, skoro ma jeszcze siłę się upiększać” - mawiali lekarze.

Tutaj, w swoim domu, także nie stosowała wobec siebie taryfy ulgowej. Przed kilkoma dniami zdumiała Irminę pewnym poleceniem:

- Masz tu pieniądze i kup mi proszę w „Printemps” beżowe jedwabne figi z ażurowymi wstawkami.

Widząc osłupienie na twarzy synowej pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- W czwartek mam wizytę u doktora Colêna. Muszę się przy zwoicie prezentować, kiedy każe mi się rozebrać.

Doktor Colên miał trzydzieści, no, może trzydzieści dwa lata, a Mariette okazałe ciało z wałkami tłuszczu, któremu jedwabne figi nie dodadzą uroku. A ponadto, który to lekarz badając pacjentkę zwraca uwagę na to, jak się ona prezentuje?

Teraz, po strasznej awanturze ze swoim niewdzięcznym przybranym synem martwiła się o swoją starość bez makijażu... Jakże zaskakujące mogą być dziwactwa ludzkiej natury.

- Nie ma co martwić się na zapas - powiedziała trzeźwo Irmina. Świetnie mama wygląda i tak będzie jeszcze długo. A samopoczucie też chyba lepsze. Mam nowinę - zaproponowano mi pracę w Szpitalu Laënnec w Paryżu. Sam profesor Prévost mi zaproponował. Nie

wiem, co robić?

- To wspaniale! René też się tam gdzieś zaczepi. Jest taki zdolny. Jak jeszcze wygra ten konkurs w Polsce...

- Konkurs, mamu, to konkurs. Nawet od najlepszego może być ktoś jeszcze lepszy. Można się starać, ale nie można mieć pewności.

- Jak ty trzeźwo myślisz, nie wierzysz w niego?

- Ależ wierzę, ale konkurs to hazard. Póki co dla niego też jest propozycja z Paryża - stanowisko organisty w kaplicy École Militaire i stanowisko pedagoga w Towarzystwie Muzyki Sakralnej.

- Naprawdę? Ależ to kariera! Powiedz mu, może się wreszcie rozchmurzy.

- Nie zasłużył sobie na to. Niech cię najpierw przeprosi.

- To ja mu powiem!

Nie zważając na protesty starsza pani zerwała się z łóżka jak fryga, narzuciła szlafrok i nagle posmutniała.

- Ale będziecie mnie odwiedzać? Będę za wami tęsknić.

- Nie będziesz, bo jeśli wyjedziemy, nie zostawimy cię tutaj samej.

- Starych drzew się nie przesadza, moje dziecko - powiedziała i szybkim krokiem udała się do salonu.

- Pocałuj mnie! - powiedziała pochylając się nad pianistą i nadstawiając policzek. Ponieważ nie przerwał grania, dodała szybko: - Jeśli tego nie zrobisz, nie zdradzę ci wspaniałej nowiny.

To poskutkowało. René przestał grać i posłał spłoszone spojrzenie żonie. Ścisłej mówiąc, utkwił wzrok w jej brzuchu. Ta odgadła jego myśli i powiedziała ze śmiechem:

- Nie panikuj, nie jestem w ciąży. Dowiesz się, o co chodzi, ale najpierw pocałuj mamę.

- Niech wam będzie. Przepraszam - wyszeptał i musnął Mariette w policzek, a raczej cmoknął powietrze dzielące jego usta od jej policzka.

Mariette i tak była rozpromieniona.

- Nie uwierzysz, co Irminie zaproponowano.

- Mamu, pozwól, że ja powiem. Profesor Prévost zaproponował mi posadę w Szpitalu Laënnec w Paryżu.

Kiedy to powiedziała, przyszło jej do głowy, że mogłaby pojechać tam sama. Mało tego, ogarnęła ją pokusa, żeby to zrobić. Ta myśl była tak nęcąca, że aż się jej przestraszyła.

- I to ma być ta wspaniała wiadomość? Od kiedy...

- Nawet od zaraz.

- Teraz to ja mam przygotowania do konkursu. A potem zoba-

czymy.

- Ależ to nie wszystko! - wykrzyknęła Mariette, psując w ten sposób taktykę Irminy. - Powiedz mu, no powiedz mu wszystko!

Nie było wyjścia. Irmina z rezygnacją powiedziała wszystko, chociaż uważała, że wcale nie pora na to.

- Brat profesora, ksiądz prałat Raymond Prévost, chce z tobą po rozmawiać o stanowisku organisty w kaplicy École Militaire i o czymś tam jeszcze... czeka na telefon od ciebie.

Po tych słowach przekazała mu wizytówkę. René przeczytawszy ją rozczerwiał się na dobre.

- I dopiero teraz mi to mówisz? Zadzwoń tam od razu. Czy ty wiesz, co to znaczy? Organista w École Militaire!

- Wszystko jedno, co to znaczy, nie wypada dzwonić tam dzisiaj. Jest za późno.

- Nie do wiary - entuzjasmował się René. - Wyobrażasz to sobie, aż tak mnie chcą, że zaproponowali pracę i tobie. Czy to nie wspaniale?

- Albo odwrotnie - powiedziała Irmina.

- No wiesz, nie żartuj - upomniał ją świeżo upieczony mąż z taką pogardą, że zaniechała dalszej dyskusji i rozgrzeszyła się z chwili pokusy, żeby wyjechać tam bez niego.

On także zresztą zamilkł, bo zobaczył w jej oczach tę samą ironię, z którą patrzyła na niego w początkach ich znajomości. Bezpieczniej było fetować swój sukces w myślach.

Nazajutrz w rozmowie telefonicznej ustalił z prałatem, że posadę obejmie w grudniu, już po powrocie z Konkursu Chopinowskiego. Wcześniejsza zmiana pracy mogłaby zakłócić jego przygotowania.

Natomiast ona wyjechała do Paryża jeszcze przed pierwszym lipca, zaraz po zaliczeniu sesji egzaminacyjnej na trzecim roku studiów.

Piętnastego września 1949 roku rozpoczął się w Warszawie pierwszy po wojnie, IV Międzynarodowy Konkurs Chopinowski. Na otwarciu obecny był sam prezydent Polski Bolesław Bierut, który stał na czele Komitetu Honorowego Konkursu. Jego przemówienie obfitowało w aluzje i akcenty polityczne, które wprawiały w zdumienie nieprzywykłych do takich praktyk uczestników zza tak zwanej żelaznej kurtyny, czyli spoza krajów komunistycznych.

Pewność siebie René zaczęła blednąć, kiedy na przesłuchaniach w teatrze „Roma” oglądał występy licznych konkurentów. Konkurs zgromadził bowiem aż pięćdziesięciu czterech pianistów z czternastu krajów świata.

Dotarł jednak aż do trzeciego etapu, a nawet zdobył wyróżnienie za wykonanie mazurków. Mimo wszystko uważał, że nie wraca do domu z tarczą, tylko na tarczy, przyłoczony sukcesem Polaków i Polek, którzy zajęli wszystkie czołowe miejsca - od pierwszego do szóstego. Tylko Rosjanka Bella Dawidowicz dzieliła z Haliną Czerny-Stefańską *ex aequo* pierwsze miejsce. Słuchając ich gry w czasie konkursu René był pełen podziwu. Po ogłoszeniu wyników zmienił zdanie. Opowiadał we Francji, że Polska to dziki kraj, a o nagrodach w Konkursie decydują względy polityczne. Nie potrafił pogodzić się z porażką, za jaką uznał swój udział czy raczej decyzję jury. Wracając do Francji z uszami po sobie, bał się trochę o swoją posadę w sławnym miejscu Paryża. Odetchnął, kiedy przekonał się, że utrata jej nie wchodzi w rachubę.

Za namową profesora Prevosta, Irmina zamiast robić specjalizację na medycynie, przeniosła się na biologię. W Szpitalu Laënnec obserwując jej pracę w laboratorium uznano, że ma w tej dziedzinie szósty zmysł, jest tak precyzyjna i nieomylna, że graniczy to z geniuszem. Wkrótce też, bo zaledwie po dwóch latach została kierowniczką nie tylko laboratorium, ale całego banku krwi.

Przez długi czas Bergeronnette'owie mieszkali w małym mieszkanku na szóstym piętrze niedaleko stacji metra St. Suplice. Byli małżeństwem jakich wiele. Bardziej przykładowym niżli szczęśliwym. Bardzo szybko wrosli w swoje środowiska i znaleźli grono przyjaciół. Czas po pracy spędzali jednak częściej w środowisku muzycznym, idąc za preferencjami René. Irminie to nie przeszkadzało, lubiła muzykę, była poza tym bardziej tolerancyjna od męża, który nic prócz tego, co nie leżało w sferze jego zainteresowań, nie tolerował. Nie musiał już starać się o Irminę, nie widział takiej potrzeby, była jego żoną. Dlatego mógł wreszcie być do końca sobą. Szybko przekonał się, że tego, na co liczył, a więc bezkrytycznego uwielbienia dla siebie ze strony żony nie dostąpi, dlatego uznał, że nie warto o to zabiegać.

Był nieprawdopodobnym pedantem zarówno w dbaniu o swoje stroje, jak i wszelkiego rodzaju dogadzanie sobie. Aż trudno uwierzyć do jakiego stopnia kochająca kobieta, jaką była jego przybrana matka, może wpłynąć na wypaczenie charakteru mężczyzny o egoistycznych zapędach. Ceregiele odprawiane przez Mariette w początkach ich małżeństwa, na przykład przy parzeniu porannej kawy dla René, wprawiały Irminę w zdziwienie. Obserwując, jak teściowa specjalny młynek napelnia specjalnym gatunkiem kawy, specjalnie długo gotuje wodę i w specjalny sposób zalewa specjalną ilość kawy w specjalnym imbryczku ze specjalną pokrywką, zadecydowała, że nie będzie w

tym uczestniczyć i narażać się na ustawiczne złośliwe uwagi, jakich musiała wysłuchiwać Mariette.

- Kawę będziesz sobie parzył sam - oświadczyła mężowi. - Nikt nie zrobi tego lepiej od ciebie, a poza tym ja nie mam na to czasu, bo wcześniej wychodzę do pracy.

Nie udało się jednak zapanować nad jego mocno przesadzonym gromadzeniem rzeczy osobistego użytku.

O ile Irminie wystarczyły na jej ubrania dwie szuflady i jedna piąta szafy, o tyle garnitury, płaszcze i inne części garderoby René panoszyły się w całym domu. Garnitury wszelkich znanych marek wisiały w pokrowcach. Stosy koszul, wykrochmalonych i starannie uprasowanych, piętrzyły się na półkach. W szafce na buty w przedpokoju stały na wszystkich półkach tylko jego buty, wszystkie zaopatrzone w prawidła. Podobnie było z kosmetykami. Ona trzymała swoje w małej kosmetyczce, jego kremy, wody kolońskie, środki dezynfekujące i specjalne pasty do zębów zajmowały wszystkie szafki w łazience. Kiedy pokazała to koleżance ze szpitala, ta powiedziała:

- Czego ty chcesz? Coś za coś, nie każda z nas może być żoną artysty.

Irmina wiedziała swoje. Jej ojciec też był artystą, ale przy tym jakim wspaniałym człowiekiem. Czuły, delikatny, nienachalny. No cóż - mówiła sobie - kocha się tylko raz. A reszta jest życiem, które toczy się tak, jak los mu na to pozwoli. Ja przynajmniej, na krótko, bo na krótko, ale tej miłości zaznałam. Nie każdy dostąpił tego szczęścia.

René był obdarzony niezwykłym darem zawłaszczania terenu, uwagi, a nawet świadomości swego otoczenia. Kiedy wchodził do domu, zdawał się być w nim wszechobecny. Penetrował wzrokiem wszystko i wszystkich. Nie znaczy to, że decydował na przykład o wyposażeniu domu. Na to nie miał czasu ani chęci. Ale wszystko, co w nim się znalazło, natychmiast zapisywał do stanu swego posiadania. Zupełnie jak pies, który sikaniem znaczy teren, czuł się właścicielem tego, co znalazło się pod jego kuratelą.

René królował w domu swej przybranej matki, na przykład w jadalni. Rozmowy przy stole wyglądały tam w ten sposób, że on opowiadał o sobie, swoich sukcesach i zamierzeniach. Kazał słuchać i patrzeć, gdzie on patrzy. Jeśli grało radio, komentował na bieżąco jego emisje, zagłuszając je. Streszczał przeczytane przez siebie w gazetach artykuły, wiadomości polityczne i tym podobne. Jadalnia była jego sceną, trybuną z potakującą, ale przymuszoną do aplauzu widownią. Mariette sprawdzała się w tej roli doskonale.

Gorzej było z Irminą. Tego, że go nie uwielbia, nie brał pod uwagę.

Wystarczył mu dokument stwierdzający, że jest jego żoną, a zatem winna go kochać i poważać. Lecz z nią było coś nie tak. Niby nie demonstrowała sprzeciwu, ale te ironiczne błyski w jej oczach sprawiały, że często czuł się nieswojo, a nie lubił tego. Dlatego uznał, że najlepszą metodą na ujarzmienie tej niepokornej istoty będzie zniewolenie jej seksem. Niepodważalne prawo małżeńskie do wspólnego łoża na przestrzeni wieków ocaliło przed rozpadem tysiące małżeństw, których racje przetrwania zdawały się być bardzo wiotkie. Jakże bowiem demonstrować swój inny punkt widzenia rzeczy po nocnych igraszkach, w których z większym lub mniejszym entuzjazmem się uczestniczyło? Jak się potem buntować, gdy się dało na nie przyzwolenie? Głupio i niezręcznie.

C'est la vie! - powiedziała sobie Irmina. Wszystko może byłoby inaczej, gdybym wcześniej nie poznała Jeana. Zawyżył poprzeczkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Na ślub siostry Irminy, Maszy, Bergeronnette'owie pojechali ze swoją dwuipółletnią córką, Sophie.

- Ona jest istną kopią ciebie w tym wieku - powiedział ojciec. Ta sama różowa buzia, zadziorny nosek i wspaniałe oczy. Oczy waszej matki. Ale ty byłaś łagodniejsza. Sophie to mała despotka.

- Po swoim ojcu też coś musi dziedziczyć.

- Jej ojciec jest wielkim artystą - odparł z nabożeństwem Aleksiej.

- Oczywiście, tato, ale... no tak, jest artystą, to najważniejsze.

Aleksiej popatrzył na nią pytająco.

- Czy coś jest nie tak, córeczko, nie jesteś szczęśliwa?

W jego głosie był taki niepokój i troska, że postanowiła go uspokoić.

- Wszystko w porządku.

- Tylko tyle?

- Tylko? Aż tyle, tato... Za to Jean Paul wydaje mi się bardzo miły - zmieniła nagle temat - chyba Masza będzie z nim szczęśliwa.

- O, tak! Z pewnością.

- To niezwykle przyzwoity człowiek. Oni bardzo się kochają i szanują. Masza wspaniale się rozwinęła. Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie z niej taka świetna prawniczka.

- Nikt się tego nie spodziewał.

- Czasami żałuję, że nie było mnie przy tym, jak dorastała. Powiedziała mi, że w pewnym momencie swego życia, kiedy opuściłam dom, poczuła się przeze mnie zdradzona. Przykro mi było tego słuchać.

- Taka jest kolej rzeczy. Dzieci dorastają i jak ptaki wylatują z

gniazda. Świat przyciąga je jak magnes. Nie pozwala im oglądać się za siebie. Dla nas, rodziców, to jest dopiero przykrość!... Masza to już ostatnie z was. Będziemy tu teraz tylko we dwoje: Anna i ja.

- Wciąż tworzycie wspólny związek. Cieszę się tato, że właśnie ją spotkałeś.

- Miło mi to słyszeć, bo kiedyś nie chciałaś jej zrozumieć.

- Byłam dzieckiem, a ona zajęła miejsce mamy. Teraz widzę to inaczej. Bardziej rozumiem: była młoda, ale już po wielu rozczarowaniach i gdy nagle spotkała miłość swego życia, musiała ją przyjąć, z całym bagażem. Trzeba przyznać, że nie brakowało jej odwagi. Przecież ona, biedaczka, w wieku zaledwie dwudziestu pięciu lat miała nas, razem ze swoimi dziećmi, sześcioro. To było wielkie wyzwanie i nie zawahała się stawić mu czoła. Ale wiesz, co ci powiem, tato? Teraz ją rozumiem. Za prawdziwą miłość warto zapłacić każdą cenę.

- O tak! A ty, córeczko, też ją przecież spotkałaś.

- Miałam to szczęście - powiedziała.

Uśmiechnęła się przy tym smutno, bo zamajaczyła jej przed oczami przywołana pamięcią twarz Jeana.

- A zatem obie moje córki dobrze wybrały.

„Wybrały?” - zastanowiła się Irmina. - Tata mówi tak, jakby to było możliwe. Może kiedyś w przyszłości, za ileś tam lat świat zmieni się na tyle, że rzeczywiście będziemy mogli wybierać. Póki co pod presją wszechmocnie panujących zwyczajów kobieta „wybiera” przeważnie tego, kto ją wybrał.

Otrząsnęła się z zadumy i odezwała do ojca, który wciąż siedział obok niej:

- Czy to nie dziwne, tato, że obie twoje żony były Polkami z pochodzenia?

- Dlaczego dziwne? Człowiek to człowiek, niezależnie od tego, skąd pochodzi? Często tak jest, że sąsiadujące ze sobą narody są w ciągłym konflikcie. Ale te konflikty powodują władze i władcy. Zwykli ludzie są wszędzie tacy sami.

- Moja córeczka ma na imię Sophie. Nazwałam ją tym imieniem przez pamięć dla babci Zosi. Matka macochy potrafiła być dla nas prawdziwą babcią.

- Wspaniała kobieta. Niech spoczywa w spokoju.

- To dzięki niej Masza nie czuła się do końca opuszczona po moim odejściu z domu, bo przyznasz, że długo czuła się w rodzinie, jak brzydkie kaczątko.

- Nie miała powodów. Kochałem zawsze wszystkie moje dzieci.

- Temu nie przeczę. Ale takie małe dziecko, jakim była po śmierci mamy, potrzebuje matki, a Anna, musisz to przyznać, nie chciała nią być dla niej.

- Miała taką słabość, co zrobić.

- Na szczęście była babcia Zosia.

- Wiesz, co jest najlepsze? To, że wszystkie moje dzieci wyrosły na ludzi, jak to się mówi. Wszystkie, co do jednego. Mam powody do dumy.

Ojciec miał rację. Starszy syn, Lew Aleksiejewicz, robił karierę w wojsku, lada chwila spodziewał się szlifów generalskich. Wiera, starsza córka Anny, świetnie sprawdzała się jako jego żona. Trójka ich dzieci rozwijała się obiecująco. Irmina - wiadomo: wykształcona, mająca mocną pozycję zawodową i cenionego artystę za męża. Wowa - podróżnik, autor książek o krajach egzotycznych. No i Masza - dobrze zapowiadająca się prawniczka, mająca właśnie poślubić swego szefa i dawnego wykładowcę na studiach, Jeana Paula.

* * *

Do swojego biura zaangażował ją, gdy była jeszcze na ostatnim roku studiów. Był wtedy zaręczony z córką mera Ivonne, znaną pięknnością. Maszę obserwował już na uczelni. Zadziwiła go niezwykle logiką myślenia. Kiedy znalazła się w jego biurze, czuł potrzebę, żeby ustawicznie ją sprawdzać, powierzając jej coraz trudniejsze zadania. A potem podświadomie zaczął porównywać ją ze swoją atrakcyjną narzeczoną. Pomimo że nie dorównywała jej urodą ani majątkiem, z każdego innego porównania wychodziła zwycięsko. Odkładał kilka razy ślub z Ivonne, tłumacząc się potrzebą ukończenia ważnej pracy, aż przyciśnięty do muru uświadomił sobie, że nie tylko mu do niego nieśpieszno, ale w ogóle go nie chce. Stało się to dla niego całkowicie jasne, gdy pewnego razu narzeczoną odwiedziła go w biurze. Siedzieli wtedy z Maszą przy herbacie, świętując zwycięstwo w jakiejś sprawie.

- Przyszłam cię wyzwolić, kochanie - powiedziała Ivonne.

- Wyzwolić? Z czego? Nie jestem w żaden sposób zniewolony.

- Tak ci się tylko wydaje. Przypuszczam, że praca bardziej cię pociąga niż spotkanie ze mną.

Jean Paul zaniemówił. Był zdziwiony, że dotąd nie przyszło mu to do głowy, bo w istocie tak właśnie było. Ta myśl speszzyła go, podobnie jak uczucie skrępowania, że swoje dąsy Ivonne odprawia w obecności Maszy, którą w dodatku traktuje jak powietrze. Poczul, że

sprawia mu to przykrość i zaczął zastanawiać się, jak swoją podwładną uchronić przed ekspansywnym demonstrowaniem uczuć przez jego narzeczoną.

- To ja już pójdę, do jutra Jean Paul - powiedziała Masza.

- Ależ zostań jeszcze. Nie ma pośpiechu.

Masza jednak pożegnała się i zostawiła ich samych. Ta Ivonne irytowała ją jak mało kto. Nie wiedziała właściwie, dlaczego. Po prostu miała wrażenie, że zawłaszcza jej szefa.

Zawłaszcza? - zastanowiła się. - Czy mam prawo do takich sądów? Przecież Jean Paul jako naręczony Ivonne sam przypieczętował to prawo. Mój Boże! - pomyślała, nieco przerażona. - Chyba nie jestem o nią zazdrosna? Skądże znowu! To nonsens. - Lecz zamiast zasnąć po męczącym dniu, przeplakała całą noc.

Nazajutrz w pracy czuła się niezręcznie. Od momentu, w którym uświadomiła sobie, że Jean Paul nie jest jej obojętny, wszystko się zmieniło. Bała się, że on to odgadnie, że może nieopatrznie zdradzić się ze swoimi uczuciami, a tego za nic w świecie by nie chciała. Niechby się wreszcie pobrali! Skoro i tak ma to nastąpić, niech już mam to z głowy. A co z głowy, to z serca - pomyślała praktycznie i wzięła się do pracy.

- Przepraszam za wczoraj - powiedział do niej Jean Paul.

- Za co?

- Za to, że nie dokończyliśmy herbaty, przez Ivonne. Nie myśl o niej źle. Wiesz, ona wtargnęła tu uważając, że ma do tego prawo...

- Ależ nie myślę o niej źle. Jest śliczna i wielka z niej szczęściara.

- Szczęściara? Dlaczego?

- Dlatego, że...

W tym miejscu Masza zamilkła, bo co miała powiedzieć? Szczęściara, ponieważ ma ciebie? Spuściła oczy i poczuła, że się czerwieni.

- Czarująca! - powiedział Jean Paul, patrząc na nią.

- Właśnie! - zreflektowała się Masza. - Właśnie to chciałam powiedzieć.

- Nie ona, a ty jesteś czarująca z tym rumieńcem...

Masza podniosła oczy i zaróżowiła się jeszcze mocniej. Jej szef patrzył na nią z zachwytem.

- Uświadomiłem sobie, że Ivonne i ja nie mamy już szansy na wspólne życie. Wczoraj zerwaliśmy zaręczyny. Kiedy zobaczyłem was obie razem, zrozumiałem nagle, kto jest moim przeznaczeniem!

Masza nie wierzyła własnym uszom. Nie śmiała się ruszyć ani nawet mrugnąć okiem, żeby nie spłoszyć tego, co wydawało się jej snem. Długo musiał ją przekonywać, że sobie z niej nie żartuje.

Zresztą doskonale to rozumiała, ale chciała być przekonywana.

A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie upłynęło pół roku i oto właśnie cała rodzina zjechała się na ich ślub.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

René siedział za kierownicą, a Irmina obok. Sophie i Patryk szaleli na tylnych siedzeniach. Jak co roku jechali na południe, do Antibes. Żar lał się z nieba, na szosie był tłok, a oni mieli jeszcze ponad trzysta kilometrów do pokonania. Zazwyczaj nocowali po drodze w Carcassonne u zaprzyjaźnionego z nimi malarza, ale tym razem René postanowił całą trasę pokonać jednego dnia.

- Karkołomne przedsięwzięcie - mówiła Irmina. Nie wiem, czemu się przy tym upierasz. Z powodzeniem moglibyśmy zatrzymać się u Alaina Tréchera.

- Nie rozmawiam z nim, wiesz dobrze.

- Ach, to twoje obrażanie się. Tyle lat przyjaźni i nagle z powodu jednego niezręcznego słowa ty wszystko przekreślasz!

René rzeczywiście był niezwykle drażliwy. Przywykły do komplementów na temat swego grania, z czasem zaczął wymagać od ludzi bezwzględnej akceptacji swojej osoby, wszystkiego, co robi i mówi. Nie znosił i nie dopuszczał krytyki. Kto się na to odważył, był przez niego przekreślony raz na zawsze.

* * *

Z Trécherem poszło o głupstwo. Przyjechał do Paryża zimą ze swoim psem. Z jakiegoś powodu nie mógł go zostawić w domu. Pies, młody golden retriever, piękny i łagodny, zachwyił dzieci Bergeronnette'ów, chociaż najwyraźniej irytował ich ojca. Nie dlatego, że zachowywał się niegrzecznie. Był bardzo dobrze ułożony. Pozwalał się targać za uszy, głaskać bez końca, siadał i kładł się tylko tam, gdzie mu pozwalano, mimo to René patrzył na niego z rozdrażnie-

niem. Kiedy psu zdarzyło się przechodząc obok niego dotknąć go, wzdrygał się, cofał i ścierał z siebie niewidoczne ślady zetknięcia się z nim zwierzęcia. Demonstrował swoją niechęć do niego.

- Dlaczego my właściwie nie mamy psa? - spytała wtedy Sophie.
- Właśnie! Kupmy pieska - poparł ją Patryk.
- Wykluczone! Nie będzie psa w moim domu - zaproponował ojciec.

- *Tiens, tiens!** - wtrącił się Trécher. A ja myślałem, że ten dom należy też do Irminy i dzieci. Wiesz, co ci powiem, stary? Ty rzeczywiście nie powinienes mieć psa. Bo takie stworzenie potrzebuje miłości i zrozumienia, a ty jesteś zdolny obdarzać nimi tylko i wyłącznie siebie.

* Popatrz, popatrz!

- Jak śmiesz - krzyknął René - robić mi tego rodzaju uwagi przy dzieciach!

Trzasnął drzwiami i wyszedł z domu. Pojawił się w nim dopiero po odjeździe przyjaciela.

Kiedy Irmina wracała myślami do tego zdarzenia, nie mogła nie przyznać racji Alainowi. To, że niepotrzebnie powiedział to przy dzieciach, nie zmienia faktu, że miał rację. Na tym także polega przyjaźń, że mówi się prawdę w oczy.

Jej mąż z Alainem spędzili obok siebie pół dzieciństwa, przyjaźnili się w czasie studiów, chociaż byli słuchaczami dwóch różnych uczelni artystycznych, i przez całe dotychczasowe dorosłe życie, a René przeciął to po tym jednym szczerym odezwaniu się malarza. Ten zresztą starał się nie przyjmować tego do wiadomości, traktując takie zachowanie się przyjaciela jak złość obrażonego dziecka. On i Irmina nadal ze sobą korespondowali i spiskowali, jak zorganizować spotkanie pojednawcze.

Życie toczyło się teraz tak szybko, że nieraz trudno było połączyć wszystkie jego wątki. W ich małżeństwie nic się nie zmieniło ani na lepsze, ani na gorsze, ale odkąd przyszło na świat pierwsze, a potem drugie dziecko, czuła się szczęśliwa. Może dlatego, że wraz z dziećmi, paradoksalnie, przybywało jej sił i motywacji do działania.

Studia, kolejne, coraz bardziej prestiżowe stanowiska w pracy, kolejne zmiany mieszkań, nianiek - to wszystko nadchodziło, osaczało ją, ale dawało się opanować. Żyli w stadle, a jednak kiedy spoglądała wstecz, była z tym wszystkim zawsze sama. On miał swoją muzykę, samochód, swoje markowe garnitury i niepodważalną pozycję pana domu. Reszta była na jej głowie. Począwszy od codziennych zakupów, a skończywszy nad wybraniem mebli czy szkoły dla dzieci.

Jego udział w tym był taki, że najpierw w głośnej awanturze wyrażał sprzeciw, a potem, jak to on, zapisywał wszystko na swoje konto i czuł się tego panem i władcą.

* * *

Po osiemnastu godzinach jazdy zmęczony do ostatnich granic René dotarł na miejsce, a Irmina prawie do rana zagospodarowywała wynajęte przez nich mieszkanie.

Tym razem René miał spędzić z rodziną w Antibes tylko kilka dni sierpnia, bo na resztę tego miesiąca miał zaplanowany cykl koncertów na południu Francji. Irmina była nawet z tego zadowolona. Ona i dzieci trochę odпочzną od twardej dyscypliny, jaką jej mąż im narzucał. Na wakacjach spał bowiem do dziesiątej, potem odprawiał swoje ceregiele z długim parzeniem kawy, następnie poświęcał się toalecie, a oni wciąż na niego czekali. Zdarzało się, że kiedy wreszcie był gotowy, nie opłacało się wychodzić na plażę, bo dzieciom trzeba było podać obiad. Dzieci, jak ptaszęta, budziły się skoro świt i czekały niecierpliwie na to, co ich interesowało najbardziej. - Kiedy wreszcie pójdziemy na plażę? - pytały wielokrotnie, nie otrzymując racjonalnej odpowiedzi.

Toteż gdy po kilku dniach rankiem pożegnał się z nimi i odjechał, natychmiast zaczęły szykować ekwipunek na plażę. Już mieli wychodzić, gdy usłyszeli przed drzwiami odgłos nadjeżdżającego samochodu, a za chwilę ojciec rodziny stanął w drzwiach. Roześmiane buzie dzieci natychmiast posmutniały.

- Co się stało? - spytała Irmina, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

- Zostawiłem nuty.

Dzieci spojrzały się na siebie porozumiewawczo.

- Widzę, że nie jestem tu mile widziany.

- O co ci chodzi?

- O wasze miny.

- Ach, nie przejmuj się, dzieci przestraszyły się, że znowu zbyt późno pójda na plażę.

- Ach, więc to tak? Jak nie ma kota, to myszy tańczą?

- Nie zastanowiłeś się, po co ludzie jeżdżą nad morze? Jak to wytłumaczysz dzieciom?

- A róbcie sobie, co chcecie! Miła rodzinka, szkoda gadać.

Zabrał nuty i odjechał. „Miła rodzinka” natomiast obładowana zabawkami i plażowym sprzętem, powędrowała przez skały i wydmy

nad lazurową wodę.

Irmina czułaby się niesprawiedliwa twierdząc, że dzieci nie kochały ojca. Co to, to nie. Przywykły do tego, że nie można machać pod stołem nogami, żeby nie dotknąć nieskazitelnych spodni taty; że trzeba siedzieć cicho i słuchać podczas posiłku jego nudnej perory o politykach i innych „imbecylach”, których krytykował; że należy bawić się po cichu, kiedy gra, a więc zawsze. Nie wolno było mu przeszkadzać. Trochę więcej swobody miały dzieci, kiedy mama wróciła z pracy.

Później zaczęły się ich lekcje muzyki. Przychodził nauczyciel, ale tata również był na nich obecny. Poza tym nadzorował ich przygotowanie się do lekcji.

Dla Sophie była to istna gehenna. Może nawet lubiłaby sobie pograć, gdyby nie wieczna krytyka i uwagi taty. Na każdej lekcji kładła obok nut stertę chusteczek i wstawiała od pianina zapuchnięta od płaczu. A że miała, podobnie jak jej ojciec, wybuchowy charakter, ich wspólne zajęcia były nieustającą awanturą o każde dotknięcie klawisza i każdą źle przeczytaną nutę.

- Po co ty ją męczysz? - wzięła córkę w obronę Irmina. - Może nie chce być pianistką, nie wszyscy muszą.

- Nie pozwolę swoich dzieci wychować na barbarzyńców - odpowiedział z wyższością jej mąż i dalej musztrował swoją niesforną córkę.

Inaczej było z Patrykiem. W odróżnieniu od Sophie, bardzo się starał, zresztą on w ogóle był posłuszny i uległy, a poza tym kochał muzykę. W obecności taty jednak mylił się o wiele częściej niż wtedy, kiedy grywał dla przyjemności, gdy ojca nie było w domu. Ledwie nauczył się obsługiwać magnetofon, stał się głównym dokumentalistą artystycznych dokonań ojca.

Podróże artystyczne René na południe Francji od jakiegoś czasu zaczęły się powtarzać co roku. Ponieważ zakłócało to jego pracę w Paryżu, zaczął poważnie liczyć się z rezygnacją przynajmniej z posady organisty w kaplicy École Militaire. Żona jednak uważała, że popełniłby błąd wyrzekając się pracy, która przynosi mu stały, pewny dochód. Utwierdziła się w tym przekonaniu po pewnym spotkaniu.

Zatelefonowała do niej kobieta, która przedstawiła się jako przyjaciółka jej męża i poprosiła o spotkanie.

- Skoro jest pani przyjaciółką mego męża, zapraszam panią do nas. Mąż się pewnie ucieszy. Zjemy razem kolację i porozmawiamy.

- Och nie! Tylko nie to! Pani mąż nie ma pojęcia o tym, że przyjechałam do Paryża, a tym bardziej że do pani dzwonię.

- Więc o co chodzi?
- Ach, to nie jest sprawa na telefon, bardzo panią proszę o spotkanie.

Ciekawe, co ten René znowu zmalował? - zastanawiała się Irmina.
- Pewnie jak zwykle obraził jakichś ludzi. Że też on nie potrafi powściągnąć swojej złości i nadmiernej ambicji. Kobieta zaciekawiła ją, ale nie miała ochoty na spotkanie z nieznaną, która wydała się jej przez telefon nieco egzaltowana.

- Ja bardzo przepraszam, jeśli mój mąż w jakiś sposób obraził panią. Proszę nie brać sobie tego do serca. On jest zbyt drażliwy i czasem w związku z tym działa pochopnie.

- Pani jest aniołem, pani Irmino. Mogę panią tak nazywać? Ale dlatego, że pani jest taka dobra, błagam, ja muszę się z panią spotkać. Gdzieś w kawiarni. Nie zajmę pani dużo czasu.

Umówiły się w kawiarni obok Instytutu Pasteura w czasie przerwy obiadowej Irminy.

Nieznaną zdumiała ją zarówno wyglądem, jak i rewelacjami, którymi tak bardzo pragnęła się z nią podzielić.

Była to niebrzydka trzydziestoparolatka, a może czterdziestolatka kobieta o lekko zaokrąglonych kształtach, które uwydatniała mocno opięta dżersejowa garsonka w jaskrawożółtym kolorze. Na głowie miała zielony kapelusik z czerwonymi piórami, a w rękach trzymała czerwono-zieloną torebkę. Istna papuga! - pomyślała o niej.

- W czym mogę pani pomóc? - powiedziała głośno.
- Pani mąż jest okropny! - wyrzuciła z siebie „papuga”. - Nigdy nie przypuszczałam, że potrafi być tak okrutny. Szczerze pani współczuję.

- Mnie? A to dlaczego?
- Ja wiem. On mi mówił, że pani się nim nie przejmuje, ale jednak kiedyś musiało to panią zboleć, tak jak mnie teraz.

- Chwileczkę. Ja tu czegoś nie rozumiem. Może pani opowie mi wszystko od początku. Mąż mnie w nic nie wtajemniczał.

- Ale nie mówiła mu pani o moim telefonie?
- Przecież pani prosiła o to.
- No właśnie, on nie może się o tym dowiedzieć.
- Czego pani oczekuje ode mnie, skoro mam przed nim ukrywać nasze spotkanie.

- Nie wiem. Nie mam komu się z tego zwierzyć, więc pomyślałam, że pani mnie zrozumie.

- Co mam zrozumieć? Proszę mnie oświecić.
- Miałam krótki romans z pani mężem. On twierdził, że pani już

na nim nie zależy.

- Tak mówił? A to ciekawe! Więc miała pani z nim romans. I co?
- I nic. Dla mnie to nie było łatwe, bo mój mąż jest bardzo dobry, ale René gra tak cudownie, że nie mogłam się oprzeć.
- W dodatku ma pani męża? I co on na to?
- O niczym nie wie, mówiłam pani, że jest bardzo dobry, nie chciałabym go martwić.
- A gdybym go zawiadomiła? Tak, jak pani mnie w tej chwili.
- Pani tego nie robi. Tym bardziej że to już skończone, bo pani mąż potraktował mnie okropnie. Żeby w ten sposób...
- Miła pani, nie interesuje mnie to, w jaki sposób potraktował panią mój mąż. Prawdopodobnie tak, jak pani zasługuje. Przykro mi, że to mówię. Wybacz pani, ale mój czas się skończył.

Kobieta patrzyła na nią zdziwiona, oczami mokrymi od łez.

Irmina wracając po pracy do domu zastanawiała się, w jaki sposób ma o tym, co ją spotkało, porozmawiać z mężem. Trudno było jej otrząsnąć się z szoku, jakiego doznała. René miał co prawda sporo wad, ale byli w miarę dobrym małżeństwem i nie przypuszczała, że posunie się do zdrady. Przecież to nie ona o niego, a on o nią starał się kiedyś z zapamiętaniem. Że nie darzyła go takim uczuciem, jak kiedyś Jeana - to fakt, nic na to nie mogła poradzić. Ale żeby o tym wiedzieć, musiałby czytać w jej myślach. Słyszała kiedyś taką opinię, że jeżeli mąż zdradza, jest w tym odrobina winy żony.

Czy wolno mi żądać lojalności, jeśli nie potrafię kochać, jak może powinnam? - pytała sama siebie. A najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że owe miłosne przypadki René z „papugą” musiały mieć miejsce wtedy, kiedy ona wzięła na siebie ciężar przeprowadzki jego przybranej matki z Limoges do Paryża. On sam się o to nie zatroszczył.

Mariette Blanche nie mogła dłużej mieszkać sama. Miała prawie dziewięćdziesiąt lat i słabo radziła sobie z chodzeniem. Umysłowo i mentalnie ciągle była jednak w dobrej formie. Irmina umieściła ją w domu opieki niedaleko stacji metra Chardon-Lagache. Sędziwa dama miała tam opiekę medyczną, stołówkę, towarzystwo innych starszych ludzi i oddzielne mieszkanie: pokój z niewielką kuchenką i łazienką. Pobyty i opiekę w tym domu opłacała z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży apartamentu w Limoges.

To, czego tak się bała przed laty, a mianowicie tego, że nadejdzie czas, kiedy nie będzie w stanie zrobić sobie makijażu, szczęśliwie jeszcze jej nie dopadło. Nadal różowiła policzki, wydłużała jasnym pudrem i tak już coraz dłuższy nos, tuszowała rzęsy. Upiększenia te na

pomarszczonej jak gąbka twarzy wyglądały dość upiornie, ale starszka cieszyła się, że ciągle jest zdolna do wykonywania tych zabiegów i obnosiła się ze swoim starannym makijażem wśród pensjonariuszy swego nowego domu, a przede wszystkim szpanowała nim przed wnukami, z którymi szybko znalazła wspólny język, one zaś chętnie ją odwiedzały, aczkolwiek troszeczkę się jej bały. Może nawet nie jej, a jej starości i makijażu, który robiła sobie, jak lubiła powtarzać, specjalnie dla nich.

Irmiona uśmiechnęła się na wspomnienie Mariette Blanche. Tak się nad nią zamyśliła, aż zapomniała na chwilę o swoim zmartwieniu. Nie miała, doprawdy, pojęcia, jak powinna się w tej sytuacji zachować. Nie może na to przemykać oczu i nie żądać wyjaśnień. Ze reakcją wiarołomnego męża będzie awantura, co do tego nie miała wątpliwości. Swoje hasło: „Atak jest najlepszą formą obrony” René powtarzał do znudzenia i wykorzystywał je w pełni.

Zawsze myślała, że nie kocha go znów tak bardzo, w każdym razie mniej niż kiedyś Jeana. Nigdy nie zaprzestała porównywania ich ze sobą i to był jej dramat. Teraz jednak, kiedy stanęła oko w oko ze swoją rywalką, zabolęło ją to o wiele bardziej, niż się spodziewała. Abstrahując od tego, co czuła, zawsze starała się być dobrą żoną. Dbała o niego tak, jak o dzieci, uczestniczyła we wszystkich jego sukcesach. Prowadziła dom, prasowała mu koszule, ponosiła koszty utrzymania na równi z nim lub nawet w większym stopniu, dzięki czemu stać go było na te markowe garnitury, z których każdy kosztował trzy razy tyle, co jej wszystkie ubrania razem wzięte. Nie obligowała go do chodzenia na wywiadówki w szkole, mógł wyjeżdżać i wychodzić z domu, kiedy mu się spodobało, nie był niczym obciążony. Nawet w łóżku spełniała wszystkie jego fantazje, mimo iż nieraz była tak zmęczona, że nie miała na to siły i ochoty.

Żal narastał w niej z każdą chwilą. Żeby chociaż zdradził ją z kimś naprawdę wartym grzechu, a nie z tą „papugą”. Taką głupią, bez klasy... Ale przecież nie ma tu znaczenia, jaka ona jest, ale to, że René okazał się wiarołomny.

W kotłowaniu tych myśli Irmiona nie pamiętała, jak to się stało, że zdołała dojechać do domu metrem, dwa razy przesiadając się, żeby zmienić kierunek. Robiła to widać automatycznie i wcale się nie pomyliła. „Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka” - skwitowała to znanym porzekadłem i uświadomiła sobie nagle, że można je odnieść do jej związku z René. Jaki jest, taki jest, ale przez te wszystkie lata przyzwyczaili się do siebie. Tym bardziej bolała ją zdrada.

Przed wejściem do domu wyjęła z torebki puderniczkę, przypudrowała nos i sprawdziła, czy wzburzenie nie jest widoczne na jej twarzy. Będzie ją musiała pokazać dzieciom bez śladów doznanego wstrząsu. Siłą rzeczy jej niewierny mąż dowie się o tym później, niżby mu się należało.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła kluczem drzwi swego domu, który był dotychczas jej ostoją i miejscem najbezpieczniejszym na ziemi. Przekroczywszy teraz jego próg pomyślała, że nic na świecie nie jest dokładnie takie, jakie nam się wydaje.

- Mama, mamusia! - usłyszała i schyliła się, żeby pocałować synka, który otoczył ją szczupłymi ramionkami.

- Jesteś mężczyzną mego życia. Co porabiasz?

- Nudzę się. Nie mogę wchodzić do salonu, bo tato gra, a Sophie wypędza mnie od siebie. Smutno mi. Dobrze, że już jesteś.

Irmina jak zwykle zaczęła się krzątać. Odniosła zakupioną żywność do kuchni, rozebrała się i weszła do łazienki, żeby umyć ręce. Wykonywała wszystkie swoje rutynowe zajęcia poruszając się po mieszkaniu swoim szybkim, lekkim krokiem, a synek towarzyszył jej biegnąc w ślad za nią.

- *Voila mon enfant adoré, tu me suives comme un petit chien, partout**. Nie znudzi ci się to?

* Och, moje ukochane dziecko, chodzisz wszędzie za mną jak piesek.

- Nigdy w życiu! Zawsze będę chodził za tobą krok w krok - zapewnił ją syn.

- Trzymam cię za słowo.

Zajrzała do jego pokoiku. Tornister leżał na krześle obok biurka. Książki i zeszyty ułożone były w równiutkie stosiki, żadna z zabawek nie poniewierała się na podłodze.

- *Quel garçon! Bravo! Toute en ordre!**

* Co za chłopiec! Brawo! Jaki porządek!

Patryk nigdy nie bałaganił. Jak na małego chłopca był niebywale uporządkowany. Trudno było powiedzieć to o jego siostrze. Była starsza od niego o trzy lata, ale wymagała o wiele więcej uwagi. Kiedy Irmina stanęła na progu jej pokoju, to, co tam zobaczyła, mogło przyprawić o zawrót głowy. Na podłodze poniewierały się buciki dziewczynki i szczegóły garderoby. Szafa była otwarta na oścież, a cała jej zawartość tworzyła pokaźną górkę ubrań rzuconych byle jak na fotel. Biurko zastawione było pudełkami, kredkami, lusterko leżało na książce, a na nim stała szklanka do połowy napełniona sokiem. Niepodomykane szuflady komódki pokazywały swoją zawartość, jakiś szalik i skarpeta zwiślały z nich smętnie. Łóżko jak zwykle

niepościelone. Jak ona się odnajduje w tym wszystkim, matka nie mogła zrozumieć. Bo Sophie nigdy w tym bałaganie niczego nie szukała, trafiała do każdej swojej rzeczy bezbłędnie. Nigdy też nie wyglądała na brudną czy zaniedbaną. Wręcz odwrotnie.

Teraz też: śliczna jak obrazek, z wielkimi błękitnymi oczami, z burzą jasnych włosów starannie związanych kolorowymi gumkami w dwie kitki i niesfornymi loczkami na czole i skroniach. Modna bluzeczka z kołnierzykiem polo i falbaniasta spódniczka, skarpetki i balerinki - wszystko zgrane kolorystycznie. Po prostu laleczka.

- *Salut, maman* * - powiedziała podnosząc główkę znad pracy domowej, którą odrabiała na leżąc, mając zeszyt rozłożony na dywanie.

* Cześć, mamo.

- Wygodnie ci tak?

- O tak, wspaniale! - odpowiedziała i uśmiechnęła się do matki, marszcząc zgrabny nosek i demonstrując dołeczki w policzkach.

- Jak odrobisz lekcje, musisz trochę posprzątać pokój.

- Mam dużo lekcji, nie wiem, czy zdążę...

- Niedługo przepadniesz gdzieś w tej górze porozrzucanych rzeczy. Albo ja będę musiała się do tego zabrać.

- Och nie, mamo, tylko nie ty! Po twoim sprzątaniu nic nie potrafisz znaleźć.

Rzeczywiście tak było. Sophie o wiele lepiej funkcjonowała w swoim bałaganie niż w pokoju uporządkowanym. Irmina nie mogła się temu nadziwić, ale teraz nie zawracała sobie tym głowy. Co innego ją zaprzętało.

- Sophie, jak skończysz lekcje, pomożesz mi nakryć do stołu.

- Ja też ci pomogę, mamo! - zgłosił się na ochotnika Patryk. - Dobrze?

- Tak, będziesz mógł poukładać sztuce.

- Mogę już?

- Tata jeszcze gra.

No tak. Gra sobie i nic go nie obchodzi, co się wokół niego dzieje. Irmina rozumiała, że musiał ćwiczyć, żeby się utrzymywać w formie, ale jego umiejętność wyłączania się ze świata zdumiewała ją. A może on tak ucieka w swój świat, bo ja... my go nudzimy?

Kolacja jak zwykle zaczęła się od uciszania dzieci, bo tata miał coś do powiedzenia. Zobaczył wprawdzie ironiczne błyski w oczach żony, te same, które kiedyś budziły w nim panikę, ale tym razem się nimi nie przejął. Był natomiast poruszony artykułem z „Le Monde” na temat polityki rządu, więc postanowił go streścić swoim bliskim i się z

nim rozprawić, bo miał oczywiście na ten temat swoje własne, różne od autora zdanie.

Te jego monologi przy wieczornym posiłku były prawdziwą zmorą jego rodziny. Wszyscy dookoła mieli wówczas zakaz mówienia, nie wolno było mu przerywać pod żadnym pozorem. Dzieci robiły wtedy do siebie miny, Patryk machał nogami pod stołem, a w Irminie narażała irytacja.

- Nie chcę szpinaku! Nie lubię go! - buntowała się Sophie.
- Dobrze. Ale nie będzie deseru.
- Zlitujcie się, o czym wy rozmawiacie - wtrącił się ojciec rodu. - Deser, szpinak? To są głupstwa! Kto sobie zawraca głowę takimi bzdurami. I przestań, na litość boską, machać tymi nogami - zwrócił się do syna - całego mnie pobrudzisz!
- Przepraszam tato.
- Patryk nie ma brudnych nóg. Przestań go stresować - wzięła go w obronę Irmina.
- Synek mamusi.
- A co w tym złego? Każdy ma swoich ulubieńców. Mama swojego synka, a tatuś papugę.
- Jaką znowu papugę? - zdziwił się René.
- Tę, co mieszka pod Carcassonne ze swoim mężem rogaczem i uwielbia twoją muzykę.

Wywarło to na René piorunujące wrażenie. Zacerpnął powietrza, otworzył usta, najwyraźniej chcąc coś powiedzieć, po czym wstał i poszedł w stronę swojego pokoju.

- A deser? - zapytała Sophie. - Nie będziesz jadł deseru? Możemy zjeść za ciebie, tato?

Trzasnęła drzwiami. Kolacja matki z dziećmi dobiegła końca w miłej atmosferze. Jak to dobrze, że były. Dzięki nim Irmina potrafiła okiełznać swoje rozdrażnienie i uzbroić się trochę przeciw działom, jakie mąż przeciw niej wytoczy, kiedy dzieci zasną. Nie pilno jej było stawiać temu czoła. Dłużej niż zwykle bawiła się z dziećmi w łazience przy kąpielach, dłużej im czytała. Zastanawiała się potem, czy nie zamknąć się w swoim pokoju i nie przełożyć wyjaśniania sprawy na kiedy indziej. O wszystkim, co najważniejsze, wiedziała już od odtrąconej przez znużonego kochanka kobiety. Gorzka była to pigułka i nie wiedziała, czy pilno jej do pełnej wiedzy o wyczynach mężczyzny, który dzielił z nią życie.

Posprzątała ze stołu, uporządkowała kuchnię, wykapała się, przebrała w nocną koszulę, nalała wody do konewki i poszła do salonu, żeby podlać kwiatki na balkonie.

René siedział przy stole z ponurą miną.

- Usiądź! - powiedział przez zęby.

Spełniła jego prośbę, stawiając konewkę przed sobą na stole.

- No proszę, opowiadaj mi swoją wersję zdarzeń - powiedziała.

- A więc doszliśmy szczęśliwie do takiego punktu, że zaczęłaś mnie szpiegować. Gratuluję! - zaatakował tak, jak się spodziewała. I dodał: - Można się było tego spodziewać po kimś, kto ma sowieckie korzenie...

Tego było trochę za wiele. Irmina chwyciła ze stołu konewkę, przechyliła ją i wylała całą jej zawartość na nieskazitelną koszulę i twarz swego eleganckiego męża.

- Wariatka! - krzyknął. - Ty oszalałaś, kobieto!

- Cicho bądź, pobudzisz dzieci! Chyba że tego prysznicą było za mało, żeby ostudzić twój wigor i zmyć jad, którym mnie obrzucasz. Jeśli tak, to powtórzę to, co przed chwilą zrobiłam - powiedziała zimno. - To nie ja powinnam się tłumaczyć. Nie mam jednak zamiaru słuchać twoich kłamstw, bo prawdy, sądząc ze wstępu, chyba nie zamierzasz mi zdradzić.

To rzekłszy Irmina wstała i poszła do siebie. Zamknęła drzwi na klucz. I wtedy zobaczyła, że jej ręce się trzęsą. Przeplakała całą noc.

Taktyka, jaką odruchowo obrała w postępowaniu z wiarołomcą, okazała się nad podziw skuteczna. Zaskoczony jej nagłym odejściem René posiedział chwilę w oczekiwaniu, że wróci, potem zadbał o swoją zbezczeszczoną bezcenną garderobę, a następnie położył się i... zasnął.

Tak było z nim zawsze - robił dziką awanturę, potem kładł się spać, a wypoczęty zdawał się o całym zajściu nie pamiętać.

Nazajutrz starał się, jak mógł, ją udobruchać. Wstał skoro świt, wbrew swoim zwyczajom, i kupił jej kwiaty. Bardzo chciał uznać całe zajście za niebyłe, ale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał się wytłumaczyć. Posłużył się w tej sprawie jeszcze raz odwieczną męską, wedle opinii panów niezawodną metodą. Jak tylko Irmina skończyła wieczorne zajęcia i wzięła kąpiel, wpakował się jej do łóżka.

Protestowała oczywiście, jednak przez wzgląd na śpiące dzieci nie chciała się zbyt z nim mocować. Tak więc, kiedy zaczął ją pieścić i całować, uznała, że wprawdzie mimo woli, ale stała się jego współniczką. I jak tu w takiej sytuacji wytaczać działa? Musiałoby któreś z nich i jej też dosięgnąć.

- Wiesz, jak to jest - tłumaczył René. - Danielle jest siostrą znajomego księdza. Twierdziła, że kocha muzykę. Była wdzięczną słu-

chaczką i ani się obejrzałem, a wciągnęła mnie w zasadzkę. Musisz mnie zrozumieć...

Jakby się nie starała, nie była w stanie go zrozumieć, lecz nie śmiała mu tego powiedzieć. Leżeli oto razem w łóżku. Za ścianą spały ich dzieci. Była wściekła na siebie, ale co mogła zrobić? Co najwyżej powtórzyć gorzką prawdę, która została użyta jako pointa znanego filmu z Marylin Monroe, który niedawno obejrzała: „Nikt nie jest doskonały”... Święta prawda. A szkoda.

Niedługo po tych przejściach idąc przez Boulevard des Italiens zobaczyła nowo otwarte biuro podróży - „Intourist”.

A więc do tego doszło, że otworzyli swoją filię w Paryżu. Nie do wiary. Otwierają się wreszcie na świat! Zaintrygowana, zatrzymała się przed witryną, by przejrzeć oferty.

Wielki afisz wiszący pośrodku przyciągnął jej uwagę: „Dwutygodniowa wycieczka do pięknych miast ZSRR. Moskwa - Kijów - Tbilisi - Odessa. Zwiedzanie zabytków z przewodnikiem...” Nie czytała dalej. Jedno magiczne słowo: „Odessa” sprawiło, że znalazła się w środku. Wycieczka była prawie wyprzedana. Zostały tylko dwa ostatnie miejsca. Nawet nie zapytała o cenę kładąc na blacie biurka urzędnika książeczkę czekową.

Jeszcze nie doszła do siebie po pamiętnych przeżyciach z mężem przeniewiercą i pomyślała, że tego jej właśnie potrzeba. Wyjazdu w nieznaną. Zobaczy więc miasto młodości swoich rodziców. Nic lepszego nie mogło jej spotkać.

Kiedy wyszła z biura, poczuła, jak rosną jej skrzydła u ramion. Przez czterdzieści dni dzielących ją od wycieczki musi jakoś poukładać wszystkie sprawy, załatwić opiekę dzieciom.

- Wyobraź sobie - powiedziała do męża przy kolacji - że w tym domu nie tylko ty jesteś podróżnikiem. Jadę na wycieczkę do ZSRR.

- Sama?

- Nie sądziłam, że ciebie to zainteresuje.

- Dlaczego? Zresztą masz rację. Jakoś mnie nie ciągnie do tych dzikusów.

- Tak też myślałam. Zresztą nie było już więcej miejsc - skłamała.

Później jednak, kiedy zadzwoniła do ojca, a potem do Maszy i usłyszała ich reakcję na swoje plany, miała wyrzuty sumienia, że nie wykupiła drugiego miejsca. Ojciec wprawdzie mimo ogromnej ochoty i tak by nie pojechał, bo nie chciał Anny zostawiać samej, była po operacji biodra. Ale Masza albo któryś z braci mogliby z nią pojechać. Postanowiła pójść nazajutrz do biura, by naprawić swój błąd.

Zastanawiała się tylko, czy René ze swoją przekorną naturą nie zechce wtedy z nią jechać, po prostu po to, by udaremnić to komuś z jej bliskich. W dodatku skłamała mu, że miejsc już nie było... Jak mu to wytłumaczy?

Rozterki na ten temat zostały ucięte faktem, że kiedy zjawiała się w biurze, ostatnie nie wykupione przez nią miejsce zostało już komuś sprzedane. A zatem klamka zapadła.

Termin wycieczki przypadał na pierwsze dwa tygodnie wakacji szkolnych. Dzieci i tak pierwszy miesiąc miały spędzić najpierw u jej ojca, a potem u Maszy w Caen. Same, bo jej urlop pierwotnie był zaplanowany na sierpień, kiedy to jak zwykle mieli wyjechać wszyscy razem na Cap Antibes.

Tajemnica corocznych wakacyjnych wyjazdów w to miejsce polegała na tym, że w tamtejszym kościele były świetne organy, a René znał doskonale księdza proboszcza i mógł się oddawać tam swojej pasji. Co nie przeszkadzało mu być dowódcą ich stadka. Ku utrapieniu swoich bliskich, to on decydował o rozkładzie dnia. Toteż odwieczne marzenie dzieci o wczesnym wychodzeniu na plażę do czasu ich samodzielności nie wychodził poza sferę marzeń. René bardzo pilnował tego, aby rodzina wszędzie chodziła razem, myślała, jak on myśli, patrzyła, gdzie on patrzy i tak dalej. Siłą rzeczy już samym przygotowaniem do wakacji towarzyszyło napięcie nerwowe.

W tym roku było inaczej. Dzieci, owszem, spekulowały na temat, jak się ułoży ich kolejny pobyt nad morzem, natomiast Irmina żyła już tylko swoją wielką przygodą, na którą zdecydowała się w jednej chwili. Wszystkie czynności, które nie miały z tym żadnego związku, wykonywała jak automat. Trzy dni przed wyruszeniem Irminy w tę podróż Bergeronnetowie odwieźli dzieci do Caen. Wszyscy lubili wyprawy do dziadków. Każde z nich z innego powodu, ale jechali tam jednakowo chętnie. Irmina, bo kochała ojca. René, bo teść go podziwiał jak mało kto. Sophie, bo Anna zachwycała się jej urodą, a Patryk, bo dziadek grał mu na skrzypcach i uczył go gry na gitarze, a także melodyjnych rosyjskich piosenek, które śpiewał z niezrównaną maestrią.

* * *

Tym razem pierwsze dni pobytu Bergeronnette'ów w Caen zdominowały wspomnienia seniora rodu związane z Odessą i ustalanie dla Irminy planu zwiedzania tego miasta. Nareszcie będzie mogła skonfrontować swoje wrażenia z opowieściami rodziców. Nie sądziła

nigdy przedtem, że będzie jej to dane.

Na ogół nie lubiła rozstawać się z dziećmi. Zawsze bała się, że wszystko złe, co może je spotkać, zdarzy się, gdy jej przy nich nie będzie. Teraz smutek rozstania pogłębiała jeszcze pogarszająca się pogoda, ale pocieszała się zapowiedzią fascynujących przeżyć.

Zacząło się wszystko na Orly, kiedy autobus dowiózł kilkudziesięcioosobową grupę wycieczkowiczów na płytę lotniska, gdzie po schodach wdrapywali się do wielkiego TU-104.

Mimo że już przy odprawie sprawdzono ich paszporty i wizy, w drzwiach samolotu nie skończyło się na okazaniu karty pokładowej. Umundurowani funkcjonariusze rosyjscy jeszcze raz obejrzelili dokumenty, zadali każdemu z pasażerów po kilka pytań i sprawdzili ich bagaż osobisty. Tak, jakby jadąc te kilkaset metrów z lotniska do samolotu mieli czas i okazję wszystko, co zostało uprzednio sprawdzone, wymienić na inne. Potem dopiero stewardesy pokazały im ich miejsca.

Irmina usiadła w przedniej części samolotu, w drugim rzędzie foteli za kabiną pilota. Rozejrzała się dookoła, żeby zorientować się, kim są współpasażerowie. W większości były to osoby bardzo młode, najwyraźniej zżyte z sobą. Z ich rozmów wywnioskowała, że są to studenci z różnych lat slawistyki na Sorbonie. Były też dwa czy trzy starsze małżeństwa i kilku samotnych mężczyzn. Poza tym jacyś dyplomaci, artyści wracający z tournée, ale do końca nie była pewna, kto wchodzi w skład ich grupy wycieczkowej.

Miała nad innymi Francuzami tę przewagę, że rozumiała po rosyjsku. Dzięki temu jej przygoda zaczęła się o wiele szybciej niż tych, którzy mieli barierę językową.

Kiedy stewardesa zapowiedziała rychłe podanie posiłku, postanowiła pójść do toalety i umyć ręce. Ponieważ siedziała jako pierwsza przy przejściu, nie musiała swoim wyjściem zakłócić spokoju sąsiadów. Po prostu odpięła pasy i skierowała się ku tyłowi samolotu, gdzie mieściły się toalety. Okazało się, że jest do nich kolejka. Zajęła więc w niej miejsce. Zobaczyła na końcu jedno wolne miejsce i chciała tam przysiąść póki co.

- *C'est interdit!* * - usłyszała ze zdumieniem informację wypowiedzianą tonem komendy, po francusku wprawdzie, ale z silnym akcentem rosyjskim.

- *Mais pourquoi?*

- *Parce qu'on travaille.*

* To zabronione!

* Ale dlaczego?

* Ponieważ tu pracujemy.

Wtedy poznała dwoje funkcjonariuszy, którzy sprawdzali ich dokumenty przy wejściu.

- Pani jest paryżanką, nie myślę się? - zapytał ją mężczyzna.
- O tak, jak pan to zgadł?
- To widać po szyku i akcencie. I nie mówi pani po rosyjsku?

Już miała zaprzeczyć i pochwalić się, że a jakże, gdy jakiś impuls nakazał jej wyprzeć się tego.

- Nie, nie mówię - skłamała, nie wiedząc czemu.
- Pierwszy raz w nasze strony?
- O tak. Jestem ich bardzo ciekawa.

Jej rozmówca nie odpowiedział już na to. Prawdopodobnie zadając jej pytania chciał tylko upewnić się, że nie rozumie po rosyjsku, bo zaczął kontynuować naradę z urzędniczką, która siedziała obok niego i trzymała na kolanach otwartą teczkę z papierami. Irmina zapuściła na nie żurawia i zorientowała się, że jest to lista jakichś nazwisk. Może uczestników wycieczki, a może innych pasażerów.

- Z takimi jak ta, co nie zna rosyjskiego, to jeszcze pół biedy. Gorzej z tymi, co rozumieją - mówił mężczyzna ściszym głosem do swojej towarzyszki. - Trudno ich będzie upilnować. Od razu, jak pójdą na pierwszy posiłek, trzeba ich będzie zrewidować, aby sprawdzić, czy nie mają rosyjskich adresów. Spisze się tych, którzy je mają, i otoczy opieką, żeby utrudnić kontakty.

- Nie będą mieli na to czasu, plan wycieczki wypełniony jest po brzegi.

- Znajdą, znajdą. Znam ja takich. Niby to podróż sentymentalna do rozstawionych miejsc, a w rzeczywistości szpiegostwo. Wróg nie śpi, po to ich wysłał. Czy myślisz, że taką wycieczkę opłacają w całości z własnej kieszeni? Rząd im do tego dokłada. Byleby mogli coś wywęszyc.

- Może nie wszyscy.

- Ba! Rzecz w tym, żeby wyłowić z tej grupy prawdziwych szpiegów. Roi się od nich, zapewniam cię Raja.

- Mów ciszej.

- Przecież szepcę.

Irmina jednak wszystko usłyszała. Pewnie nie wyęzżała słuchu, gdyby nie rozpoznała tej pary i instynktownie nie wyparła się znajomości języka rosyjskiego. Musiała przesunąć się do przodu, bo kolejka przed nią się skurczyła, ale i tak zdobyła tę szokującą wiedzę.

A więc prawdą jest to, przed czym ostrzegali ją koledzy z Instytutu Pasteura, którzy podróżowali już do ZSRR w celach naukowych.

Podobno każdy przybysz jest tam poddawany ustawicznej inwigilacji. Przypomniała sobie o spisie adresów w Odessie, który przygotował dla niej ojciec. Chciał, żeby sprawdziła, czy ktoś z jego znajomych po latach wielkich przemian żyje, mieszka, gdzie mieszkał, i może opowiedzieć coś o ludziach, których znał. Miała więc na kilku zapisanych przez niego karteczkach plan marszruty po sentymentalnych miejscach i miniaturową mapkę. Gdyby wpadło to w ręce „opiekunów”, mogłaby mieć nie lada kłopot. Adres Wiery, ostatniej z żyjących swoich ciotek, znała na pamięć, mogła go zniszczyć. Gorzej z resztą. Czekając na swoją kolej do skorzystania z toalety zastanawiała się, jak postąpić. Kiedy się już tam zamknęła, spuściła z wodą adres ciotki, żeby nie narażać jej na obserwację władzy, a rozpiszę ojca schowała w staniku. Chyba nie będą jej robić rewizji osobistej? Postanowiła też nie afiszować się swoją znajomością języka rosyjskiego.

Siedząc potem, już po posiłku, na swoim miejscu, kiedy wszyscy wokół drzemali, nie mogła zasnąć, nazbyt była zemocjonowana. A zatem jej przygoda zapowiadała się jeszcze ciekawiej, niż się spodziewała. Nie dość, że zobaczy owiane rodzinną legendą miejsca, to jeszcze mroczne drugie dno. Z drugiej strony cała ta sytuacja była nie tylko podniecająca, ale przez swoje nieprawdopodobieństwo nawet zabawna.

W hotelu „Rossija”, monumentalnym i na swój sposób eleganckim, przywitała ich spora grupka opiekunów i przewodników. Irminie zaproponowano pokój dwuosobowy. Miała w nim mieszkać na razie sama, ale zastrzeżono, że w razie braku miejsc, gdyby do hotelu przybyło więcej gości, dokwaterują jej kogoś z obsługi wycieczki.

To ją przygnębiło. A więc będzie na cenzurowanym. Oby do tego nie doszło! Nie miała nic na sumieniu, ale sama nieufność gospodarzy sprawiła, że zastanawiała się, czy nie jest ono zbrukane. Papierki, niewinne w swojej istocie, które postanowiła ukrywać, dotyczyły Odessy, więc jeszcze nie mogła ich zniszczyć. Bo jak bez nich pójść śladami ojca, aby zaspokoić jego ciekawość.

Plan wycieczki rzeczywiście wypełniony był tak, że nie pozostał czasu na zrobienie czegoś indywidualnie. Nawet kiedy przechadzali się po Placu Czerwonym, tłumacze i przewodnicy zgarniali ich w zwartą grupę, aby uniemożliwić jakiegokolwiek kontakty z patrzącymi na nich ciekawie mieszkańcami Moskwy. Ilekroć ktokolwiek z nich usiłował wyjść gdzieś sam z hotelu, natychmiast zjawiał się przy nim tłumacz albo któryś z przewodników i udaremniał kontakt sam na sam z radziecką rzeczywistością. Mimo to Irmina ani przez chwilę nie

żałowała swojej spontanicznej decyzji o przyjeździe tutaj.

Moskwa, Kijów, potem Tbilisi, miasto o magicznej urodzie - wszystkie te miejsca urzekały egzotyką i mnogością zabytków, ale też przytłaczały biedą, której nie dało się ukryć. Ludzie nie obdarci, ale ubrani zgrzebnie, niewielkie zróżnicowanie rodzimych marek samochodów osobowych, znikoma liczba sklepów, o witrynach bez fantazji, mizernie zaopatrzonych. No i pijacy - wszędzie ich było pełno. Za to wszelkie wizyty w teatrach, przeważnie muzycznych, zdumiewające. Co jak co, ale sztukę mają naprawdę na poziomie. I jaka oprawa!

W Odessie wszakoż udało się jej przechytryć swoich opiekunów. Już w Moskwie, zaglądając do książki telefonicznej Odessy, potwierdziła sobie numer ciotki Wiery. Zadzwoiła potem do niej z automatu telefonicznego i zasięgnęła informacji, w jakich godzinach bywa obecna w swoim mieszkaniu. Podała też termin swego pobytu w Odessie.

Ze wzruszeniem oglądała liczne zabytki tego miasta. W czasie wycieczki do portu usiadła razem z innymi uczestnikami wycieczki na monumentalnych schodach, na których jej dziadek odkrył jej ojca dla muzyki. To tutaj ze stopnia na stopień skakała jak ptaszek jej matka będąc małą dziewczynką i tutaj właśnie rodzina matki została dramatycznie rozdzielona przez rewolucję bolszewicką.

Zwiedziła operę, w której matka debiutowała w *Carmen*, śpiewając w chórze dziecięcym, i uczelnię muzyczną, którą administrował i gdzie uczył jej zmarły na tyfus na Gallipoli dziadek. Pragnienie, żeby jednak pospacerować wedle planu nakreślonego przez ojca, okazało się marzeniem ściętej głowy, bowiem „opiekunowie” wycieczki zaplanowali im czas tak starannie, że nie było to możliwe. Ciągłe odczytywali listę, troszczyli się o tych, którzy lekko zaniemogli i chcieli z jakiejś atrakcji zrezygnować, zapewniając im towarzystwo na czas odłączenia się od grupy.

Żeby zobaczyć się z ciotką Wierą, musiała uciec się do podstępów. Ze względu na ciotkę, o której - mimo krótkiego przesłuchania, któremu ją poddano, niby troszcząc się o jej ewentualne spotkania z rodziną - póki co nie wiedzieli. Irmina po prostu nie chciała przysparzać kłopotów siostrze swojej matki. A co do przesłuchania, gdyby w czasie swojej wędrówki do toalety w samolocie nie podsłuchiwała szeptanej narady funkcjonariuszy i nie uczuliła się na to, że jest w tym kraju na cenzurowanym, nie odczułaby, że to przesłuchanie. A zatem, kiedy podczas jednego z posiłków któraś z tłumaczek przysiadła się do niej, gdy została sama przy stoliku, uruchomiła swoją czujność.

- Tak sobie pomyślałam - powiedziała do niej tłumaczka - że zapytam panią o coś, bo mnie to intryguje. - Jak to jest, że będąc Francuzką ma pani taką słowiańską urodę? Poza tym nazwisko panieńskie w paszporcie: „Orłowa”. Jest pani z pochodzenia Rosjanką?

- Owszem, mam polsko-rosyjskie korzenie, bo moja matka Polka wyszła za Rosjanina, ale to było dawno temu. Ja urodziłam się we Francji i nawet nie mówię po waszemu, bo u nas w domu mówiło się tylko po francusku. Matkę straciłam wcześniej, a ojciec wychowywał nas na obywateli kraju, w którym żył.

- A krewni państwa?

- Krewni? Nic mi o nich nie wiadomo. Gdyby ktoś z nich żył, ojciec by mi o tym przed wyjazdem powiedział.

- A pani ojciec nie utrzymuje żadnych kontaktów z nikim od nas?

- Nie, po co miałby je mieć, skoro nikt z jego rodziny z pierwszej wojny światowej nie ocalał?

- Tak tylko pomyślałam, bo gdyby pani miała jakieś adresy krewnych, odnalazłabym ich i pomogła wam się spotkać.

- Ale nie mam żadnych krewnych.

- Szkoda.

- Ja także żałuję.

- A skąd pani rodzice pochodzili?

- Chyba z Kujbyszewa czy gdzieś z tamtych okolic - skłamała z premedytacją, uznając, że gdyby powiedziała prawdę, wzięliby ją pod lupę.

- A z drugiej strony, to dziwne...

- Co dziwne?

- Taki brak zainteresowania przodkami.

- Ależ interesuje mnie to, ale skoro nikt z nich nie żyje, a trasa wycieczki nie idzie ich śladami, co mogę na to poradzić?

W pewnym momencie tej rozmowy poczuła pokusę, żeby jednak skorzystać z pomocy miłej tłumaczki w zorganizowaniu spotkania z ciocią Wierą, ale coś ją przed tym powstrzymało.

No i poradziła sobie sama. Współuczestnicy wycieczki, zwłaszcza studenci, jak to młodzi, zmęczeni ciągłym zwiedzaniem zabytków, zapragnęli odetchnąć trochę i skorzystać z bliskości ciepłego morza. Urządzili bojkot zamierzonego planu i zażądali wolnego dnia na plaży oraz wyłamania się z dyscypliny.

Opiekunowie nie mieli wyjścia, musieli się przynajmniej częściowo dostosować. To znaczy przystali na plażowanie, ale wspólne, zorganizowane. Tu się zrodził problem, bowiem część osób, głównie starszych, wolała zostać w hotelu. Szybko więc załoga opiekunów

podzieliła się, żeby mieć oko na jednych i na drugich. Ogłoszono, że ci, którzy chcą zostać, powinni zapisać się na listę rezygnujących z wycieczki. Irmina rozważała taką możliwość, ale po namyśle zaniechała tego. Postanowiła użyć fortelu. Z ręcznikiem plażowym przewieszonym przez ramię i kostiumie kąpielowym w przezroczystej torbie usadowiła się w autokarze jak najbliższej drzwi i w momencie, kiedy kierowca zapalił silnik, wstała i podeszła do niego.

- Przepraszam, proszę nie ruszać, ja muszę wysiąść.
- Jak to wysiąść?
- Ano muszę. Jest mi niedobrze i boli mnie głowa. Zostanę w hotelu.

Zrobiło się zamieszanie.

- Odprowadzę panią do pokoju - zaofiarowała się jedna z tłumaczek.
- Proszę się nie fatygować. Dam sobie radę.
- Ale...
- Ale ja naprawdę sobie poradzę. To zaledwie parę kroków. Muszę to zrobić szybko, bo jest mi niedobrze.

Przewodniczka dała za wygraną. Autokar ruszył. Irmina szła do hotelu trzymając się za głowę, a kiedy autokar skrył się za drzewami, pobiegła na pobliski postój taksówek, który zanotowała w pamięci, gdy tylko przyjechali do Odessy.

- *Ja wasproszu, pażalsta, wieszite mienia na ulicu Morskiju nomier czetyrie.**
- *Kak żelajetie, graždanka ** - odpowiedział rażno taksówkarz.

* Proszę na ulicę Morską numer cztery.

* Jak sobie życzyście, obywatelko.

Zaczął jej się przyglądać w lusterku. Zaniepokoiła się tym. Bała się, że domyśliwszy się, iż jest cudzoziemką, zawiezie ją Bóg wie dokąd. Byłe nie do komisariatu. Może ma gorszy akcent, niż jej się zdaje?

Nic podobnego nie przyszło mu do głowy. Po prostu zainteresowała go jako kobieta.

- *Wy, damoczka, nawierno iz Moskwy? Takaja szykarnaja! Kupaliś, szto? Maładiec, pagoda priekrasnaja, pocziemu nie kupat-sia?**

- *Konieczno!* - mruknęła. - *Zarko.**

- *A wy zdieśna otpyskie?Kazałaśwsiech znaju, a was nikogda nie ustrietil. Takaja krasotka*****.*

* A paniusia napewno z Moskwy? Jaka szykowna! Kapała się pani? Zuch dziewczyna, piękna pogoda, czemu by się nie kąpać?

* Racja. Jest gorąco.

* A tu pani na urlopie? Zdawało mi się, że wszystkim znam, a nigdy was nie spotkałem. Taka ślicznotka.

- *Da, szto wy?*

- *Eto prawda**.

* No co pan?

* To prawda.

- Naturalnie.

- Długo tu będziecie? Może poczekam.

- Zejdzie mi. Dziękuję, nie trzeba. Będę tu nocować.

Tego jej jeszcze brakowało: taksówkarz amant! Zapłaciła za kurs, nie chciała reszty i weszła do bramy. Na ścianie wisiała lista lokatorów. Jej ciotka mieszkała na czwartym, czyli ostatnim piętrze. Była winda, ale z kartką, że czasowo nieczynna. Nie miała wyjścia, musiała dotrzeć tam pieszo. Serce już trzepotało jej w piersi jak ptak schwytany w sieć, z samej tylko emocji, a jeszcze miała przed sobą taką wspinaczkę.

Ciocia Wiera musiała czatować pod drzwiami, bo ledwie Irmina wyszła z zakrętów schodów, a już niewielki przedpokój mieszkania numer dwadzieścia trzy stanął przed nią otworem.

- Irmina? Irmina? - pytała staruszka patrząc na nią z bezzębnym uśmiechem.

Kiwnęła twierdząco głową. Mama pewnie wyglądałaby tak jak ona, gdyby dożyła jej wieku - przemknęło Irminie przez myśl. Biegiem pokonała ostatnie trzy stopnie i już była w środku.

Staruszka zamknęła za nią drzwi na klucz. A potem wpadły sobie w ramiona. Drobna i niezbyt wysoka Irmina czuła się przy ciotce jak kariatyda. Jej plecy, które obejmowała mocno były tak szczupłe i kruche, że młoda kobieta odruchowo zwolniła uścisk, żeby jej nie zrobić krzywdy.

- Ciocia Wiera! Ciocia Wiera! - powtarzała przez łzy. - Kto by pomyślał, że się kiedyś spotkamy.

- Bóg dał - powiedziała staruszka. - Nikt nie widział, jak tu wchodziłaś?

- Nie było w pobliżu żywej duszy.

- To dobrze, bo myślałam, że będziemy musiały wyjść. Musimy rozmawiać szeptem.

- Ale przecież nikogo oprócz nas tu nie ma? - upewniała się Irmina.

- Niby nie, ale tu nawet ściany mają uszy. Pokaż się dzieťka. Masz oczy Gali, to znaczy twojej matki, ale nie jesteś do niej podobna. Raczej do ojca. Pamiętam go. Krasawiec. Córka Gali! Nie mogę w to

uwierzyć. Nie mogę sobie jej wyobrazić dorosłej. Moja mała siostrzyczka.

- Jak ciocia żyje?

- Nie narzekam. Byłam meteorologiem. Teraz już jestem w odstawce*. Biednie, ale da się wyżyć. Czaju się napijesz?

* na emeryturze

- Z przyjemnością.

Irmina rozglądała się po skromnie urządzonej mieszkanie. Meble miało solidne, ale stare i dawno nie odnawiane. Wszystko było stare, począwszy od dywanów, a na wypłowiałym przykryciu łóżka, sprawnym obrusie, poszarzałych cienkich jak mgielka firankach skończywszy. Były tak poprzecierane, że kiedy wiatr nimi poruszył, patrzyło się na nie ze strachem, że pewnie zaraz je podrze. Wszystko było schludne, ale wyglądało tak, jakby chciało się dostosować do swojej gospodyni.

- Ja jestem jeszcze silna, pomimo moich siedemdziesięciu ośmiu lat. Zahartowało mnie to życie.

- Mój Boże, co to za życie? Widziałam sklepy, pewnie nic w nich nie ma. U nas przez kilka lat po wojnie też było ubogo, ale patrząc na to, co jest tutaj, odnosi się wrażenie, jakby czas się zatrzymał.

- To nie jest najważniejsze. Człowiek do życia potrzebuje naprawdę niewiele, ale dla ducha jak czegoś nie staje, to... ale nie mówmy o tym. Opowiadaj o Gali, to znaczy o matce. Masz jakieś jej zdjęcia z późniejszych lat?

Irmina pokazała jedną z ostatnich fotografii matki.

- Mój Boże, jak myśmy się o nią martwiły! I pomyśleć, że tata umarł i mój młody silny szwagier, a ona przeżyła! Los jest naprawdę nieprzewidywalny. Dobrze mówisz po rosyjsku, a po polsku?

- Rozumiem, z mówieniem gorzej. A rozumiem dzięki mojej przyszywanej babci Zosi, matce macochy. Też była Polką i bardzo nas kochała.

- To dobrze.

- My w domu mówiliśmy tylko po rosyjsku.

- Galina była wtedy taka młoda... mam nadzieję, że zaznała trochę szczęścia.

- O, tak! Tata był dla niej bardzo dobry. A ciocia?

- Nasza matka Zenobia po rozstaniu z wami nigdy nie doszła do siebie, chociaż żyła do roku 1938, o rok dłużej niż jej najmłodsza córka, Gala. Nie dowiedziała się o jej śmierci. Ksenia wyszła za mąż za sekretarza partii. Prostny, ale dobry człowiek. Żona pianistka bardzo mu imponowała. To, że się w niej zakochał, ocaliło nam życie. Mama

nigdy się do niego nie przekonała. Uznał, że jest niespełna rozumu. Czasem rzeczywiście była jakby nieobecna. Sama nie wiem, czy naprawdę traciła kontakt z rzeczywistością, czy tak jej było wygodniej. Ja też miałam męża... meteorologa, jak ja.

- Też komunista?

- Musiał jakoś żyć, no nie? Ale i tak umarł w łagrze pod kołem podbiegunowym. Ale co ja ci będę opowiadać, lepiej ty mów... Mój Boże, taka bliska rodzina, a żyjemy w dwóch innych światach!

Mówiły beładnie, skacząc z tematu na temat. Płakały, śmiały się i znowu płakały. Oglądały fotografie i pamiątki po drugiej ciotce i babce Irminy. Wiera wyjęła z szuflady listy i zdjęła ze ściany małą ikonę. Odkleiła z albumu kilka zdjęć. Zapakowała wszystko w dużą szarą kopertę i podała Irminie.

- Idź już kochana, bo będą cię szukać! Spotkamy się jeszcze?

- Nie wiem, będę się starała, ale czy się uda? Ja się nie boję, że mogą mi coś zrobić, ale nie chciałabym ciebie, ciociu, narażać. Najchętniej zabrałabym cię ze sobą do Francji.

- Ależ to marzenie ściętej głowy! Za nic mnie nie wypuszczą. Zresztą tu są groby moich bliskich, jak bym mogła je zostawić?

Irmina wyjęła z torebki plik banknotów. Zacisnęła je w dłoni starszki, chociaż ta broniła się przed tym.

- Ależ dziecko moje, nie rób sobie wydatków, ja stara, niewiele już potrzebuję.

- Weź to, bo się obrażę. Będiesz miała na lekarstwa, jeśli ich potrzebujesz, albo zrób sobie jakąś przyjemność.

- Wystarczy, że cię widzę, to największa przyjemność, jaka mogła mnie spotkać. Teraz mogę już umrzeć.

- Nie mów tak proszę, bo mi serce pęknie.

Uściskały się jeszcze raz i jeszcze, nie mogąc opanować łez.

Wiera zawiązała chustkę na głowie i chciała odprowadzić siostrzenicę na postój taksówek. Ta jednak zadecydowała, że pójdzie sama, dla bezpieczeństwa ciotki.

- Może masz rację - zgodziła się w końcu starszka. - Podejdz do okna, spójrz na dół. Widzisz ten park? A ławeczki wokół fontanny? Nie te z przodu, tylko te z tyłu, w cieniu drzew. Jeśli znajdziesz czas, usiądź na jednej z nich. Będę czekała jutro i pojutrze, aż do twego wyjazdu. Zobaczę cię, to zejdem. A jeśli nie będziesz mogła przyjść, zrozumieć.

- Przyjdem, jeśli zdołam się wymknąć niepostrzeżenie. I... przyjadę tu za rok, obiecuję. Może nie sama, może z ojcem lub kimś z rodzeństwa.

Irmina zbiegła ze schodów i poszła na postój taksówek. Wsiadając do samochodu spojrzała dyskretnie w górę. Z trudem dojrzała za szybą zmniejszoną przez odległość główkę w obramowaniu bielutkich włosów, ale widok ten szybko rozmazał się jej w łzach.

Zapłakana, z rozmażanym makijażem, nie zachwyciła tym razem swojego kierowcy. Nie dopytywał się, czemu płacze, nie raz woził ludzi, których dotknęło nieszczęście. Ci, którzy chcieli lub mogli mu się zwierzyć, mówili nie nagabywani. Mało to łez widziała matuszka Rossija?

Opuściwszy taksówkę Irmina przysiadła na chwilę na skwerku przy hotelu, wyjęła puderniczkę i zaczęła poprawiać nadwyrężoną urodę. Kiedy opanowała to jako tako, weszła do hotelu. Już myślała, że przemknie do pokoju niezauważona, kiedy odebrawszy klucz w recepcji stanęła oko w oko z kierowniczką wycieczki.

- Gdzie pani przepadła? Martwiliśmy się wszyscy.

- Siedziałam w ogrodzie na tyłach hotelu. Było mi niedobrze i wołałam zostać na powietrzu. Chyba się czymś zatrulałam, mam wrażliwy żołądek.

- Ależ to niemożliwe! Żywność jest tu bardzo świeża.

- Być może, ale z moją niestrawnością nigdy nic nie wiadomo.

- Rzeczywiście nie wygląda pani najlepiej.

- Bo wymiotowałam.

- Ojej, to może wezwać lekarza?

- Już mi lepiej. Wzięłam swoje wypróbowane lekarstwo. Muszę się teraz położyć.

- Odprowadzę panią.

Irmina się poddała. Niech jej będzie, skoro musi się upewnić, że wejdę do pokoju.

- Dobranoc - powiedziała zamykając drzwi.

Przekręciła w nich klucz.

Ojciec nie zdążył wybrać się z nimi rok później do Rosji, bo umarł nagle tej zimy na atak serca. Jego kochająca żona, chociaż znacznie od niego młodsza, poszła za nim w niecałe dwa miesiące, czyli w lutym. Miesiąc później Lowa, starszy brat Irminy, miał śmiertelny wypadek samochodowy. Tak więc Boże Narodzenie i Wielkanoc upłynęły im w cieniu tragedii i żałoby... Zrozpaczona Irmina ani się obejrzała, jak została seniorką rodu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Maria poukładała równo przetłumaczone i przepisane na czysto kartki ze wspomnieniami przyjaciółki. Skończyła swoją pracę na roku 1975, a do końca zostały tylko trzy kartki. Obejrzała je. Były zapisane luźnymi, krótkimi, lakonicznymi zdaniami.

Wybrała na tarczy numer paryskiego telefonu Irminy.

- Halo, to ty Mario? Myślałam dzisiaj o tobie. Co tam nowego? Może chcesz przyjechać? Korzystaj, póki ja żyję.

- Znowu zaczynasz. Jeszcze skorzystam, ale teraz nie mogę. Dużo mam tu roboty.

- To pewnie nie zabrałaś się do tego, co napisałam.

- Zaskoczę cię. Niemal skończyłam. Zostały mi trzy strony, obejrzałam je i jestem rozczarowana.

- Dlaczego?

- Nie domyślasz się? Potraktowałam resztę swego życia bardzo skrótowo.

- Bo takie też jest to nasze życie. W zaraniu, gdy każdy dzień jest obietnicą, wlecze się jak żółw, a potem, kiedy obietnice zaczynają się spełniać, czas umyka coraz szybciej, a z nim razem to, co dobre. Nie zdążamy nasycić się spełnieniem, bo życie jak szalone gna ku zatraceniu...

- Coś mi się zdaje, że nie trafiłam na twój dobry nastrój.

- Dlaczego? Tak jest, moja droga. Tak to się dzieje. Pisałam, pisałam, a życie dopisało swoją pointę.

- Masz na myśli Michała i Mireille?

- *Mais naturellement!** Wymyśliłabyś coś lepszego?

* Ależ naturalnie!

- Nigdy w życiu. Ale to jest pointa i nie można jej zdradzić, kiedy

pominie się tak dużo z tego, co było po drodze.

- Nie przeczę. Wszystko w życiu dzieje się po coś. Gdybym nie została żoną René, on by nie poznał ciebie ani ty mnie. No i siłą rzeczy Mireille i Michał także nigdy by się nie spotkali. I nie byłoby tego cudownego zwieńczenia losów, nie mogłaby zadziałać magia przeznaczenia.

- A więc sama to widzisz, a mimo to jakby wymazujesz z pamięci ponad trzydzieści lat, dobrych i złych. Skwitowałaś to kilkoma czy kilkunastoma zdaniem.

- Właśnie dlatego że to było ważne, nie potrafię o tym pisać. O tym, że jestem tragiczną matką, albo o René, kiedy staram się go nie pamiętać. O tym, że Sophie musiała szukać ukojenia za oceanem dla siebie i dzieci. Znużyła mnie ta zła passa. Zresztą, jest nas więcej - tych, którzy wiedzą, co było dalej. Choćby ty, Mario. Jeśli uważasz, że trzeba coś uzupełniać, zrób to. Zostawiam ci wolną ręką. Dla mnie najważniejsza jest pointa.

- Pointa rzeczywiście jest niezwykła. A jeśli chodzi o przyjazd do ciebie, to jeszcze nie wiem, co zrobię. Na razie mam tu różne powinności, zaledwie znajduję czas na wywiązanie się ze wszystkiego, co muszę zrobić.

- Poradzisz sobie. Wiem, jaka jesteś. Uwiń się, proszę, ze swoimi zajęciami tam w Polsce i przyjedź do mnie. Bardzo mi ciebie brakuje.

- Miło mi to słyszeć, Irmino. Ściskam cię póki co i muszę tu wszystko jakoś opanować. Do miłego.

- Do miłego, Mario. Nie zapominaj o mnie.

Odłożyły słuchawki.

Maria nie tylko o niej nie zapomniała, ale nie mogła przestać myśleć. Trzydzieści pięć lat niezwyklej przyjaźni. To już trzydzieści pięć lat? Tak prędko?

Irmina w swoich notatkach nie ujmując ich spotkaniu znaczenia, skwitowała je dwoma zdaniem: „Na początku 1976 roku, zanim zdążyłam się pozbierać po śmierci taty, jego Anny i Lowy, René wyjechał na tournée do Polski. Niedługo potem odwiedziła nas czarująca osoba stamtąd, która opowiadała słowem jego tamtejsze koncerty. Pokochałam ją jak siostrę”.

Tylko tyle i... aż tyle.

* * *

Propozycję konferansjerki na koncertach René Bergeronnette'a, Maria otrzymała prawdopodobnie z racji swojej znajomości języka

francuskiego. Zapowiadała go, recytowała wiersze i przeprowadzała z nim krótki wywiad przed publicznością. Szczerze mówiąc, praca ta bardzo ją ucieszyła, nie dlatego że potrzebowała zatrudnienia, ale z tego powodu, że miała za kilka miesięcy wyjechać na stypendium artystyczne Ministerstwa Kultury do Paryża. Uznała, że rozmowy z artystą w jego języku będą świetnym treningiem przed pobytem we Francji.

Odwiedzili wtedy niemal wszystkie duże miasta Polski, w których były teatry muzyczne lub filharmonia, bo René grał koncerty z orkiestrami; ale najbardziej zachwycił ją w Oliwie, gdy zagrał na organach.

Bardzo szybko Maria dostrzegła dwoistość jego natury. Ogromną wrażliwość i uduchowanie, kiedy grał czy tylko wstępował w świat muzyki, i skupienie na sobie, nie zauważanie innych, zarozumialstwo, próżność, gdy odrywał się od muzyki. Obserwowała go i punktowała. Mimo że najwyraźniej nie było mu niemiłe jej towarzystwo, wymykały mu się nawet jakieś komplementy, traktował ją jednak z góry. Szybko rozszyfrowała, dlaczego. Po prostu dzielił ludzi na artystów, a w tej kategorii mieścili się tylko muzycy, i resztę świata.

Wydało się jej to zabawne, ale nie zaprzętała sobie tym głowy, bo nie przeszkadzało to bynajmniej w ćwiczeniu języka francuskiego. Zresztą artystą jej rozmówca był znakomitym i w czasie tournée zebrał dużo oklasków i dobrych recenzji, a także zaproszenie na nową serię koncertów w Polsce za dwa lata.

Ku jej zdumieniu postawił warunek, żeby i wtedy zapowiadała go ona. Ponieważ po zakończeniu trasy miał dwa dni oczekiwać na swój lot do Paryża, uznała, że powinna się nim zaopiekować. Zorganizowała mu razem z mężem zwiedzanie zabytków Warszawy, a także zaprosili go do siebie do domu na pożegnalną kolację. Wtedy właśnie pierwszy raz zaczął opowiadać o swojej rodzinie. Poznawszy córeczkę Marii pochwalił się dwójką swoich dzieci, a na widok pierogów na stole nie krył zadowolenia (Maria zrobiła je specjalnie, bo zaobserwowała kiedyś, gdy byli w trasie, jak bardzo delectował się ich smakiem). Docenił jej gest mówiąc:

- Ach, jak to miło! Zrobiła pani pierogi. *Délicieux!* Moja żona też je czasem robi, jak wszyscy Rosjanie i Polacy.
- Pana żona jest Polką?
- Bardziej chyba Rosjanką, bo w jej domu mówiło się po rosyjsku.

Nie mówił więcej o żonie, ale Maria bardzo jej była ciekawa. W czasie tej pożegnalnej kolacji pochwaliła mu się swoim wyjazdem stypendialnym do Paryża.

- *Mes félicitations!* - ucieszył się René. - Musi pani nas odwiedzić. - Podał jej swoją wizytówkę. - Chętnie pokazemy pani Paryż.

Niedługo po jego wyjeździe Maria otrzymała od niego i jego żony piękną, kolorową pocztówkę z podziękowaniami za gościnność i miłą współpracę, a także prośbę, żeby koniecznie odezwała się, kiedy już będzie w Paryżu.

Maria dotrzymała obietnicy. Zaprosiła Bergeronnette'ów do Olimpi, na jeden z koncertów polskich artystów, które prowadziła po francusku. Ten występ odbywał się w niedzielę wczesnym popołudniem. Po jego zakończeniu goście Marii przyszli do jej garderoby, żeby zabrać ją do siebie na kolację.

Irmina Bergeronnette okazała się szykowną, smukłą kobietą w średnim wieku, o żywych gestach, miłym uśmiechu i bardzo pięknych niebieskich oczach. Mimo że była blondynką i miała jasne oczy, wyglądała na Francuzkę. W każdym razie gdyby Maria nie wiedziała o jej korzeniach, nigdy nie pomyślałaby, że może być Słowianką. Dopiero, kiedy ją lepiej poznała, zrozumiała, że się myliła.

W czasie kolacji w ich domu mało rozmawiała z Irminą, bo ta w trosce o to, by wieczór wypadł jak najlepiej, krążyła wciąż między salonem a kuchnią, konwersacją natomiast, a raczej swoim monologiem zajmował się René. Starał się czynić honory domu, ale też uciszał dzieci, gdy te próbowały zwrócić na siebie uwagę, i nie dawał nikomu dojść do słowa. A dzieci były przemiłe. Dwoje uroczych nastolatków: siedemnastoletnia Sophie, bardzo podobna do matki, o takich samych prześlicznych oczach i bardzo jasnych, wijących się włosach, i młodszy od niej chłopiec, długi i chudy jak tyka, o rozwichrzonej czuprynie i łagodnym spojrzeniu.

- René, proszę cię, dopuść gościa do głosu - zwróciła mężowi uwagę Irmina - bo pomyśli, że jest wśród dzikusów.

Niepotrzebnie się martwiła. Maria jeszcze ze wspólnych podróży po Polsce знаła doskonale tę przypadłość jej męża. Jak tylko zasiadł przy stole, królował przy nim niepodzielnie. Ani ona, ani tłumaczka nie miały szansy przebić się przez jego gadulstwo. Teraz Maria pomyślała, że jak widać, przeciwczył to na rodzinie, bo wszyscy jej członkowie najwyraźniej byli przez niego zdominowani. Tak było zawsze. Dziwna rzecz, że tylko przy stole, bo potem René trochę się wyciszał. Wynikało to z tego, że zgromadzenie przy stole było jego trybuną.

Tak też było owego pamiętnego dnia pierwszej wizyty Marii w domu Bergeronnette'ów. Wspominając to uśmiechała się do siebie. Padały krótkie pytania jego żony o Polskę, jej odpowiedzi, ale wieczór

i tak był zdominowany przez obszerne uwagi, komentarze i opinie René na każdy poruszony temat.

Spędziła u nich czas aż do północy, a potem Irmina odwiozła ją do hotelu.

- Muszę panią ostrzec, Mario, że wsiadając ze mną do samochodu ryzykuje pani życiem.

- Dlaczego? Chce pani dokonać zamachu? Zrobiłam coś złego?

- Nic z tych rzeczy - roześmiała się Francuzka. - Chodzi o to, że mąż bardzo rzadko oddaje mi kierownicę, zazwyczaj tylko wtedy, gdy wypije za dużo wina.

- Skąd ja to znam?!

- Żartowałam. Nie taki marny ze mnie kierowca.

- Domyślam się. Mam wyrzuty sumienia, że się tak u państwa zasiedziałam. Przecież jutro jest dzień pracy, będą państwo zmęczeni.

- Nigdy nie kładę się przed pierwszą w nocy. Jak już ogarnę dom, dzieci, mogę trochę popracować, a potem jeszcze czytam. Inaczej nie mogłabym zasnąć.

- To tak, jak ja. A nad czym pani pracuje?

- Mój mąż pani nie powiedział?

- Tylko że jest pani Rosjanką z pochodzenia.

- Jestem Francuzką, tu się urodziłam. Ale w moich żyłach płynie krew polska i rosyjska. Takich miałam przodków. A pracuję w grupie naukowców w Instytucie Pasteura, jesteśmy w trakcie badań nad wyodrębnieniem pewnego groźnego wirusa.

- To wspaniałe! A z drugiej strony, jestem zaskoczona tym, że pani pracuje zawodowo. Bo odniosłam wrażenie, że pani mąż zawłaszcza całą uwagę w rodzinie dla siebie. Jest to taki typ człowieka, który uważa, że kobieta z nim związana powinna całkowicie mu się poświęcić. Chyba że się mylę.

- Nie myli się pani. Sądzę, że gdybym nie miała własnej pasji, nie radziłabym sobie ze wszystkim tak, jak to robię. Wtedy René całkiem by mnie zdominował.

- Muzyk i naukowiec. Trudny układ...

- Ma pani rację, niełatwy. Wyszedłam z domu, w którym zawsze było dużo muzyki. Dlatego, gdy René się o mnie starał, uznałam, że to ma sens... A oto i pani hotel.

- Tak szybko? Dobranoc pani, bardzo było miło, wspaniały dom i dzieci. Serdecznie dziękuję za zaproszenie.

- Miło mi, że się poznałyśmy. Zawsze powitamy panią u nas z największą radością, może umówimy się kiedyś na kawę? Albo zjemy razem obiad w czasie mojej przerwy w pracy?

- Z przyjemnością.

Panie wymieniły się wizytówkami i już za kilka dni spotkały się na obiedzie. Rozmawiało im się tak dobrze, że umówiły się na kolejne spotkanie za trzy dni. Ani się spostrzegły, jak zaczęły się sobie zwierzać. Wkrótce Maria stała się częstym gościem w domu Bergeronnette'ów, co René, zazdrosny widać o to, że ktoś wywiera na jego znajomej większe wrażenie niż on, kwitował złośliwymi uwagami pod adresem swojej żony, a nierzadko i Marii. Nie przejmowała się tym, bo od dawna już bywała u nich z powodu przyjaźni z panią domu. Niemniej stawiało ją to niekiedy w niezręcznej sytuacji.

Tak było pewnego razu, kiedy po spotkaniu w mieście Irmina zabrała ją do domu.

- *Tiens, tiens!* - powiedział wtedy René. - Widzę, że przyjaźń kwitnie. Trudno się temu dziwić. W końcu obie panie wywodzą się z kolebki komunizmu.

- Trafiłeś jak kulą w płot. I czemu takie złośliwości mają służyć? Nie możesz pogodzić się z tym, że ktoś może zapalać większym podziwem do kogo innego niż do ciebie?

Zamilkł, gdyż żona odgadła jego intencje. Bo faktem też było, że im dłużej się znały z Marią, tym bardziej się szanowały i podziwiały.

W oczach Marii jej starsza przyjaciółka była wyjątkowa. Nie dość, że mądra, wciąż czynnie zajęta pracą naukową, to jeszcze nadzwyczajnie skuteczna jako pani domu, matka i żona. Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób potrafiła sprostać wszystkiemu, co miała do zrobienia. Nie korzystała prawie z żadnej pomocy, bo jedynie sprzątaczką przychodziła do niej raz na tydzień. Szorowała, odkurzała, trzepała dywany, ale ani nie gotowała, ani nie prasowała. Tym już Irmina musiała zająć się sama.

- Właściwie dlaczego ta twoja Ivonne tylko sprząta? Nie mogła by ci czasem poprasować czy pomóc w gotowaniu?

- Może jak pójde już na emeryturę, wezmę kogoś na stałe. Teraz przygotowanie dla niej pola do działania zajęłoby mi za dużo czasu.

- No tak, ale ty w ten sposób nigdy nie odpoczywasz.

- Ależ odpoczywam przerzucając się z jednego zajęcia na drugie. Kiedy na przykład prasuję, wtedy myślę o tym, co nie tak zrobiłam w pracy, że wyniki doświadczeń okazały się niezadowolające, i obmyślałam taktykę działania na dzień następny. Wiesz, życie mnie nie rozpieszczało. Od wczesnych lat pracowałam i będę pracować, póki będę mogła. Najważniejsze jest poustawić sobie w życiu hierarchie, a kiedy już ma się określone cele, wszelkie rutynowe drobne sprawy załatwia się mimochodem.

- Ty rzeczywiście masz wszystko w życiu poukładane jak mały kto, chciałabym tak umieć.

Tym, co Marię i Irminę zbliżyło do siebie, były ich niekończące się rozmowy. Nie były to babskie wymiany zdań o mężach, dzieciach i szmatkach, chociaż i takie tematy nie były im obce. Najbardziej ceniły sobie rozmowy o literaturze i sztuce. Erudycja Irminy w tej sferze była zadziwiająca. Marię wzruszyło to, że jej przyjaciółka wciąż prowadzi starannie dzienniczek swoich lektur. Był to mały, gruby zeszytik w twardej oprawie, podarowany przez kogoś z jej dzieci, w którym zapisywała skrupulatnie tytuły przeczytanych książek, ich króciutką charakterystykę i cytaty. Ponieważ obok tytułu umieszczała również datę i miejsce czytania danej książki, otwierało to jej pamięć i patrząc do swego dzienniczka lektur mogła odtworzyć całe swoje życie.

Ani się obejrzały, jak ośmiomiesięczny okres stypendium Marii dobiegł końca i trzeba było się rozstać. Bardzo były tym zmartwione, ale obiecały sobie, że będą organizować sobie wizyty rodzinne w Polsce i we Francji. Poza tym Maria nawiązała liczne znajomości artystyczne, padły więc pewne obietnice jej powrotu tutaj do pracy. Póki co zaprosiła przyjaciółkę z całą rodziną na wakacje. Od pewnego czasu byli właścicielami domku i działki leśnej w malowniczym Modrzejowie, położonym nad jeziorem w Puszczy Piskiej.

Wspólne wakacje udały się nadzwyczajnie, mimo że Maria musiała się bardzo natrudzić, żeby zapewnić wszystkim pożywienie, bo zaopatrzenie w Polsce było w tym czasie fatalne. Widząc jej zmagania Irmina powtarzała:

- Dla moich dzieci to będzie dobre doświadczenie. U nas jest nadmiar wszystkiego, więc apetyty też rosną. Chcę, żebyście niczego przed nami nie udawali. Bo tak naprawdę aby żyć, człowiek nie potrzebuje tak wiele. Kiedy jest niedostatek, większe znaczenie mają sprawy duchowe.

W gruncie rzeczy obie kobiety nie przywiązywały wagi do braków w polskich sklepach. Maria do nich przywykła, a Irmina wiedziała, że to chwilowe. Wróci do Francji i wszystko będzie, jak dawniej. Po prostu trzeba było przejawiać więcej inwencji. Toteż Maria lepiła pierogi, smażyła placki ziemniaczane, gotowała grzyby i przyrządzała świeże, zakupione prosto od rybaków ryby, a Irmina rażno jej w tym sekundowała. A dzieci? Jadły, aż im się uszy trzęsły, kąpały się w jeziorze i urządzały sobie wycieczki rowerowe. Wszyscy w domu Marii mówili coraz lepiej po francusku, a Bergeronnette'owie zaczęli rozumieć po polsku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy Maria przyjechała następnym razem do Francji, jej kontrakt miał potrwać pięć miesięcy i liczyła na to, że pod koniec jej bliscy przyjadą do niej i zostaną na wakacje.

W Paryżu zastała zmiany. Sophie, już studentka, wyniosła się z domu i zamieszkała ze swoim ekscentrycznym chłopcem Dominiem. Patryk był już licealistą. Przerósł swego ojca o głowę. Oprócz liceum kończył równocześnie wieczorową szkołę muzyczną i w domu trwały zażarte spory o jego przyszłość.

Ponieważ zapowiadał się na świetnego pianistę, René nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie zamierza studiować w akademii muzycznej. Muzyka, owszem, była jedną z pasji chłopca, rzecz w tym, że nie jedyną. Tym, co go ostatnio urzekło, była elektronika i z nią wiązał swoje życiowe plany. Ojciec czuł się zdradzony, oszukany i uważał, że chłopiec chce pójść taką drogą za namową matki, bo kiedyś, gdy się o to spierali, Irmina powiedziała:

- Och, dajcie mi spokój. Jeden artysta w rodzinie to aż nadto.

Bardzo się wtedy pokłócili.

Sprawę przyszłości Patryka rozstrzygnęła matura. Zdawał na niej egzamin z informatyki. Uzyskał nie tylko najlepszą ocenę, ale opinię wybitnie uzdolnionego w tej dziedzinie, a także wstęp bez egzaminu i stypendium na Wydziale Informatyki na Sorbonie. To skończyło spory, ale ojciec nie przestał kręcić nosem.

Kontakty obu przyjaciółek na trzy długie lata ograniczyły się jedynie do korespondencji, bo władze w Polsce po zrywie „Solidarności” ogłosiły stan wojenny.

Na wieść o tym René nabierał wycinków z prasy francuskiej na temat polskiego reżimu, zapakował wszystko do koperty i razem z

listem pełnym inwektyw pod adresem ludowej władzy wysłał na adres Marii. Zrobił to w okresie najgorszej cenzury, gdy korespondencja z zagranicy była w szczególnie sposób kontrolowana, więc łatwo sobie wyobrazić, jakie były następstwa jego nieprzemyślanego działania. Maria przeszła przez piekło. Przesłuchiwana bez końca, z trudem wytłumaczyła, że nie odpowiada za to, co kto do niej wysłał, a że reakcja cudzoziemców na stan wojenny była ostra, o czym sami jego ustanowiciele wiedzieli.

W każdym razie była na cenzurowanym przez długi czas. Napisała o tym wszystkim do Irminy, podpisując list innym nazwiskiem, które widniało też na kopercie. Liczyła na to, że przyjaciółka domyśli się adresatki z charakteru pisma. O swoich perypetiach pisała w trzeciej osobie. Na końcu poprosiła, żeby na jakiś czas przerwać wymianę listów.

Irmina opowiedziała jej potem, że czytając to popłakała się, bo doznała uczucia *déjà vu*.

Kiedyś przecież jej rodzina już to przeżywała, gdy w 1936 roku jej babcia i ciotki z Odessy napisały, że lepiej, żeby do nich nie pisać, bo mogą mieć kłopoty.

Do Pagartu przychodziły z Francji kontrakty dla Marii, ale nie dostawała zgody na ich realizację. Im więcej ich napływało, z tym większą nieufnością decydenci od paszportów na nie patrzyli. A przyjaciele Marii z Paryża dosłownie prześcigali się w składaniu ofert i zaproszeń dla niej. Był to poza tym, że chcieli ją widzieć, styl wszystkich ludzi kultury na świecie. Solidarnie przypominali sobie o artystach w Polsce i wyciągali do nich pomocne dłonie.

I wreszcie po jakimś czasie trwania stanu wojennego, kiedy już przyzwyczaiła się do jego uciążliwości i kiedy jego rygory trochę zelżały, wezwano ją nagle do Pagartu, wręczono paszport i oświadczono, że może wyruszyć do Paryża na kontrakt w znanym kabarecie. Miała wtedy kłopoty z kręgosłupem, a więc nie od razu ogarnęła ją entuzjazm z tego powodu. Wyjazd miał nastąpić za kilka tygodni. Może wykorzystać ten czas na rehabilitację. Zakładała, że przyniesie ona pożądane efekty, a wtedy będzie mogła wyjechać.

* * *

No i udało się. Cieszyła się na spotkanie z Paryżem, z pracy, która pozwoli trochę załatać dziury w ich siermiężnym budżecie, ale nade wszystko cieszyła ją perspektywa spotkania z Irminą.

A u niej nastąpiły duże zmiany. Sophie i Dominik skończyli studia

i pobrali się, a Patryk jeszcze jako student robił karierę w informatyce. Zaangażowano go już nawet do Ministerstwa Obrony Narodowej. Brał udział w opracowywaniu nowoczesnych programów komputerowych dla lotnictwa. Miał też narzeczoną. Była to śliczna studentka konserwatorium w klasie fortepianu. Poznali się na koncercie jego ojca, który Patryk jak zwykle nagrywał na taśmę. Dziewczyna tak gorąco oklaskiwała René i w takim skupieniu go słuchała, że siedzący naprzeciwko niej Patryk nie mógł od niej oderwać oczu. Potem kupiła kasetę z nagraniem mistrza i przyszła po autograf. Ponieważ kolejka do René była długa, Patryk obiecał, że załatwi jej autograf ojca bez kolejki, jeśli zamiast tu stać wypije z nim w bufecie kawę.

- Monsieur Bergeronnette jest twoim ojcem? Ty to masz szczęście. Zazdroszczę ci. Chciałabym kiedyś grać tak, jak on.

- Jesteś pianistką?

- Studentką drugiego roku w klasie fortepianu.

- Ja też trochę gram. Ale studiuje informatykę.

Wypili wtedy kawę, wymienili numery telefonów, dziewczyna dostała upragniony autograf i rozstali się na dwa dni. A potem zaczęli się spotykać codziennie.

Patryk opowiadał o tym Marii na wyścigi z Michelle. Bardzo byli młodzi i do twarzy im było z miłością, która roziskrzyła ich spojrzenia. Chłopak zmienił się nie do poznania. Przedtem nieśmiały i zakompleksiony, teraz nabrał pewności siebie. Zmienił też styl ubierania się. Nie nosił już sportowych bawełnianych t-shirtów, lecz garnitury i eleganckie koszule. Kopiował trochę styl swego ojca i bardzo mu było z tym do twarzy.

Irmina nie posiadała się z radości patrząc na niego tak odmienionego. Maria też, bo wiedziała, że Patryk jest przedmiotem szczególnej troski swojej matki. Zawsze mówiła:

- O Sophie jestem spokojna. Ona sobie poradzi, ma dar zjednywania sobie ludzi, urodę i wdzięk. Ale Patryk? Nie wiem, co go czeka, jest taki wrażliwy, nieufny wobec świata. Chyba ma przeczucie, że świat może go skrzywdzić. On jest za dobry. Kocha bliskich, kocha wszystkich, których spotyka, boję się, że nie dostanie tyle miłości, na ile zasługuje, i będzie rozczarowany.

A jednak się myliła. Patryk swoim nowym stylem życia najwyraźniej rozproszył jej obawy.

Sama Irmina też miała swoje niezaprzeczalne sukcesy. Grupa badawcza z jej udziałem wyodrębniła nowe groźne wirusy i szczepionkę przeciw nim. Wyniki ich badań zostały przedstawione Komisji

Noblowskiej. Nazwa tej szczepionki była objęta tajemnicą do czasu zatwierdzenia jej przez Międzynarodową Komisję Naukową.

Tak więc Maria odnalazła swoich paryskich przyjaciół w znakomitej kondycji i świetnych nastrojach.

W następnym roku urodziła się ich pierwsza wnuczka - Mireille. Maria była akurat w Paryżu, więc zobaczyła niemowlę.

Latem natomiast przez dwa tygodnie gościła u siebie w Morzejowie Irminę i Patryka. Jego dziewczyna w tym czasie broniła pracę dyplomową, a René koncertował na południu Francji.

Jesienią mieli wyjechać razem do Palo Alto w Kalifornii, gdzie Dominik dostał posadę i osiedlił się na kilka lat z Sophie i małą Mireille.

- Jak się sprawuje René jako dziadek? - spytała kiedyś Maria swoją przyjaciółkę. - Sądząc z fotografii, które obejrzałam, chętnie zajmuję się małą.

- Ach, zajmuje się to za dużo powiedziane. Ale cieszy się z wnuczki, nawet się nie spodziewałam, że „dziadkowanie” sprawi mu taką radość.

- Dotarliście się.

- No wiesz, teraz, kiedy się starzejemy, emocje są mniejsze. Myślmy bardziej o dzieciach niż o sobie. A jak maleją napięcia, konfliktów też jakby mniej. Przynajmniej ja czuję się pogodzona z życiem. Niech już będzie tak, jak jest, byleby gorzej nie było...

Mówiąc to nawet nie przypuszczała, jak bardzo cenne w jej życiu są to chwile, jak szczęśliwe w porównaniu z tym, co wkrótce miało nadejść.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Po kilkunastu miesiącach od tego spotkania Maria dostała zawiadomienie o narodzinach syna Sophie i Dominika - Alberta. Młodzi rodzice zdecydowali, że jego chrzest odbędzie się w Paryżu, gdy będą tam spędzać urlop. Wysłali Marii zaproszenie na tę uroczystość.

Irmina już stęskniła się za przyjaciółką, bowiem ostatnie dwa lata wyjeżdżała ona za ocean, gdzie odbyła dwa kilkumiesięczne tournée dla publiczności polonijnej. Kiedy wracała na krótko do domu, miała zbyt dużo zaległych spraw, żeby myśleć o kolejnym wyjeździe do Francji.

Ponadto w kraju działo się teraz dużo. Były to sprawy zapierające dech w piersiach i Maria wolała być na miejscu, żeby mieć we wszystkim swój udział i żeby niczego nie przeoczyć.

Ustalono bowiem termin rozpoczęcia obrad tak zwanego Okrągłego Stołu, z którym wszyscy wiązali wielkie nadzieje na pozytywne zmiany i skierowanie polityki w państwie ku dobru żyjących w nim ludzi.

Irmina, która wciąż ponawiała zaproszenia, dziwiła się, że ociążanie się Marii z reakcją na nie może być spowodowane jakąś tam decyzją rządową. Tylko że ona nie żyła na co dzień w Polsce. Nie rozumiała tej nadziei, zbiorowej euforii, która niewątpliwie zmuszała rządzących do zastanawiania się nad tym, co dalej. Starsi ludzie mówili, że okres ten, cały ten zryw można porównać tylko z nastrojami panującymi w Polsce w czasie wyzwolenia jej spod zaborów.

I wreszcie szóstego lutego, dokładnie o godzinie czternastej dwadzieścia trzy niemal cały naród wpatrujący się w ekrany telewizorów zobaczył transmisję z Pałacu Namiestnikowskiego na Krakowskim Przedmieściu z obrad Okrągłego Stołu.

Niebywała sprawa: działacze KC, ci, co niedawno byli autorami stanu wojennego, obradujący razem, jak równi z równymi, z opozycją, ze zwalczaną dotąd „Solidarnością”. I przemawiający do swoich prześladowców Lech Wałęsa, śmiało artykułujący swoje propozycje: „(...) Zacząć trzeba od przywrócenia pluralizmu związkowego, od przywrócenia «Solidarności» i mamy do tego prawo (...)” Oklaskiwano za te słowa ówczesnego polskiego idola niemal we wszystkich domach.

Po zakończeniu obrad posypały się jak lawina pozytywne zmiany w Polsce; na przykład przywrócono cześć i obywatelstwo zasłużonym w wojnie generałom pozostającym na przymusowej emigracji. Ogłoszono rekomendowane przez Okrągły Stół, pierwsze od II wojny światowej wolne wybory. Słowem, zaczął się nowy okres w dziejach Polski.

O tym wszystkim Maria opowiadała Irminie przez telefon, a ta przerwała jej:

- Nie poznaję cię, Mario. Nie mówisz do mnie, a przemawiasz. Wszędzie na świecie dużo się dzieje w polityce i w ogóle, ale żeby normalni ludzie rezygnowali z tego powodu ze swoich prywatnych podróży, to już przesada. Powiem ci na to, że staram się zrozumieć waszą skomplikowaną historię, ale odnoszenie się do niej w życiu codziennym uważam za przesadę. Umarł też w tym czasie Salvadore Dali i nasz wielki filmowiec André Cayate, AIDS nieprawdopodobnie się rozprzestrzeniła... To wszystko jest ważne, ale trzeba żyć dalej. Nie rozumiem cię i już.

- Gdybyś tu była, zrozumiałabyś.

Bo też działo się w Polsce, oj działo! I jakby historia nie oceniała potem Okrągłego Stołu, był to początek wielkich, nieodwracalnych zmian.

* * *

Mimo swego zaangażowania w polskie przemiany Maria nie zamierzała bynajmniej nie skorzystać z takiej okazji, jak zjazd całej rodziny Bergeronnette'ów w komplecie.

Udzielenie sakramentu chrztu małemu Albertowi odbyło się w kaplicy École Militaire, gdzie jego dziadek był organistą, a rodzicami chrzestnymi zostali Patryk i jego narzeczona Michelle.

- Pięknie razem wyglądają - szepnęła Maria do Irminy. - Cieszę się, że jest szczęśliwy.

- Oby! - odszepnęła jej przyjaciółka i pokiwała głową jakby z po-

wątpiewaniem.

Kiedy widziały się ostatnio, Irmina była taka zadowolona z odmiany, jakiej uległ jej syn pod wpływem tej miłości, a teraz... czyżby było jakieś „ale”?

Ponieważ René przez całe swoje życie i pracę związany był z kościołem katolickim, jego żona nie chcąc komplikować w rodzinie sprawy przekonań, wychowała swoje dzieci w wierze katolickiej, chociaż sama była prawosławna. Z mężem tego nawet nie omawiała, uważała, że nie dopuściłby innej sytuacji, chociaż między Bogiem a prawdą nie inwestował swego czasu w to, aby zgłębiać życie duchowe swoich dzieci.

Z opowieści własnej matki wiedziała, że w kochającym się małżeństwie jej rodziców, a dziadków Irminy, sprawy wiary były jedynym punktem zapalnym i ciągle spierano się o to, wedle którego obrządku powinny odbywać się chrzty, śluby, pogrzeby. Pamiętając to z dzieciństwa matka, która знаła obie religie, bez dyskusji odnalazła się w prawosławiu, żeby nie przeciwstawiać się ukochanemu mężowi. W ten sposób jej dzieci nie miały już tego dylematu. Irmina postąpiła podobnie z własnej woli. Sama chodziła jednak do cerkwi i prosiła, żeby z okazji wielkich świąt bliscy jej towarzyszyli. Tak więc i po ochrzczeniu Alberta wszyscy udali się na ulicę Daru, gdzie stała rosyjska cerkiew. Postali tam grzecznie czekając, aż babcia odmówi pacierze, i dopiero wtedy pojechali na przyjęcie do restauracji w Wersalu.

Było to urokliwe miejsce w ogrodach sąsiadujących z terenami pałacu. Stoły poustawiano na rozległym tarasie pod lampionami. Orkiestra ulokowana w jednej z altanek grała dyskretnie walc Straussa, zgodnie z nazwą lokalu *Wiedeński walc*.

Sophie z Dominikiem dlatego wybrali ten lokal, że należał on do rodziców jednego z ich przyjaciół, poza tym był elegancki i na tyle obszerny, że mógł przyjąć wszystkich zgromadzonych na uroczystości. A było ich naprawdę dużo. Krewni i znajomi rodziców dziecka oraz ich przyjaciele. Narzeczona Patryka z rodzicami i... Właśnie! Narzeczona Patryka! Maria przebiegła oczami wszystkie stoły i nie dostrzegła Michelle. Jej rodzice siedzieli obok przyszłego zięcia, który rozglądał się nerwowo. Przypomniała sobie reakcję Irminy, gdy zachwyciła się tym, jak narzeczeni pięknie do siebie pasują. Co tu się święci? - zmartwiła się, widząc, że syn przyjaciółki nadal rozgląda się smętnie po sali. - To, że jest przez chwilę sam - wytłumaczyła sobie - nic złego nie musi znaczyć.

Dopiero teraz Maria zobaczyła, że posadzono ją naprzeciw siostry

Irminy, Maszy, i jej sympatycznego męża, którzy uśmiechają się do niej.

- Co za miłe sąsiedztwo, cieszę się, że państwo przyjechali. Co słyhać?

- *Ça va!* * - odpowiedzieli razem.

* W porządku!

Oczywiście. U Francuzów zawsze jest *ça va*, nawet wtedy, kiedy nie jest. Ale ta jej myśl nie dotyczyła tych dwojga. Oni rzeczywiście byli jednością. Nawet w jakiś dziwny sposób upodobnili się do siebie. Jednakowo się uśmiechali, jednakowe mieli na wszystko reakcje, zgodnym chórem wyrażali swoje zdanie. Ich związek jest tak idealny, że aż dziwny - pomyślała. Ale kiedy znowu spojrzała na nich, zobaczyła, że zajęci rozmową, świetnie się ze sobą bawią.

Bohater wieczoru, Albert, usadowiony na kolanach matki, machał z zapalem grzechotką, aż furkotały falbaniaste rękawy jego uroczystego stroju. Rozglądał się dookoła wielkimi, ciemnymi oczyma, sprawdzając na twarzach gości efekty swoich działań. Głodny był jak zwykle aplauzu, do którego przywykł w ciągu kilku miesięcy swojego życia. I teraz też się nie zawiodł. Każdy, na kogo spojrzał, obdarzał go uśmiechem i komplementem, a więc warto było się popisywać. Robił to w przerwach między jednym a drugim łykiem jedzenia, jakim Sophie faszzerowała go pracowicie.

Zupełnie odwrotnie niż on zachowywała się jego o półtora roku starsza siostra, która odwracała buzię od babci Irminy, gdy ta usiłowała ją nakarmić.

- Skaranie boskie z tą Mireille! Nie mam pojęcia, czym ona żyje. Nieraz przez cały dzień udaje się w nią wmusić okruszynkę serka Kiri i nic więcej.

- *Arrêtes, Bibou! Je ne veux plus!** - broniła się mała ślicznotka.

* Przestań, Bibou! Już nie chcę!

Maria wyszła na chwilę do toalety, która była usytuowana naprzeciw wyjścia do ogrodu, i ze zdumieniem zobaczyła na ławce pod kasztanem René i Michelle. Dziewczyną była zapłakana, a on gładził ją czule po włosach i mówił:

- *Ne pleures pas, ma chère. Tout sera bien, je t'assure**.

* Nie płacz, kochana. Wszystko będzie dobrze, zapewniam cię.

Nie widziała jego twarzy, był odwrócony tyłem. No proszę, jaki czuły teść. A Sophie skarżyła się na niego, że nie chce zaakceptować Dominika.

Swoją drogą - pomyślała Maria - Bergeronnette'owie nie powinni narzekać na partnerów swoich dzieci. Michelle jest śliczna i utalento-

wana, a Dominik atrakcyjny, elegancki, inteligentny i z żyłką do interesów. Na pewno jest też świetnym mężem i ojcem. Świadczy o tym choćby to jego niezwykle ciepłe spojrzenie. Jedno, co Marii trudno byłoby zaakceptować, gdyby był jej partnerem, to nadmiernie owłosione piersi i ręce. Jak u zwierzaka. Może to zresztą normalne u takich ognistych brunetów? - zastanowiła się, a zaraz potem przeraziła się swoimi myślami: - O Boże! Co też mi przychodzi do głowy? Ja partnerką Dominika?! I przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, przemknęło jej przez myśl, że stanowi zbyt duży kontrast z delikatną Sophie.

No proszę. A oni kochają się i są szczęśliwi. Powinam chyba powiedzieć Patrykowi, gdzie jest jego ukochana i że ma jakieś zmartwienie - pomyślała Maria. Na pewno lepiej ją pocieszy niż jego ojciec. Już miała to zrobić, gdy zobaczyła, że dziewczyna wraca na swoje miejsce. Z chmurą na czole, ale nosek ma przypudrowany i łyzy wytarte.

Patryk zerwał się, żeby ją powitać, lecz ona omijając go wzrokiem, zwróciła się do swoich rodziców:

- Strasznie boli mnie głowa, czy ktoś z was mogłoby mnie odwieźć do domu?

- Co się dzieje? Ja cię odwiozę, *chérie* - powiedział jej narzeczony.

- Ty zostań, to przecież chrzciny twego siostrzeńca.

- Odwiozę cię i wrócę.

- Zostań, proszę. Tata mnie odwiezie.

- Oboje to zrobimy - włączyła się pani Bosquet. Jeśli jest chora, potrzebna jej będzie pomoc. Ostatnio moja córka nie czuje się najlepiej - tłumaczyła ją przed gośćmi. - Te jej bóle głowy... Bardzo się martwię.

Bosquetowie wstali, Patryk też, ale nie wiedział jak postąpić. Michelle rzuciła wszystkim „*Bonne fin de soirée*”*, odwróciła się na pięcie i wyszła.

* Miłego końca wieczoru

Irmina patrzyła z troską na syna. Co się z nią, do licha, dzieje? - zadała pytanie raczej sobie niż komukolwiek innemu. Przesadziła Mireille ze swoich kolan na kolana Dominika i podniosła się, żeby pożegnać wychodzących.

Sophie, obserwując tę scenę, szepnęła mężowi, żeby oddał Mireille pod opiekę brata.

- Szybko, kochanie. On za nią przepada, zaraz się odpreży.

Mireille i jej wujek uwielbiali się wzajemnie. Toteż po kilku

minutach Patryk wzięty przez małą w obroty sekundował jej szaleństwom z zadowoloną miną. A Sophie posyłała matce porozumiewawcze spojrzenia.

* * *

Późnym wieczorem, kiedy po przyjęciu wróciły do domu, Irmina przysłała do pokoju Marii, usiadła obok niej na łóżku i zapytała:

- I co ty na to?
- Świetna uroczystość. Doskonały pomysł z tym przyjęciem w Wersalu. Urokliwe miejsce i świetna kuchnia.

- To wszystko, na co zwróciłaś uwagę?
- Może jeszcze na to, że René lubi twoją przyszłą synową. Dominikowi nie poszło z nim tak łatwo.

- Nic dziwnego. Dominik nie był wobec niego tak czołobitny, jak Michelle. Ona patrzy w niego jak w obraz, bo jest jej mistrzem. Taka adoracja to pokarm dla jego duszy. Wiesz, jak on to lubi. A poza tym, jak każdy samiec, był zazdrosny o Sophie, a Dominik sięgał po jego ukochaną własność.

- A ta Michelle? Ona nie jest zdrowa?
- To mnie właśnie martwi. Do niedawna była wesoła, miła i pełna energii. Ostatnio coś się z nią dzieje. Wciąż zmęczona, spięta i opryskliwa. Patryk ze spotkań z nią przychodzi coraz bardziej przygnębiony.

- To może rzeczywiście jest chora. Ale nie wygląda na taką. Ma śliczną, zdrową cerę i w ogóle.

- No właśnie. Jednakże choroba nie od razu gasi młodą urodę. Będę musiała powiedzieć Patrykowi, żeby zmusił ją do przebadania się.

- A może ona jest w ciąży?

- To by było wspaniałe! Tylko dlaczego mój syn nic o tym nie wie?

- Wiesz, jak to jest z młodymi. Może ona nie czuje się jeszcze gotowa na to, żeby zostać matką. Tym bardziej że zamierzała zrobić karierę jako pianistka.

- No tak. Co by to nie było, powinno się jak najszybciej wyjaśnić, bo Patryk bardzo to przeżywa. Od pewnego czasu jest tak rozdrażniony, że nie mogę się z nim dogadać w żadnej sprawie. Sophie twierdzi, że za bardzo się w jego życie wtrącam i jestem nadopiekuńcza. Sądzi, że nie powinnam wciąż do niego biegać. Ale ona zawsze uważała, że kocham go bardziej niż ją. Jest zazdrosna.

Patryk już od roku nie mieszkał w domu rodziców. Korzystając z tego, że jego siostra z mężem wyjechali, wprowadził się do studia przy placu Charles Michel, które rodzice kupili dla Sophie na jej dwudzieste urodziny. Irmina biegła do niego codziennie, żeby mu posprzątać, wyjąć pocztę ze skrzynki, bo często o tym zapominał, i zanieść coś do jedzenia. Zważywszy na to, że jak dotąd wciąż pracowała w Instytucie Pasteura i prowadziła swój dom, w którym kapryśny, zapatrzony w siebie René nie ułatwiał jej życia, było tego za dużo. Maria też była tego zdania. Nazajutrz po chrzcie Alberta Patryk telefonicznie poprosił matkę, żeby nie przychodziła do niego przez najbliższe dni, bo ma pracę wymagającą dużego skupienia i nie chce, żeby go dekoncentrowała.

Odłożyła słuchawkę i wbiegła swoim lekkim, szybkim krokiem do pokoju Marii. Streściła jej treść rozmowy z synem i usiadła.

- I co ty na to?
- Nie widzę w tym nic dziwnego.
- ???

- Jak to, nie wiedziałas, że twój syn ma pracę wymagającą skupienia? Przecież on robi ogromnie odpowiedzialne rzeczy. Projektowanie oprzyrządowania elektronicznego dla samolotów waży o ludzkim życiu. Uszanuj to.

- Ależ szanuję. Wiesz, jeden z inżynierów z DACO, który jest kierownikiem ich laboratorium badawczego, powiedział, że on jest genialny. Genialny! Tak się wyraził.

- No widzisz. Więc daj mu spokój, jeśli o to prosi. Tym bardziej że Sophie z mężem i dziećmi lecą za cztery dni do Kalifornii. Mając więcej czasu, będziesz mogła bardziej się nimi nacieszyć, zanim was opuszczą.

- A wiesz, że masz rację.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tak więc Irmina zaraz po pracy jechała do wnuków i córki, żeby się nimi nacieszyć. Maria towarzyszyła jej tylko raz, bo miała swoje zajęcia w Paryżu, a także innych znajomych. Kiedy wracała do domu Bergeronnette'ów, siedziała w swoim pokoju, bo René prowadził nie kończące się rozmowy przez telefon i był tak nimi pochłonięty, że chyba jej obecności nie zauważał.

Gdy Irmina wracała, René już spał. Robiła późną kolację i dzieliła się z przyjaciółką wrażeniami. Tak było i dzisiaj.

- Co robiłaś dzisiaj, Mario? - spytała swojego gościa.
- Byłam na spotkaniu z muzykami, ale to nie trwało długo. A potem siedziałam w pokoju i czytałam sobie.
- René się tobą nie zajął?
- Rozmawiał długo przez telefon. Nie chciałam mu przeszkadzać. Nie wiem, czy w ogóle zorientował się, że jestem.
- Znowu? Wiesz, ja myślę, że on musi mieć jakieś kłopoty w pracy. Te jego przydługie rozmowy telefoniczne powtarzają się od jakiegoś czasu. Może poobrażał jakichś swoich znajomych, on to potrafi, a te raz stara się to naprawiać.

W przeddzień odlotu de la Chapelle'ów do Kalifornii Irmina nie wytrzymała i postanowiła wpaść do syna, żeby mu o tym przypomnieć. Z ulicy zobaczyła, że nie pali się u niego światło. Ucieszyła się, że wzięła ze sobą klucze. Będzie mogła zostawić mu kartkę.

Skrzynka była pełna korespondencji, ale to ją nie zdziwiło, bo on często zapominał ją opróżnić. Wzięła więc spory pakiet, żeby mu zanieść na górę. Przekręciła klucz w zamku i weszła do środka. Ogarnęła ją duchota. Zanim zapaliła światło, po omacku podeszła do okna, aby je otworzyć. Potem nacisnęła kontakt. Spojrzała na pokój i

stała jak wryta. Patryk był w mieszkaniu i wyglądał tak, że mało kto by go poznał. Rozczochrany, o dziwnie nabrzmałej twarzy i umykającym spojrzeniu zapuchniętych, a nawet lekko zaropiałych oczu. Ubrany był w szorty i bluzkę od piżamy. Biurko miał sprzątnięte, w każdym razie nie było na nim śladów jakiegokolwiek pracy. Monitor był wygaszony, klawiatura zakryta, a papiery zamknięte w teczce. Co więc on robił przez te trzy dni? Pił? To przecież do niego zupełnie niepodobne, wygląda na trzeźwego.

Wszystkie te spostrzeżenia przemknęły przez jej głowę w ułamku sekundy i po chwili była już przy nim.

- Synku, co się z tobą dzieje? Jesteś chory?

Nie zareagował.

- Odezwij się na litość boską, powiedz coś, bo oszaleję.

- Michelle mnie porzuciła. Nie mam już po co żyć.

- Zwariowałaś? Jak to porzuciła? Nie każda sprzeczka musi być zerwaniem

- Ale ja wiem, że ona mnie nie chce.

- A tam, zawracanie głowy! - pocieszała go matka. - Michelle ostatnio nie za dobrze się czuła, sama to widziałam. A wiesz, jak ktoś jest chory, to i rozdrażniony. Niech lepiej porobi badania. Zobaczysz, będzie dobrze.

Usiłowała go pocieszyć, choć sama od jakiegoś czasu podejrzewała, że coś jest nie tak. Mówiła i mówiła, nie patrząc na niego, żeby nie wyczytał z jej oczu wątpliwości, aż w pewnym momencie usłyszała jego chrapanie.

- Synku, Patryku, ty śpisz? - spytała z niedowierzaniem.

Nie odezwał się. Potrząsnęła nim, bo ten sen wydał się jej dziwny, jakiś za mocny. Zbadała jego puls. Był powolny, ale regularny.

- Mój Boże! - powiedziała do siebie. - Nalykał się czegoś.

Zerwała się i zaczęła rozglądać się po pokoju. Dopiero w łazience, na umywalce znalazła pojemnik z pastylkami nasennymi. Wyspała je i przeliczyła. Brakowało czterech. To nie powinno go zabić, chyba że połknął jakieś inne. Nie będzie ryzykować.

Zadzwoiła do Szpitala Laënnec, w którym miała znajomych. Telefon odebrała znajoma pielęgniarka Jaquelline. Irmina przedstawiła się i szybko opowiedziała jej o tym, co się dzieje.

- Wysłałam karetkę, proszę się rozłączyć.

Patryk spał nadal nieprzytomnym snem. Nie wiedziała, co ma ze sobą robić. Zaczęła przygotowywać mu rzeczy do szpitala. Postanowiła zostać tam z nim i bez względu na to, jaką diagnozę postawią mu w izbie przyjęć, zażądać płukania żołądka, tak na wszelki wypadek.

Uznała, że jeszcze zdąży zatelefonować do domu.

Odebrała Maria. Irmina w dwóch słowach powiedziała jej, jaka jest sytuacja.

- Jak mogę ci pomóc?
- Daj mi René do telefonu.
- Nie ma go w domu.
- Gdzie on się podziewa o tej porze?
- Nie mam pojęcia. Gdy wróciłam, już go nie było.
- Trudno, jak wróci, powiedz mu wszystko i niech się ze mną skontaktuje.
- Dobrze, na pewno tak zrobię.

Zdenerwowana Maria nie kładła się spać. Oczekiwała na pana domu. Po północy zadzwonił telefon. To była Irmina.

- Czemu René się tutaj nie zjawił ani do mnie nie dzwonił?
- Bo dotąd nie ma go w domu.
- Nie dzwonił?
- Niestety nie.
- A niech go diabli. Najważniejsze, że Patrykowi nic nie będzie, połknął tylko te cztery tabletki.
- Kamień spadł mi z serca. Kiedy wrócisz? A Patryk?
- Zatrzymają go do jutra. Ja zaraz wrócę, już wezwałam tak-sówkę.

Maria odprężyla się wreszcie. Poszła do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Przygotowała maleńkie tartinki, bo nie jadła nic od południa, a Irmina też pewnie coś przekąsi. Po namyśle zrobiła więcej tych *amuse-guele** na wypadek, gdyby René się zjawił. Ledwie postawiła dzbanek na stole, gdy usłyszała przekręcanie klucza w drzwiach wejściowych. Myślała, że to René, ale nie. To Irmina zdążyła już dotrzeć. Twarz miała bladą i wyciągniętą, jakby ubyłoby jej kilka kilogramów.

* (żartobliwie) „zabawiacz gęby”, przysmak

Kobiety wpadły sobie w ramiona. Maria tuliła przyjaciółkę i wycierała jej łzy.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mu się coś stało. A René? Nie ma go jeszcze? Tylko tego brakuje, żeby i jemu coś się stało.
- Może ma jakiś koncert?
- Nic mi o tym nie wiadomo. A może nawet mi mówił, ale ten zjazd rodzinny, chrzest, wiesz, był taki chaos, że mogło to do mnie nie dotrzeć. Trudno. Najważniejsze, żeby mu się nic nie stało.
- Miejmy nadzieję.

Irmina ziewnęła. Po odprężeniu, po wypiciu herbaty poczuła się

nagle bardzo zmęczona.

- Kładźmy się. René, gdy wróci, da sobie radę. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Złe rzeczy nie muszą się dziać wszystkie naraz.

- Jest jeszcze inne przysłowie stosowne do sytuacji, u nas, w Polsce, bardzo popularne: „Złego diabli nie wezmą”.

- Niezwykle trafne.

Roześmiały się obie, ale wiedziały, że trochę blefują, bo w gruncie rzeczy były zaniepokojone.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Obie spały nerwowo, nasłuchując, czy zablakany mąż nie wraca. Dopiero nad ranem na dobre chrapały. René nie wrócił do czasu, kiedy Irmina wyszła do pracy.

Zastanawiały się, czy powinny zawiadomić policję.

- Wiesz - powiedziała w końcu Maria - idź do pracy. Ja tu poczekam. Jak nie wróci do południa, zadzwonimy na komisariat.

- Jeżeli ściągną go z jakiegoś wyjazdu artystycznego, będzie miał głupią minę.

- Niech ma. Ale jestem przekonana, że nie było mowy o żadnym jego wyjeździe. On robi przy tym tyle szumu, że trudno byłoby nie zauważyć.

- Chyba masz rację.

Nie upłynęło pół godziny od wyjścia Irminy do pracy, gdy Maria usłyszała ciche przekręcenie klucza w zamku. Był to René, który skradającym się krokiem skierował się od razu do swego pokoju.

- Co się z tobą działo, na litość boską? Już miałyśmy zawiadomić policję - usłyszał głos Marii.

Wyglądał, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku. Zapytała go żartobliwie:

- Zabalowałeś? W twoim wieku? No, no!

Wyprostował się tak energicznie, że aż się cofnęła o krok. W oczach miał wściekłe błyski.

- Wypraszam sobie wszelkie aluzje do mego wieku. Jakie to ma znaczenie?

- No wiesz, powiedziałam to raczej w formie komplementu, że „stary a jary”, jak to się u nas mówi. Taki żarcik.

Ale jemu widać nie chciało się żartować.

- A wam się zdaje, że jesteście takie młode, co?
- Och, przestań. Nie bądź niegrzeczny. Zadzwoń lepiej do żony, że jesteś, bo się martwi. Nie spała prawie całą noc. Miałyśmy kłopot z Patrykiem.
- Z nim są same kłopoty. Niech słucha swojej matki, to dobrze wylądzuje. Ja nie muszę w tym dalej tkwić.
- Co ty mówisz???
- To, co słyszysz. Opuszczam ten dom. Dosyć mam tego marazmu. Coś mi się jeszcze od życia należy. Przekaż to swojej przyjaciółce.

Maria nie wiedziała, jak zareagować. Co za absurdalna sytuacja! To nie może być prawdą, dała się podejść. Zaczęła się śmiać. René popatrzył na nią z niesmakiem i wycedził przez zęby:

- Wariatka! Obie jesteście siebie warte. Mój Boże, jak ja mogłem zmarnować w tym domu tyle lat!

Odwrócił się na pięcie i poszedł do siebie. Najwyraźniej nie żartował. Maria usłyszała trzask otwieranych szuflad i przesuwanych przedmiotów. Nie wiedziała, co się dzieje, ale nie śmiała tam zajrzeć ani o nic pytać. Już i tak potraktował ją nazbyt niegrzecznie. A jeśli to prawda, co zamierza zrobić, nie może ją obarczyć tym, że sama powie o tym Irminie. Chyba nie jest takim tchórzem?

Poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i wykręciła na tarczy telefonu numer przyjaciółki w Instytucie. Odpowiedziano jej, że właśnie dotarła do pracy i zaraz podejdzie do aparatu. Zastanawiała się rozpaczliwie, jak jej zrelacjonować to, co zaszło, i czy w ogóle to robić. A Irmina już była na linii.

- Halo, Maria, co się dzieje? Wrócił?
- Tak. Dziwnie się zachowuje. Musisz natychmiast przyjechać. Potraktuj to poważnie.
- Ale jak dziwnie? Jest pijany? To mu się raczej nie zdarza.
- Nie jest pijany. Musisz przyjechać. Nie zlekceważ tego. Nic więcej nie mogę zrobić.

Odłożyła słuchawkę i od razu tego pożałowała. Bała się, że teraz Irmina do niej zadzwoni, żeby się czegoś więcej dowiedzieć, a René podniesie słuchawkę. Uchyliła drzwi do przedpokoju. Energiczne działania w pokoju pana domu trwały nadal.

Jeśli mówił serio, pewnie się pakuje - pomyślała z rezygnacją. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko modlić się, by przyjaciółka wróciła na tyle szybko, żeby go jeszcze zastać w domu. Co za idiotyczna sytuacja. Że też nie usunęła się z tego domu, zanim to się zdarzyło. No tak, ale wtedy zostawiłaby Irminę samą, a ona będzie potrzebowała

wsparcia, jakkolwiek to się nie potoczy. Minuty płynęły nieubłaganie. Żeby tylko zdążyła...

Nasłuchiwała odgłosu z zewnątrz. Dwa razy trzasnęły drzwi windy, ale potem znowu trwała nieznośna cisza. Aż nagle rozdarł ją ostry dzwonek telefonu. Już dotykała słuchawki w swoim pokoju, ale zrezygnowała z tego i pobiegła do głównego holu, żeby uprzedzić odebranie telefonu przez René. I to był błąd. Był szybszy od niej.

- Halo - odezwał się nieswoim głosem. - Tak. Pamiętam, że wylatujesz. Pożegnaj ode mnie Dominika i dzieci. Nie, nie będę mógł być na lotnisku. Poproś Patryka, żeby was zawiózł. Ma większy samochód. (...) Nie wiem, gdzie on jest. Na pewno się z tobą skontaktuje. (...) To wasza matka mu powie. Jest z nim w kontakcie. Nie powiem jej, bo jej nie zobaczę.

Maria z zapartym tchem przysłuchiwała się przez uchylone drzwi tej rozmowie. Biedna Sophie, pewnie nie może zrozumieć, co się tutaj dzieje. Ale to dobrze, że dzwoni, może spowolni trochę jego pakowanie. Żeby tylko nie odłożył słuchawki. Nie, jeszcze rozmawia...

- Wcale się dziwnie nie zachowuję. (...) Dobrze, zostawię wiadomość twojej matce. (...) Bo muszę nagle wyjechać. Napiszę do ciebie. Pa. Wysokich lotów.

Odłożył słuchawkę. O Boże! Co mam zrobić? Zadzwoić do Sophie? - zastanawiała się Maria. W tym momencie telefon odezwał się znowu. Natychmiast chwyciła słuchawkę i rzuciła przez drzwi:

- To do mnie, nie fatyguj się.

Potem ściszym głosem szepnęła do słuchawki:

- Słucham? Tak, tu Maria. - Jak się domyślała, dzwoniła Sophie.

- Co się tam dzieje? Dlaczego tata tak dziwnie rozmawiał i dokąd on tak nagle jedzie? Przecież miał nas odwieźć na lotnisko. Dzwoniłam do Patryka, nie ma go w domu, mamy nie ma w pracy, ja nic nie rozumiem. Przecież ja...

- Posłuchaj mnie przez chwilę, kochanie. Powinnaś się tutaj zjawić jak najszybciej. Z dziećmi czy bez nich, ale musisz tu przyjechać.

- Co się stało? Jakiś wypadek?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Wszyscy są zdrowi, ale zaistniały fakty, z którymi trzeba coś zrobić. Potrzebna nam twoja pomoc.

- Dobrze. Przyjadę.

- Będę ci wdzięczna.

Mówiła ściszym głosem, zerkając przez uchylone drzwi, czy René aby nie podnosi słuchawki. Ale nie. On robił swoje. Niespiesznie. Uważał, że ma dużo czasu. Jego niechciana żona wracała z

Instytutu po szóstej. Krzątał się póki co w łazience, opróżniał najwyraźniej swoją szafkę. Niech robi, co chce, ale nie może umknąć jak złodziej - myślała. - Niech spojrzy w oczy żonie, córce, a potem niech go diabli! A co będzie, jeśli nie zdążą? Nie pozwolę mu na to!... Ale jak? Położę się pod drzwiami jak Rejtan, z rozdartą koszulą? Co za farsa!...

Maria poczuła zimny pot na plecach. Serce waliło jej w piersi tak, że bała się, iż za chwilę wyskoczy.

W końcu usiadła na łóżku i zaczęła płakać. Z wściekłości i bezsilności. I wtedy stał się cud. Stuk, drzwi windy i zgrzyt przekręcającego klucza. W drzwiach stanęła Irmina.

- Mario! - zawołała - jesteś tu?

Maria wyszła jej naprzeciw bez słowa. W pokoju René ucichła krzątanina.

- Co się dzieje? Znowu go nie ma? Trzeba mnie było uprzedzić. Po co jechałam?

- Dobrze, że jesteś. Twój mąż jest w domu - podeszła do przyjaciółki, objęła ją, cmoknęła w policzek. - Trzymaj się kochana - szepnęła i już jej przy niej nie było.

Irmina zdezorientowana ruszyła w stronę pokoju René. W tej samej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Maria zawróciła spod swego pokoju, żeby je otworzyć.

- Sophie! Chwała Bogu, że jesteś. Zdążyłaś w samą porę.

- Co się stało? - spytała przybyła z Albertem na rękach. Za nią stał Dominik, popychający przed sobą córeczkę.

- Trochę zamieszania - odpowiedziała Maria. - Ale tata wam wszystko chętnie sam wyjaśni.

Kiedy Maria poszła do siebie, René ukazał się w drzwiach swojego pokoju i wyszczał:

- Pięknie to zaaranżowała! Pomyśleć, że sam tę żmiję wprowadziłem do mego domu.

- Do kogo ty to mówisz? - spytała Irmina, zdziwiona jego słowami.

- Do twojej przyjaciółki. Jesteście takie same.

Irmina oniemiała. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie takiego jadu i agresji od człowieka, który zamiast przeprosić, że po trzydziestu latach małżeństwa nie wraca na noc do domu, wyżywa się na gościu. Zwariował czy co?

- René, przepros ją natychmiast!

Sophie rozbierała dzieci siedząc na kanapie. Posadziła Alberta na dywanie i patrzyła z niedowierzaniem na to, co się dzieje. Szczerze

mówiąc, też była wściekła na Marię, że ta przerwała jej pakowanie i kazała tu przyjechać kilka godzin przed podróżą. Przez jej histeryczne zachowanie mogą się spóźnić na samolot. Myślała sobie już Bóg wie co, a oni się po prostu kłócą.

Irmina wzięła na ręce Alberta i poszła do pokoju Marii.

- No chodź do nas Mario, nie przejmuj się tym wariatem. Wiesz, jaki jest porywczy. Zaraz mu będzie głupio.

- Dziadek jedzie z nami! Hurra! - zawołała Mireille, która nie wiedzieć kiedy znalazła się w pokoju René.

- Co ci przyszło do głowy, moja Szu-Szu? - zdziwiła się Irmina. - Dziadek tylko odwozi was na lotnisko.

- To po co się spakował? - odpowiedziała pytaniem Mireille i otworzyła szeroko drzwi, żeby im pokazać stojące walizki.

W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy oczekiwali wyjaśnień dziadka, a ten nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Bo jak tu wyjawić im swoje plany, gdy jedno dziecko raczkuje po dywanie, drugie tuli się do jego nogi, a zięć zerka na niego podejrzliwie, poprawiając przed lustrem swój nienaganny krawat. Maria, która zawsze podziwiała Irminę bardziej niż jego, czai się w holu z wypiekami na twarzy. Jego córka patrzy wyczekująco swymi niewiarygodnie pięknymi oczami, a żona nie przestaje gderać, żeby przeprosił niewydarzonego gościa. Jak ma im teraz powiedzieć, że zamierza ich opuścić? Gdyby nie podstęp Marii, odszedłby sobie spokojnie, uniknął tej niezręcznej sytuacji. To ona, Maria, naważyła piwa i niech je teraz wypije.

- Chciałaś mnie przechytrzyć, to teraz im powiedz! - zwrócił się do niej.

- O nie, mój drogi. Mną się nie wyręczysz. Nie wątpię, że się jednak odważysz - powiedziała i usiadła w fotelu.

Powinna była po tych słowach zostawić ich samych, tak chyba należało zrobić, ale sytuacja była do tego stopnia irracjonalna, że zasady bon tonu przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. To, że tylko ona, osoba bądź co bądź postronna, i główny bohater wiedzą, co tu jest grane, usprawiedliwiało jej obecność.

- Dosyć tego - zdecydowała Sophie. - Kłóćcie się sami, my idziemy się pakować. Mamo, pomóż mi ubrać dzieci.

Irmina posłuchała natychmiast.

- Zostańcie, proszę. Ojciec ma wam coś do powiedzenia - wtrąciła się Maria.

- Dobrze - zdecydował René. - Niech ci będzie. Odchodzę. Opuzczam ten dom na zawsze.

- Coo??? - rozległ się rodzinny chór.

- A nie mówiłam! - ucieszyła się Mireille. - Dziadek jedzie z nami do Palo Alto!

- Naprawdę, tato? - spytała Sophie.

- Nie, ja tylko... - zaczął się płatać, bo zdał sobie nagle sprawę, że cokolwiek powie, będzie nie na miejscu. - Do diabła z wami! - krzyknął bezradnie.

Złapał parasol ze stojaka i wyszedł, rzucając jeszcze zza drzwi:

- Jutro przyjdę po rzeczy. Klucze zostawię u konsjerżki.

I już go nie było. Wszyscy zamarli w pozach, w jakich ich zostawił.

- Po co mu parasol, gdy nie ma deszczu - odezwała się Maria i wybuchnęła histerycznym śmiechem, który powoli zamieniał się w szloch. Jej napięcie musiało wreszcie znaleźć jakieś ujście.

Upłynęło trochę czasu, zanim się uspokoiła. Wszyscy patrzyli na nią pytająco.

- To prawda - powiedziała. - Przepraszam, że wam to mówię, ale zostałam w to wplątana. On naprawdę zamierza odejść.

- Zwariował czy co? - odezwał się Dominik. - Gdzie on się podzieje, taki stary człowiek? Uprzedzał o tym? - zwrócił się do Irminy.

- Mnie? Skąd. Przecież to niemożliwe.

- A tam! - powiedziała Sophie. - Znam tatę. Kiedy się złości, może powiedzieć wszystko, tak jak ja. Jutro wróci i będzie mu głupio. A gdzie jest Patryk? Dzwoniłam do niego, ale nie podniósł słuchawki. Przecież ktoś musi nas zawieźć na lotnisko.

- Patryk was nie zawiezie. O Boże, miałam go odebrać ze szpitala - przypomniała sobie Irmina. - Słowo daję, dom wariatów! Wiesz, jakiego ten twój ojciec potrafi narobić zamieszania?

- Co jest Patrykowi? Dlaczego trafił do szpitala? Czemu nikt mi nic nie mówi? - krzyczała Sophie na matkę.

- Przestań, daj matce spokój, dosyć się nadenerwowała, a jeszcze nie wiadomo, co ją czeka - wzięła przyjaciółkę w obronę Maria.

- A więc wezwwałaś nas dlatego, że ojciec powiedział ci, że ma zamiar odejść?

- Tak. Chciałam upewnić się, że to nieprawda. A jeśli tak, to żeby powiedział to wam osobiście.

Ostatecznie i tak na Marię spadło wyjaśnianie fatalnego *qui pro quo*. Zrelacjonowała im dokładnie przebieg porannej rozmowy. Byli zszokowani zarówno jego decyzją, jak i sposobem, w jaki ją, osobę spoza rodziny, potraktował. Uspokoiła ich:

- Nie martwcie się mną. Mało mnie to obeszło. Bałam się tylko o was.

- Ale przecież to nie może być prawdą - szeptała Irmina. - To jakiś absurd!!!

- Też tak myślę, mamó. Tata się na coś wściekł i wyładował się na Bogu ducha winnej Marii. Pozłóści się, a potem wróci.

- No tak, zapewne, ale co z nami? - niepokoił się Dominik. - Ja muszę wracać do pracy.

- Przepraszam, że zakłóciłam wasze przygotowania do podróży, ale jak już wiecie, miałam ważny powód - usprawiedliwiała się Maria.

- Co teraz będzie? - pytała bezradnie Irmina. - Jak on mógł to zrobić? I właśnie teraz, gdy Sophie wyjeżdża, a Patryk w szpitalu... Powiedziałas mu o Patryku? - zwróciła się do Marii.

- Usiłowałam, ale nie chciał słuchać - odpowiedziała Maria i poczuła, że ogarniają złość. - Wiecie co? Szkoda czasu na rozważanie jego postępków. Jeśli was porzuci, jego strata.

Miała rację, ale nikt nie wiedział, co ma ze sobą począć. Musiała im pomóc, podjąc jakieś decyzje.

- Sophie, wracajcie do hotelu i szykujcie się do odjazdu. Na lotnisko wezwiecie taksówkę, chyba że ja z twoją mamą zdążymy przedtem odebrać Patryka ze szpitala. Wtedy wezmę od niego kluczyki do jego samochodu i was wyekspediuję.

- Nie zwracaj sobie nami głowy. Poradzimy sobie - powiedziała Sophie do Marii, a potem zwracając się do Irminy: - Trzymaj się mamó, uściskaj Patryka. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze.

Objęła matkę. W oczach obu kobiet załśniły łzy, ale trzeźwy, energiczny ton Marii przebudził je z letargu. Za chwilę wszyscy byli gotowi do wyjścia.

Irmina wraz ze swoją przyjaciółką odprowadziły rodzinę de la Chapelle'ów aż za bramę, po czym poszły na stację metra, żeby pojechać do Szpitala Laënnec.

- Jak ja to powiem Patrykowi? - martwiła się Irmina.

- Nie musisz mu nic mówić. Jeszcze nic do końca nie wiadomo.

- No tak. Jest już dostatecznie przygnębiony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Patryk był nadal w nastroju apatycznym, ale wyglądał lepiej niż wczoraj. Przynajmniej nie miał już tak bardzo zapuchniętych oczu i nabrzmiałej twarzy.

Zaprzyjaźniony z Irminą lekarz, który go prowadził, przepisał mu lekkie proszki uspokajające i powiedział, że nie ma powodu do obaw. Niejeden młody człowiek przeżywa w ten sposób rozstanie, a potem znajduje pocieszenie gdzie indziej.

- Mój syn nie jest taki. To niezwykle wrażliwy i prawy chłopak.
- Tym lepiej, że nie zwiąże się z osobą, która takich zalet nie potrafi docenić.
- Ja też tak sądzę. Żeby tylko się dźwignął.
- Znam panią, Irmino. Potrafi go pani z tego wyciągnąć. Bo on rzeczywiście przez jakiś czas będzie potrzebował pomocy i troski.
- Wiem, wiem. Na pewno się nim zajmę.

Mówiła tak, ale nie była do końca pewna, czy sobie sama poradzi. Po raz pierwszy teraz była bezradna, gdy trzeba było pomóc swojemu dziecku, bo jej mąż akurat wymyślił sobie rozbijanie rodziny. Chwytała się jeszcze nadziei, że może tak nie jest, gdyż nie było żadnej zapowiedzi tego, co się stało czy miało stać.

A może - spekulowała w myślach - może on rzeczywiście miał jakieś kłopoty w pracy, tak często ostatnio wisiał na telefonie, może się z kimś tam pokłócił i odreagował wszystko na Marii i bliskich. Tak, to z pewnością musi być to, no bo co innego? Co jak co, ale jego wybuchowość znała jak nikt. Nie będę o tym teraz myśleć, bo zwa-riuję. Najważniejszy jest Patryk.

- Zabierzemy cię do naszego domu, synku, bo przecież po wyjściu ze szpitala nie możesz być sam.

- Nie. Wracam do siebie. Zupełnie niepotrzebnie byłem w tym szpitalu.

- Ale nie będziesz zażywał tabletek nasennych?

- Nie będę. W ciągu dwóch dni połknąłem ich cztery. Jestem załamany, ale nie chcę się zabić. Możesz być spokojna.

- Nie pojedziesz do nas na obiad?

- Jadłem coś w szpitalu. Nie jestem głodny.

Maria przysłuchiwała się ich rozmowie ze smutkiem. Jakże to wszystko się pogmatwało. Cztery dni temu wielka feta, zjazd rodzinny, chrzest wnuczka - szczęśliwi dziadkowie, chrzestni rodzice-narzeczeni. A dziś zupełnie nie ci sami ludzie. Wszystko się posypało.

Zgodnie z życzeniem Patryka Irmina i Maria odwiozły go do jego mieszkania. Maria sądząc, iż matka i syn zechcą побыć trochę sami, zaproponowała, że zrobi dla obu domów zakupy żywnościowe w pobliskim sklepie.

- Na co masz ochotę Patryku?

- Chyba mam wszystko, co trzeba. A Sophie? O rany, przecież oni dzisiaj odlatują? Dzisiaj czy jutro?

- Dzisiaj - powiedziała Irmina radośnie, bo jego zainteresowanie czymkolwiek innym niż odejście Michelle było dobrym znakiem.

- Wobec tego jedźmy moim samochodem na lotnisko, bo do samochodu ojca wszyscy się nie zmieścimy. Zawaliłem sprawę, muszę ich jeszcze zobaczyć! - zapalił się.

Maria mrugnęła do przyjaciółki.

- Wobec tego zmiana planów, ja też z wami jadę. Mogę prowadzić? Bo wiesz, ja zawsze chciałam się przejechać tym twoim peugeotem.

- Możesz prowadzić, jeśli ci to sprawi przyjemność.

- Ogromną.

A więc z Patrykiem nie jest tak źle. Gorzej będzie, jak się dowie, co ojciec zamierza - pomyślała Maria. Skoro była już i tak wmieszana w kłopoty rodzinne Bergeronnette'ów, postanowiła brnąć dalej, żeby zapobiec pogorszeniu kondycji Patryka.

- Zadzwoń do Sophie, aby ją uprzedzić, że będziemy na lotnisku, żeby nie przeszli zbyt szybko przez odprawę - powiedziała Maria, mrugając porozumiewawczo do Irminy. Ta skinęła głową, że zrozumiała, bo też już głowiła się, jak uprzedzić córkę, żeby nie zdradziła bratu zamiarów ojca.

- Dobrze, uprzedź ją, a my wyprowadzimy wóz z garażu.

Kiedy wrócili z lotniska, Irmina z ciężkim sercem żegnała się z

synem przy bramie jego garażu. Nie pozwoliły się odwieźć do domu, nie było po drodze, chciały zażyć jeszcze powietrza. Do domu przy Jasmin miały mniej więcej dziesięć minut drogi krokiem spacerowym. Ruszyły właśnie, gdy usłyszały wołanie:

- Pardon, madame Bergeronnette?

Rozpoznała szefa syna z Ministerstwa.

- Monsieur Limat, co pan tu robi?

- Przyszedłem zobaczyć, co się dzieje z Patrykiem. Telefonowałem do niego, ale nie odpowiadał, a miał nam dzisiaj dostarczyć pewne oprogramowanie.

- Był niedysponowany. Zaraz będzie w domu, właśnie wjechał do garażu. Ach, panie Limat, tak się boję o syna. Przeżywa właśnie swoje wielkie rozczarowanie, narzeczona go rzuciła, nie wiem, jak sobie z tym poradzi. Może pan potrafi dodać mu ducha, postawi przed nim jakieś zadania, żeby odwrócić jego myśli.

- Zadań, droga pani, mu nie brakuje. Dobrze, że mi pani to mówi. Mam spore doświadczenie w wyciąganiu z depresji zawiedzionych kochanków. Przerabiałem to z każdym z moich dwóch synów. Postaram się postawić go do pionu.

A jednak to prawda - myślała sobie Maria - że Francja jest krajem zakochanych. Pokażcie mi polskiego szefa, który za nieoddanie pracy w terminie zamiast „postawić do pionu” swego pracownika ratuje go z depresji miłosnej. Takie rzeczy mogą się zdarzyć tylko w Paryżu!

Po powrocie do domu długo rozważały, co przyniesie jutro, w końcu zmęczenie je pokonało i poszły spać.

Rano zdecydowały, że żadna z nich nie będzie czekać na René.

- Jeśli on naprawdę zamierza odejść, nie chcę go więcej widzieć - zdecydowała kandydatka na porzuconą.

- Tym bardziej ja - powiedział jej gość.

Wyszły z domu razem. Irmina do pracy, a Maria pobłąkać się po paryskich uliczkach. Po południu Irmina czekała na przyjaciółkę przed bramą.

- Nie mam odwagi tam wejść. Bez względu na to, czy on tam jest, czy go już nie ma. Nie mam na to siły.

- Mnie też jakoś tam nie ciągnie.

- To chodźmy gdzieś.

- Może do kina?

- Znakomity pomysł! Świat się wali, a porzucona żona idzie sobie do kina... Chyba przesadzasz.

- A co zrobisz, jeśli sprawdzi się gorszy scenariusz? Założysz żałobę? Chyba nie dasz mu tej satysfakcji? Nie jest tego wart.

- Tak się mówi. Ale rodzina legnie w gruzach...
- Rodzina będzie się miała dobrze. Tyle że bez niego. To on najwięcej straci.

Poszły jednak do domu. Nie musiały sprawdzać, czy walizki René są jeszcze w jego pokoju, bo konsjerż, kiedy je zobaczył, wręczył Irminie klucze.

- Pani mąż je dla pani zostawił. Bardzo mi przykro... - i spojrział na nią ze zrozumieniem.

Maria uznała ten komentarz za wielki nietakt, ale Irmina przeciwnie i nawet zamieniła z panem Francesco kilka słów. Była dziwnie spokojna. Zaczęła opowiadać Marii historię przystojnego Portugalczyka.

Francesco objął tu posadę dwa lata temu. Miał niepozorną żonę, która urodziła mu troje dzieci. Wszyscy mówili, że jest dla niej za przystojny, ale on był szczęśliwy. Ostatnio znów zaszła w ciążę. Wtedy zaczęła się domagać od zarządu posesji większego mieszkania. Mieszkańcy po długich sporach zdecydowali, żeby przebić ściany do chwilowo wolnego lokalu na parterze i powiększyć lokum dozorczy. Kiedy remont był już ukończony i zostali lokatorami czteropokojowego apartamentu, żona konsjerża zamiast porozkładać w nim spakowane na czas remontu manatki zabrała je w czasie nieobecności męża i zostawiła mu na stole kartkę następującej treści: „Zabieram wszystkie dzieci, a to, co jest w drodze, i tak nie jest twoje. Należy mi się trochę szczęścia. Marcella” Przystojniak nie mógł w to uwierzyć. Płakał jak bóbr. Jedna z mieszkanek pomagała mu układać korespondencję i pełniła dyżury przy drzwiach, bo stróżowanie w takiej wielkiej posesji to praca dla dwojga. Nie wiadomo, czy już się otrząsnął, ale pracuje.

Opowieść ta zajęła tyle ich czasu, że zdążyły przejść przez ogród do czwartego wejścia i wjechać na górę. Dopiero po przekroczeniu progu mieszkania pozorny spokój Irminy runął. Opadła na kanapę i załapała się łzami. Tak skończyło się jej małżeństwo po trzydziestu latach trwania. Maria pocieszała ją, jak mogła, ale to było wszystko, co mogła w tej sytuacji zrobić.

Styl odejścia René zdumiał ją i rozwścieczył. Ale mniejsza z nim, chciała tylko wesprzeć jakoś przyjaciółkę. Opowiedziała jej wszystkie ponure historie, o jakich ostatnio słyszała, żeby nie myślała, że takie rzeczy innym ludziom się nie zdarzają. W końcu zaproponowała, żeby zbilansowała rzeczy dobre i złe w ich związku. Napisały to na kartce.

- Zawsze mówiłaś, że nie możesz go pokochać tak, jak Jeana Boniera - warto więc rozpaczać?

- Ale żeby odejść tak bez słowa? Nie chodzi o mnie, lecz o nasze dzieci, wnuki. Patryk się załamie.

- Patryk jest dorosły, wnuki na pewno będą go widywać. To będzie tylko inna konfiguracja.

- A nasi przyjaciele, znajomi?

- Zdziwią się, a potem staną po twojej stronie, jestem tego pewna. A teraz idź już do łóżka, bo jutro musisz wstać do pracy. Zobaczysz, kiedyś jeszcze będziesz z tego zadowolona.

- Z samotności? Mam pięćdziesiąt pięć lat!

- A on sześćdziesiąt trzy, prędzej niż ty zaczniesz swego postępowania żałować.

Dopiero po trzech tygodniach Irmina na tyle oswoiła się z sytuacją, że Maria mogła wyjechać. Nazbierało się jej w domu sporo zaległości.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Upłynęło pół roku. Pisały do siebie, czasem telefonowały. Rozmowy przeważnie toczyły się wokół życia Irminy po zaszytych w nim zmianach. Żal do René minął jej prawie zupełnie. Miała teraz inne kłopoty. Patryk popadał w coraz cięższą depresję. Pogłębiła się ona gwałtownie miesiąc temu, kiedy przyjechał z Carcassonne ich przyjaciel malarz - Trécher, z którym pewnego dnia René zerwał nagle stosunki. Ten sympatyczny człowiek do tej pory nie zdołał się z tego otrząsnąć.

- O tak, on potrafi wszystko zrujnować w jednej chwili - powiedziała Irmina, kiedy nawiązał do tamtego zdarzenia.

Siedzieli przy kolacji we troje: ona z synem i ich gość.

- Wyobrażam sobie, co to było za przeżycie dla ciebie, chłopcze - zwrócił się do Patryka.

- Mam do ojca żal tylko o to, że uczynił to w takim stylu. Myślałem, że ma większą klasę. Nie chce nas więcej. Trudno. Tym bardziej my go nie chcemy.

- A to, że zdradzili was oboje?

- To znaczy?

- No, on i ta jego Michelle Bosquet czy jak jej tam.

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Zarówno gospodyni, jak i jej syn poczuli się tak, jakby ktoś zdzielił ich obuchem po głowie. Patrząc na ich zdumione, pobladłe twarze, Trécher zorientował się, że oni o tym nie wiedzieli.

- Przepraszam... ja nie chciałem wam zrobić przykrości... jestem ostatnim, który...

- A skąd pan to wie? Utrzymuje pan z René kontakty?

- Broń Boże! A wiem stąd, że on mieszka teraz w Avignon. Dwa

miesiące temu przypomniał sobie o mnie i chciał mi przedstawić swoją flama. Jadąc gdzieś z nią, chciał po drodze zatrzymać się u mnie. Nie przyjąłem go... Ale nie sądziłem, że wy nie wiecie, z kim odszedł.

Patryk milczał utkwivszy wzrok w talerzu. Irmina myślała, że już otrząsną się z uczuć do Michelle, ale jego mina nie świadczyła o tym. Tym bardziej wściekła była na męża. Jak on mógł zrobić coś takiego, i to własnemu dziecku! Poczwała, że przerażenie wyciąga po nią swoje oślizgłe macki. Co teraz będzie?

Trécher tłumaczył się, jak mógł, ale słowo się rzekło i nie było odwrotu.

Patryk wstał na chwilę od stołu, poszedł do toalety i wrócił. Trécher nadal tłumaczył się przed Irminą, która zerkawa z niepokojem na syna. A ten spokojnie powiedział:

- Zmieńmy temat. Nie chcę o tej sprawie słyszeć ani słowa więcej.

Włączył telewizor. Podeszedł do barku, odkorkował nową butelkę wina i postawił ją na stole gestem René.

- *Et voilà!* - powiedział tak, jak jego ojciec.

Przejął po nim rolę pana domu. Jej przystojny, elegancki syn. Ze też musiała go spłodzić z takim padalcem!

Wbrew jej przewidywaniom wieczór upływał spokojnie. Jeśli nie brać pod uwagę jej niepokoju i dyskomfortu psychicznego gościa. Odetchnęli wszyscy troje, kiedy się pożegnał. Była godzina dwudziesta druga. Patryk odwiózł go na dworzec lyoński, a Irmina natychmiast zatelefonowała do Marii.

- Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale zgadnij, z kim jest mój mąż, dla kogo nas porzucił?

- Nie mam pojęcia. Dla Catherine Deneuve, Sophie Loren?

- Gorzej. Dla narzeczonej swego syna, tej suki Michelle Bosquet! Masz pojęcie?

- Nie wierzę! - I w tej chwili przypomniała sobie scenę mającą miejsce na chrczinach Alberta przy wejściu do restauracji, którą oglądała idąc do toalety. Dziwiła się wtedy, jak bardzo lubi narzeczoną Patryka jej przyszły teść. - Nieprawdopodobne! Skąd to wiesz?

Irmina opowiedziała jej, w jaki sposób dotarła do nich ta wiadomość.

- A co na to jej rodzice?

- Nie omieszkać ich zapytać. Ładnie wychowali córeczkę. Trzydzieści dwa lata różnicy! Wyobrażasz sobie?

- Koszmar!

- Teraz rozumiem, dlaczego ona chciała się wymówić od podawania Alberta do chrztu. Widocznie już miała te swoje szatańskie plany. Dopiero kiedy powiedziałam jej, że taka odmowa może przynieść nieszczęście dziecku, zgodziła się. Po co ja ją namawiałam?

- A swoją drogą to ja się jej dziwię, że mając do wyboru Patryka i René, wybrała tego drugiego.

- Zawsze mu kadziła. Nazywała go mistrzem. A ten głupi starzec, łasy na komplementy, polecał na lep. Najśmieszniejsze jest to, że ona go już rzuciła. Trécher wie od znajomych, że chciała małżeństwa. Nalegała, zagroziła, że odejdzie i zrobiła to, bo on nie odważył się poprosić ciebie o rozwód.

- Naprawdę cię nie prosił?

- Nie dawał znaku życia.

- To może zechce wrócić? Przyjmiesz go?

- Ani mi to w głowie. Martwię się tylko o Patryka. Wydawało się, że już wychodzi na prostą, a tu kolejny cios.

Rewelacje z Paryża nie pozwoliły Marii zmruzzyć oka aż do rana, a Irmina, żeby rozładować napięcie, zaczęła drzeć fotografie swego niewiernego męża. W pewnym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi, a kiedy je otworzyła, zdumiała się, gdy zobaczyła syna.

- Odwiozłeś go?

- Tak. Przyszedłem, żeby cię uspokoić, mamó. Nie bierz sobie do serca tego, co zrobił ci ojciec. Nie chcę, żebyś przez niego się martwiła. Nie warto.

- A ty, synku?

- Ja upewniłem się, że życie nie ma najmniejszego sensu. Jeśli wszystko, w co wierzysz, czemu ufasz, jest fałszem... Nie wiem, po co komu takie życie...

- Nie mów tak, na litość boską, nie mów tak. Przeklnij ich raz na zawsze, ale nie życie. Życie masz dopiero przed sobą.

- Nieważne. Ale ty, mamó, zawsze byłaś silna i bądź silna. Niech cię to nie złamie.

Wzięła go w ramiona. Tulili się do siebie. Oboje w strachu, jedno o drugie.

A potem było już tylko coraz gorzej.

* * *

Tuż przed Bożym Narodzeniem Maria odebrała telefon od przyjaciółki.

- Co robisz na *Noël*!

- To, co zwykle, karpia, pierogi, uszka...
- Nie o to chodzi. Będziesz w domu?
- Na pewno nigdzie nie wyjadę. Mama nie za dobrze się czuje.
- A gdybym ja przyjechała do ciebie? Przyjęłabyś nas, to znaczy mnie i Patryka?
- Z otwartymi ramionami. Właśnie wytapetowałam pokój gościnny.

- Wobec tego dowiem się, na kiedy mogę dostać bilety.

Przyjechali za trzy dni. Gdyby Maria spotkała Patryka na ulicy, nie poznałaby go. Nalana twarz, zgaszone spojrzenie, niedbały strój. Co się z nim stało? Smutne oczy przyjaciółki potwierdzały domysły. Załamał się.

- Wigilię spędzimy w Warszawie. Ale na dalszy ciąg świętowania jedziemy do Modrzejowa. Będzie kuligi i inne atrakcje.

- Wspaniale! Zobaczysz synku, jak Polacy świętują - udawała zapał Irmina.

- Dobrze, zobaczę - powiedział grzecznie. - Jeśli chcesz, to zobaczę.

Wieczorem, kiedy wszyscy spali, Irmina opowiedziała Marii o swojej trosce. Patryk, który na pozór spokojnie przyjął wieść o podwójnej zdradzie, nie mógł sobie z tym poradzić. Popadał w coraz większą depresję, musieli zasięgnąć rady psychiatry i teraz jest na środkach psychotropowych. „Depresja maniakalna” - taka jest diagnoza. Irmina złożyła już wniosek o wcześniejszą emeryturę, bo syn wymaga stałej opieki. Miał przed sobą nieprawdopodobną karierę. Jego oprogramowania komputerowe dla potrzeb lotnictwa zostały opatentowane i będą z tego wielkie pieniądze. Już zaczynają płynąć. A on zamiast z nich korzystać, mówi wciąż o śmierci, której pragnie.

- I jak ja mam z tym żyć? Porozmawiaj z nim Mario, proszę. Zawsze się liczył z twoim zdaniem.

- Na pewno porozmawiam. Ale nie zamartwiaj się, może on tylko tak mówi?

- To wszystko przez te przekłete komputery. Siedzi przy nich dzień i noc, a one promieniują. Lekarz mówi, że powinnam go od nich na jakiś czas odsunąć. Jednakże w Paryżu jest to niemożliwe. Dlatego zabrałam go do ciebie.

- Ale pozwolił ci na to. Mógł się nie zgodzić. Widać nie jest tak źle.

- Ależ Mario, on jest naszpikowany środkami psychotropowymi. Boję się, że stanie się rośliną.

- To odstaw je, bo się uzależni.

- Mam pozwolić, by targnął się na swoje życie? Cała nadzieja w tobie.

- Nie przeceniaj mojej roli, ale nie damy mu zginąć.

Wyjazd, wigilia trochę poprawiły nastrój lub raczej sposób bycia Patryka. Jako człowiek dobrze wychowany, uczestniczył we wszystkim, podporządkowywał się temu, co robili inni. Piękna zimowa aura sprzyjała długim spacerom po lesie, podpatrywaniu zwierząt, konnym przejażdżkom.

To, co zaskoczyło jego matkę w Polsce, to tempo dokonujących się tu przemian ekonomicznych. Zaopatrzenie sklepów, rozpoczęte budowy zdumiewały ją. Dawna siermiężność i szarość tego kraju były już przeszłością. Jeszcze pół roku temu, gdy Maria w czasie feralnego pobytu w Paryżu narzekała, że pewnych rzeczy ciągle w Polsce kupić nie może, powiedziała: „Ani się obejrzysz, a u was będzie tak, jak tu”.

No i miała rację. Teraz nawet wiejski sklep starej Czosnkowej w Modrzejowie był bardziej elegancki i lepiej zaopatrzony niż niejeden przed pół rokiem w Warszawie.

Pewnego razu, kiedy wybrali się przez śniegi na bindugę, Maria idąc obok Patryka celowo spowolniła marsz i zainicjowała z nim rozmowę.

- Opowiedz mi coś o swoich legendarnych sukcesach w informatyce.

- Po prostu działałam. Muszę to skończyć, żeby coś po sobie zostawić.

- Zważywszy na to, jaki jesteś młody, spuścizna po tobie będzie ogromna.

- Nie sądzę. Bo interesuje mnie tylko ten ostatni projekt, nad którym właśnie pracuję.

- A potem? Co? Zamierzasz zmienić zawód?

- Potem już nic. Mnie nie będzie. Niech inni się tym martwią.

- Jak mam to rozumieć? To brzmi strasznie.

- Mario, ja po prostu skończę z sobą.

- Przestań tak mówić! Nie możesz tego zrobić swojej matce.

Chcesz ją zabić?

- Ona jest silna. Poradzi sobie. Ma Sophie i jej dzieci.

- Nieprawda, nikt sobie z pewnymi rzeczami nie poradzi, a zwłaszcza z utratą dziecka.

- Nie mogę dłużej się męczyć.

- Musisz myśleć tylko o sobie? Ty, taki mądry, czuły, szlachetny.

Popatrz na ten świat, widzisz, jaki jest piękny?

- Widzę. I co z tego?

- To, że możesz być szczęśliwy. Masz zaledwie dwadzieścia sześć lat. Nie masz pojęcia, ile dobrych rzeczy może się zdarzyć.

- I złych także, Mario. W tym rzecz, że złych także.

- Takie jest życie: raz dobre, raz złe. Ale każdy trzyma się go kurczowo, więc chyba to coś znaczy. Gdybyś pomyślał trochę o innych, a nie tylko o sobie, to...

- To i tak bym chciał odejść. Ja o wszystkich myślę. Sporządziłem testament, ja wszystkich...

- Wszyscy w nosie mają twój testament. Chcą ciebie, nie twoich pieniędzy.

- Ty nic nie rozumiesz. Życie mnie przytłacza, przeraża i osacza. Muszę, muszę wyrwać się z jego okowów!

Maria nie dawała za wygraną. Przypomniała mu wszystko, co lubi robić: jeść, czytać. - Chcesz to wszystko oddać walkowerem?

Odpierał wszystkie jej argumenty. W końcu zaczął przytakiwać, ale czuła, że robi to na odczepnego. Nie wiedziała, jak do niego trafić. Nie była psychiatrą ani psychologiem, a on najwyraźniej potrzebował pomocy fachowców.

A jednak wspólne, jak mówią Francuzi, *activités*, czyli zajęcia, tętniące wokół życia, nowość wrażeń zrobiły swoje. Pod koniec pobytu zdawał się być bardziej pogodzony ze światem. Nie był to wprawdzie dawny, elegancki, wrażliwy i głodny wiedzy o świecie Patryk, ale obiecał matce, że zgodzi się spędzić jakiś czas w zakładzie doktora Bertaina. A zatem błysnęło jakieś światelko w tunelu.

Irmina była pełna nadziei, bo sama chęć poddania się terapii prognozowała dobrze. W takim nastroju upłynęły ich ostatnie dni w Polsce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Trzydziestego marca Maria otrzymała telefon od Irminy pełen wykrzykników. Patryk od tygodnia jest w zakładzie. Jego stan już się poprawia.

- Będę mogła go teraz często odwiedzać, bo od jutra jestem na emeryturze.

- Udało ci się wszystko załatwić? Nie szkoda ci badań?

- Patryk jest teraz najważniejszy. Reszta się nie liczy. Życz mi powodzenia.

- Wiesz, że kibicuję ci jak nikt inny.

Tak, jak obiecała, trzymała kciuki za Patryka, więc trudno było jej pogodzić się z tym, co usłyszała za kilka dni:

- Przyjedź, Mario - mówiła jej przyjaciółka nieswoim głosem. - W piątek za tydzień odbędzie się pogrzeb Patryka na cmentarzu w Clamort. Mam nadzieję, że zdążysz odebrać paszport i... - odłożyła słuchawkę.

Co to było? Irmina, nie Irmina? Suche informacje wypowiedziane lekko zachrypniętym głosem, ale płynnie, jakby je czytała z kartki.

- Co się stało? - zapytał Piotr, mąż Marii. - Czemu tak stoisz, jakbyś skamieniała?

- Syn Irminy chyba nie żyje. Właśnie zawiadomiła mnie o pogrzebie. W dziwny sposób. I odłożyła słuchawkę.

- To dzwoń do niej. Na co czekasz? Może to nie ona, tylko ktoś podszył się pod nią i głupio sobie żartuje.

- Nie sądzę, ale zadzwonię.

- Halo? - usłyszała ten sam drewniany głos.

Pewnie jest na prochach, pomyślała i zapytała:

- Irmino, kochana moja, to prawda? Co się stało?

- Otruł się. Wczoraj wieczorem. Połknął całą fiolkę jakiegoś świństwa. Nie mogę o tym mówić.

- Przyjadę najszybciej, jak się da.

- Dobrze... To wszystko?

Bez emocji. Drewniany głos. Co miała powiedzieć?

- Trzymaj się. Jestem z tobą.

Nie wiadomo, czy jej słuchała. Cichy stuk słuchawki był sygnałem, że rozmowa skończona.

Trzy tygodnie po pogrzebie, które Maria spędziła u Irminy, były najsmutniejsze w całym okresie ich znajomości. Jej przyjaciółka naszpikowana pigułkami albo spała, albo żaliła się:

- Wyobraź sobie przez jedną krótką chwilę, że twoja córka nie żyje - wtedy mnie zrozumiesz.

- Przecież rozumiem, dlatego tu jestem - odpowiadała łagodnie, ale w środku była skuta przerażeniem.

Nie mogła słuchać takich słów o córce. Gdy Irmina powiedziała to po raz drugi, przyszło jej na myśl, iż w swoim bólu doszła już do takiego stanu, że może życzy śmierci dzieciom innych. Wszystko w niej się buntowało, ale starała się panować nad sobą. Jednak kiedy usłyszała to zdanie po raz trzeci, omal nie dostała histerii. Powiedziała wtedy:

- Irmino, nie musisz tak mówić. Ja mam wyobraźnię. Doskonale wiem, co czujesz.

Ale jej przyjaciółka już zapadła w drzemkę i słowa te popłynęły w próżnię.

Którejś nocy zbudził Marię sen, że przechadza się bosą nad brzegiem morza. Nie widzi go jednak, bo przesłaniają je ciężkie, czarne chmury. Jej buty leżą porzucone na piasku. Próbuje je założyć. Nie pasują. Ogarnia ją rozpacz. Kolejna próba zmieszczenia w nich nogi, jednej, drugiej, spelza na niczym. Przez cały dzień nie mogła zapomnieć przytłaczającej atmosfery snu.

Od kilku dni nie ma wiadomości z domu. Gdzie oni wszyscy się włóczą? Próbuje sama dzwonić - cisza...

Wieczorem wreszcie udaje się jej złapać męża.

- Gdzie wy się podziewacie? Czemu nie dzwonicie?

- Siedzimy na zmianę w szpitalu u twojej mamy.

- Co? Dlaczego? Co jej jest???

- Przeszła lekki zawał serca.

- O mój Boże! Wracam.

- Nie ma takiej potrzeby. Już teraz wiadomo, że wyszła z tego obronną ręką. To pewne.

- Czemu nie daliście mi znać?
- Nie chcieliśmy cię denerwować.
- Jak mogliście? Zaraz wracam.
- Nie trzeba. Ma dobrą opiekę. Są tu twoje siostry. To one zdecydowały, żeby ci nic nie mówić. Siedź tam spokojnie. Nic się już nie dzieje. Pa, trzymaj się! A jak Irmina?

- Źle. Jak ma być?
- To jej jeszcze nie zostawiaj.

Ale Maria nie była w stanie siedzieć spokojnie. Zalała się łzami i zaczęła nerwowo chodzić po mieszkaniu.

- Co się stało? - spytała sennie Irmina.
- Moja matka miała zawał.
- Nie żyje?
- No co ty? Wypluj te słowa! Podobno okres krytyczny już minął. O Boże, o mały włos... A mnie przy niej nie było.

- No widzisz. Udało się jej. A Patryk był jeszcze taki młody.

Maria poczuła zimne mrówki na plecach.

- Irmino, choćby cały świat wymarł, nie zwróci to życia Patrykowi. Wiem, że cierpisz okropnie, ale czasem mówisz takie rzeczy, że strach słuchać. Zaczynam już czuć się winna, że żyję, a on nie.

- Przepraszam... czasem nie wiem, co mówię. Ja tak nie myślę, ale...

- Rozumiem cię, nie wiem, co bym sama robiła w twojej sytuacji. Ale ty przecież masz jeszcze córkę, wnuki. Oni cię potrzebują. Myśl o nich.

- Wiem. I dlatego jeszcze żyję...

- To dobrze, że wiesz.

Więc jednak jest światelko w tunelu. Potrzeba jeszcze trochę czy też dużo czasu?... Dopiero wtedy Maria zdecydowała się opowiedzieć Irminie o rozmowie z René tuż po pogrzebie. Podeszedł do niej, gdy opuszczała cmentarz, i poprosił, by zechciała umówić się z nim na rozmowę. Był bardzo przygnębiony.

- Tobie pierwszej powiedziałem, że odchodzę z domu. Przepraszam, że tak się wtedy zachowałem. Nie byłem do końca sobą. Los ukarał mnie za to okrutnie. Chcę, żebyś powiedziała mojej żonie, że jestem gotów wszystko naprawić i wspierać ją w nieszczęściu, jeśli ze chce dać mi szansę.

- Powtórzę jej, ale nic ci nie mogę obiecać.

- To zrozumiałe, ale gdyby...

Dopiero przed swoim wyjazdem Maria powtórzyła przyjaciółce, to, co jej powiedział.

- Wszystko naprawić? - obruszyła się Irmina. - Czy on uważa, że jest w stanie wskresić mi syna? Tylko wtedy mogłabym mu przebaczyć, chyba rozumiesz. Powiedz mu, że go przyjmę z otwartymi ramionami, jeśli mi zwróci syna. Tylko wtedy...

Prawie do końca pobytu Marii, Irmina nie potrafiła egzystować bez proszków. Łykała je i spała na przemian. Wychodziła z domu tylko w celu udania się na cmentarz. Tam tragiczna matka krzątała się schylona, sprzątała, sadziła kwiatki, a gdy przenikał ją dreszcz, pochylała się jeszcze niżej, ale nie ustawała w pracy. Maria z trudem panowała nad sobą patrząc na jej targane szlochem plecy.

* * *

Po trzech tygodniach Sophie z dziećmi na dobre wróciła z Pało Alto. Dominik z bagażami płynął statkiem. Dom wypełnił się tupotem małych nóżek, śmiechem, płaczem, stukotem przewracanych zabawek, pokrzykiwaniem matki sprawców tego ciągłego zamieszania.

I okazało się to najlepszym lekarstwem dla Irminy. Musiała teraz myśleć o tym, gdzie dziatwę poukładać i czym nakarmić. Córka chętnie zostawiała jej pole do działania, mrugając porozumiewawczo do Marii.

Nowe życie w postaci dwóch małych rozrabiaków z całą ich nonszalancją i beztroską zaczęło zagarniać uwagę nieszczęśliwej Bibou. Kiedy Maria zobaczyła wreszcie uśmiech przyjaciółki skierowany do dzieci, wiedziała, że może wracać do domu.

Nie wiadomo, co by było z Irminą, gdyby nie dzieci, które Sophie z przemyślaną beztroską zostawiała na łasce matki. Ciężki smutek tkwił głęboko w sercu, ale przecież nie mogła nie troszczyć się o te małe, bezbronne istotki, za którymi z trudem mogła nadążyć.

Potem, kiedy de la Chapelle'owie wprowadzili się do nowego domu w Saint-Germain-en-Laye, stała już mocno na nogach. Jej syn miał rację: nie była słaba. Znowu przemierzała szybkim krokiem drogę od sklepu do domu. Dawała się namówić na podróże i zgromadziła wokół siebie grono ciekawych ludzi. Zza oceanu ściągnęła do niej egzotyczna piękność z San Francisco. Ta dziennikarka, niegdyś modelka, która zapragnęła spisać burzliwą historię rodu Irminy i jej przodków, wynajęła sobie apartament przy alei General Leclerc i wyciągała ją na wystawy i spektakle, bez których sama czuła się jak bez powietrza. Jej znajomy, interesujący agent z FBI, dołączył do nich i zadurzył się w Irminie. Lubiała z nim rozmawiać, ale nie odwzajemniła uczuć.

W tej sferze bardziej interesowało ją kibicowanie emocjom Theodory, czyli owej przyjaciółki z San Francisco, która w wieku pięćdziesięciu lat ucięła sobie ognisty romans ze znanym spikerem telewizji francuskiej, którego poznała w dziwnych okolicznościach. Ciekawa wszystkiego, na wieść o manifestacji rolników na rue Montmartre poszła - a jakże! - zobaczyć i sfilmować to, jak lud we Francji buntuje się przeciw władzy. Niepomna niebezpieczeństw, znalazła się w środku wydarzeń i omal nie straciła oka, w które trafił wielki pomidor - znak protestu. Julien Hardy właśnie tamtędy przejeżdżał swoim samochodem. Ujrzawszy atrakcyjną „ranną”, bo tak wyglądała ochlapana krwistym pomidorem, zapragnął udzielić jej pomocy.

Oko udało się uratować, ale serca poszkodowanej i ratownika poległy.

Burzliwy i bardzo spektakularny był to romans i trwał aż do śmierci Theo, która niespodziewanie w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat nie obudziła się po wylewie.

Irmina z Marią, która akurat ją odwiedziła, uczestniczyły w pogrzebie. Theo pozostawiła po sobie pustkę w sporej części paryskiego świata kultury, w który weszła przebojem. Jej ukończona saga o dziejach rodu Irminy przepadła gdzieś w dżungli kalifornijskich wydawnictw. Nikt nie wiedział, w którym ją złożyła. Kopii też nie znaleziono.

Potem przez parę lat kręcił się koło Irminy dawny przyjaciel jej męża. Całkiem sympatyczny inżynier z fabryki Renault. Wychodzili razem do restauracji, kina i teatru, ale i on przegrał walkę o jej względy z wnukami... A wnuki rosły jak na drożdżach. Przybyła im jeszcze siostrzyczka o czarnych, aksamitnych oczach ojca i z dołeczkami w policzkach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Kiedy najmłodsza latorośl de la Chapelle'ów skończyła trzy lata, zaczęło zgrzytać w ich małżeństwie. Byli już wtedy nieprawdopodobnie bogaci. Zawdzięczali to niezwyklej intuicji Dominika do robienia interesów, jak i spuściznie Sophie z patentu po jej utalentowanym bracie. Dzięki tym właśnie pieniądzom Dominik mógł zacząć inwestować.

Ale w ich domu było coraz mniej „chérie”*, a coraz więcej wzajemnych żalów i pretensji.

* kochanie

Nie minęło wiele czasu, a zapłakana Sophie przysłała do matki z nowiną, że wraca od adwokata, który będzie ją reprezentował w sprawie rozwodowej.

- W czyjej sprawie rozwodowej?
- W naszej, mamo.
- Zwariowałaś? Chcesz zostać sama z trojgiem dzieci?
- A jakie mam wyjście? Czemu ty jesteś zawsze przeciwko mnie? Jeszcze nie wiesz, o co chodzi, a już mnie krytykujesz - krzyknęła Sophie tak głośno, że matka odruchowo przysłoniła rękami uszy.

Wybuchowy charakter, odziedziczony po ojcu, popychał ją w chwilach napięć do awantur. A było ich ostatnio, uświadomiła sobie nagle Irmina, coraz więcej. Właściwie od pewnego czasu nie było spotkań z córką bez sprzeczki. Kiedy potem analizowała, jak do tego doszło, nie mogła sobie przypomnieć punktu zapalnego. Jak ma postępować, rozmawiać z nią, żeby jej nie rozdrażnić, nie miała pojęcia. Sama była coraz starsza, wystarczyło już nie zagojonej rany po śmierci syna, żeby ją osłabić. Sophie i jej dzieci, ich istnienie, miłość, troska o nie, tylko one trzymały ją przy życiu. Ale nie wyobrażała

sobie chwil, kiedy będzie tak słaba, żeby potrzebować pomocy bliskich. Dotychczas to ona była pomocna. Oby tak było jak najdłużej. To, czego bała się w życiu najbardziej, to momentu kiedy stanie się ciężarem dla córki.

Dlaczego akurat teraz wszystkie te myśli przemknęły przez jej głowę? Może dlatego, że podczas gdy Sophie dalej krzyczała, ona przypadkiem zobaczyła swoje odbicie w lustrzanej ścianie szafy i uderzyło ją wstrząsające podobieństwo własnego wizerunku do zmarłej przybranej matki René, pani Mariette Blanche. Ten sam wyraz zagubienia, bezbronności i bezradności na poszarzałej twarzy, to samo przerażenie w oczach. Toczka w toczkę jak tamta biedaczka w czasie niekontrolowanych wybuchów jej niewdzięcznego syna. A więc ona, Irmina, która trzymała w rękach wszystkie sznurki poruszające poczynaniami jej bliskich, jest już taka stara? Ile jeszcze takich awantur jej zmęczone serce zdoła przetrzymać?

Pomimo wewnętrznego rozedrgania, które zwałało ją z nóg, musiała temu stawić czoła. Nie ona była teraz najważniejsza.

- Uspokój się, kochanie - powiedziała do córki. - Nie jestem przeciw tobie. Po prostu jestem zaskoczona.

Objęła ją, ale Sophie wywinęła się z jej ramion.

- Nic nie widzisz, bo jesteś skupiona na sobie! Tylko ty i twój ból po stracie Patryka! Tak, jakby to nie dotyczyło i mnie! Zupełnie nie liczysz się z tym, że też przeżyłam traumę, bo nie mam już ukochanego brata!

- Jesteś niesprawiedliwa! - powiedziała Irmina, a jednocześnie rozumiała, że w jej córce coś pękło, bo pierwszy raz od tragedii nawiązała do niej, przyznała się, co czuje. - To nasza rana, która się nigdy nie zablizni, nie rozszarpuj jej, proszę. Oświeć mnie, co się dzieje.

- Nie zauważyłaś? Na jakim ty świecie żyjesz?

- Tu nie chodzi o to, jaka ja jestem. Boję się o ciebie i dzieci. Oczywiście, że dostrzegłam ostudzenie waszych uczuć. Bardzo mnie to martwi, a nawet przeraża, ale skąd to się wzięło, nie wiem. Przecież mi się nie zwierzasz. Zapewniam, że to przyniosłoby ci ulgę.

Sophie patrzyła na nią wojowniczo, ale z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Podeszła do niej i objęła ją czule. Córka nie oponowała. Rozszlochała się na dobre.

Usiadły. Irmina dała się jej wypłakać. Tuliła ją, wycierała łzy. Upłynęło dobre pół godziny, zanim poprzez męczącą Sophie czkawkę zaczęły przedzierać się jej słowa:

- To się zaczęło jeszcze w Kalifornii. Wróciłam kiedyś do domu

wcześniej, niż zapowiadałam, i zastałam go drzemiącego nad kartką z listą zakupów, których powinien dokonać. Były na niej zapisane szczegóły kobiecej garderoby, bielizna, płaszcz, jakieś mydelka, perfumy, pantofle. Nawet bym tego nie przeczytała, gdyby nie to, że zasypiając strącił tę kartkę na podłogę. Myślałam, że zasnął przy pracy, że spadło mu coś ważnego, przypadkiem zerknęłam i zdziwiłam się najpierw samym tytułem: „Kupić dla Annette”.

- Kto to jest, do diabła, Annette i czemu musisz jej kupować takie rzeczy? - zapytałam.

Powiedział, że jedna z kobiet w ich biurze straciła wszystko w pożarze swojego domu w Santa Barbara i wszyscy postanowili jej pomóc. Brzmiało to tak logicznie, że i ja zapakowałam trochę moich nieużywanych rzeczy i dałam je od siebie. Poszłam jeszcze zrobić zakupy, ale kiedy je przyniosłam, stwierdził, że to już niepotrzebne, bo poszkodowana odeszła z pracy i gdzieś wyjechała. Miałam żal, że zapominając powiedzieć mi o tym, naraził mnie na niepotrzebne wydatki. Nie miałam jednak prawa tylko jego o nie obwiniać, bo jak wiesz, mam, niepotrzebne wydatki to moja pięta Achillesowa.

Irmina skinęła głową. Co prawda, to prawda. Jej córka jest prawdziwą zakupomanką. Przez kilka lat zamieniła swój piękny dom w istne składowisko. Tylko salon i kuchnia są *impeccable* *. W całej reszcie pomieszczeń uformowały się dosłownie góry różnych pięknych, ale zupełnie nieużytecznych z racji ich obfitości rzeczy. Boa i kapelusze w każdym kolorze, setki par butów, sukien i okryć, sterty torebek i kosmetyków. To samo dotyczy pokoi jej dzieci. Liczba ich strojów i zabawek wprawia w osłupienie wszystkich, którym udaje się tam zajrzeć. Istny bazar! Jak można w tym żyć na co dzień, Irmina wciąż nie jest w stanie zrozumieć. Ale Sophie to potrafi. Nigdy niczego nie szuka. Chyba obdarzona jest jakimś dodatkowym zmysłem, który to ułatwia. Jej matka dziękowała Opatrzności, że znalazła takiego tolerancyjnego męża. Był tak skupiony na pracy, że zdawał się niczego nie zauważać. Z kim innym nie byłoby jej łatwo z taką przypadłością.

* doskonałe, bez zarzutu

A teraz, kiedy córka otworzyła przed nią serce, okazało się, że wygląda to zupełnie inaczej, niż przypuszczała. To nie Dominik, a właśnie Sophie była bardziej wyrozumiała. Może zresztą z jej frustracji wzięła się ta zakupomania, może była ucieczką od nieudanego życia. W dzieciństwie takich cech, poza lekką skłonnością do bałaganiarstwa, u córki nie zauważyła. Ale życie kształtuje nas przez cały okres swego trwania. To, co wynosimy z domu, jest tylko zadat-

kiem na długi, jakie wobec swego losu zaciągamy. Stwierdziwszy to, Irmina dalej słuchała ponurej historii małżeństwa swojej córki. Serce pękało jej powoli, ale głęboko, gdy przyjmowała to do wiadomości. A więc ten płomyk nadziei, że jej ukochane dziecko znalazło szczęście, to tylko błędy ognik?

- Nic tak naprawdę nie podejrzewałam, póki nie zobaczyłam Dominika przypadkiem w sklepie z damską bielizną w centrum handlowym w Palo Alto. Weszłam tam za nim chcąc mu zrobić niespodziankę. Byłam wzruszona, że wybrał dla mnie takie piękne rzeczy. Śledziłam go spoza stojaków z odzieżą. A on zamiast do kasy poszedł z tym wszystkim do przymierzalni! Ogarnęła mnie furia. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że przyszedł tam z kimś, że mnie zdradza. I miałam rację. Mój mąż wszedł do kabiny, gdzie stała rozebrana kobieta i przyglądał się temu, jak przymierza przyniesione przez niego rzeczy. Uchyliłam zasłony i coś powstrzymało mnie od zrobienia awantury, co u mnie niełatwe. Zobaczyłam jego minę, gdy patrzył na tę rozbierającą się przed nim idiotkę. Wyglądał, jakby przeżywał orgazm. Poczulałam, że za chwilę zwymiotuję. Uciekłam stamtąd czym prędzej.

- Kiedy to było? Nic mi nie mówiłaś.

- Zaraz potem, jak wróciliśmy z następnej wizyty po odejściu ojca. Co ci miałam mówić? Sama przeżywałaś dramat. A ja się naprawdę starałam jakoś to sobie wytłumaczyć. W końcu uznałam, że zamiast to rozpamiętywać powinnam całkowicie poświęcić się dzieciom. Potem przyszły te straszne chwile z Patrykiem. Trzeba przyznać, że Dominik bardzo mnie wtedy wspierał. Spuściłam zasłonę na jego słabostki, choć nie było to dla mnie łatwe. Nie powinnam była, nie wolno mi było urodzić trzeciego dziecka. Ale ono już jest i nie wyobrażam sobie życia bez mojej Sary.

- Dziecinko moja - szeptała Irmina. - Bóg naprawdę jest nie sprawiedliwy... - urwała, bo nie chciała przerywać wynurzeń córki, liczyła, że to jej ulży.

- A teraz on mi zaproponował rozstanie, bo „źle się czuje w swojej skórze i chce być człowiekiem spełnionym”. Jakby nie mógł spełnić się wcześniej, kiedy nie było tych czworga nieszczęśliwych dzieci.

- Czworga? O czym ty mówisz? Chyba nie zaryzykowałaś w takiej sytuacji czwartej ciąży?

- Skądże znowu! W tej sferze od dawna nic się między nami nie dzieje. Mówię o jego nieślubnym dziecku, które zmajstrował tej swojej młodej flaminie w Palo Alto. Przypadkiem wpadłam na ten trop.

Jak więc widzisz, nic mi nie było oszczędzone.

- Nie wiem, doprawdy nie wiem, co powiedzieć, jak mogę ci pomóc, to mnie przerasta.

- Wszystkich nas to przerosło.

- I jakże on zamierza się spełniać, nie mówił ci?

- Nie chcę nawet sobie wyobrażać. Jedyne, co omówił ze mną szczegółowo, to warunki podziału majątku. Bo nie chciałby skrzywdzić swojej nowej rodziny.

- Niebawem! Przecież majątek należy się dzieciom.

- On nie jest tego zdania.

- I ty z tym wszystkim byłaś sama? Że też ja nie zauważyłam! Nigdy sobie tego nie daruję.

- Och, mamu, w tej sprawie poza losem nikt nie zawinił.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie martw się. Stoję mocno na nogach. Czasem tylko nerwy mi puszczają.

- Jakże ja mam się nie martwić? Serce mi pęka.

- Nie martw się. Mam twoje geny, twarda ze mnie sztuka. Mam też nową pasję. Przyjaciele z Kalifornii dali mi szansę. Poprowadzę paryską filię ich wydawnictwa. Nasza specjalność to biografie osobistości filmowych Hollywoodu. Jak się dobrze za to zabiorę, będzie to *mine d'or**. Musi mi się udać, bo to mnie urzeka.

* kopalnia złota

Irmina westchnęła z ulgą. Ma pasję, to już dobrze. Nie ma lepszego lekarstwa na przeciwności losu. Ją to ominęło. Sama to zaprzepaściła, odchodząc na wcześniejszą emeryturę dla ratowania syna.

- Nie żałujesz mamu, że odeszłaś od badań? Twój zespół dostał nagrodę Nobla.

- Niczego nie żałuję oprócz tego, że nie zdołałam ocalić twego brata. A Nobel? To tylko sława i pieniądze. Profesor zresztą proponował mi jakąś sumę za mój wkład. Nie chciałam przyjąć, chociaż... dla was może powinnam była. Ale to wciąż otwarta sprawa. Mimo że upłynęło dużo lat od mego odejścia z zespołu.

* * *

Ponad dwa lata trwały rozwodowe przetargi Sophie z Dominikiem. Twardo bronił swoich praw do majątku. Jak się potem okazało, realizacja jego szczęścia była wielce kosztowna.

* * *

Czego dotyczyła walka Dominika o szczęście, wyszło na jaw rok przed pamiętnym przyjazdem Mireille na trzechsetlecie Modrzejowa. Dziewczyna akurat skończyła szkołę teatralną. Albertowi brakowało rok do matury, a najmłodsza ich siostra, Sara - mądra głowa - była celującą uczennicą gimnazjum. Sophie kontynuowała swoją owocną pracę w wydawnictwie. Przez cały ten czas dzieci widywały się od czasu do czasu z ojcem, jeździł z nimi nad morze, zabierał do kina i McDonaldów w centrach handlowych. Trwało to aż do czasu, kiedy zaczęły się z tych spotkań wykręcać, bo coraz bardziej pochłaniały je ich własne, coraz doroślejsze sprawy. I wtedy nadszedł do Alberta ten list od Dominika.

Drogi Synu,

Twój Tata niedługo zmieni zupełnie swoje życie. Zawsze o tym marzyłem, ale poprzez swoje małżeństwo trafiłem na niewłaściwy dla siebie grunt. Ta twoja babcia-naukowiec, dziadek elegant-artysta muzyk wywierali na mnie samą swoją postawą wobec życia ogromną presję. Tacy byli serio, tacy klasyczni w swojej poprawności. A mnie to męczyło. Kiedy poznałem twoją mamę, byliśmy parą dzieciaków. Nosilem wtedy fryzurę afro i fikuśne ubrania, w których się doskonale czułem. Żeby zadowolić gusta wielce poprawnych rodziców ukochanej, dałem się wcisnąć w grzeczne garnitury i wiodłem nudny żywot człowieka interesów o zacięciu naukowym. Nawet osiągnąłem sukces. Bo, jak widziałeś, starałem się.

A przecież mogłem żyć inaczej. Można zarabiać robiąc rzeczy szalone, ubierać się jak motyl. Życie jest za krótkie, żeby ograniczać swoje upodobania. Dlatego radzę i Tobie, żebyś dążył do swego szczęścia i samorealizacji za wszelką cenę.

Niedługo będę właścicielem największej na świecie linii telefonów erotycznych. Idąc z duchem czasu zarobię dużo pieniędzy. Zawsze chciałem być w show-biznesie.

Mogłem to zrealizować tylko wylaniając się z ram, w które dałem się wcisnąć będąc z Twoją matką.

Życz mi szczęścia i sam bądź szczęśliwy i wolny

Twój wolny Tata

Ps. Ja i moja nowa żona tego Ci właśnie życzymy.

Chłopiec rozpieczętował ten fatalny list w szkole. Jego ojciec wykładowca w szkole wyższej całe życie marzył o tym, żeby otworzyć linię telefonów erotycznych? - zdumiał się. Czemu o tym pisze? To jakiś żart? Przeczytał kartkę do końca, zmiął ją i rzucił na podłogę.

Nie chciał, nie umiał w to uwierzyć, zdawało mu się, że czegoś tu nie rozumie, a jeśli rozumie, nie widzi w tym sensu.

Biegł ze szkoły do domu osiem kilometrów. Minał pędem zdumioną matkę, odtrącił łaszącego się psa i zamknął się na klucz w swoim pokoju. Sophie chcąc wiedzieć, co się z nim dzieje, dobijała się do niego, ale bezskutecznie.

Sprawa wyjaśniła się, kiedy po szkole jego przyjaciel przyniósł porzucony list. Niestety, został przeczytany i skomentowany przez całą klasę. Etienne przyjechał z tym listem razem ze swoją matką, bo ona uważała, że matka Alberta powinna się o tym dowiedzieć. Korowód zdarzeń, które potem nastąpiły, przypominał kiczowaty serial sensacyjny.

Nie pomagała pomoc psychologów ani starania ponad siły matki i babci. Albert nie zdał matury i był w depresji. Demoniczne *déjà vu* zawisło nad nimi nieubłagane. Byleby się do końca nie spełniło.

To dlatego Sophie postanowiła zwinąć wszystkie swoje francuskie sprawy i wyemigrować do Ottawy.

Nie była to łatwa decyzja. Trudno wyliczyć wszystkie spięcia z matką podczas ich spotkań, kiedy to puszczały jej nerwy.

Irmina zносиła wszystko z pozornym spokojem, przyplacając to zdrowiem. Nie martwiła się tym. Oddałaby po stokroć życie, byleby jej córka mogła być szczęśliwa.

W ciągu ostatnich lat wszyscy w rodzinie powoli oswajali się ze zmianami. Dominik zawsze wiedział, jak zainwestować pieniądze, ale żeby otwieranie takiego wstydliwego interesu nazywać szczęściem i spełnieniem - to już zakrawało na kpinę. Fakt, że można było na tym zarobić, takie nastąpiły czasy, jednak wielkie słowa nie przystawały do tego przedsięwzięcia. Trudno było doszukać się w tym racjonalnych przesłanek.

- Jak on mógł napisać do syna taki list, co to za przesłanie, co za wzór do naśladowania?

- Pomyśl, moje dziecko - mówiła Irmina do córki. - To wszystko, co przeszłaś, było ponad ludzkie siły, ale porównaj to z losem na przykład rodziców Micheline. To jest dopiero nieszczęście.

Micheline była przed kilku laty jej sąsiadką. Śliczna dziewczyna, studentka medycyny. Wychyliła się z balkonu, żeby wciągnąć do mieszkania kota, który zawisł poniżej opłatany winoroślą. Wypadła z piątego piętra. Przeżyła, ale ze złamanym kręgosłupem. Wszystkie jej członki co do jednego były sparaliżowane. Tylko świadomość, jak na ironię losu, pozostała bez zarzutu.

- Co musi się dziać w sercach i głowie jej rodziców, kiedy siedzą

karmiąc ją naprzeciw jej inwalidzkiego wózka i patrzą na łzę toczącą się po jej policzku?

- Nawet nie chcę sobie tego wyobrażać, ale wytłumacz mi, dlaczego, jeśli według ostrożnych szacunków na dwudziestu do trzydziestu tysięcy mężczyzn przypada jeden, który ze swoich zboczonych fascynacji robi posłannictwo, czemu to właśnie ja wybieram go na ojca moich dzieci?

- To nie jest pytanie do mnie. Szukaj odpowiedzi od swego losu.

- Ach, los. To bezwzględny ponurak.

- Zdarzają mu się też uśmiechy. Masz wspaniałe dzieci. A tylko to się liczy.

- O, tak! To jedno mi się udało.

Rozmowę tę matka z córką prowadziły w łazience. Irmina przepierała stanik w umywalce, a Sophie stojąc przed lustrem smarowała kremem swoje wciąż sprężyste ciało. Irmina obserwowała ją katem oka.

- Jesteś piękna kochanie. Aż serce boli, gdy się pomyśli, że nie jesteś kochana. Powinnaś jeszcze zawalczyć o tę stronę życia.

- I kto mi to mówi? Moja matka, która odrzuciła awanse przystojnego i mądrego funkcjonariusza FBA i niemniej atrakcyjnego pana inżyniera od Renaulta. Trzymałam kciuki, żeby któryś z nich cię ubezwłasnowolnił.

- Naprawdę? Wyobrażasz sobie babcię swoich dzieci snującą się po kątach z maślanym wzrokiem, mizdrzącą się i wzdychającą co chwilę jak nastolatka?

- No, nie! To raczej koszmarna wizja.

- Sama widzisz - roześmiała się Irmina - ale ty zastanów się nad sobą.

- Już się robi, pani matko, zaczynam się rozglądać - rzekła Sophie i wybuchnęła śmiechem, przy wtórze o ton niższego chichotu Irminy.

* * *

A Dominik? Nie narzekał na swój los. Brukowa prasa nie ustawała w zamieszczaniu zdjęć jego i jego młodej żony na pierwszych stronach. Był prawdziwym królem nocnego życia Paryża. Maria z Irminą spotkały go kiedyś, gdy wychodziły ze spektaklu w słynnym kabarecie Belle Epoque. Poszły tam obejrzyć robiącą furorę koleżankę Marii, Elę Ritz vel Bocianowską. Wymieniały się właśnie wrażeniami z występu. Jeszcze brzmiał im w uszach wspaniały ekspresyjny wokół

artystki, gdy czyjeś pytanie przywołało je do rzeczywistości.

- *Mesdames Irminę et Marie, n'est-ce pas? Bon soir!**

- *Bon soir, Dominique** - odpowiedziała Irmina i chciała iść dalej, ale Dominik zatrzymał się przy nich.

- *Ça va?** - zapytał.

- *Ça va, merci. Et vous?** - odpowiedziała, patrząc nie bez ironii na niego i jego młodą żonę.

* Panie Irmina i Maria, prawda? Dobry wieczór!

* Dobry wieczór, Dominiku.

* Co słyhać?

* Dziękuję, w porządku. A u ciebie?

Maria natomiast nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Patrzyła jak zaczarowana na nowe wcielenie Dominika. Wciśnięty w przyciąsne dzinsy, z koszulą rozpiętą niemal do pasa, z ekstrawagancką siwiejącą fryzurą nie wyglądał bynajmniej młodziej. Wręcz przeciwnie, pozowanie na młodzieńca dodawało mu lat. Obnażony tors, zazwyczaj nadmiernie owłosiony, teraz był gładki. Podobnie jego ręce. Pewnie zostały wydepilowane laserem. Nosił buty na wysokich koturnach, żeby przewyższać wzrostem swoją żonę, która mierzyła chyba ponad metr osiemdziesiąt.

- Pani Irmino - powiedział, patrząc na nią z góry, bo wyglądała przy nim jak dziecko - pani wciąż ma do mnie pretensję?

Maria nie mogła się nadziwić, w jaki sposób jej przyjaciółka przez cały okres trwania małżeństwa córki zdołała nie dopuścić do takiej poufałości z zięciem, żeby ten ośmielił się zwracać do niej po imieniu. Sama Irmina nie umiała sobie wytłumaczyć, skąd brała się ta blokada. Intuicja?

- Dziwi cię to, Dominiku? A więc to tak wygląda twoje szczęście i spełnienie? Efektownie, ale czy lepiej? Czy to warte ceny, jaką zapłacili twoi bliscy?

- Przynajmniej mam odwagę być sobą. Do widzenia paniom.

- *Merde, merde, merde, merde!* * - zakłęła Irmina, kiedy „zjawiska” zniknęły im z oczu. - *Merde* po stokroć! Niepotrzebnie dałam się wyprowadzić z równowagi. To niczemu nie służy, a tylko stawia mnie w głupszej sytuacji.

* Cholera!

- To było silniejsze od ciebie - powiedziała Maria. - Nie wiem, co ja bym zrobiła będąc na twoim miejscu. Na miejscu Dominika natomiast przeszłabym na drugą stronę ulicy i uniknęła spotkania. Co chciał przez to spotkanie załatwić?

- Zawsze był próżny, jeszcze zanim się przepoczwarzył. Nie rozumiesz? On się teraz sobie podoba. Chciał się tym pochwalić.

- Efekt zaiste spektakularny.
- A tam - skwitowała to Irmina. - Najważniejsze, że los uśmiechnął się teraz do Sophie i jej dzieci.

* * *

Albert od roku jest dealerem wielkiej firmy samochodowej w Dallas i prezentuje się bardzo okazale w markowych garniturach Dominika, który po zmianie stylu oddał mu całe skrzynie swoich eleganckich ubrań w prezencie. A więc ma dobrą pracę i jest zakochany w miłej dziewczynie.

Najmłodsza latorośl de la Chapelle'ów odziedziczyła po ojcu nie tylko aksamitne oczy, ale i niebывały spryt do interesów. Jest na ostatnim roku studiów w prestiżowej uczelni biznesowej i ma już swoją firmę.

Mireille, najstarsza i najbardziej wrażliwa ze wszystkich wnuków Irminy, uzupełniła swoje wykształcenie w Actors Studio w Nowym Jorku. Podczas lunchu w przerwie zajęć idąc z tacą zderzyła się z wysokim osobnikiem płci przeciwnej. Oba posiłki poleciały na podłogę, a oni patrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Mireille?
- *Michel? C'est pas vrai!* *

* Michal? To niemożliwe!

Młodzi poznali się pięć lat temu w Gdańsku, gdy Maria pokazywała jej Polskę. Michal jest siostrzeńcem Marii. Ukończył architekturę i odbył półroczny staż w Nowym Jorku. Teraz jako pracownik renomowanej spółki nadzorował budowę zaprojektowanego przez siebie wielkiego centrum handlowego w Jersey. Jak się okazało, świetnie prosperuje.

Wtedy w Gdańsku oprowadzał Mireille po przybytkach młodzieżowej subkultury. Rozstali się z żalem, obiecując sobie, że nie będą tracić ze sobą kontaktu, ale życie zweryfikowało te plany. Teraz znowu stanęli naprzeciw siebie. Nie bacząc na bałagan, jakiego narobili w lokalu rozpryskanymi po ubraniach gości, meblach i podłodze daniami, stali i nie mogli oderwać od siebie oczu.

Na efekty tego zauroczenia nie trzeba było długo czekać. Po miesiącu nie mogli ani chwili wytrzymać bez siebie. Po trzech miesiącach byli zaręczeni. „Piękna para” mówi o nich Maria do Eulalii Harczuk.

Siedzą teraz obie na leżakach obok ślicznie odrestaurowanego osiemnastowiecznego pałacyku w Harcach pod Białymstokiem, w którym przyszła na świat ponad wiek temu matka Irminy, a prababcia

Mireille, Galina, zanim jej ojciec, Lew Korolow, nie zabrał swojej rodziny do Odessy.

Michał wykupił tę zrujnowaną posesję za pieniądze zarobione w Nowym Jorku oraz za dochód Mireille pochodzący z odziedziczonego przez dzieci Sophie patentu wujka Patryka. Teraz otworzył wielką filię nowojorskiego konsorcjum w Białymstoku, ze specjalizacją renowacji zabytków. Chrzest bojowy przeszedł restaurując dom przodków narzeczonej.

Mireille za dwa miesiące rozpocznie pracę w białostockim Teatrze Muzycznym. Bierze też udział w castingu do roli cudzoziemki w serialu telewizyjnym.

- Mario, ciociu Lalu - chodźcie obejrzeć mieszkanie Bibou w prawym skrzydle pałacu. Chcę, żeby było gotowe na jej przyjazd. Rzućcie okiem i powiedzcie mi, czego tam brakuje.

A więc jest tu mieszkanie również dla Irminy. Ta Mirejka! Co za dziewczyna! O wszystkim pomyśli. Ale konia z rzędem temu, kto zgadnie, czy jej babcia zgodzi się tu zamieszkać. Na wesele przyjedzie, ale potem? Musieliby dokonać cudu!

Po otwarciu drzwi z napisem „Bibou Irmine” Maria zorientowała się, że owszem, dokonali cudu.

Mieszkancko przygotowane dla nestorki rodu było istną kopią jej ulubionej części apartamentu na Jasmin w Paryżu, gdzie czuła się najlepiej. Ten sam rozkład, takie same meble, skopiowane bibeloty i obrazy na ścianach.

- Istne czary! - wykrzyknęła Maria. Jak tego dokonałeś? Czemu to ma służyć?

- Chcemy, żeby czuła się tu jak u siebie - odpowiedziała Mireille. - Sfotografowaliśmy każdy szczegół i trzeba było potem wiernie to odtworzyć. A w tym Michel jest mistrzem nad mistrzami.

Mireille zawsze używa w stosunku do narzeczonego francuskiego brzmienia jego imienia: Michel - zauważyła Maria.

- Skopiowaliście nawet te śliczne miniatury z Limoges? - powiedziała do Mireille. - Znasz ich tajemnicę? Pochodzą z fabryki porcelany należącej kiedyś do ojca pierwszej miłości twojej babci.

- Wiem. Ale to nie kopie. W czasie jednej z moich podróży artystycznych zaniósł mnie do Limoges i kupiłam je. W sklepach dla turystów ciągle tam nimi handlują.

- No, ciekawa jestem, co Irmina na to wszystko powie.

- Chciałam, żeby była blisko, kiedy będzie potrzebowała opieki. A swoją drogą, czy to nie dziwne, że losy naszego klanu zatoczyły aż taki krąg? Że przez mój związek z twoim siostrzeńcem i ty weszłaś do

naszej rodziny?

- Na tym właśnie polega magia przeznaczenia - powiedziała Maria i ucałowała czule swoją nową kuzynkę, wnuczkę przyjaciółki. Podobnie jak przed sześciu laty, kiedy to odebrała ją z autobusu w Rozogach, żeby uświetnić jej występem obchody trzechsetlecia Modrzejowa.

Warszawa, dnia 9 lutego 2011 r,
godz. 18.55